

Alistair MacLean

Szatański wirus

Tytuł oryginału

The Sutun Bug

Rozdział pierwszy

Tego ranka nie było dla mnie żadnej poczty, ale wcale się nie zdziwiłem. Od czasu bowiem, gdy trzy tygodnie temu wynająłem to niewielkie biuro na drugim piętrze nie opodal Oxford Street, jeszcze w ogóle nie otrzymałem korespondencji. Zamknąłem za sobą drzwi małego, niespełna ośmiometrowego pokoiku, obszedłem biurko i krzesło, gdzie pewnego dnia zasiądzie sekretarka. Kiedy Agencja Detektywistyczna Cavella będzie mogła pozwolić

sobie na taki luksus, i pchnąłem drzwi z napisem "Bez wezwania nie wchodzić".

To gabinet szefa agencji, Pierrea Cavella. Mój własny. A byłem nie tylko szefem, lecz zarazem całym personelem.

Gabinet miał nieco większą powierzchnię od pokoju sekretarki - wiem, bo zmierzyłem ale gołym okiem różnicę tę

mógłby dostrzec jedynie wytrawny mierniczy. Nie jestem sybarytą, muszę jednak przyznać, że lokal nie

wyglądał nazbyt gościnnie. Pomalowane farbą klejową ściany, których barwa przechodziła od brudnej bieli nad

podłogą do niemal czerni tuż pod sufitem, miały delikatny odcień nieświeżej szarości, jaką daje wyłącznie londyńska

mgła i długoletnie zaniedbanie. Na małe, brudne podwórko wychodziło wysokie, wąskie okno, a obok niego na ścianie

bielił się kalendarz. Pokrytą linoleum podłogę zajmowało nie najnowsze kanciaste biurko, krzesło obrotowe dla mnie

miękki skórzany fotel dla interesantów, skrawek wytartego chodnika, który miał chronić ich nogi przed chłodem, wieszak i dwie zielone metalowe szafy na segregatory, obie puste. I nic poza tym. Nie było tam bowiem ani kawałka

miejsca na nic więcej.

Akurat siadałem na krześle obrotowym, kiedy doszły mnie głębokie tony podwójnego uderzenia dzwonka-gongu z

pokoju sekretarki i skrzypienie zawiasów. Napis wiszący na drzwiach od strony korytarza brzmiał "Nacisnąć dzwonek i

wejść", a ktoś to właśnie robił. Nacisnął dzwonek i wchodził.

Otworzyłem lewą górną szufladę biurka, wyciągnąłem jakieś papiery i koperty, rozrzuciłem je przed sobą na blacie,

nacisnąłem przełącznik na wysokości mojego kolana i ledwie zdążyłem wstać, gdy usłyszałem pukanie do drzwi gabinetu.

Człowiek który wszedł, był wysoki szczupły i ubrany jak z żurnala. Pod płaszczem z wąskimi klapami miał nieskazitelnie skrojony czarny garnitur o najnowszej włoskiej linii. W lewej dłoni w zamszowej rękawiczce; z zawieszonym kilka

centymetrów nad przegubem ciasno zwiniętym parasolem z rogową rączką, trzymał rękawiczkę od pary, czarny melonik i

teczkę. Mężczyzna miał długą, wąską twarz o bladej cerze, rzadkie ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku, niemal

gładko zaczesane do tyłu, orli nos, okulary bez oprawki, a na górnej wardze cienką czarną kreskę, która przy bliższym

badaniu wciąż wyglądała jak cienka czarna kreska, choć w rzeczywistości była miniaturą wąsów doprowadzoną do

prawie niespotykanej perfekcji. Chyba musiał nosić ze sobą mikrometr. Wypisz wymaluj czołowy przedstawiciel głównych księgowych z City nic innego nie mogłoby przyjść mi do głowy.

- Przepraszam, że tak od razu wchodzę - rzekł z bladym uśmiechem, pokazując trzy złote korony w górnej szczęce, i ukradkiem obejrzał się za siebie. "- Wydaje się, że pańska sekretarka...

- Nie szkodzi. Proszę dalej.

Nawet mówił jak księgowy w sposób opanowany, pewny siebie z nieco przesadną artykulacją. Podał mi rękę, a uścisk

jego dłoni również był charakterystyczny krótki, układny, niczego nie zdradzający.

Martin - przedstawił się. - Henry Martin. Czy pan Pierre Cavell?

- Tak. Zechce pan spocząć.

- Dziękuję.

Usiadł bardzo ostrożnie, sztywno, trzymając stopy razem. Skrupulatnie ułożył teczkę na kolanach i z bladym uśmiechem na zamkniętych ustach powoli się rozglądał, niczego nie pomijając.

- Coś ostatnio... mmm... słaby ruch w interesie, prawda, panié Cavell?

Mimo wszystko chyba nie był księgowym. Księgowi z reguły są uprzejmi, mają dobre maniery i bez potrzeby nikogo nie obrażają. Z drugiej jednak strony może nie całkiem był sobą. Ludzie zgłaszający się do prywatnych detektywów rzadko zachowują się normalnie.

- Umyślnie utrzymuję to w takim stanie dla zmylenia urzędników skarbowych - wyjaśniłem. - W czym mogę panu pomóc, panie Martin?

- Udzielając mi paru informacji o sobie.

Już się nie uśmiechał i wzrok jego przestał błędzić.

- O sobie? - spytałem trochę nienaturalnym głosem, jak człowiek, który w ciągu trzech tygodni od otwarcia nowego

interesu nie miał jeszcze klienta. - Proszę przejść do rzeczy, panie Martin, mam kilka spraw do załatwienia.

I rzeczywiście miałem zapalić fajkę, poczytać gazetę, coś w tym guście.

- Przepraszam, ale idzie mi o pana. Mając na uwadze pewną delikatną i trudną misję, pomyślałem o panu. Muszę

się upewnić, czy jest pan człowiekiem, jakiego potrzebuję. To chyba rozsądne?

- Nie zajmuję się misjami, panie Martin, lecz sprawami detektywistycznymi.

- Oczywiście. Jeżeli pan je ma odparł tonem zbyt obojętnym, żeby, mógł mnie urazić. - W takim razie może ja sam

podam te informacje. Proszę przez kilka minut cierpliwie znosić mój niezwykle sposób ich przedstawiania. Obiecuję,

że nie będzie pan żałował.

Otworzył teczkę, wyjął skoroszyt w skórzanej oprawie, z którego wyciągnął arkusz sztywnego papieru, i zaczął czytać,

od czasu do czasu robiąc dodatkowe uwagi.

- Pierre Cavell. Urodzony w Lisieux, w okręgu Calvados. Ojciec Anglik, John Cavell, urodzony w Kinselere, w hrab-

stwie Hampshire, inżynier budownictwa lądowego i wodnego. Matka Francuzka, pochodzenia francusko-belgijskiego, Anne-Marie z domu Lechamps, urodzona w Lisieux. jedyna siostra, Liselle. Wszyscy troje zginęli podczas nalotu na Rouen. Ucieka łodzią rybacką z Deauville do Newhaven jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia sześciokrotnie ląduje na spadochronie w północnej Francji, za każdym razem przywożąc ze sobą informacje wielkiej wagi.

Zrzucony ze spadochronem w Normandii na dwa dni przed inwazją. Pod koniec wojny przedstawiony do co najmniej

sześciu odznaczeń trzech angielskich. dwóch francuskich i jednego belgijskiego.

Martin podniósł wzrok i nieznacznie się uśmiechnął. Pierwszy zgrzyt. Odmawia przyjęcia odznaczeń. Jakies cytaty pańskich wypowiedzi, że wskutek wojny szybko pan wydorósł jest za stary na

zabawki. Wstępuje do regularnej

armii brytyjskiej. Awansuje do stopnia majora wywiadu; ma się rozumieć współpracuje z M.I.6, a to chyba jest kontrwywiad. Potem wstępuje do policji. Dlaczego odszedł pan z Wojska, panie Cavell?

Pomyślałem sobie, że jeszcze zdążę go wyrzucić. Teraz byłem zbyt zaintrygowany. Co poza tym wiedział... i skąd?

- Brak perspektyw - odparłem.

- Wyrzucono pana. - I znów ten blady uśmiech. – Kiedy oficer postanawia uderzyć starszego rangą, to roztropność nakazuje wybierać raczej niższą szarżę. Dokonał pan kiepskiego wyboru, decydując się na generała majora. - Ponownie spojrzął na kartkę. - Wstępuje do policji londyńskiej, szybko awansując, dochodzi do stanowiska inspektora. Trzeba przyznać, że pod tym względem rzeczywiście okazuje się pan człowiekiem na swój sposób dość utalentowanym .i w ciągu ostatnich dwóch lat oddelegowany do zadań specjalnych, których natury nie podano, lecz można się domyślać. Następnie zwalnia się pan na własną prośbę. Zgadza się?

- Zgadza.

- W pańskiej karcie "zwolniony na własną prośbę" wygląda znacznie lepiej niż "wydalony", a tak by się skończyło, gdyby pozostał pan w policji choćby jeszcze jeden dzień. Okazuje się; że ma pan w charakterze coś, co nazywa się niesubordynacją. O ile wiem, były jakieś kłopoty z zastępcą komendanta policji. Ale wciąż ma pan przyjaciół, przyjaciół dość wpływowych. W tydzień po zwolnieniu mianowano pana szefem bezpieczeństwa w Mordon.

- Przestałem układać papiery na biurku, czym się dotychczas zajmowałem.

- Szczegóły moich akt personalnych łatwo zdobyć, jeśli się wie, gdzie ich szukać - powiedziałem spokojnie. - Ale nie ma

pan prawa posiadać tej ostatniej informacji.

Zakład Badań Mikrobiologicznych Mordon w hrabstwie Wiltshire był tak chroniony, że przy stosowanych tam środkach bezpieczeństwa wejście na Kreml wydawało się fraszką.

- Doskonale zdaję sobie, z tego sprawę, panie Cavell. Posiadam bardzo wiele informacji, których mieć nie powinienem. Jak na przykład ta, pozostając przy pańskich aktach, że z tego stanowiska również pana zwolniono. I jeszcze jedno, co jest właściwym powodem, dla którego się tutaj dziś znalazłem ja wiem, dlaczego został pan zwolniony.

Pierwsza próba dedukcji w zawodzie prywatnego detektywa, że mój klient jest księgowym, rokowała mi marne perspektywy Henry Martin nie rozpoznałby zestawienia bilansowego, choćby mu je podano na srebrnej tacy. Zastanawiałem się, czym naprawdę zajmuje się ten człowiek, ale trudno mi było nawet zgadnąć.

- Zwolniono pana z Mordon - mówił dalej Martin - Po pierwsze dlatego, że nie trzymał pan języka za zębami. Naturalnie wiem, że nie chodziło o sprawy bezpieczeństwa.- Zdjął okulary i zaczął je starannie czyścić. - Po piętnastu latach w tym zawodzie człowiek nawet przed sobą się nie przyznaje, że coś wie. Ale w Mordon rozmawiał pan z naukowcami i personelem kierowniczym, nie robiąc tajemnicy ze swej opinii o naturze prowadzonych tam prac. Nie jest pan pierwszą osobą, która z rozgoryczeniem komentowała fakt, że zakład ten, w parlamencie określany mianem Ośrodka Zdrowia Mordon, jest całkowicie kontrolowany przez Ministerstwo Wojny. Pan oczywiście wie, że Mordon zajmuje się głównie opracowywaniem i produkcją nowych mikroorganizmów dla potrzeb wojska, krótko mówiąc, broni biologicznej, ale też należy pan do tych nielicznych, co naprawdę wiedzą, jak śmiertelna i przerażająca jest broń, którą się tam doskonalili, i zdaje sobie sprawę, że kilka samolotów może nią w ciągu paru godzin doszczętnie zniszczyć wszelkie formy życia w dowolnym kraju. Ma pan określone zapatrywania na masowe użycie takiej broni przeciwko niewinnej i niczego się nie spodziewającej ludności cywilnej. I mówił pan o tym w wielu miejscach i wielu osobom w Mordon. W zbyt wielu miejscach i zbyt wielu osobom. No i dziś jest pan prywatnym detektywem.

- Życie jest brutalne - przyznałem. Podniosłem się, podszedłem do drzwi i przekręciwszy klucz w zamku, schowałem go do kieszeni. - Chyba zdaje pan sobie sprawę, panie Martin, że za dużo pan powiedział. Proszę podać źródło informacji o mojej działalności w Mordon. Nie wyjdzie pan stąd, dopóki się tego nie dowiem.

Martin westchnął i założył okulary.

- Ta melodramatyczna reakcja jest zrozumiała, ale całkiem niepotrzebna. Uważa mnie pan za durnia, Cavell? Czy

ja na takiego wyglądam? Musiałem to wszystko powiedzieć, żeby nakłonić pana do współpracy. Zagram w otwarte karty.

Dosłownie.

Wyjął portfel, wyciągnął z niego prostokątny kartonik w kolorze kości słoniowej i położył na biurku.

- Czy to panu coś mówi?

Mówiło bardzo wiele. Przez środek kartonika biegł napis "Rada Obrony Pokoju", a w prawym dolnym rogu "Henry

Martin, Sekretarz Oddziału Londyńskiego".

Martin przysunął się bliżej z fotelem, pochylił do przodu i oparł ręce o krawędź biurka. Minę miał poważną, pełną

determinacji.

- Oczywiście wie pan o Radzie, panie Cavell. Chyba nie będzie przesadą, jeśli powiem, że stanowi bez porównania

największą pozytywną siłę w dzisiejszym świecie. Nasza Rada przełamuje bariery rasowe, religijne i polityczne.

Należy do niej premier i większość członków gabinetu, czego wolałbym nie komentować. Mogę jednak oświadczyć, że

wśród jej członków znajduje się większość dostojników kościelnych w Anglii, zarówno protestantów, katolików jak i

żydów. Naszą listę utytułowanych członków czyta się jak Debretta, a wykaz pozostałych wybitnych osobistości należących do Rady przypomina "Whos Who". Cały Foreign Office jest po naszej stronie, a tam przecież wiedzą, co się naprawdę dzieje, i bardziej się obawiają niż ktokolwiek inny.

Mamy poparcie najlepszych, najmądrzejszych i najbardziej dalekowzrocznych ludzi w kraju. Za mną stoją bardzo wpływowe osoby; panie Cavell. - Uśmiechnął się blado.- Mamy nawet swoich ludzi na ważnych stanowiskach w Mordon.

Wiedziałem, że wszystko, co mówił, jest prawdą z wyjątkiem ludzi w Mordon, ale to chyba też było prawdą, bo inaczej nie zdobyłby tych informacji. Sam nie należałem do Rady, nie będąc osobą, która mogłaby znaleźć się w spisie Debretta czy "Whos Who". Było mi jednak wiadomo, że choć Rada Obrony Pokoju - na tyle tajne stowarzyszenie, by o jego rozmowach dyplomatycznych nie pisały gazety- powstała bardzo niedawno, to zdobyła już sobie uznanie we wszystkich państwach zachodnich jako największa nadzieja ludzkości.

Martin wziął ode mnie swoją legitymację i wsunął z powrotem do portfela.

- Chciałem tylko pana przekonać, że jestem przyzwoitym człowiekiem, pracującym dla wyjątkowo przyzwoitej instytucji.

- Wierzę - odparłem.

Dziękuję.

Ponownie sięgnął do teczki i wyjął stalowy pojemnik, kształtem i wielkością przypominający piersiówkę.

- W naszym kraju, panie Cavell, istnieje wojskowa klika, której naprawdę szczerze się obawiamy i która chce przekreślić wszelkie nasze marzenia i nadzieje. Ci szaleńcy mówią, z każdym dniem coraz głośniejsze, o wojnie prewencyjnej przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Wojnie bakteriologicznej. Jest wysoce nieprawdopodobne, żeby udało im się dopiąć swego. Powinniśmy być jednak przygotowani na najgorsze, nie dające się przewidzieć wypadki, dlatego też musimy okazywać jak największą przeczność i mieć się na baczności.

Mówił jak człowiek, który przećwiczył sobie swoje wystąpienie ze sto razy.

- Przed tym atakiem bakteriologicznym nie może być i nie będzie żadnej obrony. Jednakże po dwóch latach bardzo intensywnych badań opracowano szczepionkę przeciwko wirusowi, którego chcą użyć, lecz jedyne na świecie zapasy owej szczepionki znajdują się w Mordon.

Przerwał, zawahał się, a potem pchnął pojemnik po blacie biurka w moją stronę.

- To ostatnie jednak już niezupełnie odpowiada prawdzie. Ten pojemnik wyniesiono z Mordon trzy dni temu.

Jego zawartość pozwala wyhodować kulturę, która zapewni dostateczną ilość szczepionki do uodpornienia ludności dowolnego państwa na Ziemi. Jesteśmy stróżami naszych braci, panie Cavell.

Patrzyłem na niego bez słowa.

Proszę go natychmiast przekazać pod tym adresem w Warszawie dodał i położył na biurku niewielką karteczkę.

- Teraz otrzyma pan sto funtów, a po powrocie zwrot wydatków i drugie sto funtów. Zdaję sobie sprawę, że to

delikatna misja, być może nawet niebezpieczna, chociaż w pańskim wypadku raczej nie. Sprawdziliśmy pana bardzo

dokładnie, panie Cavell. Z opinia człowieka, który porusza się po Europie jak taksówkarz po ulicach Londynu, nie spodziewam się, żeby miał pan większe trudności z przekraczaniem granic.

I te moje poglądy antywojenne mruknąłem.

- Tak, tak, oczywiście potwierdził z pierwszymi oznakami zniecierpliwienia. - Zrozumiałe, że wszystko musieliśmy sprawdzić bardzo dokładnie. Pan miał najlepsze kwalifikacje. Nie mogliśmy wybrać nikogo innego.

A więc to pochlebstwo - mruknąłem.

- Interesujące Nie rozumiem, o co panu chodzi - powiedział opryskliwie. Podejmuje się pan?

- Nie? - Twarz mu zastygła. - Pan mówi "nie" No więc

to tak wygląda ta pańska wspaniała troska o bliźnich? Cała ta gadanina w Mordon...

- Sam pan wspomniał o słabym ruchu w interesie-przerwałem mu. - Nie miałem klienta przez trzy tygodnie i

nic nie wskazuje na to, że będę miał jakiegoś w ciągu następnych trzech miesięcy, a poza tym sam pan powiedział, że nie

możliście wybrać nikogo innego.

Skrzywił wąskie usta w szyderczym grymasie.

- Wobec tego nie będzie się pan wypierał przy odmowie?

- Nie będę się upierał.

- Ile?

- Dwieście pięćdziesiąt funtów. W jedną stronę.

- To pańskie ostatnie słowo?

- Zgadł pan.

- Pozwolisz, że coś ci powiem, Cavell?

Ten człowiek się zapominał.

- Nie, .nie pozwolę. Zachowaj te przemówienia i morały dla tej swojej Rady. Tu chodzi o biznes.

Przez chwilę patrzył na mnie wilkiem spoza grubych szkieł, a potem znów sięgnął do teczki, wyjął pięć cienkich

paczek banknotów, starannie ułożył je przed sobą na biurku i spojrzał mi w oczy.

- Dokładnie dwieście pięćdziesiąt funtów - rzekł.

- Chyba londyński oddział Rady powinien postarać się o nowego sekretarza - zauważyłem. - Kto miał być zrobiony

na te sto pięćdziesiąt funtów, ja czy Rada?

- Nikt - odparł tonem równie lodowatym jak spojrzenie jego oczu; nie podobałem mu się. - Zaproponowaliśmy

przyzwoitą zapłatę, ale w sprawach takiej wagi jesteśmy przygotowani na zdzierstwo. Zabieraj swój szmal.

- Dopiero jak zdejmiesz banderole, złożysz forszę do kupy i na moich oczach ją przeliczysz. Ma być pięćdziesiąt

piątek.

O rany !

Zniknęło gdzieś całe jego opanowanie i chłód, a pojawiła wściekłość.

- Nic dziwnego, że tyle razy wywalali cię z roboty.

Rozerwał opaski, ułożył banknoty w kupkę i dokładnie je przeliczył.

- Pięćdziesiąt. Zadowolony?

Zadowolony

Otworzyłem prawą szufladę, wziąłem pieniądze, kartkę z napisem i pojemnik, wrzuciłem wszystko do szuflady i zamknąłem ją akurat w chwili, gdy Martin kończył zapinać paski swojej teczki. Coś dziwnego w atmosferze, a może przesadny spokój po mojej stronie biurka sprawił, że nagle podniósł wzrok i znieruchomiał jak ja, tylko coraz szerzej otwierał oczy, teraz zdawały się wypełniać całą przestrzeń za okularami.

- Tak, to pistolet - upewniłem go. - Japoński hanyatti, dziewięciostrzałowy, automatyczny, z bezpiecznikiem i jak sadzę, licznik wskazuje pełny magazynek. Nie przejmuj się, lufa jest zaklejona taśmą, bo ona tylko zabezpiecza delikatny mechanizm. Pocisk przeleci przez nią, przez ciebie i również twojego brata bliźniaka, gdyby za tobą siedział. A teraz rączki na stół.

Położył ręce na blacie. Prawie całkiem zeszywniał, co zwykle robią ludzie zaglądający w lufę z odległości metra, ale patrzył już normalnie i z tego, co zauważyłem, nie wyglądał na zmartwionego. To mnie zaniepokoiło, jeśli bowiem ktoś

miał tu powody do zmartwień, to tylko Henry Martin. Może dlatego właśnie był niebezpieczny.

- Masz niezwykle sposób prowadzenia sprawy, Cavell- odezwał się lekceważąco obojętnym tonem bez drgnienia głosu. - Co to ma być, napad?

- Nie wygłupiaj się... i ciesz się, że tak nie jest. Już mam twoje pieniądze. Przed chwilą pytałeś, czy uważam cię za durnia. Wtedy ani czas, ani okoliczności nie wydawały się stosowne do udzielania natychmiastowej odpowiedzi, ale teraz mogę ci ją dać. Jesteś durniem. Jesteś durniem, bo zapomniałeś, że pracowałem w Mordon. Byłem tam szefem bezpieczeństwa, a każdy szef bezpieczeństwa musi przede wszystkim wiedzieć, co się dzieje w jego parafii.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

Zrozumiesz. Ta szczepionka tutaj... ma uodparniać przeciwko wirusowi; mianowicie jakiemu?

- Jestem tylko przedstawicielem Rady Obrony Pokoju.

- To nie ma nic do rzeczy. Sprawa polega na tym, że dotychczas wszystkie szczepionki wytwarzano i magazynowano wyłącznie w Horder Hall w Essex. Chodzi o to, że jeśli ten pojemnik jest z Mordon, to nie ma w nim żadnej szczepionki. Zawiera prawdopodobnie jakiegoś wirusa.

Po drugie, wiem, że normalnie to niemożliwe, aby nawet najsprytniejszemu człowiekowi udało się niespostrzeżenie wynieść z Mordon wirusy przechowywane tam w najgłębszej tajemnicy, czy będzie nim sympatyk Rady Obrony Pokoju czy kto inny. Kiedy z laboratorium wychodzi ostatni pracownik, na czternaście godzin włączają się zamki zegarowe, które można przestawić jedynie za pomocą szyfru znanego tylko dwu osobom. Jeśli coś wyniesiono, to wyłącznie siłą, z użyciem broni. Trzeba to natychmiast zbadać. Po trzecie, wspomniałeś, że stoi za wami Foreign Office, jeśli tak. To po co ten cały cyrk z przemytem szczepionki?

Przecież prościej byłoby ją wysłać do Warszawy pocztą dyplomatyczną.

Na koniec twoja największa wpadka, przyjacielu zapomniałeś, że od dość dawna mam pewne

powiązania z kontrwywiadem. Każdą nową instytucję czy organizację bierze się natychmiast pod lupę. To samo stało się z Radą Obrony

Pokoju, kiedy powstała tu jej centrala. Znam jednego z członków. Ten starszy, łysy grubas o krótkim wzroku jest pod każdym względem twoim przeciwieństwem. ? Nazywa się Henry Martin i jest sekretarzem oddziału londyńskiego Rady. Prawdziwym.

Przez kilka chwil bez żadnej obawy patrzył na mnie poważnym wzrokiem, wciąż trzymając ręce na biurku, a potem spokojnie się odezwał

Zdaje się, że niewiele więcej mamy sobie do powiedzenia. prawda?

Niewiele.

Co masz zamiar zrobić?

- Przekazać cię Wydziałowi Specjalnemu wraz z taśmą, na której nagrałem tę rozmowę. Po prostu z ostrożności włączyłem magnetofon, zanim tu wszedłeś. Wiem, że to żaden dowód, ale im wystarczy kartka z adresem, pojemnik i odciski twoich palców na pięćdziesięciu banknotach.

- Rzeczywiście wygląda na to, że pomyliłem się co do ciebie - przyznał. - Ale my możemy wiele.

- Mnie nie można kupić. Przynajmniej za marne dwieście pięćdziesiąt funtów.

- Pięćset? - spytał cicho po chwili milczenia.

- Nie.

- Tysiąc? Tysiąc funtów, Cavell, w ciągu godziny.

- Zamilcz.

- Sięgnąłem do telefonu, zdjąłem słuchawkę, położyłem ją na biurku i wskazującym palcem lewej ręki zacząłem nakręcać numer. Przy trzeciej cyfrze usłyszałem gwałtowne pukanie do drzwi gabinetu.

Odłożyłem słuchawkę i cichutko wstałem. Drzwi na korytarz były zamknięte, kiedy Martin do mnie wchodził. Nikt

nie mógł ich otworzyć, zanim nie odezwał się gong. Nie słyszałem gongu, bo nikt nie nacisnął guzika. Ktoś jednak był w

pokoju obok, tuż za drzwiami mojego gabinetu.

Martin uśmiechał się. Niezbyt wyraźnie, ale jednak. To mi się nie podobało. Poruszyłem lufą pistoletu i powiedziałem

cicho

- Stań twarzą do tamtego kąta i ręce na kark.

- Uważam to za zbędne - odparł spokojnie. Za drzwiami jest nasz wspólny znajomy.

- No, jazda - szepnąłem.

Posłuchał. Podeszedłem do drzwi, stanąłem obok nich przy ścianie i zawołałem

- Kto tam?

- Policja, Cavell. Otwórz, proszę.

Policja? W dźwięku tego słowa zabrzmiało coś znajomego, ale przecież tyle osób umie naśladować głosy

innych. Spojrzałem na Martina, lecz on ani drgnął.

- Chciałbym zobaczyć legitymację - zawołałem. - Najlepiej wsunąć ją pod drzwi.

Po drugiej stronie usłyszałem jakiś ruch, a później spod drzwi wysunął się podłużny kartonik. Nie odznaka, nie legitymacja, a po prostu wizytówka z nazwiskiem "B.R.Hardanger" i numer telefonu w Whitehall. Tylko bardzo niewiele osób wiedziało, że komisarz policji Hardanger potwierdza swoją tożsamość wyłącznie w ten sposób. A wizytówka pasowała do głosu. Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi.

Tak, to był komisarz Hardanger tęgi, potężny mężczyzna o czerwonej twarzy i policzkach buldoga. Miał na sobie ten sam wypłowiały szary płaszcz i ten sam czarny melonik, które nosił przez wszystkie lata naszej współpracy. Za jego plecami mignął mi jeszcze jakiś niższy facet, ubrany od stóp do głów w khaki, i nic ponad to. Niczego więcej nie zdążyłem zobaczyć, Hardanger bowiem wtoczył się na metr do gabinetu wraz ze swymi ponad dwustu kilogramami autorytetu, zmuszając mnie do cofnięcia się o parę kroków.

- W porządku, Cavell. - W kącikach jego niezwykle jasnych niebieskich oczu pojawił się cień uśmiechu. - Możesz

odłożyć broń. Już ci nic nie grozi, bo przyszła policja.

Przecząco pokręciłem głową.

- Przykro mi, Hardanger, ale już nie jestem twoim pracownikiem. Mam pozwolenie na tę broń, a ty wszedłeś tu bez

zaproszenia. - Skinieniem głowy wskazałem róg pokoju. - jak zrewidujesz tego faceta, to odłożę. Nie wcześniej.

Henry Martin, wciąż z rękami na karku, powoli się odwrócił. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a Hardanger odpowie-

dział mu tym samym i spytał

- Mam cię zrewidować, John?

- Raczej nie, panie komisarzu - odparł Martin dziarskim głosem. - Pan wie, że mam łaskotki.

Obrzuciłem ich zdziwionym wzrokiem, opuściłem pistolet i zapytałem znużonym głosem

- Dobra, co jest grane?

- Jest mi doprawdy przykro z tego powodu, Cavell - odezwał się Hardanger swym niskim, chrapliwym głosem. ale to było konieczne. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Ten człowiek, naprawdę nazywa się Martin, John Martin, i jest wywiadowcą Wydziału Specjalnego. Niedawno wrócił z Toronto. Chcesz zobaczyć jego legitymację, czy moje słowo wystarczy?

- Podszedłem do biurka, schowałem pistolet i wyjąłem pojemnik, pieniądze oraz kartkę z warszawskim adresem. Czuję że twarz mam spiętą, ale w głosie zachowałem spokój.

- Zabieraj te swoje parszywe rekwizyty, Martin, i wynoś się Ty. też, Hardanger. Nie wiem, po co ta cała głupia maskarada, te wszystkie idiotyzmy, i do cholery nic mnie to nie obchodzi. Wynoście się! Nie lubię, jak cwaniaczki robią ze mnie balona. Nie będę się bawił w kotka i myszkę nawet z Wydziałem Specjalnym.

- Daj spokój, Cavell - zaprotestował Hardanger. - Powiedziałem ci, że to było konieczne i...

- Pozwoli pan, że ja to wyjaśnię - wtrącił człowiek w khaki.

Wyszedł zza Hardangera i dopiero w tej chwili po raz pierwszy mogłem mu się dobrze przyjrzeć.

Wojskowy. Oficer, chyba raczej wyższej rangi - szczupły, drobny, stanowczy - typ, na jaki jestem uczulony.

- Nazywam się Cliveden, Cavell. Generał major Cliveden. Muszę...

- Wyrzucono mnie z wojska za uderzenie generała majora- przerwałem mu. - Uważa pan, że nie mogę tego zrobić jako

cywil? Pan też. Jazda. Natychmiast.

- A nie mówiłem, jaki on jest? - mruknął Hardanger bez adresu.

Ociężałe wzruszył ramionami, wsadził rękę do kieszeni płaszcza i wyjął jakiś zegarek.

- Pójdziemy, pójdziemy, ale pomyślałem sobie, że może chciałbyś to zachować na pamiątkę. Oddał go w Londynie do naprawy i wczoraj odesłano go generałowi.

- O czym ty mówisz? - spytałem chrapliwie.

- O Neilu Clandonie, który objął po tobie stanowisko szefa bezpieczeństwa w Mordon. był chyba jednym z twoich najlepszych przyjaciół.

Nie zrobiłem żadnego ruchu, żeby wziąć zegarek z wyciągniętej ręki.

- Jak to "był Clandon?"

- Clandon. Nie żyje. Dodam, że go zamordowano. Podczas włamania do głównego laboratorium w Mordon. Tej

nocy... a właściwie dziś wczesnym rankiem.

Popatrzyłem na nich, a potem odwróciłem się i poprzez brudną szybę zatopiłem wzrok w szarej mgłę, kłębiącej się na

Gloucester Place. Po pewnym czasie rzekłem

- Lepiej wejdźcie.

Neila Clandona znaleźli patrolujący strażnicy tuż po drugiej nad ranem w korytarzu za ciężkimi drzwiami, prowadzącymi do laboratorium numer jeden w bloku "E". To, że był martwy, w ogóle nie

podlegało dyskusji. Przyczyny jego śmierci jeszcze nie znano, bo chociaż personel zakładu prawie w całości stanowili lekarze, nikomu jednak nie pozwolono zbliżyć się do ciała - ściśle przestrzegano surowych przepisów. Kiedy odzywały się dzwonki alarmowe, do akcji mógł wkroczyć tylko i wyłącznie Wydział Specjalny, a wezwany dowódca straży zatrzymał się w odległości pół metra od ciała i stwierdził, że Clandon przed śmiercią silne torsje, a umarł najwyraźniej w konwulsjach i ogromnych męczarniach. Objawy te wskazywały na zatrucie kwasem pruskim. Gdyby strażnikowi udało się wyczuć słabawy zapach gorzkich migdałów, jego wstępna diagnoza niepozostawiłaby żadnych wątpliwości. Co naturalnie było nie możliwe, ponieważ wszyscy strażnicy patrolujący wnętrze budynku musieli chodzić w gazoszczelnych kombinezonach z aparatami tlenowymi o zamkniętym obiegu.

Dowódca straży zauważył jeszcze jedno przestawiono zamek zegarowy. Normalnie działał od szóstej po południu do ósmej rano, a teraz był nastawiony tak, że włączył się o północy, a to oznaczało, że do drugiej po południu laboratorium numer jeden nie będzie dostępne dla nikogo, poza osobami znającymi szyfr.

Informacje te przekazał mi nie Hardanger, lecz oficer.

Wysłuchawszy go spytałem

- No dobrze, ale co pan ma z tym wspólnego?

- Generał major Cliveden jest zastępcą dowódcy Korpusu medycznego Armii Królewskiej - wyjaśnił Hardanger - co

oznacza, że automatycznie jest dyrektorem Zakładu Badań Mikrobiologicznych w Mordon.

- Kiedy ja tam pracowałem, dyrektor nazywał się inaczej.

- Mój poprzednik przeszedł na emeryturę – powiedział Cliveden oschłym tonem, w którym jednak wyczułem zakłopotanie. - Z powodu złego stanu zdrowia. Naturalnie gdy dotarły do mnie pierwsze meldunki. Natychmiast zawiadomiłem pana komisarza i z własnej inicjatywy rozkazałem, żeby z Aldershot wysłano grupę spawaczy z palnikiem acetylenowym, którzy pod nadzorem Wydziału Specjalnego otworzą drzwi.

- Spawaczy? - spojrzałem na niego zdumiony. - Czy pan całkiem oszalał?

- Nie rozumiem.

- Człowieku, niech pan to odwoła. Proszę to natychmiast odwołać. Na Boga, kto panu kazał to robić? Czyżby pan nic nie wiedział o tych drzwiach? Poza tym, że żaden z istniejących palników

acetylenowych nie przetrnie tych drzwi ze specjalnej stali nawet po wielogodzinnych próbach, nie wie pan, że same-drzwi stanowią śmiertelne zagrożenie? Że są wypełnione prawie zabójczym gazem? Że w środku mają izolowaną płytę pod napięciem dwóch tysięcy woltów, co też cholernie dobrze zabija?

- Nic o tym nie wiedziałem, Catwell - odpowiedział cichym głosem. - Dopiero co to przejąłem.

- A jeśli nawet tam wejdą, to czy pan choć pomyślał, co by się wówczas stało? Przestraszył się pan, prawda? Jest pan

przerażony, że ktoś już jest w środku, generale majorze Cliveden. A może ten ktoś jest nieostrożny? Może jest bardzo

nieostrożny i już przewrócił jakiś pojemnik albo zbił jakiś hermetyczny zbiornik z kulturą? Pojemnik czy zbiornik na przykład z botuliną, którą wytwarza jeden z mikroorganizmów hodowanych i przechowywanych w tym laboratorium i.

Trzeba co najmniej dwunastogodzinnego kontaktu z powietrzem, żeby ta trucizna się utleniła i przestała być szkodliwa.

Jeśli ktokolwiek zetknie się z nią przed utlenieniem, to umrze. W tym wypadku jeszcze przed południem. A o Clandonie pan pomyślał. Skąd pan wie, że nie zatrul się botuliną? Objawy są identyczne jak przy zatruciu kwasem pruskim. Skąd pan wie, czy ci dwaj strażnicy już się nie zatruli? A dowódca straży, z którym pan rozmawiał? Jeżeli zetknął się z trucizną, to niedługo po tym, Jak zdjął maskę, żeby móc z panem rozmawiać, zginął w męczarniach. Sprawdził pan; czy on jeszcze żyje?

Cliveden sięgnął do telefonu drżącą ręką. Kiedy nakręcał numer, zwróciłem się do Hardangera

- Słusznie, komisarzu, należą mi się wyjaśnienia.

- W sprawie Martina?

Skinąłem potwierdzająco głową.

- Miałem dwa istotne powody. Po pierwsze byłeś podejrzanym numer jeden.

- Powtórz to.

- Wyrzucono cię z roboty - powiedział bez ceregieli.- Zostałeś na lodzie. Twoje zdanie o działalności Mordon jest powszechnie znane. Masz opinię faceta, który na własną rękę wymierza

sprawiedliwość. - Uśmiechnął się z przymusem. Znam to bardzo dobrze z własnego doświadczenia.

- Zwariowałeś? Czy ja bym mógł zamordować najlepszego przyjaciela? - spytałem z pasją.

- Jesteś jedynym człowiekiem z zewnątrz, który na wylot zna system bezpieczeństwa w Mordon. Jedynym, Cavell.

i ktokolwiek mógłby się tam dostać i wyjść stamtąd, to tylko ty. - Przerwał na dłuższą chwilę. - A teraz jesteś jedynym żywym człowiekiem, który zna szyfry do drzwi poszczególnych laboratoriów. Szyfry te, jak wiesz, można zmienić wyłącznie w fabryce, gdzie robią takie drzwi. Po twoim odejściu nie uważano za konieczne zastosować taki środek ostrożności i niczego nie zmieniono.

- Przecież szyfr zna ten cywilny dyrektor, doktor Baxter.

- Doktor Baxter zniknął gdzieś bez śladu i nie możemy go znaleźć. Musieliśmy jak najszybciej zorientować się w sytuacji, a to był najlepszy sposób. Jedyny. Rano, jak tylko wyszedłeś z domu, rozmawialiśmy z twoją żoną. Powiedziała...

- A więc byłeś u mnie. - Spojrzałem na niego surowo- zawracałeś głowę Mary? Wypytywałeś ją? Chyba...

- Nie fatyguj się - powiedział Hardanger oschłym tonem.- Niepotrzebnie na mnie napadasz. To nie ja tam byłem, wysłałem wywiadowcę. Przyznaję, że głupio zrobiłem namawiając żonę, żeby w dwa miesiące po ślubie sypała męża. Oczywiście powiedziała, że przez całą noc nie opuszczała domu.

Spojrzałem na niego w milczeniu. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

- Zastanawiasz się pewnie, czy nie objechać mnie za to, że ...

- To również - powtórzyłem z przekąsem. – Przecież posądzam Mary o kłamstwo, albo dlaczego nie uprzedziła cię telefonicznie?

- Ona nie umie kłamać. Nie zapominaj, że bardzo dobrze ją znam. A nie mogła cię uprzedzić, bo wyłączyliśmy ci telefon, i w domu, i w biurze. Założyliśmy też podsłuch w tym aparacie, zanim przyszedłeś do biura... w słuchawce aparatu w pokoju obok słyszałem wszystko, co mówiłeś Martinowi.

- Uśmiechnął się. - Przez ciebie przeżyłem tam parę minut w strachu.

- Jak się tu dostaliście? Nie słyszałem was. Gong się nie odezwał. - spytałem

- Wykręciliśmy korki w korytarzu. Wszystko niezbyt zgodnie z prawem. Byłeś podejrzanym numer jeden, ale ja cię nie podejrzewałem. Pokiwałem głową. - Mimo wszystko jednak musiałem się upewnić. Tyłu naszych najlepszych ludzi przeszło na drugą stronę barykady w ciągu ostatnich paru lat.

- Będę musiał to zmienić.

- A więc masz pełną jasność Cavell. Inspektor Martin chyba zasłużył sobie na Oscara. Równo w dwanaście minut ustalił to, co chcieliśmy wiedzieć. Lecz musieliśmy się tego dowiedzieć tylko na tym zależy

- Ale dlaczego akurat w ten sposób? Twoi ludzie pochodziliby parę godzin, popytali taksówkarzy, kelnerów, bileterki w teatrach i w końcu byś się dowiedział, że ostatniej nocy w żadnym wypadku nie mogłem być w Mordon

- Nie mogłem czekać - odparł i przesadnie głośno odchrząknął. - to się wiąże z drugim powodem. Skoro

okazało się, że nie ty zabiłeś, to chciałbym żebyś poszukał mordercy. Po śmierci Clandona jesteś jedynym człowiekiem

który zna cały system bezpieczeństwa w Mordon

- A po otwarciu drzwi mam. wszystko zostawić i być grzeczny.

- Jedno, i drugie. - powiedział, chyba że sam będziesz chciał.

- Serio? Najpierw Derry, a teraz Clandon. Chętnie bym nad tym popracował.

- Dam ci wolną rękę.

- Generał nie będzie zachwycony.

Nigdy inaczej nie mówił o najważniejszym przełożonym Hardangera, a tylko niewielu znało jego nazwisko.

- Już to z nim ustaliłem. Masz rację, nie jest zachwycony, podejrzewam, że cię nie lubi. - Uśmiechnął się kwaśno. - W życiu tak często bywa.

- Zrobiłeś to zawczasu? No to dzięki za komplement.

- To cholernie niewygodne, ale tak już jest. Jeśli ktokolwiek może coś znaleźć, to jedynie ty.
- Nie mówiąc o tym, że tylko ja mogę otworzyć te drzwi, kiedy Clandon nie żyje, a Baxter zniknął.
- Kiedy wyjeżdżamy? - spytałem. - Teraz?

Cliveden akurat odkładał słuchawkę na widełki. Rękę jeszcze miał niepewną.

- Jeśli panowie są gotowi - rzekł.
- Ja będę za moment - powiedział Hardanger.

Był mistrzem w maskowaniu swoich reakcji, ale w jego oczach pojawiło się dziwne zainteresowanie i nie potrafił tego ukryć. Zwykle patrzył tak na człowieka, który właśnie zrobił fałszywy krok.

Ma pan jakieś wiadomości o strażnikach w zakładzie? - zwróciłem się do Clivedena.

- Nic im nie jest. Główne laboratorium jest zabezpieczone.
- A zatem nie botulina spowodowała śmierć Clandona
- A doktor Baxter?
- Wciąż ani śladu. On...

- Wciąż ani śladu? To już drugi. Zbieg okoliczności,

- To również - przyznał. - panie generale, jeżeli jest to właściwe określenie.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - powiedział z irytacją.

- Easton Derry, mój poprzednik w Mordon, zniknął parę miesięcy temu... dokładnie w sześć dni po tym, jak był pierwszym drużbą na moim ślubie, i dotychczas się nie pojawił.

Czyżby pan nie wiedział?

- A niby skąd, u diabła, miałbym wiedzieć?

Prawdziwy nerwus z tego mikrusa. Ucieszyłem się, że nie jest lekarzem cywilnym, a ja jego pacjentem.

- Od czasu nominacji nie byłem w stanie pojechać tam więcej niż dwa razy - dodał. A co do Baxtera, to z laboratorium wyszedł normalnie, trochę później niż zwykle. Już się tam więcej nie pojawił. Mieszka z owdowiałą siostrą w parterowym domku, pięć mil od zakładu. Jego siostra powiedziała, że tego dnia w ogóle nie wrócił z pracy - rzekł i zwrócił się do Hardangera- Musimy niezwłocznie tam pojechać, komisarzu.

- Natychmiast, panie generale. Cavell jedzie z nami.

- Miło mi to usłyszeć - odparł.

Wprawdzie jego mina mówiła co innego, ale nie miałem mu tego za złe. Jeżeli ktoś dochodzi do stopnia generała

majora, musi w sobie rozwinąć tę szczególną wojskową mentalność, według której świat jest prostą, uporządkowaną i

pełną dyscypliny organizacją, gdzie nie ma miejsca dla prywatnych detektywów. Starał się jednak być uprzejmy i robił

dobrą minę do złej gry, dodał bowiem

- Będzie nam potrzebna wszelka pomoc, jaką uda nam się zdobyć. Idziemy?

- Tylko zadzwonię do żony, żeby jej powiedziec, co się dzieje... jeżeli już włączono jej telefon.

Hardanger skinął głową. sięgnąłem po słuchawkę, ale ręka Clivedena znalazła się tam wcześniej, mocno przyciskając ją do widełek.

- Żadnych telefonów, Cavell. Przykro mi. To konieczne.

Musimy mieć absolutną gwarancję, że nikt, dosłownie nikt nie będzie wiedział, co wydarzyło się w Mordon.

Uniosłem jego rękę i wyrwałem mu słuchawkę.

- Wyłumacz panu generałowi, komisarzu - rzekłem.

Hardanger wyglądał na zakłopotanego. Kiedy nakręcałem numer, odezwał się przepaszającym tonem

- O ile wiem, Cavell już nie jest w wojsku, panie generale, i nie podlega Wydziałowi Specjalnemu. Nie lubi też jak mu się rozkazuje

- Ale ustawa o tajemnicy państwowej...

- Przykro mi, panie generale - przerwał mu Hardanger, mocno kręcąc głową - lecz tajne informacje, świadomie ujawnione cywilowi spoza ministerstwa, przestają być tajemnicą państwową. Nikt nam nie kazał informować Cavella, i on nas o to nie prosił. Niczym nie jest zobowiązany, a my chcemy, żeby z nami współpracował.

Załatwiłem telefon; powiedziałem Mary, że nie zostałem aresztowany, że wyjeżdżam do Mordon i jeszcze tego samego dnia do niej zadzwonię. Odłożyłem słuchawkę, zdjąłem marynarkę, zawiesiłem pod pachą kaburę i wsadziłem do niej hanyatti. To duży pistolet, ale moja marynarka jest obszerna, nie tak obcisła jak inspektora Martina. Dlatego właśnie nie za bardzo lubię włoski krój. Hardanger obserwował mnie obojętnie, Cliveden z dezaprobatą dwa razy chciał coś powiedzieć i dwukrotnie się rozmyślił. Takie zachowanie u oficera jest doprawdy niezwykle. Ale i morderstwo nie jest zwykłą rzeczą.

Rozdział drugi

Oczekiwał nas wojskowy helikopter, lecz mgła była zbyt gęsta. Pojechaliśmy więc do Wiltshire wielkim jaguarem, kierowanym przez ubranego po cywilnemu policjanta, któremu stanowczo zbyt wielką frajdę sprawiała jazda na pełnym gazie i nieustanne włączanie syreny. Kiedy minęliśmy Middl esex, mgła się podniosła, droga była dość pusta i cało dotarliśmy do Mordon tuż po dwunastej.

Swą potworną architekturą Mordo mógłby zszpecić nawet najpiękniejszy krajobraz. Jeśli autor tej budowli – o ile w ogóle miała jakiegoś autora - wzorował się na więzieniu z początku XIX wieku, które nieodparcie przypominała, nie potrafiłby chyba zaprojektować czegoś ohydniejszego i bardziej odpychającego. Zakład jednak powstał zaledwie przed dziesięciu laty.

Szary, ponury i groźny pod wiszącym nad głowami ołowianym niebem tego październikowego dnia, Mordon składał się z czterech rzędów przysadzistych betonowych budynków o płaskich dachach. Te odstręczające, pozbawione życia trzypiętrowe bloki wyglądały identycznie jak przeznaczone do

rozbiórki opuszczone kamienice wiktoriańskie z najgorszych przedmieść wielkiego miasta. Ale taki wygląd doskonale pasował do charakteru prowadzonych tam prac. Każdy szereg budynków, oddzielony od pozostałych pasami szerokości około dwustu metrów, miał długość niespełna pół kilometra. Otwarta przestrzeń między budynkami a ogrodzeniem, w największym miejscu sięgająca pięćdziesięciu metrów, była zupełnie pusta - pozbawiona drzew, krzaków, nawet kępki kwiatów. Za krzakiem bowiem czy za kępką kwiatów mógłby się schować jakiś człowiek. Nie ukryje się jednak za pięć centymetrowym źdźbłem trawy, a nic nie rosło wyżej na niegościnnym pustkowiu wokół budynków Mordon. Słowo "ogrodzenie" - nie mur, za murem można się ukryć - jest w tym wypadku niewłaściwym określeniem. Każdy komendant obozu koncentracyjnego z czasów drugiej wojny światowej oddałby duszę diabłu za Mordon przy takich ogrodzeniach człowiek może nocą spać głębokim snem.

Ogrodzenie zewnętrzne, wykonane z kolczastego drutu, miało wysokość sześciu metrów i było pochylone na zewnątrz pod tak ostrym kątem, że górna jego krawędź nie biegła nad podstawą, lecz półtora metra od niej. W odległości siedmiu metrów od niego znajdowało się podobne równoległe ogrodzenie wewnętrzne, pochylone w przeciwną stronę. Nocą dzielący je pas terenu patrolowały owczarki niemieckie i doberman, specjalnie szkolone do polowań na ludzi - w razie potrzeby potrafiły człowieka zagryźć - i posłuszne jedynie swoim wojskowym przewodnikom. Na wysokości metra w drugim ogrodzeniu; a właściwie tuż pod jego górną krawędzią, wisiała pułapka z dwóch drutów, tak cienkich, że normalnie były niewidoczne, a z całą pewnością nie zauważyłby ich człowiek schodzący z ogrodzenia. Następnie w odległości trzech metrów ustawiono ostatnią barierę, składającą się z pięciu drutów, które podtrzymywały izolatory umocowane do betonowych słupków. Płynący przez druty prąd elektryczny podobno nie raził śmiertelnie, co nie znaczy, że był nieszkodliwy dla zdrowia.

W celu zapewnienia każdemu pełnej informacji, na całej długości pierwszego ogrodzenia wojsko umieściło co dziesięć metrów tablice ostrzegawcze. Było ich pięć rodzajów cztery białe z czarnymi napisami "UWAGA! NIE ZBLIŻAĆ SIĘ!", "UWAGA! ZŁE PSY!", "WSTĘP WZBRONIONY" i "WYSOKIE NAPIĘCIE", oraz jedna żółta z krzykliwie czerwonym napisem, który stwierdzał wprost "TEREN WOJSKOWY - WSTĘP GROZI ŚMIERCI". Tylko szaleniec albo skończony analfabeta próbowałby przedostać się tędy do Mordon.

Przejechaliśmy drogą publiczną, która okrążała ten obóz, odchyłała się nieco w prawo przy polach porośniętych jałowcem i po niespełna pięciuset metrach skręcała do głównego wejścia. Kierowca zatrzymał samochód tuż przed opuszczonym szlabanem i opuścił szybę, kiedy zbliżył się jakiś sierżant. Na ramieniu żołnierza wisiał pistolet maszynowy, którego lufa wcale nie była skierowana ku ziemi.

Potem, rozpoznawszy Clivedena, opuścił pistolet i dał znak człowiekowi, którego nie widzieliśmy. Szlaban się podniósł, samochód ruszył i zatrzymał się przed ciężką stalową bramą Wysiedliśmy, przeszliśmy przez niewielką stalową furtkę i skierowaliśmy się w stronę parterowego budynku z napisem "Portiernia".

Oczekiwało nas tam trzech ludzi. Dwóch znałem pułkownika Weybridgea, zastępcę komendanta Mordon, oraz doktora Gregoriego, pierwszego asystenta doktora Baxtera w bloku "E". Choć Weybridge służbowo podlegał Clivedenowi, faktycznie był szefem Mordon. Ten wysoki mężczyzna o czerstwej twarzy i czarnych włosach, z dziwnie szpakowatymi wąsami, cieszył się opinią wybitnego lekarza. Mordon to całe jego życie. Należał do tych nielicznych osób, które mieszkały na terenie zakładu - powiadano, że nigdy nie wychodził za bramę częściej niż raz do roku. Gregori był wysokim, ciemnookim Włochem o masywnej sylwetce i śniadej cerze. Tego dawnego profesora medycyny z Turynu i znakomitego mikrobiologa koledzy naukowcy darzyli wielkim szacunkiem. Trzeci był otyłym, niezgrabnym facetem w zbyt obszernym garniturze z samodziału. Tak bardzo przypominał wieśniaka, że musiał być tym, kim się w końcu okazał - policjantem w cywilnym ubraniu. Inspektor Wylie z policji w Wiltshire.

Prezentacji dokonali Cliveden i Weybridge, a potem komendę przejął Hardanger. Pomimo obecności generała i pułkownika i nie bacząc na fakt, że zakład należy do wojska, jednym słowem "idziemy" nie pozostawił żadnych wątpliwości, kto całkowicie wszystkim kieruje. Dał to od razu jasno do zrozumienia.

- Inspektorze Wylie - powiedział bez ogródek - pana nie powinno tu być. Żaden policjant nie ma prawa tu przebywać. Ale wątpię by pan o tym wiedział, i jestem przekonany, że za obecność tutaj kto inny ponosi odpowiedzialność.

- Ja - odezwał się pułkownik Weybridge pewnym tonem, Choć wyglądało, jakby się tłumaczył. - Okoliczności są co najmniej niezwykłe.

- Panowie pozwolą, że ja wyjaśnię - wtrącił się inspektor Wylie - Wczoraj późnym wieczorem otrzymaliśmy telefon z wartowni zakładu, że załoga samochodu patrolowego, wiem że jeepy patrolują nocą drogę wokół Mordon, ściagała jakiegoś niezidentyfikowanego osobnika, który zdaje się molestował czy napadł jakąś dziewczynę tuż obok waszego terenu. Uznali, że sprawa ta wykracza poza ich kompetencje, zadzwonili do nas. Dyżurny sierżant i posterunkowy na służbie przybyli tutaj zaraz po północy, ale nikogo i niczego znaleźli. Przyszedłem tu rano, a kiedy zobaczyłem przecięte ogrodzenia... no więc uznałem, że te dwie sprawy są ze sobą w jakiś sposób powiązane.

- Przecięte!? - wykrzyknąłem. - Te ogrodzenia? To niemożliwe

- A jednak tak, Cavell - z powagą potwierdził

- A samochody patrolowe? - spytałem. - A psy? A te druty i ogrodzenie pod napięciem? Wszystko na nic?

- Sam pan zobaczy. Ogrodzenia są przecięte i tyle.

Weybridge był o wiele bardziej niespokojny, niż z pozoru się wydawał. Mógłbym się założyć, że on i

Gregori byli nieźle

przestraszeni.

- W każdym razie - ciągnął spokojnie inspektor Wylie zadałem parę pytań wartownikom przy bramie. Spotkałem tam pułkownika Weybridgea, który poprosił mnie, żebym dyskretnie wybadał, co się stało z doktorem Baxterem.

- I pan to zrobił? - spytał Weybridgea Hardanger na pozór obojętnym tonem. - Nie zna pan swoich własnych zarządzeń, że śledztwo może prowadzić tylko wasz szef bezpieczeństwa albo moje biuro w Londynie?

- Tak, ale Clandon nie żył i...

- O, Boże! - głos Hardangera zabrzmiał jak smagnięcie biczem. - No i teraz inspektor Wylie wie, że Clandon nie żyje.

A może pań już o tym wiedział, inspektorze?

- Nie, panie komisarzu.

- Ale teraz już pan wie. ilu osobom powiedział pan o tym, pułkowniku Weybridge?

- Nikomu więcej - stwierdził kategorycznie pytany z nagle pobladłą twarzą.

- Dzięki Bogu i za to. Niech pan nie sądzi, pułkowniku, że przesadzam z tym bezpieczeństwem, bo to nieważne, co pan albo ja sobie o tym myślimy. Idzie o to, co myślą o tym ludzie w Whitehall. Oni wydają zarządzenia, a my musimy ich przestrzegać. Instrukcje mówią wyraźnie, co należy robić w takich wypadkach jak ten. My całkowicie przejmujemy sprawę i pan absolutnie nie musi się tym zajmować. Chcę oczywiście, żeby pan ze mną współpracował, ale musi to być współpraca na warunkach, które ja określę.

- Pan komisarz chciał przez to powiedzieć - rzekł z irytacją Cliveden że amatorskie śledztwo jest nie tyle nie zalecane, co zabronione. Czy dotyczy to również mnie; panie Hardanger?

- Proszę, niech mi pan nie utrudnia tego, co i tak już jest trudne, panie generale.

- Nie będę, ale jako komendant mam chyba prawo do tego, żeby mnie informowano o postępach śledztwa i żebym był obecny przy otwieraniu laboratorium numer jeden w bloku "F"?

- Dobrze zgodził się Hardanger.

- Kiedy? spytał Cliveden. - Mam na myśli laboratorium.

Hardanger spojrział na mnie.

- No jak, minęło już te twoje dwanaście godzin?

- Nie jestem pewien - odparłem i popatrzyłem na doktora Gregoriego. - Czy włączono wentylację w jedyne?

- Nie. Oczywiście, że nie. Nikt się tam nie zbliżał. Pozostawiliśmy wszystko tak jak było.

- A jeśli coś, powiedzmy, zostało przewrócone, ostrożnie wypytywałem dalej - to czy nastąpiło już całkowite utlenienie? - Wątpię. Powietrze jest prawie w bezruchu.

- Zamknięty system wentylacji - wyjaśniłem Hardangerowi - wdmuchuje do wszystkich laboratoriów filtrowane powietrze, które następnie jest oczyszczane w specjalnej komorze. Chciałbym, żeby go włączono, i za jakąś godzinę będziemy mogli tam wejść.

Hardanger skinął głową. Spoglądając niespokojnie spoza grubych szkieł, Gregori wydał odpowiednie instrukcje przez telefon, a potem dołączył do Clivedena i Weybridgea.

- No więc, inspektorze - odezwał się Hardanger do Wyliego - zdaje się, że jest pan w posiadaniu informacji, których nie powinien pan mieć. Panu chyba nie muszę o czym przypominać.

- Lubię swoją pracę - odparł uśmiechając się Wylie.- niech pan nie będzie zbyt surowy dla Weybridgea. Ci medycy nie myślą kategoriami bezpieczeństwa. Chciał dobrze.

- Właśnie ci, co mają dobre intencje, rzucają mi kłody pod nogi - stwierdził Hardanger poważnym tonem. - A co z Baxterem?

- Wygląda na to, że wyszedł stąd wczoraj około osiemnastej trzydzieści panie komisarzu. Jednak trochę później niż zwykle i chyba dlatego nie zdążył na specjalny autobus do Alfringham.

- Odmeldował się oczywiście? - spytałem.

Każdy naukowiec wychodzący z Mordon musiał wpisywać się do książki wyjść i zwracać swoją kartę identyfikacyjną. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Musiał poczekać na zwykły autobus, który przyjechał o osiemnastej czterdzieści osiem. Konduktor i dwaj pasażerowie potwierdzili, że ktoś odpowiadający podanemu przez nas rysopisowi oczywiście nazwiska nie wymieniono, wsiadł na przystanku przy końcu drogi do zakładu, ale konduktor jest absolutnie pewien że nikt taki nie wysiadał w Alfringham Farm gdzie mieszka doktor Baxter. Musiał zatem pojechać do Alfringham

albo do Hardcaster, gdzie kończy się linia.

- Po prostu zniknął - powiedział Hardanger kiwając głową, a potem z uwagą przyjrzał się temu krzepkiemu policjantowi o spokojnych oczach i spytał - Nie chciałby pan z nami nad tym popracować, Wylie?

- Byłaby to odmiana w porównaniu z tropieniem nosacizny - przyznał Wylie. - Ale nasz komisarz i naczelnik policji też mają coś do powiedzenia na ten temat.

- Chyba dadzą się przekonać. Pański komisariat jest w Alfringham, prawda? Zadzwońię tam do pana.

Wylie wyszedł. Kiedy przechodził przez drzwi spostrzegliśmy jakiegoś żołnierza w stopniu porucznika, który uniósł

rękę, jakby chciał zapukać. Hardanger ściągnął brwi i rzekł

- Proszę wejść.

- Dzień dobry, panie komisarzu. dobry, panie Cavell- odezwał się jasnowłosy porucznik energicznym głosem, chociaż wyglądał na zmęczonego. - Nazywam się Wilkinson, panie komisarzu. Ostatniej nocy byłem dowódcą patroli

strażników. Pułkownik powiedział, że pan pewnie chciałby się ze mną zobaczyć.

- To ładnie z jego strony Rzeczywiście chcę. Nazywam się Hardanger, komisarz Hardanger. Miło mi pana poznać, Wilkinson. Czy to pan znalazł Clandona?

- Znalazł go jeden ze strażników, kapral Pérkins. Wezwał mnie i wtedy zobaczyłem Clandona. Spojrzałem tylko raz. Zamknąłem blok "E", wezwałem pułkownika i on to zatwierdził.

- Brawo - pochwalił Hardanger. - Do tego wrócimy jednak później. Oczywiście zawiadomiono pana o przecięciu drutów?

- Naturalnie, panie komisarzu. Kiedy... ponieważ nie było pana Clandona, ja przejąłem komendę. Nie mogliśmy go znaleźć, absolutnie nigdzie. Z pewnością już wówczas nie żył.

- Właśnie. Oczywiście zbadał pan miejsce przecięcia

- Nie, panie komisarzu.

- Nie? Dlaczego? To chyba pański obowiązek?

- Nie, panie komisarzu. To zajęcie dla eksperta. Po bladej, zmęczonej twarzy przemknął nikły uśmiech. My nosimy pistolety maszynowe, panie komisarzu, nie mikroskopy. Było bardzo ciemno. Poza tym kilka par regulaminowych woskowych butów zdeptało to miejsce i nie było czego szukać. Postawiłem tam czterech wartowników, dwóch na zewnątrz i dwóch od wewnątrz, i wydałem rozkaz, by nikomu nie pozwolili się zbliżyć.!

- Jeszcze nie spotkałem w wojsku takiej inteligencji - ciepło powiedział Hardanger. - To było pierwsza klasa, młody człowieku.

Błada twarz Wilkinsona aż poróżnowiała, kiedy z widocznym wysiłkiem starał się ukryć, jaką przyjemność sprawiły mu te słowa.

- Co jeszcze pan zrobił?

- Nic takiego, co mogłoby panu pomóc, panie komisarzu. Wysłałem dodatkowego jeepa, normalnie patrolują trzy, żeby objechał ogrodzenie dookoła i sprawdził szperaczem, czy nie ma innej dziury. Ale ta była jedyna. Potem zadałem parę pytań tym ludziom z jeepa, co bezskutecznie ścigali człowieka, który rzekomo napadł tę dziewczynę, i ostrzegłem ich, żeby następnym razem powstrzymali swoje..... rycerskie zapędy, bo poodsyłałem ich do macierzystych jednostek. W czasie patrolowania nie wolno im opuszczać pojazdu pod żadnym pozorem.

- Nie uważa pan, że tym napadem na dziewczynę ktoś chciał odwrócić waszą uwagę? Żeby ktoś inny mógł się nie- postrzeżenie prześlizgnąć z nożycami do cięcia drutu?

- Nie inaczej, panie komisarzu.

- Nie inaczej, rzeczywiście - powiedział wolno Hardanger, - Ile osób zwykle pracuje w bloku "E", poruczniku?

- Pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt, panie komisarzu.

- Lekarze?

Taka mieszana grupa. Lekarze, mikrobiolodzy, chemicy, technicy, zarówno wojskowi, jak i cywilni. Niewiele o nich wiem, panie komisarzu. Nie bardzo wolno nam pytać.

- Gdzie oni teraz są, kiedy blok "E" jest zamknięty?

- W hallu stołówki. Niektórzy chcieli wracać do domów, jak zobaczyli, że blok jest zamknięty, ale pułkownik, pułkownik Weybridge, im nie pozwolił.

- To bardzo dobrze, przydadzą się. Poruczniku, będę wdzięczny za wyznaczenie dwóch dyżurnych, gońców czy kogoś w tym rodzaju. Jednego dla mnie; a drugiego dla obecnego tu inspektora Martina. Inspektor Martin przeprowadzi indywidualne rozmowy z pracownikami bloku "E". Proszę wszystko przygotować. W razie jakichś kłopotów niech pan powie, że to z rozkazu generała Clivedena. Najpierw chciałbym jednak, żeby pan zaprowadził nas do tej dziury i przedstawił wartownikom. A potem zawiadomi pan wszystkich strażników, załogi jeepów i przewodników psów, żeby zgłosili się w portierni za dwadzieścia minut. Dotyczy to tych, którzy wczoraj przed północą mieli służbę. Pięć minut później znalazłem się z Hardangerem przy dziurze w ogrodzeniu. Wartownicy cofnęli się, tak że nie mogli słyszeć naszej rozmowy i Wilkinson pozostawił nas samych.

Kolczasty drut zewnętrznego ogrodzenia rozpięto na łukowatych słupach ze zbrojonego betonu, przypominających nowoczesne latarnie uliczne w miniaturze. Było tam około trzydziestu drutów w odstępach z grubsza dwudziestocentymetrowych. Czwarty i piąty drut od ziemi przecięto i powrót złączono grubym szarym sznurkiem, zaczepionym o najbliższe kolce. Tylko bardzo bystre oczy mogły to zobaczyć.

Od trzech dni nie padał deszcz, więc nie pozostały żadne ślady. Wprawdzie ziemia była wilgotna, ale to od porannej rosy. Ktokolwiek przeciął druty, zdążył zniknąć na długo przed pojawieniem się rosy.

- Masz młodsze oczy - powiedział Hardanger. - Przepiłowane czy przecięte?

- Ciachnięte. Nożycami lub kombinerkami. Spójrz pod kątem to przecięto. Niewielkim, ale widać.

Hardanger wziął do ręki koniec jednego drutu i obejrzał

- Cięcie biegnie z lewej do prawej - mruknął. - Tak, jakby zrobił to mańkut.

- Mańkut, albo człowiek praworęczny, który chciał, żebyśmy tak myśleli. A więc albo mańkut, albo spryciarz, albo i jedno, i drugie.

Hardanger spojrzał na mnie rozgoryczony i powoli ruszył w stronę wewnętrznego ogrodzenia. Między ogrodzeniami nie znaleźliśmy żadnych śladów. Wewnętrzne ogrodzenie przecięto w trzech miejscach, a ten, kto to zrobił, chyba niezbyt się przejmował, że zostanie dostrzeżony z drogi wokół zakładu. Musieliśmy jeszcze ustalić, dlaczego nie obawiał się psów policyjnych, które patrolują teren między ogrodzeniami.

Pułapka z drutu, zawieszona pod krawędzią drugiego ogrodzenia, była nietknięta. Intruz miał wiele szczęścia, że się o nią nie potknął. Albo dokładnie znał jej położenie. Moim zdaniem nasz nieznajomy z kombinerkami raczej nie sprawiał wrażenia człowieka, który liczy na szczęście. Dowodził tego sposób, w jaki poradził sobie z elektrycznym płotem. W przeciwieństwie do większości tego rodzaju ogrodzeń, w których prąd biegnie jedynie po najwyższym drucie, a pozostałe są tylko do niego podłączone pionowymi kablami wzdłuż izolatorów, tutaj wszystkie druty były zasilane oddzielnie.

Dzwonek alarmowy włączał się wówczas, gdy którykolwiek drut miał zwarcie z ziemią, na przykład przy dotknięciu, albo jeśli go przecięto. Nie przeszkadzało to człowiekowi z kombinerkami - z całą pewnością izolowanymi. Świadczyły o tym dwa kawałki kabla telefonicznego leżące na ziemi. Ten ktoś wygiął koniec kabla w haczyk i zaczepił go na najniższym izolatorze jednego słupa, przeciągnął kabel po ziemi i w identyczny sposób zaczepił go na najniższym izolatorze następnego słupa, zapewniając boczną drogę dla prądu. Tak samo połączył izolatory znajdujące się bezpośrednio nad poprzednimi, po czym zwyczajnie wyciął dwa najniższe druty i przeczołgał się pod trzecim.

- Zmyślny facet - skomentował Hardanger. - To może świadczyć, że miał informatora z wewnątrz, prawda?

- Albo że ktoś z zewnątrz miał silną lunetę czy lornetkę. Pamiętaj, że droga okólna jest otwarta dla ruchu publicznego. Czy tak trudno zobaczyć z samochodu, co to za ogrodzenie? Śmiem twierdzić, że w sprzyjających warunkach można również dostrzec błyszczące w słońcu druty pułapki wiszące na wewnętrznym ogrodzeniu.

- Bardzo możliwe - rzekł z wolna Hardanger. - No, nie ma co tak stać i gapić się na te druty. Wracamy i bierzemy się do zadawania pytań.

Ludzie, z którymi Hardanger chciał się widzieć, czekali w hallu portierni. Siedzieli na ławkach pod ścianami niespokojni i zdenerwowani. Niektórzy wyglądali na sennych, a wszyscy byli przerażeni. Wiedziałem, że w ciągu pół sekundy Hardanger zorientuje się, w jakim są nastroju, i stosownie do tego będzie postępował. Tak też się stało. Usiadł przy jednym ze stolików i spod krzaczastych brwi obrzucił ich przenikliwym i nieprzyjaznym spojrzeniem zimnych bladoniebieskich oczu. Jako aktor wcale nie ustępował Martinowi.

- No dobrze - powiedział szorstko. - Załoga jeepa. Ci, co urządzili ten ryzykowny pościg. Najpierw wy.

Powoli unieśli się trzej żołnierze - kapral i dwaj szeregowcy. Hardanger zaczął od kaprała.

- Nazwisko?

- Muirfield, panie komisarzu.

- Wyście byli dowódcą patrolu ubiegłej nocy?

- Tak jest.

- Proszę powiedzieć, co się wydarzyło.

- Rozkaz. Zrobiliśmy rundę wokół zakładu, zatrzymaliśmy się przy bramie, żeby zameldować, że wszystko w porządku, i znów ruszyliśmy. Jakies dwieście pięćdziesiąt metrów za bramą w świetle reflektorów zobaczyliśmy biegnącą dziewczynę. Wyglądała jak wariatka, rozczochrana, wszędzie było pełno jej włosów. Wydawała takie dziwne dźwięki, ni to krzyk, ni to płacz. Ja prowadziłem, zatrzymałem jeepa i wyskoczyłem, a oni za mną. Powinienem im powiedzieć, żeby zostali...

- Teraz się tym nie martwcie! Mówcie, co było dalej!

- Więc podeszliśmy do niej, panie komisarzu. Miała zabłoconą twarz i rozdarty płaszcz. Powiedziałem...

- Widzieliście ją przedtem?

- Nie, panie komisarzu.

- Poznalibyście ją?

Kapral się zawahał.

- Wątpię, panie komisarzu. Miała taką upapraną twarz.

- Rozmawiała z wami?

- Tak, panie komisarzu, powiedziała...

- Czy to był znajomy głos? Czy któryś z was rozpoznał ją po głosie? Jesteście tego całkiem pewni?

Wszyscy trzej z powagą kręcili głowami. Nie znali jej głosu.

- W porządku - rzekł znużony Hardanger. Opowiedziała wam jakąś historyjkę o paniace w rozpaczliwym położeniu, a w stosownej chwili ktoś zdradził swą obecność i zaczął uciekać. Wszyscy rzuciliście się za nim. Widzieliście go?

- Tylko przelotnie, panie komisarzu. Po prostu cień w ciemności. To mógłby być każdy.

- Domyślałem się, że odjechał samochodem. Następny cień, prawda?

- Tak, panie komisarzu, ale to był samochód dostawczy. Bedford.

- Aha - powiedział Hardanger i spojrzał na mówiącego. - Bedford! Skąd u licha wiecie? Przecież

powiedzieliście, że

było ciemno.

- To był bedford - upierał się Muirfield. - Wszędzie bym poznał ten silnik. W cywilu jestem mechanikiem samochodowym.

- Ona rację komisarzu - wtrąciłem. - Silnik bedforda wydaje bardzo charakterystyczne dźwięki.

- Zaraz wracam - rzekł Hardanger wstając.

Nie musiałem być jasnowidzem, by się domyślić, że wybiera się do najbliższego telefonu. Spojrzał na mnie, skinął głową siedzącym żołnierzom i wyszedł.

- Kto był z panem w jedyńce ubiegłej nocy? – spytałem wiedząc, że pas między ogrodzeniami z drutu kolczastego podzielono drewnianymi płotkami na cztery sektory, a włamanie nastąpiło w pierwszym.

- Wy, Ferguson?

Wstał krępy, ciemnowłosy szeregowiec w wieku około dwudziestu pięciu lat Ferguson pełnił służbę wojskową zawodowo, był urodzonym żołnierzem twardy, agresywny i niezbyt rozgarnięty.

- Ja - odpowiedział może nie tyle zaczepnym tonem, ile z większym ociąganiem, niż mógłbym sobie życzyć.

- Gdzie byliście wczoraj wieczorem o jedenastej piętnaście?

- W jedyńce. Z Rollem. To mój owczarek.

- Widzieliście incydent, który opisał tu kapral Muirfield?

- Jasne, że widziałem.

- Kłamiecie, Ferguson. Następne kłamstwo i jeszcze dziś wrócicie do macierzystego pułku.

- Nie kłamię - powiedział i nagle twarz mu się wykrzywiła. - Tylko nie tym tonem, panie Cavell. Pan mi już więcej nie będzie groził. Wszyscy doskonale wiemy, że pana stąd wywalili.

- Poproście tu pułkownika Weybridgea - zwróciłem się do dyżurnego natychmiast.

Dyżurny odwrócił się, żeby wyjść, lecz wstał jakiś zwalisty sierżant i zatrzymał go.

- Nie trzeba, panie majorze. Ferguson jest głupi. To musiało się wydać. Poszedł na papierosa do centrali telefonicznej i pił kakao z operatorem. Ja byłem odpowiedzialny za przewodników. Nigdy go tam nie widziałem, ale wiedziałem o tym i to mi nie przeszkadzało. Ferguson zawsze zostawiał w jedyńce Rolla, a ten pies to morderca, sądziłem, że to było wystarczające zabezpieczenie.

- Nie było, ale dziękuję. Robiliście to już od jakiegoś czasu, prawda, Ferguson?

- Nie - odpowiedział naburmuszony. - Wczoraj pierwszy raz.

- Oj, do końca życia zostaniecie szeregowym, chyba że wprowadzą jakiś niższy stopień - przerwałem mu znużonym głosem. - Zastanówcie się. Czy uważacie, że ten, kto zaaranżował tę całą historię dla odwrócenia uwagi i czekał z kombinerkami, żeby się włamać, zrobiłby to, gdyby nie miał pewności, że właśnie w tym czasie nie będzie was na patrolu?

Kiedy Clandon kończył swój codzienny obchód o jedenastej wieczorem, pewnie od razu szliście na papierosa i kakao do centrali. Tak było? Stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, uparcie milcząc, aż sierżant nie wytrzymał.

- Rany boskie, Ferguson! - wybuchnął. - Rusz łbem. Wszyscy tu wiedzą, o co chodzi, to i ty możesz.

Ferguson wciąż milczał, ale tym razem gniewnie skinął głową.

- No, powoli do czegoś dochodzimy. Teraz też zostawiliście tego waszego psa, Rolla, samego?

- Tak - odparł Ferguson już bez niechęci.

- Jaki on jest?

- Skoczy do gardła każdemu, nawet generałowi - powiedział z satysfakcją. - Poza mną, oczywiście.

Ale ubiegłej nocy tego nie zrobił - zauważyłem. - Ciekaw jestem dlaczego?

- Musieli mu coś zrobić - odparł tonem usprawiedliwienia.

- Jak mam to rozumieć? Oglądaliście go przed odprowadzeniem do boksu?

- Czy oglądałem? Jasne, że nie. Niby dlaczego? Kiedy zobaczyliśmy, że wewnętrzne ogrodzenie jest przecięte, myśleliśmy, że ten, co to zrobił przestraszył się Rolla i uciekł. Ja bym w każdym razie uciekł. Gdyby...

- Przeprowadźcie tu tego psa - rzekłem. - Ale, na miłość boską, załóżcie mu kaganiec.

Po jego wyjściu wrócił Hardanger. Przekazałem mu wszystko, czego się dowiedziałem dodając, że posłałem po psa.

- Myślisz że coś znajdziesz? - spytał. - Nie sądzę.

Tampon z chloroformem lub coś w tym rodzaju nie zostawia żadnych śladów. To samo da się powiedzieć o strzałkach czy

innych ostrych przedmiotach z tymi dziwnymi truciznami, jeśli rzucono w niego czymś takim. Zostanie tylko ślad jak

po ukłuciu szpilką. Nic ponadto.

- Z tego, co słyszałem o tym piesku - odparłem – nie przytknąłbym tamponu z chloroformem do jego mordy nawet za klejnoty koronne. A co do tych, jak je nazwałeś, dziwnych trucizn, nie przypuszczam, żeby więcej niż jedna osoba na sto tysięcy ludzi miała do nich dostęp, a jeśli nawet, to i tak nie wiedziałyby, jak się ich używa. Poza tym naprawdę bardzo trudno trafić i zranić ostrym przedmiotem czy strzałką szybko poruszający się w ciemnościach cel pokryty grubym futrem. Nasz nocny gość na to by nie poszedł, on działa na pewniaka.

Po dziesięciu minutach wrócił Ferguson, z trudem powstrzymując przypominające wilka zwierzę, które wściekle rzucało się na każdego, kto tylko podchodził. Rollo miał kaganiec, lecz mimo to nie czułem się zbyt pewnie. Nikt mnie nie musiał przekonywać, bym wierzył w słowa sierżanta, że ten pies to morderca.

- Czy on zawsze tak się zachowuje? - spytałem.

Zwykle nie - odparł zaintrygowany Ferguson. - Właściwie nigdy. Normalnie jest bardzo spokojny, a dopiero, gdy spuszcza go ze smyczy... wtedy rzuca się na najbliższą osobę bez różnicy. Dziś nawet na mnie skoczył... trochę bez przekonania, ale groźnie.

Wkrótce odkryliśmy źródło zdenerwowania Rolla. Pies cierpiał zapewne z powodu bardzo silnego bólu głowy. Skórę na czole tuż nad oczami miał opuchniętą i miękką przy dotknięciu, a kiedy obmacywałem ją czubkami palców wskazujących, czterech żołnierzy musiało go trzymać z całej siły. Odwróciliśmy go na grzbiet i tak długo rozczesywałem palcami gęste futro na szyi, aż znalazłem to, czego szukałem dwie długie rozchylone rany o poszarpanych brzegach, głębokie i brzydko wyglądające, w odstępnie jakichś ośmiu centymetrów.

- Lepiej dajcie swojemu podopiecznemu parę dni zwolnienia - zwróciłem się do Fergusona. - I zdezynfekujcie te rany na jego szyi. Życzę szczęścia przy tej robocie. Możecie go zabrać.

. Ani chloroform, ani dziwne trucizny - przyznał Hardanger, kiedy zostaliśmy sami. Te rany to... kolczasty drut, he?

- A cóż by innego? Akurat ten sam rozstaw. Ktoś owija sobie przedramię, wsuwa między kolczaste druty ogrodzenia

i pozwala schwytać psa. Rollo nie szczeka.. te psy są tak szkolone, żeby nie szczekały. Wówczas ten ktoś przyciąga do siebie psa, przyciska jego szyję do kolczastego drutu i pies nie może się uwolnić, bo rozerwałby sobie gardło. I wtedy otrzymuje silne uderzenie czymś ciężkim i twardym. Proste, znane i bardzo skuteczne. Ten, którego szukamy, to niegłupi

facet.

- W każdym razie mądrzejszy od Rolla - przyznał ze smutkiem Hardanger.

Rozdział trzeci

Kiedy w towarzystwie dwóch nowo przybyłych z Londynu asystentów Hardangera podeszliśmy do bloku "E", Cliveden, Weybridge, Gregori i Wilkinson już tam na nas czekali. Wilkinson wyjął klucz od ciężkich drewnianych drzwi.

- Czy nikt tu nie wchodził od czasu, gdy zamknął pan blok po znalezieniu Clandona? - spytał Hardanger.

- Gwarantuję, panie komisarzu. Wartownicy pilnują przez cały czas.

- Ale Cavell prosił o włączenie wentylacji. Żeby to zrobić, trzeba przecież tam wejść.

- Tak panie komisarzu ale na dachu są takie same przełączniki. Wszystkie skrzynki bezpiecznikowe, węzły i mufy mają swoje odpowiedniki na dachu. Oznacza to, że elektrycy zajmujący się konserwacją i naprawami nawet nie muszą wchodzić do budynku.

- Wy prawie niczego nie przeoczycie - przyznał Hardanger. - Proszę otworzyć.

Drzwi się uchyliły, weszliśmy do środka i ruszyliśmy w lewo długim korytarzem. Laboratorium numer jeden znajdowało się na samym jego końcu, w odległości przynajmniej dwustu metrów. Musieliśmy jednak przebyć tę drogę, w całym bloku bowiem było tylko to jedno wejście. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Po drodze przeszliśmy przez pół tuzina drzwi kilka otwieranych fotokomórką, pozostałe, za pomocą czterdziestocentymetrowych klamek, łokciem. Ze względu na charakter tego, co od czasu do czasu przenosili niektórzy naukowcy w Mordon, wskazane było, żeby w każdej chwili mieli obie ręce wolne.

Podeszliśmy do laboratorium numer jeden... i do Clandona. Leżał tuż przy masywnych, stalowych drzwiach laboratorium, lecz nie był to już Neil Clandon, jakiego znałem potężny, twardy Irlandczyk, z natury życzliwy i wesoły, z którym przyjaźniłem się przez tyle lat. Teraz wyglądał niepozornie - mały, skurczony i bezbronny - zupełnie inny człowiek. Wcale nie Neil Clandon. Nawet jego twarz była obca z nienaturalnie wytrzeszczonymi, wpatrzonymi gdzieś oczyma człowieka, któremu przerażenie odebrało rozum, z okropnie ściągniętymi wargami na odsłoniętych zębach, szeroko rozwartych w przedśmiertelnym bólu. Żaden z tych, co widzieli tę twarz, te konwulsyjnie powykręcane członki, nie wątpił, że Neil Clandon miał straszną śmierć. Czuję, że wszyscy spoglądają na mnie, ale niczego nie dałem po sobie poznać. Podeszedłem do umarłego, nisko schyliłem się nad nim i zacząłem wachać. Złapałem się na tym, że w myśli przeprosiłem nieboszczyka za mimowolne skrzywienie nosa i ust w odruchu obrzydzenia. To przecież nie jego wina. Spojrzałem na pułkownika Weybridgea, który również zbliżył się i pochylił obok mnie. Po chwili wyprostował się i popatrzył na Wilkina.

- Miał pan rację, przyjacielu - rzekł. - Cyjanek.

Wyjąłem z kieszeni bawełniane rękawiczki. Jeden z asystentów Hardangera podniósł do oczu aparat z fleszem, ale

schwyciłem go za rękę.

- Tylko bez zdjęć - powiedziałem. - Neil Clandon nie będzie figurował w żadnym pośmiertnym albumie. Tak czy

owak, za późno na zdjęcia. A jak już się pan tak pali do pracy, to można zacząć od zdejmowania odcisków z tych

stalowych drzwi. Pełno ich tam... choć ani jeden na nic się panu nie zda.

Obaj asystenci spojrzeli pytająco na Hardangera, a ten zawahał się, wzruszył ramionami i skinął głową. Przeszukałem kieszenie Clandona. Znalazłem niewiele przedmiotów, które mogłyby mi się na coś przydać - portfel, papierošnicę, parę książeczek tekturowych zapalek, a w lewej kieszeni marynarki garść celofanowych papierków po irysach.

- Wiem, co go zabiło powiedziałem. Najnowszy rodzaj słodczy... cyjankowe irysy. Cukierek, który jadł, leży na podłodze, o, tutaj koło głowy. Panie pułkowniku, czy macie tu na miejscu jakiegoś chemika analityka?

- Oczywiście.

- Znajdzie cyjanek na irysie i prawdopodobnie na jednym z tych papierków. Mam nadzieję, że pański chemik nie oblizuje palców po dotknięciu takiej próbki. Ten, kto nafaszerował ten cukierek wiedział o słabości Clandona do irysów. Musiał więc znać Clandona. Innymi słowy Clandon go znał, i to tak dobrze że nie zdziwił się jego obecnością w laboratorium i bez wahania przyjął cukierek. Zabójca nie tylko pracuje w Mordon, ale jest zatrudniony w tej części bloku "E".

W przeciwnym razie Clandon mógłby go o wszystko podejrzewać, a przynajmniej do tego stopnia, żeby nic od niego

nie przyjąć. To nam znacznie zawęży pole śledztwa. Zabójca popełnił pierwszy błąd... poważny błąd.

Może - burknął Hardanger. - Chyba zbyt upraszczasz, a poza tym uprzedzasz fakty. To tylko przypuszczenia. Skąd wiesz, że Clandona zamordowano tutaj? Sam powiedziałeś, że mamy do czynienia z człowiekiem przebiegłym który raczej stara się wszystko zagmatwać, wprowadzić w błąd, skierować podejrzenia w inną stronę. Mógł na przykład zabić Clandona w innym miejscu i przenieść jego ciało tutaj. Trudno uwierzyć, żeby akurat miał w kieszeni cukierek z cyjankiem i tak po prostu poczęstował nim Clandona, kiedy ten przypadkiem na czymś go przyłapał.

- Tego nie wiem - rzekłem. - Myślę jednak, że Clandon bardzo podejrzliwie potraktowałby każdego, kogo by tutaj zastał późno w nocy, bez względu na to, kim była ta osoba.

- Lecz Clandon zginął właśnie tutaj, to pewne - powiedziałem i zwróciłem się do Clivedena i Weybridgea - Jak szybko

działa cyjanek?

- Praktycznie natychmiast - odparł Cliveden.

- A on właśnie tutaj źle się poczuł - dodałem. - Więc i umarł tutaj. Popatrz na te dwa ledwo widoczne zadrapania na tej ścianie. Chyba nawet nie trzeba robić badań laboratoryjnych jego paznokci. Tu próbował przytrzymać się ściany, kiedy padał na podłogę. Ktoś dał Clandonowi tego cukierka, i chciałbym, żeby zdjęto odciski z portfela, papierownicy i opakowań zapalek. Jest jedna szansa na tysiąc, że ten facet brał od Clandona papierosa czy zapaliki, albo że przeszukał jego portfel, kiedy on już nie żył. Moim zdaniem jednak nie ma nawet tej niewielkiej szansy. Uważam natomiast, że odciski na drzwiach mogą okazać się ciekawe. I pouczające.

Założę się o co tylko zechcesz, że będą należały wyłącznie do osób upoważnionych do korzystania z tych drzwi. Właściwie

idzie mi o ustalenie, czy w okolicach szyfru zamka czasowego albo pokrętła nie ma jakichś śladów wskazujących, że ktoś używał chusteczki lub rękawiczek.

- Będą. - Hardanger pokiwał głową. - Jeżeli twoje założenie, że zrobił to ktoś z wewnątrz, odpowiada prawdzie, to będą, co jednak nie wyklucza osób postronnych.

- Pozostaje jeszcze Clandon - przypomniałem.

Hardanger znowu pokiwał głową, po czym odwrócił się i zaczął obserwować swoich ludzi zajętych drzwiami. W tym momencie zjawił się jakiś żołnierz z dużą fibrową walizką i małą przykrytą klatką, postawił je na podłodze, zasalutował w przestrzeń i odszedł. Spostrzegłem, że Hardangerowi uniosły się brwi.

- Do laboratorium wejdę sam - powiedziałem. - W tej walizce jest gazoszczelny skafander i aparat tlenowy. Ubiorę się w to wszystko, zamknę za sobą stalowe drzwi i otworzę wewnętrzne. Wezmę ze sobą tę klatkę z chomikiem i jeżeli nie padnie w ciągu kilku minut, będzie to oznaczało, że powietrze wewnątrz jest czyste.

- Z chomikiem? - zdziwił się Hardanger; zapominając o drzwiach podszedł do klatki i odkrył ją. - Biedne maleństwo. Jak ci się udało tak łatwo zdobyć chomika?

- W całej Anglii najłatwiej o chomika w Mordon. O krok stąd muszą być ich setki. Nie mówiąc już o paru tysiącach morskich świnek, królików, małych myszy, papug i innego drobiu. Hoduje się je i trzyma w Alfringham Farm, gdzie doktor Baxter ma swój domek. Jak sam powiedziałeś, są biedne. Ich życie jest krótkie i niezbyt słodkie. Członkowie Królewskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt i Krajowego Towarzystwa Walki z Wiwisekcją oddaliby duszę diabłu, żeby tylko się tu dostać. Ustawa o tajemnicy państwowej zadbała jednak o to, by nie mogli. Mordon jest koszmarem, który nie daje im spać po nocach i wcale się nie dziwię. Czy wiesz, że w zeszłym roku zginęło w tych murach ponad sto tysięcy zwierząt, a wiele z nich w najstraszliwszych męczarniach? Rozkoszna paczka pracuje w Mordon.

- Każdy ma prawo do własnego zdania - odezwał się chłodno generał Cliveden. - Choć nie powiedziałbym, że całkowicie się z panem nie zgadzam. - Uśmiechnął się smutno.

- To może odpowiednie miejsce na demonstrowanie takich poglądów, Cavell, ale teraz chyba nie pora na to.

Skinąłem głową, co mógł odebrać jako przyznanie mu racji albo przeprosiny, lecz było mi wszystko

jedno. Kiedy wyprostowałem się ze skafandrem w rękę, poczułem, że ktoś chwyta mnie za ramię. To doktor Gregori. Ciemne oczy wpatrywały się we mnie przejmująco zza grubych szkieł.

Jego śniada twarz była zatroskana i spięta.

- Niech pan tam nie wchodzi, panie Cavell – powiedział cicho z przejęciem, niemal z desperacją. - Błagam pana, proszę tam nie wchodzić.

Patrzyłem nań w milczeniu. Lubiłem Gregoriego; tak jak bez wyjątku wszyscy jego koledzy. Lecz Gregori nie pracował tu tylko dlatego, że dał się lubić - należał do najwybitniejszych mikrobiologów w Europie. Ten włoski profesor medycyny pracował w Mordon zaledwie od ponad ośmiu miesięcy. Największa zdobycz ośrodka, która wymagała wielu delikatnych i trudnych zabiegów na najwyższym szczeblu, nim rząd włoski zgodził się go zwolnić na czas nieokreślony. Jeżeli coś niepokoiło takiego człowieka jak doktor Gregori, to być może nadszedł czas, żebym i ja zaczął się niepokoić.

- Dlaczego miałby tam nie wchodzić? - spytał Hardanger.

- Rozumiem, że musi pan mieć bardzo istotne powody, doktorze Gregori.

- I rzeczywiście ma - rzekł poważnym tonem Cliveden z zafrasowaną miną. - Nikt nie zna tego laboratorium lepiej od niego. Niedawno rozmawialiśmy na ten temat. Doktor Gregori szczerze przyznał, że jest przerażony, a ja skłamałbym mówiąc, że nie podzielam jego obaw. Doktor Gregori jest tak przerażony, że najchętniej kazałby wyciąć laboratorium z bloku "E", pokryć ze wszystkich stron grubą warstwą betonu i w ten sposób odizolować na zawsze. A przynajmniej chciałby zamknąć je na miesiąc.

Hardanger spojrzał, jak zwykle obojętnie, najpierw na Clivedena, potem na Gregoriego, a w końcu zwrócił się do swych asystentów

- Stańcie dalej w korytarzu, proszę, dla własnego dobra. Będzie lepiej, gdy mniej usłyszycie. Pan też, poruczniku, przykro mi - dodał, poczekał, aż odeszli, spojrzał drwiąco na Gregoriego i rzekł - A więc nie chce pan, żebyśmy otworzyli laboratorium, doktorze Gregori? W ten sposób staje się pan podejrzanym numer jeden.

- Bardzo pana proszę, teraz nie mam ochoty na żarty. I tutaj wolałbym nie rozmawiać. Zerknął na Cladona i szybko odwrócił wzrok. - nie jestem policjantem... ani żołnierzem. Zechciejcie...

- Oczywiście - przerwał mu Hardanger i wskazał na drzwi kilka metrów dalej. - Co się tam znajduje?

- Po prostu magazyn. Przepraszam, że jestem taki przewrażliwiony...

- Idziemy - powiedział Hardanger i ruszył pierwszy.

Weszliśmy do środka. Pomimo napisów "Palenie wzbronione" Gregori zapalił papierosa i raz po raz nerwowo się

zaciągał.

- Nie wolno mi zabierać panom czasu, będę więc maksymalnie się streszczał - powiedział. - Ale muszę was przekonać. - Przerwał na chwilę, a potem wolno mówił dalej - Mamy obecnie erę atomu. W erze tej dziesiątki milionów ludzi, w domu i w pracy codziennie żyją w nieustannej obawie i ciągłym strachu przed totalną katastrofą termojądrową. Są przekonani, że może to nastąpić każdego dnia i że wkrótce musi do tego dojść. Miliony ludzi nie mogą spać po nocach, bo we śnie stale widzą martwe ciała swoich dzieci na naszej zielonej i cudownej planecie.

Zaciągnął się głęboko, zdusił niedopałek, natychmiast zapalił drugiego papierosa i otoczony unoszącym się dymem rzekł

- Ja nie mam tego rodzaju obaw przed jądrowym Armageddonem i dobrze śpię po nocach. Takiej wojny nigdy nie będzie. Słyszę, jak Rosjanie straszą raketami, i się uśmiecham. Słyszę, jak Amerykanie straszą raketami, i również się uśmiecham. Albowiem jestem świadom tego, że owe dwa wielkie mocarstwa jedynie potrzęsają szabelkami, a grożąc sobie wzajemnie tyłoma setkami pocisków przenoszących megatony, w rzeczywistości wcale nie myślą o tych pociskach. Myślą, panowie, o Mordon, gdyż my, że tak powiem, Anglicy, postanowiliśmy zadbać o to, by wszystkie wielkie państwa dokładnie wiedziały, co się dzieje w tych murach.

Poklepał ścianę za sobą. - Właśnie za tą ścianą znajduje się broń ostateczna. Jedyna gwarancja pokoju dla świata.

Określenia "broń ostateczna" używa się tak dowolnie, że prawie straciło swój sens. W tym wypadku jednak termin ten

jest precyzyjny i właściwy. Jeżeli "broń ostateczna" oznacza całkowite unicestwienie.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Może to brzmi trochę melodramatycznie, prawda? Być może. Czyżby to moja romańska krew? Lecz słuchajcie uważnie, panowie, i postarajcie się w pełni zrozumieć znaczenie tego; co wam teraz powiem. Oczywiście dotyczy to tylko pana komisarza i pana Cavella, bo panowie oficerowie już wiedzą.

Tu, w Mordon, wyhodowaliśmy ponad czterdzieści drobnoustrojów wywołujących zarazę. Ograniczę

się tylko do dwóch. Jeden z nich pochodzi od laseczki botuliny, którą wyhodowaliśmy w czasie drugiej wojny światowej. Jako ciekawostkę podam, że w Anglii zaszczepiono przeciw niej ćwierć miliona żołnierzy tuż przed lądowaniem we Francji, i wątpię, by którykolwiek z nich nawet obecnie wiedział, na co była ta szczepionka.

Z laseczki tej wyhodowaliśmy fantastyczną i straszną broń, w porównaniu z którą nawet najpotężniejsza bomba wodorowa zdaje się dziecinną igraszką. Sto osiemdziesiąt gramów tych zarazków, panowie, rozprowadzonych w miarę równomiernie po całym globie, zabiłoby dziś wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci na Ziemi. To nie fantazja - powiedział z naciskiem poważnym głosem z ponurym wyrazem na nieruchomej twarzy. - To po prostu fakt Dajcie mi samolot i pozwólcie wzbić się nad Londynem w bezwietrzne letnie popołudnie, żebym zrzucił nie więcej niż jeden gram botuliny, a do wieczora zginie siedem milionów londyńczyków. Jej odrobina w zbiornikach wody Londynu może zmienić to miasto w ogromną kostnicę Jeśli Bóg mnie za to nie ukarze, to powiedziałbym, że jest to idealna forma prowadzenia wojny biologicznej. Botulina utlenia się w atmosferze w ciągu dwunastu godzin i wówczas staje się nieszkodliwa.

Państwo A w dwanaście godzin po zrzuceniu kilku jej gramów na państwo B może wysłać tam swoich żołnierzy bez najmniejszej obawy, że zaatakują ich wirusy czy obrońcy. Obrońcy bowiem będą martwi. Również cywile mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszyscy zginą. Wszyscy.

Gregori szukał w kieszeni następnego papierosa. Ręce mu się trzęsły i nawet nie próbował tego ukryć, a może nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Ale pan użył określenia "broń ostateczna" tak, jakbyśmy tylko my ją posiadali - rzekłem. - Z pewnością Rosjanie i Amerykanie...

- Oni też ją mają. Wiemy, gdzie są laboratoria na Uralu. Wiemy, gdzie ją wytwarzają Kanadyjczycy, którzy do niedawna wiodli prym w tej dziedzinie; i to żadna tajemnica, że w ramach specjalnego programu cztery tysiące naukowców w Fort Derick w Ameryce pracuje nad wyprodukowaniem jeszcze bardziej śmiertelnych wirusów i tak się spieszą z tym programem, że o ile nam wiadomo wskutek przypadkowego zakażenia niektórzy naukowcy zmarli, a ośmiuset się rozchorowało w ciągu ostatnich kilku lat. Żaden z nich nie osiągnął celu. Anglii natomiast się udało i dlatego oczy świata zwrócone są na Mordon.

- Czy to możliwe, żeby mogło być coś jeszcze bardziej śmiertelnego od tej przeklętej botuliny? - wykrzyknął Hardanger, choć zachował spokój na twarzy. - Według mnie to przesada.

- Botulina ma pewną wadę - spokojnie wyjaśniał Gregori. - To znaczy, z wojskowego punktu widzenia. Musi

dostać się do płuc lub przewodu pokarmowego, żeby człowiek się zaraził. Sam kontakt nie wystarcza. Ponadto podejrzewamy, że kilka państw mogło już wyprodukować jakąś szczepionkę

przeciwno nawet najbardziej wyrafinowanemu z wyhodowanych tutaj typów laseczki. Lecz żadna szczepionka na świecie nie przeciwdziała naszemu najnowszemu wirusowi, który jest wyjątkowo zaraźliwy. Rozprzestrzenia się niczym pożar buszu. .

Pochodzi on od wirusa polio albo, jak panowie wolą, paraliżu dziecięcego, ale jego siłę działania zwiększono milion razy metodami... zresztą metody są nieważne i tak panowie by ich nie zrozumieli. Idzie o to, że w przeciwieństwie do pałeczki botuliny ten nowy wirus jest niezniszczalny nie działają nań skrajnie wysokie i niskie temperatury, utlenianie ani trucizna, a jego żywotność jest nieograniczona, choć uważamy to za niemożliwe... mamy nadzieję, że to niemożliwe, by jakkolwiek wirus potrafił przeżyć ponad miesiąc w całkowicie wrogim środowisku, szkodliwym dla jego życia i rozwoju. W odróżnieniu od pałeczki botuliny jest niesłychanie zaraźliwy przez sam kontakt, przy tym równie śmiertelny, bez względu na to, czy się go wdycha; czy połyka, a co najgorsze nie udało nam się wynaleźć żadnej szczepionki przeciwko niemu. Jestem przekonany, że nigdy nie wynajdziemy takiej szczepionki.

Uśmiechnął się smutno. - Nadaliśmy mu niezbyt naukową nazwę, która jednak doskonale go określa szatański wirus.

To najstraszniejsza i najbardziej przerażająca broń, jakiej człowiek jeszcze nie znał i nie pozna w przyszłości.

- Żadnej szczepionki? - spytał Hardanger, tym razem tracąc spokój, o czym świadczyły również jego wyschnięte wargi. - W ogóle żadnej szczepionki?

- Nie ma nadziei. Nie dalej jak kilka dni temu, z pewnością pan sobie przypomina, pułkowniku Weybridge, doktor Baxter sądził, że ją wynalazł... lecz całkowicie się myliliśmy. Teraz wszystkie nasze wysiłki koncentrujemy na wyhodowaniu słabszego szczepu o ograniczonej żywotności. W obecnej formie naturalnie jeszcze nie możemy go użyć.

Kiedy jednak uzyskamy wirusa o osłabionej żywotności; który musi być podatny na tlen, będziemy wówczas dysponowali bronią ostateczną. Gdy nadejdzie ten dzień, wszystkie państwa będą mogły spokojnie zniszczyć wszelką broń nuklearną. Najpotężniejszy atak atomowy zawsze ktoś przeżyje. Amerykanie obliczyli, że gdyby nawet Rosjanie zrzucili na terytorium Stanów Zjednoczonych wszystkie swoje bomby atomowe, to śmierć poniesie nie więcej niż siedemdziesiąt milionów ludzi... słyszą panowie?... tylko tyle, no i może jeszcze parę milionów wskutek radiacji. Ale połowa narodu przeżyje i w ciągu jednego lub dwóch pokoleń państwo na nowo się odrodzi. Lecz państwo zaatakowane szatańskim wirusem nie odrodzi się nigdy, ponieważ takiego ataku nikt nie przeżyje.

Nie myliłem się sądząc, że Hardangerowi zaschło w ustach, oblizywał sobie bowiem wargi, żeby łatwiej mu się

mówiło. Pomyślałem; że ktoś to powinien zobaczyć Hardanger się boi. Jest naprawdę szczerze

wystraszony. Zakłady

penitencjarne w Anglii pełne są ludzi; którzy nigdy by w to nie uwierzyli.

- A do tego czasu? - odezwał się cicho. - A do tego czasu, gdy uzyskacie taki osłabiony szczep?

- Do tego czasu? - powtórzył Gregori i wbił wzrok w betonową podłogę. - Do tego czasu? Pozwól panowie, że przedstawię to tak. W swej ostatecznej postaci szatański wirus jest bardzo drobnym proszkiem. Łyzeczką do soli nabieram tego proszku, wychodzę na zewnątrz i odwracam ją dnem do góry. Co się dzieje? Wszyscy w Mordon giną w ciągu godziny, a przed zapadnięciem zmroku całe Wiltshire staje się otwartym grobem. W ciągu tygodnia, dziesięciu dni w Anglii przestaje istnieć wszelkie życie. Naprawdę wszelkie życie. W porównaniu z tym zaraza, czarna śmierć była niczym. Na długo przed śmiercią w męczarniach ostatniego człowieka w Anglii wszystkie samoloty czy ptaki, albo nawet fale Morza Północnego, przeniosą szatańskiego wirusa do Europy. Trudno sobie wyobrazić, żeby cokolwiek mogło powstrzymać jego rozprzestrzenianie się po całym świecie. Potrwa to miesiąc, najwyżej dwa.

- Proszę pomyśleć, komisarzu, proszę tylko pomyśleć. jeżeli w ogóle jest pan w stanie, bo przekracza to naszą zdolność pojmowania, przekracza ludzką wyobraźnię. Lapończyk zakładający sidła w północnej Szwecji. Chiński rolnik uprawiający ryż w dolinie Jangcy. Hodowca bydła w Australii, człowiek robiący zakupy przy Piątej Alei, prymitywny autochton na Ziemi Ognistej. Wszyscy oni zginą. wszyscy. Tylko dlatego, że odwróciłem tę łyżeczkę do góry dnem. Nic a nic, absolutnie nic nie powstrzyma szatańskiego wirusa. W końcu zginą wszystkie formy życia. Kto ostatni? Trudno powiedzieć. Może wielki albatros, wiecznie szybujący wokół globu nad wodami Południa? Może garstka Eskimosów daleko za kołem polarnym? Lecz fale oceanów okrążają świat, tak samo wiatry, i wkrótce, pewnego dnia oni też zginą.

Sam nabrałem ochoty na papierosa i zapaliłem. Pomyślałem sobie, że gdyby jakaś przedsiębiorcza spółka chciała otworzyć pasażerską linię raketową na Księżyc przed uwolnieniem szatańskiego wirusa, to wcale nie musiała by wydawać pieniędzy na reklamę.

- Widzicie, obawiam się tego, co znajdziemy za tymi drzwiami - ciągnął cichym głosem Gregori. - Nie mam zmysłu detektywa, ale potrafię zrozumieć to, co jasno mi się rysuje. Ktokolwiek włamał się do Mordon, jest zdecydowany na wszystko i gra o wielką stawkę. Dla niego cel uświęca środki... a jedynym celem, który mógłby usprawiedliwić tak straszne środki, są pewne kolonie wirusów znajdujące się w szafie.

- W szafie? - Hardanger zmarszczył swoje krzaczaste brwi. - Nie zamykacie tych parszywych mikrobów w jakimś bezpieczniejszym miejscu?

- To jest bezpieczne miejsce - powiedziałem. - Ściany laboratorium są z żelbetu i pokrywa je gruba warstwa miękkiej blachy stalowej. Nie ma tam oczywiście żadnych okien. Jedyne wejście to te

drzwi. Dlaczego więc szafa nie miałyby być bezpiecznym miejscem?

- Nie wiedziałem - odparł Hardanger i zwrócił się do Gregoriego - Proszę kontynuować.

- To wszystko - powiedział Gregori wzruszając ramionami. - Ten człowiek to desperat i działał w pośpiechu. Mam tutaj w ręku klucz od tej szafy Rozumieją panowie? Musiał się więc do niej włamać. Wybijając w pośpiechu szybę, mógł narobić różnych szkód. Może przewrócił albo rozbił jakieś pojemniki z wirusami? Jeżeli wśród nich znalazł się pojemnik z szatańskim wirusem, a istnieją tylko trzy... Prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale powiem wam szczerze i otwarcie jeśli istnieje choćby jedna możliwość na sto milionów, że pojemnik z szatańskim wirusem został rozbity, to jest to co najmniej wystarczające uzasadnienie; żeby nigdy nie otwierać tych drzwi. Gdyby na zewnątrz przedostał się choć jeden centymetr sześcienny skażonego powietrza... przerwał, bezradnie unosząc rękę. - Czy mamy prawo brać na siebie odpowiedzialność za zagładę ludzkości?

- Co pan na to, generale Cliveden? - spytał Hardanger.

- W zasadzie się zgadzam. Odizolować.

- Nie wiem. Doprawdy nie wiem. - Weybridge zdjął czapkę i pocierał dłonią krótkie, ciemne włosy.

- Tak, już

wiem. Odizolować to przeklęte laboratorium.

- No cóż. Panowie zapewne wiedzą, co mówią - rzekł Hardanger i na moment zamilkł, a potem spojrzał na mnie. - Wobec takiej jednomyślności fachowców dobrze byłoby usłyszeć zdanie Cavella.

- Zdaniem Cavella panowie zachowują się jak stare baby - powiedziałem. - Uważam, że tak was sparaliżowała sama możliwość wydostania się wirusa, że w ogóle nie możecie myśleć a tym bardziej prawidłowo. Przyjrzyjmy się głównemu faktowi... a raczej domniemaniu. Wszelkie obawy doktora Gregoriego wynikają z założenia, że ktoś się włamał i ukradł wirusy. Jego zdaniem jest jedna możliwość na tysiąc, że rozbito pojemniki z wirusami, a więc, kiedy otworzy się drzwi, znów mamy jedną możliwość na tysiąc, że grozi to ludzkości. Ale jeżeli istotnie skradziono szatańskiego wirusa, to wówczas prawdopodobieństwo jest nie jak jeden do tysiąca, lecz jak tysiąc do jednego. Na miłość boską, zdejmijcie klapki z oczu i spróbujcie zrozumieć, że znajdujący się na wolności człowiek z wirusami stanowi nieskończenie większe zagrożenie niż to, że za tymi drzwiami jest jakiś rozbity przez niego pojemnik, co jest mało prawdopodobne. Prosta logika nakazuje, żebyśmy się zabezpieczyli przed większym zagrożeniem. A więc musimy wejść do laboratorium... jakże inaczej moglibyśmy rozpocząć tropienie złodzieja i zabójcy, jakże inaczej moglibyśmy się ochronić przed nieskończenie większym niebezpieczeństwem? Powiadam, musimy... albo raczej ja muszę. Ubieram się w skafander i wnoszę tam chomika. Jeśli przeżyje, to doskonale, a jeśli nie, to po prostu nie wyjdę. W porządku?

- To bezczelność - powiedział lodowato Cliveden. – Jak na prywatnego detektywa, Cavell, ma pan za dużo tupetu.

Proszę nie zapominać, że to ja -jestem komendantem Mordon i to ja decyduję o wszystkim.

- Już nie, generale - odparłem. - Wszystko przejął Wydział Specjalny... całkowicie. I pan dobrze o tym wie.

Hardanger zignorował nas obu. Chwyając się ostatniej deski ratunku; zwrócił się do Gregoriego

- Wspomniał pan, że wewnątrz- działa specjalne urządzenie do filtrowania powietrza. Czy ono go nie oczyści?

- Ze wszystkich innych wirusów tak, ale nie z szatańskiego. Mówię panu, ten wirus jest naprawdę niezniszczalny.

Poza tym urządzenie pracuje w obiegu zamkniętym. To samo powietrze; oczyszczone i przefiltrowane przez wodę, wraca do pomieszczenia. Nie można go jednak oczyścić z szatańskiego wirusa.

Zapadło dłuższe milczenie, a w końcu spytałem Gregoriego

- Jeżeli wejdę do laboratorium i w powietrzu unosić się będzie szatański wirus czy botulina, to po jakim czasie zaczną działać na chomika?

- Po piętnastu sekundach - udzielił precyzyjnej odpowiedzi. - Po trzydziestu sekundach pojawią się konwulsje, a po minucie padnie. Przez jakiś czas utrzymają się odruchowe drgawki, ale on już będzie martwy. To w wypadku szatańskiego wirusa, z botuliną potrwa nieco dłużej.

- Proszę mnie nie zatrzymywać - zwróciłem się do Clivedena. - Zobaczę, co się stanie z chomikiem. Jeśli nic mu nie

będzie, odczekam jeszcze dziesięć minut. Potem wyjdę.

- Jeżeli w ogóle pan wyjdzie. nalegał. Cliveden nie jest głupcem. Jest zbyt mądry, żeby nie dotarło do niego to, co powiedziałem, a przynajmniej coś z tego zrozumiał.

- Jeśli cokolwiek... jakiś wirus... został skradziony- przekonywałem go - to złodziej jest szaleńcem. Kilka kilometrów stąd przepływa Kennet, dopływ Tamizy. Skąd pan wie, czy akurat w tej chwili ten szaleńiec nie pochyła się nad Kennetem i nie wrzuca do wody tych przeklętych wirusów?

- A skąd mam wiedzieć, czy pan nie wyjdzie, jeżeli chomik padnie? - zajadle odparował Cliveden -

Mój Boże, Cavell, jest pan tylko człowiekiem. Chce pan; żebym uwierzył w to, że jeżeli chomik padnie, to pan tam zostanie tak długo, aż umrze z głodu? Albo raczej udusi, kiedy skończy się tlen? Jasne, że pan wyjdzie..

- W porządku, generale, przypuśćmy, że wyjdę. Czy wciąż będę miał na sobie skafander przeciwgazowy z aparatem tlenowym?

- Oczywiście - odpowiedział oschłym tonem. - W przeciwnym wypadku, w razie skażenia powietrza w laboratorium, w ogóle by pan nie wyszedł. Byłby pan martwy.

- W porządku. Proszę tędy.

Zaprowadziłem go do najbliższych drzwi w korytarzu, przez które przechodziliśmy w drodze do laboratorium.

- Wiem, że są hermetyczne. Tak samo jak te podwójne okna, wychodzące na zewnątrz. Stanie pan za tymi drzwiami, przymknie je pan, pozostawiając jedynie szparkę. Drzwi laboratorium otwierają się w tę stronę, kiedy więc będę wychodził, to natychmiast pan mnie zobaczy. Zgadza się?

- O czym pan mówi?

- O tym - odparłem wyciągając spod marynarki odbezpieczony pistolet. - Będzie go pan trzymał w ręku, a kiedy wyjdę z laboratorium w skafandrze z aparatem tlenowym pan mnie zastrzeli. Z pięciu metrów trudno tego nie zrobić; mając do dyspozycji dziewięć nabojów. I wówczas wirus pozostanie zamknięty w bloku "E".

Powoli, z ociąganiem, niepewnie sięgnął po pistolet. Lecz w jego oczach i głosie nie było niepewności, kiedy się w końcu odezwał.

- Pan wie, że go użyję, jeżeli będę musiał?

- Oczywiście, że wiem - odpowiedziałem z uśmiechem, choć wcale nie było mi do śmiechu. - Po tym, co usłyszałem, wolałbym raczej zginąć od kuli niż od szatańskiego wirusa.

- Przepraszam za- ten wybuch przed chwilą - rzekł cicho generał. - Jest pan odważnym człowiekiem, Cavell.

- Niech pan nie omieszka wspomnieć o tym w moim nekrologu w Timesie. Komisarzu, racz poprosić swoich ludzi, żeby już kończyli z tymi drzwiami.

Skończyli po dwudziestu minutach, kiedy byłem już całkowicie przygotowany do wejścia.

Wszyscy patrzyli na mnie z owym dziwnym wahaniem i niezdecydowaniem ludzi, którzy uważają, że powinni wygłosić mowy pożegnalne, ale trudno im znaleźć odpowiednie słowa. Parę skinień głową, jakieś nie dokończone machnięcie ręką i zostawili mnie samego. Wszyscy ruszyli korytarzem i zniknęli za najbliższymi drzwiami, z wyjątkiem generała Clivedena, który zatrzymał się w progu. Kierowany jakimś niejasnym poczuciem przyzwoitości, trzymał mój pistolet za plecami, żebym go nie widział.

Skafander przeciwgazowy opinał mnie i cisnął, aparat tlenowy uwierał w kark a wysokie stężenie tlenu sprawiało, że zaschło mi w gardle. A może w ogóle odczuwałem suchość w ustach? W ciągu ostatnich dwudziestu minut wypaliłem trzy papierosy - swoją normalną dzienną dawkę, wolę bowiem powolne zatruwanie się fajką - ale one mi nie pomogły.

Starałem się wymyślić jakieś przekonywujące powody; dla których nie powinienem przekroczyć tych drzwi, ale to też nie pomogło znalazłem ich tyle że na nic nie mogłem się zdecydować, więc nawet nie próbowałem wybierać. Po raz ostatni dokładnie sprawdziłem skafander, maskę i zbiorniki z tlenem, ale tylko się oszukiwałem, bo był to chyba piąty ostatni raz. Poza tym obserwowano mnie. Miałem swój honor, zacząłem więc kolejno ustawiać cyfry kombinacji zamka w ciężkich stalowych drzwiach.

Tę zwykle skomplikowaną i delikatną operację dodatkowo utrudniały grube gumowe rękawice i ograniczające widoczność okulary maski. Jednak dokładnie po minucie usłyszałem głuchy odgłos, kiedy ostatnim przekręceniem tarczy uruchomiłem elektromagnes, które przesunęły główny rygiel. Jeszcze tylko trzy pełne obroty dużego pokrętła, i półtonowe drzwi z wolna ustąpiły pod silnym naporem mojego ramienia.

Chwyciłem klatkę z chomikiem, błyskawicznie wskoczyłem do środka przytrzymałem otwierające się drzwi i czym prędzej je zamknąłem. Trzy obroty wewnętrznego pokrętła i wejście do tego grobowca zostało zamknięte. Niewykluczone, że podczas tych czynności zatarłem sporo odcisków, ale starałem się uważać.

Uszczelnione gumą drzwi z matowego szkła, prowadzące do właściwego laboratorium, znajdowały się po przeciwnej stronie małego przedsionka. Dalszą zwłoką niczego bym nie osiągnął - niczego poza przedłużeniem sobie życia, to fakt.

Nacisnąłem łokciem czterdziestocentymetrową klamkę, pchnąłem drzwi, wszedłem do środka i zamknąłem je za sobą.

Nie potrzebowałem zapalać światła, laboratorium bowiem tonęło już w blasku bezcieniowych neonówek. Ktokolwiek się tutaj włamał, musiał chyba uważać, że rząd ma dość pieniędzy i może sobie pozwolić na trwonienie elektryczności, albo też tak bardzo się śpieszył, że nie miał czasu pomyśleć o zgaszeniu światła.

Ja również nie miałem ani czasu, ani ochoty o tym myśleć. Interesowało mnie wyłącznie samopoczucie małego chomika

w klatce, którą trzymałem w ręku, i na nim skoncentrowałem całą swoją uwagę.

Postawiłem klatkę na najbliższym stole; zerwałem przykrycie i wlepiłem oczy w zwierzątko. Pewnie jeszcze nigdy żaden człowiek przywiązany do beczki prochu nie patrzył na dopalający się lont z tak hipnotycznym zafascynowaniem i w takim skupieniu jak ja na tego chomika. Wygłodzony kot, czatujący przy mysiej norze z uniesioną łapą, mangusta szykująca się do skoku na królewską kobrę; zrujnowany gracz, obserwujący ostatnią, jeszcze toczącą się kostkę - wyglądaliby przy mnie ospale. Gdyby człowiek miał zdolność przebijania wzrokiem, chomik byłby już żywcem przeszyty na wylot.

Gregori powiedział, że to potrwa piętnaście sekund. Tylko piętnaście sekund i zwierzę zacznie reagować, jeżeli szatański wirus znajduje się w powietrzu wypełniającym laboratorium. Odliczałem sekundy, a każda z nich była jak uderzenie dzwonu wzywającego na wieczny spoczynek. Dokładnie po piętnastu sekundach chomik gwałtownie drgnął, ale to nic w porównaniu z tym, co wyczyniało moje serce szarpnęło się nagle, jakby chciało rozsadzić klatkę piersiową, potem zaczęło walić nienormalnie wolno - każde uderzenie zdawało się wstrząsać całym ciałem. Poczulem, jak moje złodowaciałe dłonie wilgotnieją w gumowych rękawicach. Język przysechł mi do podniebienia.

Minęło trzydzieści sekund. W tym czasie, gdyby tam był wirus, u chomika powinny wystąpić konwulsje. Niczego jednak nie zauważyłem, chyba że konwulsje u chomika polegają na siadaniu i żwawym pocieraniu sobie nosa parą maleńkich, nerwowych łapek.

Czterdzieści pięć sekund. Minuta. Może doktor Gregori przecenił zjadliwość wirusa albo chomik jest wyjątkowo odporny? Jednakże doktor Gregori nie sprawiał na mnie wrażenia naukowca, który w czymkolwiek się myli, a chomik wyglądał raczej na cherlaka. Po raz pierwszy od wejścia do laboratorium skorzystałem z aparatu tlenowego. Otworzyłem klatkę i wyjąłem chomika. Według mnie wciąż był w niezłej kondycji, wyrwał mi się bowiem, zeskoczył na pokrytą gumą podłogę, szybko przebiegł spory dystans między stołem a umocowanym do ściany blatem, zatrzymał się w końcu sali i znów zaczął się drapać po nosie. Doszedłem do wniosku, że skoro chomik może oddychać, to ja też, chociaż ważyłem około pięciuset razy więcej od niego.

Rozpiąłem klamerki na potylicy i zdjąłem aparat tlenowy. Głęboko wciągnąłem powietrze do płuc. , I to był błąd. Trzeba przyznać, że trudno równocześnie wydać z siebie westchnienie ulgi wobec perspektywy zachowania życia i wciągać powietrze, ostrożnie wachając; ale chyba to właśnie zrobiłem. Teraz zrozumiałem, dlaczego chomik cały czas pocierał sobie nos z takim obrzydzeniem.

Bezwiednie zacisnąłem ze wstrętem nozdrza, uderzony ohydną, przyprawiającą o mdłości wonią. Trzymając się za nos, rozpocząłem poszukiwania między stołami. W ciągu pół minuty w przejściu na końcu laboratorium znalazłem to, czego szukałem, choć wcale tego nie pragnąłem. Nocny gość nie zapomniał zgasić światła – po prostu opuszczał laboratorium w tak wielkim pośpiechu, że nawet o

tym nie pomyślał. Zależało mu jedynie, żeby jak najszybciej się stąd wydostać i szczelnie zamknąć za sobą oboje drzwi.

Hardanger może już odwołać poszukiwania doktora Baxtera. Doktor Baxter bowiem znajdował się tutaj ubrany w swój biały fartuch do kolan, leżał na gumowej posadzce. Podobnie jak Clandon musiał umrzeć w straszliwych męczarniach, choć tym, co go zabiło, nie był cyjanek. -

Żadnego ze znanych mi rodzajów śmierci nie mogłem skojarzyć z tak dziwnie siną twarzą, z takim potokiem wydzieliny z oczu, uszu i nosa, a przede wszystkim z tak okropną wonią.

Sam widok budził odrazę. Jeszcze bardziej odrażająca była myśl, żeby się zbliżyć, ale zmusiłem się do tego. Nie dotknąłem go. Nie wiedziałem, co spowodowało śmierć, lecz mogłem się domyślić; więc go nie dotykałem. Tylko pochyliłem się nisko nad zmarłym i obejrzałem go na tyle dokładnie, na ile pozwalały warunki. Za prawym uchem; miał stłuczoną głowę z niewielką ilością krwi w miejscu skaleczenia, ale bez zauważalnej opuchlizny. Śmierć nastąpiła; zanim zdążył się wytworzyć siniak. W pewnej odległości za Baxterem, pod ścianą naprzeciwko drzwi, leżały wypukłe kawałki ciemnoniebieskiego szkła i czerwona plastikowa nakrętka - zapewne szczątki jakiegoś pojemnika, ale bez śladów tego co niegdyś zawierał.

Parę metrów dalej, w tej samej ścianie, znajdowały się uszczelnione gumą szklane drzwi. Wiedziałem, że za nimi jest to, co tutejsi naukowcy i technicy nazywają menażerią- jedna z czterech istniejących w Mordon. Pchnąłem drzwi i wszedłem.

Było to ogromne, pozbawione okien pomieszczenie, prawie tak duże jak samo laboratorium. Całą powierzchnię ścian i trzy stoły biegnące wzdłuż sali zajmowały dosłownie setki wszelkiego rodzaju klatek - w większości normalne, z siatki, ale niektóre hermetyczne, szklane, z własnymi urządzeniami klimatyzacyjnymi i filtrami powietrza. Kiedy wszedłem, spojrzały na mnie setki par oczu, przeważnie czerwonych i małych jak koraliki. Musiało tam być półtora do dwóch tysięcy zwierząt, głównie myszy - chyba aż dziewięćdziesiąt procent stanowiły myszy - ale również około setki królików i tyleż świnek morskich. Z tego, co zauważyłem, wszystkie zdawały się całkiem zdrowe, a w każdym razie było jasne, że wydarzenia zza ściany w żaden sposób ich nie dotknęły. Wróciłem do laboratorium, zamknąwszy za sobą drzwi.

Przebywałem tam już prawie dziesięć minut i jak dotąd nic mi się nie stało a więc teraz było to już mało prawdopodobne. Zapędziłem chomika do kąta, wsadziłem go z powrotem do klatki i wyszedłem z laboratorium, by otworzyć ciężkie stalowe drzwi zewnętrzne. W samą porę przypomniałem sobie, że nie opodal czeka generał Cliveden, gotów podziurawić mnie, jeśli się ukazuje w skafandrze - zapewne trzyma palec na spuście i może łatwo przeoczyć fakt, że zdjąłem aparat tlenowy. Wygramoliłem się ze skafandra i otworzyłem drzwi.

Generał Cliveden trzymał pistolet w wyprostowanym ręku, celując w powiększającą się szparę w drzwiach - i we mnie. Nie powiem, żeby cieszyła go perspektywa zastrzelenia mnie, ale z pewnością

gotów był to uczynić. A teraz było troszeczkę za późno, by go poinformować, że hanyatti ma bardzo lekki spust.

- Wszystko w porządku - powiedziałem szybko. - Powietrze w środku jest czyste.

Opuścił ramię i uśmiechnął się z ulgą. Nie był to uśmiech zadowolenia, ale jednak uśmiech. Może przysłała mu do głowy spóźniona myśl, że sam powinien tam wejść zamiast mnie.

- Czy jest pan absolutnie pewien? - spytał.

Przecież żyję, no nie? - odezwałem się poirytowany.- Najlepiej sprawdźcie sami.

Wróciłem do laboratorium i czekałem na nich. W drzwiach pierwszy pojawił się Hardanger. Odruchowo zmarszczył nos z obrzydzeniem.

- Cóż to za smród, u diabła!?! - wykrzyknął.

- Botulina! - odpowiedział pułkownik Weybridge, którego twarz nagle jakby poszarzała w świetle bezcieniowych neonówek, a potem powtórzył szeptem - Botulina.

- Skąd pan wie? - zapytałem.

- Skąd wiem...? - opuścił wzrok, a później spojrzał mi w oczy. - Przed dwoma tygodniami mieliśmy wypadek. Jakiś technik...

- Wypadek -powtórzyłem za nim i pokiwałem głową.- A więc zna pan ten zapach.

- Ale skąd, u diabła... - zaczął Hardanger.

- Z trupa - wyjaśniłem. - Zabiła go Botulina. W końcu sali. To doktor Baxter.

Nikt się nie odezwał. Popatrzyli na mnie, potem na siebie, i w milczeniu ruszyli za mną tam, gdzie leżał Baxter.

Hardanger przyglądał się nieboszczykowi.

- Więc to Baxter - powiedział całkiem beznamiętnie.- Jesteś tego pewien? Pamiętaj, że wyszedł stąd wczoraj wieczorem o szóstej trzydzieści.

- Być może to. on był właścicielem nożyc do cięcia drutu- zasugerowałem. - A to jest z całą

pewnością Baxter. Ktoś go ogłuszył, stanął w drzwiach laboratorium, rozbił pojemnik z botuliną o tę ścianę i natychmiast zamknął drzwi za sobą.

- A to drań - powiedział chrapliwie Cliveden. – Ohydny drań.

- Albo dranie - podsunąłem.

Podszedłem do doktora Gregoriego, który usiadł na wysokim taborecie. Łokcie oparł na stole i ukrył twarz w dłoniach. Wokół koniuszków jego palców przyciśniętych do śniadych policzków pojawiły się blade plamy. Ręce mu drżały.

- Przykro mi, doktorze Gregori - odezwałem się dotykając jego ramienia. - Jak sam pan powiedział, nie jest pan ani żołnierzem, ani policjantem. Nie powinien pan oglądać takich rzeczy, ale musi pan nam pomóc.

- Tak oczywiście - odparł tępym głosem, podniósł wzrok i spojrzał na mnie ciemnymi oczami, w których błysnęły łzy.

- On... on był mi więcej niż kolegą. W jaki sposób mogę wam pomóc, panie Cavell?

- Proszę sprawdzić szafę z wirusami.

- Tak, tak oczywiście. Czyż mógłbym pomyśleć o czym innym - rzekł i z przerażeniem zerknął na Baxtera, dając tym samym dowód, o czym faktycznie myślał. - Już, już.

Momencik.

Podszedł do drewnianej szafy z oszklonymi drzwiami i próbował ją otworzyć. Po kilku szarpnięciach zaczął kręcić

głową.

- Jest zamknięta. Drzwi są zamknięte.

- No cóż - traciłem cierpliwość. - Ma pan przecież klucz, prawda?

- Jedyne klucze. Nikt się do niej nie dostanie bez tego klucza. Chyba że siłą. Ale... ale nikt jej nie dotykał.

- Do cholery, niech pan się nie wygłupia. Myśli pan, że Baxter umarł na grypę, czy co? Proszę otworzyć szafę.

Przekręcił klucz drżącymi palcami. Nikt nie zwracał już uwagi na Baxtera - wszyscy patrzyliśmy na doktora Gregoriego. Otworzył oba skrzydła drzwi i wyjął niewielką podłużną skrzynkę. Podniósł wieko i zajrzał do środka. Po chwili ramiona mu opadły i cały się zmienił - zwiesił głowę i wyglądał, jakby uszło z niego powietrze.

- Nie ma = wyszeptał. - Wszystkie.. wszystkie pojemniki zniknęły... W sześciu była botulina... Jednym z nich zabił Baxtera!

- A reszta? - rzuciłem chrapliwie w stronę zgarbionych pleców. - Co z tamtymi trzema?

- Szatański wirus - rzekł przerażony. - Szatański wirus zniknął.

Rozdział czwarty

Kantyna w Mordon miała niezłą reputację wśród lubiących dobrze zjeść członków personelu, a kucharz który przygotował nam obiad, był akurat w formie. Chyba w jakiś sposób wpłynęła na to również obecność przy naszym stole kolegi Gregoriego z laboratorium numer jeden, doktora MacDonalda, który pełnił rolę gospodarza. Niemniej jednak tego dnia wyłącznie ja zdawałem się cieszyć pewnym apetytem. Hardanger tylko grzebał w talerzu a Weybridge i Cliveden zaledwie coś skubnęli. Ciregnri w ogóle nic nie jadł i po prostu siedział ze wzrokiem wbitym w talerz.

W połowie posiłku ni stąd ni zowąd na chwilę nas przeprosił, a kiedy wrócił po pięciu minutach, był blady i osłabiony.

Sądzę że zrobiło mu się nie dobrze. Widok ofiar gwałtownej śmierci nie bardzo służył profesorom zajmującym się badaniami chemicznymi w klasztornych warunkach. Dwaj Specjaliści od daktyloskopii nie jedli i nami obiadu. nadal byli głodni. Przy pomocy trzech miejscowych detektywów, zwerbowanych przez inspektora Wylieego, ponad półtorej godziny zbierali odciski palców całego laboratorium, a teraz porównywali wyniki i zestawiali je w tabelki. Okazało się, że pokręta ciężkich stalowych drzwi i okolice zamka szyfrowego nosiły ślady mocnego wycierania jakimś bawełnianym czy lnianym materiałem przypuszczalnie chusteczką do nosa. Nie można więc było wykluczyć prawdopodobieństwa, że zrobił to ktoś z zewnątrz.

I na koniec obiadu przyszedł inspektor Martin. Cały czas przesłuchiwał naukowców i techników, tymczasowo pozbawionych pracy z powodu zamknięcia bloku "F.", a do końca miał jeszcze daleko. Ale miał rygorystycznie sprawdzić

wszystko, co przesłuchiwani zeznali na temat swych zajęć poprzedniego wieczora. nie powiedział, jak mu idzie, a Hardanger, co było do przewidzenia, o nic go nie pytał.

Po obiedzie poszliśmy z Hardangerem do głównej bramy. Od dyżurującego tam sierżanta dowiedzieliśmy się, kto wczoraj wieczorem miał służbę przy zegarze kontrolnym dla wychodzących. Po paru minutach zjawił się wysoki, jasnowłosy kapral o czerstwej twarzy i energicznie zasalutował.

- Kapral Norris. Pan mnie wzywał.

- Tak rzekł Hardanger. Proszę usiąść. Wezwałem was, Norris, żeby zadać parę pytań w związku z zamordowaniem doktora Baxtera.

Taktyka wstrząsowa odniosła lepszy skutek niż jakiegokolwiek ostrożne sondowanie Norris już zamasyżuje siadał na wskazanym krześle, na te słowa jednak zwałił się na nie jak . podcięty, wlepiając zdziwiony wzrok w Hardangera. Pod wpływem wstrząsu z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta jak kiepski aktor. Jego policzki zaczęły przy tym wyraźnie tracić swą żywą barwę.

- Zamordowaniem doktora Baxtera? - powtórzył Norris półprzytomnie. - To doktor Baxter... nie żyje?

- Zamordowany - odparł Hardanger ponuro. - Zamordowano go ostatniej nocy w jego laboratorium. Wiadomo nam, mniejsza o to skąd, że doktor Baxter w ogóle nie opuścił wczoraj Mordon. Wy jednak twierdzicie, że przy was podpisywał się wychodząc. To wy tak twierdzicie, ale tak nie było. Kto wam dał jego kartę kontrolną i kazał sfałszować jego podpis? A może zrobił to kto inny? Ile wam zapłacili, Norris?

Kapral zeszywniał jakby go sparaliżowało i oszołomiony gapił się na Hardangera. Lecz oszołomienie wkrótce minęło i na powrót stał się typowym mieszkańcem Yorkshire. Z wolna podniósł się z pociemniałą twarzą.

- Słuchaj pan - powiedział cicho. Nie wiem, kim pan jest. Pewnie jakimś ważniakiem z policji albo z kontrwywiadu. Ale powiem tylko jedno. .Jeszcze raz to usłyszę, a rozwalę panu łeb.

- Słusznie odparł Hardanger z nagłym uśmiechem, a potem zwrócił się do mnie Niewinny, he?

- Nie mógłby aż tak udawać - przyznałem.

Zapewne . Wybaczyć mi, Norris. Musiałem coś ustalić i to jak najprędzej. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa, a morderstwo to nieprzyjemna rzecz i czasami jestem zmuszony używać niezbyt przyjemnych metod. Rozumiecie?

- Tak - niepewnie odparł Norris. Trochę się uspokoił, ale tylko trochę. - Doktor Baxter... jak... znaczy... kto...?
- Tymczasem dajcie sobie z tym spokój – zdecydowanie przerwał mu Hardanger. - Wy odnotowaliście jego wyjście.
- Tu, w tej książce podana jest godzina osiemnasta trzydzieści dwie. Zgadza się?
- Skoro tak jest w książce, to się zgadza. Godzina jest odbijana automatycznie.
- Wyście odebrali od niego kartę kontrolną! Tę? Rzekł Hardanger i podał mu ją.
- Tak jest.
- Czy przypadkiem nie rozmawialiście z nim?
- Właściwie tak.
- O czym?

Po prostu o pogodzie i tak dalej. Dla nas był zawsze w porządku. A... i jeszcze o jego przeziębieniu. Był bardzo przeziębiony. Kaszłał i ciągle wycierał nos.

- Dobrze go widzieliście?
- No jasne. Jestem tu wartownikiem od półtora roku i znam go jak własną matkę. Ubrany był jak zwykle... płaszcz w kratę, filcowy kapelusz i rogowe okulary.
- Przysięglibyście przed sądem, że to był doktor Baxter?
- Przysięgłbym - odpowiedział po chwili wahania.- Widziało go też dwóch moich kolegów, którzy byli na służbie. Możecie to sprawdzić.

Sprawdziliśmy, a potem wróciliśmy do budynku administracji.

Czy naprawdę myślisz, że Baxter wczoraj wieczorem pozostał w zakładzie? - spytałem.

Nie - odparł Hardanger. - Pewnie, że wyszedł... i wrócił z kombinerkami. Albo sam, albo z kimś. na pozór wygląda więc na to, że Baxter nie był w porządku. Ale jeszcze gorszy jest ten, co go załatwił. Ale tak to bywa, kiedy złodzieje się pokłóca.

- Sądzisz, że ten podpis jest prawdziwy?

- Najprawdziwszy. Wszyscy za każdym razem podpisują się inaczej. Chyba natychmiast skontaktuję się z Generałem

w Londynie. Dokładne sprawdzenie Baxtera może ujawnić bardzo interesujące rzeczy. Szczególnie dawne kontakty. To tylko strata czasu. Z punktu Widzenia bezpieczeństwa Baxter zajmował najbardziej ekspozowane stanowisko

w Europie szef laboratorium numer jeden w Mordon. Każdy jego krok od chwili, gdy nauczył się chodzić, każde wypowiedziane przez niego słowo, każdą osobę, którą poznał, sprawdzono setki razy. Baxter jest czysty. Był zbyt grubą rybą, żeby wyslizgnąć się z sieci zastawionej przez służby bezpieczeństwa.

Tak samo było z tymi, co siedzą teraz albo w więzieniu, albo w Moskwie rzekł ponuro Hardanger. Natychmiast dzwonię do Londynu. Potem dowiem się od Wyliego, czy miał coś w sprawie tego Bedforda który posłużył do ucieczki. A później zobaczę, jak idzie Martinowi i tym chłopcom od daktyloskopii. Idziesz ze mną?

- Nie. Chciałbym zapytać strażników, którzy pełnią służbę wewnątrz, kto wczoraj wieczorem pilnował zakładu, i powalęsam się trochę samotnie.

Wzruszył ramionami.

- Nie mogę ci rozkazywać, Cavell powiedział i dodał podejrzliwie Ale jak coś znajdziesz... dasz mi znać?

Myślisz, że zwariowałem? Czy sądzisz, że w pojedynkę będę wojował z facetem,, który gdzieś tutaj się kręci z szatańskim wirusem w kieszeni?

Bez przekonania pokiwał głową i odszedł. Przez następną godzinę wypytywałem sześciu strażników, którzy poprzedniego dnia przed północą pełnili służbę wewnątrz i zgodnie z moimi przewidywaniami dowiedziałem się tyle, co nic.

Dobrze ich znałem i pewnie dlatego Hardanger chciał, żebym przyjechał z nim do Mordon wszyscy służyli w zakładzie przynajmniej od trzech lat. Ich relacje pokrywały się, ale były całkowicie nieprzydatne. Z dwoma strażnikami sprawdziłem dokładnie wszystkie okna i dach bloku "F", ale tylko zmarnowałem czas.

Nikt nie widział Clandona od chwili, kiedy rozstał się z porucznikiem Wilkinsonem w wartowni tuż po jedenastej Wieczorem, do momentu znalezienia jego ciała. Zwykle o tej porze nikt go nie

widował, po obchodzie bowiem udawał się na noc do niewielkiego betonowego domku, który miał do swojej dyspozycji niespełna sto metrów od bloku "E". Okna domku wychodziły na długi korytarz w tym bloku, gdzie ze względu na bezpieczeństwo światło paliło się przez całą dobę. Łatwo się domyślić, że Clandon musiał zobaczyć coś podejrzanego w bloku "E" i poszedł to sprawdzić. Nic innego nie mogłoby wyjaśnić jego obecności pod drzwiami laboratorium numer jeden.

Udałem się do wartowni i poprosiłem o rejestr osób, które poprzedniego dnia wchodziły do Mordon i opuszczały

zakład. W sumie znalazłem tam kilkaset nazwisk, lecz wszystkie, z paroma wyjątkami, należały do pracowników. Mordon często odwiedzali specjaliści naukowcy z krajów członkowskich Wspólnoty Brytyjskiej czy NATO.

Czasem wpuszczano też niewielkie grupki członków parlamentu, którzy w izbie Gmin zadawali kłopotliwe pytania, żeby na własne oczy zobaczyli, jak się prowadzi niezwykle ważne prace na froncie walki z wąglikiem, polio, azjatycką grypą i innymi chorobami. Takim grupkom pokazywano jedynie to, co władze Mordon chciały im pokazać, i parlamentarzyści zwykle Wyjeżdżali stąd niewiele mądrzejsi niż przedtem. Jednakże wczoraj nie było takich grup zjawiało się tylko czternastu różnych dostawców. przepisałem ich nazwiska i cele tych wizyt.

Następnie zadzwoniłem do miejscowej wypożyczalni samochodów i poprosiłem o podstawienie jakiegoś pojazdu pod bramę Mordon. Później zatelefonowałem do "Zajazdu" w Alfringham i miałem szczęście, gdyż udało mi się dostać pokój. Ostatnią rozmowę odbyłem z Londynem - z Mary. Powiedziałem jej, żeby spakowała jedną walizkę dla mnie, drugą dla siebie i przywiozła obie do "Zajazdu". Z Dworca Paddington miała pociąg, który przyjeżdża na miejsce przed pół do siódmej.

Wyszedłszy z wartowni, zacząłem spacerować po terenie. Choć powietrze było zimne i wiał chłodny październikowy wiatr, nie szedłem zbyt szybko. Z opuszczoną głową przechadzałem się tam i z powrotem wzdłuż wewnętrznego ogrodzenia, niemal cały czas patrząc uważnie pod nogi. Miałem nadzieję, że dla postronnego obserwatora wyglądam jak człowiek pogrążony w zadumie. Spędziłem tam prawie godzinę, penetrując ciągle ten sam czterystumetrowy odcinek ogrodzenia, i w końcu znalazłem to, czego szukałem. Albo tak mi się zdawało. W czasie kolejnej rundy zatrzymałem się udając, że zawiązuję sznurowadło, i wówczas nie miałem już wątpliwości.

Kiedy odnalazłem Hardangera w budynku administracji, skąd w ogóle nie wychodził, akurat pochylał się z inspektorem Martinem nad świeżo zdjętymi odciskami palców. Spojrzał na mnie i mruknął

- Jak idzie?

- Wcale nie idzie. A tobie?

Na portfelu Clandona, na papierosach i na zapałkach nie ma żadnych odcisków... poza jego

własnymi, oczywiście na drzwiach też nic ciekawego. Znaleźliśmy tego Bedforda... a raczej ludzie inspektora Wyliego znaleźli jakiegoś Bedforda. Pewien facet, który nazywa się Hendry, prowadzi przedsiębiorstwo transportowe w Alfringham i ma trzy takie bagażówki, zgłosił dziś po południu, że mu zginął. Niespełna godzinę temu jakiś gliniarz na motocyklu z drogówki znalazł ten samochód w Lesie Hailemskim. Posłałem tam swoich ludzi, żeby zdjęli odciski palców.

Niepotrzebnie tracą czas.

- Być może. Znasz Las Hailemski?

Skinąłem głową.

- W połowie drogi stąd do Alfringham szosa B skręca na północ i po niespełna trzech kilometrach dociera do Lasu Hailemskiego. Może kiedyś były tam jakieś lasy, ale już ich nie ma. Na całym obszarze znajdziesz co najwyżej kilkadziesiąt drzew... znaczy, poza ogrodami. Obecnie są tam wille. Ludzie mówią, że okolica jest zdrowa. A ten Hendry... sprawdziliście go?

- Tak. Czysty, przyzwoity facet. Nie tylko porządny obywatel, ale również osobisty znajomy inspektora Wyliego. W pubie grają w jednej drużynie w strzałki - powiedział Hardanger i dodał ospale - To stawia go poza wszelkimi podejrzeniami.

- Stajesz się zgryźliwy - rzekłem i ruchem głowy wskazałem plansze z odciskami palców. - Domyślam się, że to z laboratorium numer jeden. Pierwszorzędna robota. Ciekaw jestem, które z nich należą do właściciela domu stojącego najbliżej miejsca, gdzie znaleziono Bedforda.

Hardanger spojrział na mnie spode łba.

- Jakie to oczywiste, prawda?

No nie? Wydaje się, że można go spokojnie pominąć. Zostawianie dowodów na progu własnego domu to tak, jakby samemu sobie zakładało się stryczek.

- A jeżeli mamy inne zdanie? Ten facet nazywa się Chessingham. Znasz go?

- Znam. Jest chemikiem i zajmuje się badaniami.

- Ręczysz za niego?

W takich sprawach trudno ręczyć nawet za świętego Piotra. Mógłbym się jednak założyć o miesięczną pensję, że jest czysty.

- Ja nie. Teraz sprawdzamy jego zeznania i zobaczymy.

- Zobaczymy. Ile odcisków udało wam się zidentyfikować ?

W sumie piętnaście kompletów, z tego co mogliśmy ustalić, ale tylko w trzynastu wypadkach znamy właścicieli

Zastanawiałem się przez chwilę, a później pokiwałem głową. Tak, to by się zgadzało. Doktor Baxter, doktor Gregori

doktor MacDonald, doktor Hartnell, Chessingh następnie czterech techników z tego laboratorium Vetyeath,

Robinson i Marsh. Dziewięć. Dalej Clandon , strażnik, no i oczywiście Cliveden i Weybridge. .Sprawdzacie ich?

- A jak myślisz? spytał poirytowany Hardanger

- Clivedena i Weybridgea też.

- Clivedena i Weybridgea! wykrzyknął i spojrzał na mnie zdumiony, a Martin obdarzył mnie takim samym spojrzeniem. - Chyba nie mówisz tego poważnie, Cavell

- Kiedy ktoś sobie łązi z szatańskim wirusem w kieszeni portek, to, chyba nie czas na wygłupy, Hardanger. Nikt, powtarzam nikt nie jest wolny od podejrzeń.

Patrzył na mnie surowo, ale nie zwracałem na to uwagi mówiłem dalej

- A co do tych dwóch nie zidentyfikowanych odcisków-

Tak długo będziemy zbierać odciski po kolei od każdego pracownika Mordon, aż ich nie znajdziemy z zawziętością powiedział Hardanger.

- Nie musicie. Jestem prawie pewien, że należą do takich, co nazywają się Bryson i Chipperfield.

- Mów jaśniej.

- To ci dwaj, co prowadzą Alfringham Faarrim skąd pochodzą zwierzęta do wszystkich doświadczeń w laboratorium

Zwykle mniej więcej raz w tygodniu przyjeżdżają ze świeżą partią zwierząt, a Mordon przerabia sporo żywego inwentarza

Byli tu wczoraj. Sprawdziłem w książce wejść zaopatrywali zwierzętarnię w laboratorium numer jeden

- Mówisz, że ich znasz. Jacy oni są?

- Młodzi, sumienni i ciężko pracują. Bardzo odpowiedzialni. Mieszkają na farmie w małych domkach. Mają bardzo ładne żony i po jednym dziecku chłopca i dziewczynkę w wieku około sześciu lat. Żaden z nich nie jest typem człowieka, który by się angażował w coś podejrzanego..

- Ręczysz za nich?

- Słyszałeś, co mówiłem O świętym Piotrze. Nie mogę ręczyć za nic i za nikogo. Należy ich sprawdzić. Jeśli sobie Niw wierzysz to ja tam pójde. Ostatecznie mam tę przewagę, że ich znam.

- Pójdiesz? spytał Hardanger, ponownie obrzucając mnie tym swoim badawczym spojrzeniem. Chcesz wziąć ze sobą inspektora Martindi

- Wszystko mi jedno - zapewniłem go, chociaż wcale tak nie było; po prostu jestem dobrze wychowany.

- A więc w tym wypadku nie jest to konieczne rzekł.

Pomyślałem, że Hardanger potrafi czasami być bardzo nieprzyjemny.

- Melduj, gdy tylko coś znajdziesz dodał. - Dam ci do dyspozycji samochód.

- Już mam. Z wypożyczalni.

- Niepotrzebnie powiedział marszcząc brwi. jest tu mnóstwo samochodów policyjnych i wojskowych.

- Ale ja teraz jestem zwykłym obywatelem i wolę prywatne środki transportu.

Samochód czekał na mnie pod bramą. .Jak wiele pojazdów z wypożyczalni wyglądał gorzej, niż wskazywałby na to rok

produkcji. Ale przynajmniej się toczył i pozwolił odpocząć mim nogom. Z tego ostatniego byłem bardzo zadowolony,

Lewa noga bowiem dość mocno mnie bolała, jak zawsze nawet po najkrótszym spacerze. Dwaj znakomici chirurdzy

londyńscy niejednokrotnie zapewniali mnie o korzyściach płynących z odjęcia mi lewej stopy i zaklinali się, że mogą ją

zastąpić sztuczną, która nie tylko wygląda jak prawdziwa, ale również z całą pewnością nie boli. Bardzo się do tego

zapalili, jednakże to nie była ich stopa, ja zaś wolałem zachować ją jak najdłużej.

Pojechałem do Alfringham, pięć minut rozmawiałem z kierownikiem miejscowego dansingu i dotarłem do Alfringham Farm, kiedy już zapadał zmrok. Wjechałem przez bramę, zatrzymałem samochód pod pierwszym z dwóch domków, wysiadłem i nacisnąłem dzwonek. Po trzeciej próbie dałem za wygraną i podjechałem pod drugi domek.

Tu powinien ktoś być - w oknach paliło się światło. Zadzwoiłem i po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Zmrużyłem oczy nagle oślepięte światłem i po chwili rozpoznałem stojącego przede mną mężczyznę.

- Bryson - rzekłem. - Jak się pan miewa? Przepraszam za najście, ale mam powody.

- Pan Cavel,!! - wykrzyknął zaskoczony, tym bardziej że z pokoju za jego plecami dochodził gwar rozmowy. - Nie przypuszczałem, że tak szybko znów się zobaczymy. Byłem pewien, że pan stąd wyjechał. Co u pana słychać?

- Chciałem zamienić kilka słów z panem i Chipperfieldem, ale jego nie ma w domu.

- Jest tutaj. Ze swoją panią. Wspólnie spędzamy sobotnie wieczory, raz u nich, raz u nas - rzekł i zawahał się, co mnie nie zdziwiło, bo sam bym nie wiedział, co zrobić siedząc z przyjaciółmi przy szklaneczce, gdyby nagle wpadł ktoś obcy.

- Będzie mi niezmiernie miło, jeśli się pan do nas przyłączy.

- Tylko na parę minut.

Bryson wprowadził mnie do jasno oświetlonego pokoju. Przy kominku, na którym wesoło płonęły polana, stały dwie

niewielkie kanapy, jedno czy dwa krzesła, a między nimi podłużny stół z kilkoma butelkami i szklankami. Miła domowa scenka.

Mężczyzna i dwie kobiety wstali, kiedy Bryson zamknął drzwi. Znałem całą trójkę Chipperfielda, wysokiego blondyna, który pod każdym względem stanowił przeciwieństwo niskiego, krępego bruneta Brysona, oraz ich żony, blondynkę i brunetkę, odpowiednio do koloru włosów swych mężów.- Poza tym prawie się nie różniły obie drobne, zgrabne, śliczne i obie miały takie same orzechowe oczy. Trudno się temu dziwić, panie Bryson i Chipperfield były bowiem siostrami.

Po kilku minutach, gdy już wymieniliśmy uprzejmości mnie zaproponowano drinka, którego przyjąłem ze względu na nogę, Bryson spytał

- Czym możemy służyć, panie Cavell?

- Próbuje wyjaśnić tajemnicę doktora Baxtera odparłem spokojnym głosem. - Może wy potrafilibyście nam pomóc. Nie wiem.

Tego Baxtera z laboratorium numer jeden? – rzekł Bryson, spoglądając na szwagra.- Ted i ja...widzieliśmy się z nim nie dalej jak wczoraj. Nawet sobie porozmawialiśmy. Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało?

- Zeszłej nocy go zamordowano - powiedziałem.

Pani Bryson obiema rękami zatkała sobie usta, tłumiąc okrzyk przerażenia. Jej siostrze wyrwał się z gardła jakiś , nieokreślony dźwięk.

- Och, nie ,nie! - wykrztusiła.

Lecz ja nie zwracałem na nie uwagi; obserwowałem Brysona i Chipperfielda. Nie musiałem być detektywem, by stwierdzić, że wiadomość ta obu głęboko wstrząsnęła i całkowicie zaskoczyła.

- Zamordowano go wczoraj - ciągnąłem - przed północą. W laboratorium, w którym pracował. Ktoś rozbił pojemnik ze śmiernicobójczymi wirusami i Baxter zginął w ciągu paru minut. W ogromnych męczarniach. Później ta sama osoba natknęła się na pana Clandona, który czekał pod drzwiami laboratorium, i jego też się pozbyła...za pomocą cyjanku.

Pani Bryson wstała z twarzą bladą jak papier, na oślep wrzuciła papierosa do kominka i podtrzymywana przez siostrę wyszła z pokoju. Później usłyszałem, że w łazience ktoś wymiotuje.

- Doktor Baxter i pan Clandon nie żyją? Zamordowani? odezwał się Bryson niemal tak blady jak jego żona. - Nie

chce mi się wierzyć.

Jeszcze raz przyjrzałem się jego twarzy. Na pewno wierzył. Przysłuchiwał się odgłosom dochodzącym z łazienki, a potem zaczął mi robić wyrzuty na tyle, na ile mu pozwalał przeżyty wstrząs.

Mógł nam pan o tym powiedzieć, że tak się wyrażę, po cichu, panie Cavell. To znaczy nie przy dziewczynach.

- Przepraszam odparłem robiąc żalostną minę ale sam niezbyt dobrze się czuję. Clandon był moim najlepszym

przyjacielem.

- Pan to zrobił specjalnie - rzekł ostrym tonem Chipperfield.

Zwykle był młodzieńcem sympatycznym i uprzejmym, lecz w tym momencie cała jego uprzejmość gdzieś znikła. Chciał pan zobaczyć, jak my to przyjmiemy - powiedział napastliwie - żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy w to wmieszani. A może nie, panie Cavell?

Wczoraj między jedenastą wieczorem a północą- odparłem - pan i pański obecny tu szwagier byliście na piątkowej potańcówce w Allringham. Grano w tym czasie dokładnie pięć kawałków i mógłbym nawet podać wam nazwy tych tańców, ale nie będę zwracał sobie głowy. Idzie o to, że w ciągu tej godziny żadne z was, łącznie z waszymi żonami, nie wychodziło stamtąd ani na moment. Następnie udaliście się prosto do waszego land-rovera i przyjechaliście

tutaj tuż po dwunastej dwadzieścia. ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że obu morderstw dokonano między jedenastą piętnaście a jedenastą czterdzieści pięć wieczorem. A więc skończmy z tymi nierozsądnymi oskarżeniami, Chipperfield. Nie padł na was ani cień podejrzenia. W przeciwnym razie siedzielibyście teraz w celi komisariatu, a nie pili

whisky .A propos whisky...

- Przepraszam pana, Cavell. Cholernie głupio wyszło, że to powiedziałem.

Na twarzy Chipperfielda malowała się ulga, kiedy wstał i nalewał mi whisky do szklanki. Rozlał trochę na dywan, lecz chyba tego nie zauważył.

- Ale skoro pan wie, że nie mamy z tym nic wspólnego, to w jaki sposób możemy wam pomóc?

- Opowiedzcie mi wszystko, co się wydarzyło w bloku "F", kiedy byliście tam wczoraj rzekłem.- Wszystko. Co robiliście, co widzieliście, co mówił wam doktor Baxter i wy jemu. niczego nie pomijajcie, nawet najdrobniejszego szczegółu.

Zaczęli na przemian relacjonować, a ja siedziałem i patrzyłem na nich z udawanym skupieniem, lecz w ogóle niczego nie słuchałem. Tymczasem wróciły ich żony i zawstydzona pani Bryson półgębkiem uśmiechnęła się do mnie blado, ale ja tego nie zauważyłem byłem przecież tak zasłuchany.

Kiedy przy pierwszej nadarzającej się sposobności skończyłem swoją whisky, wstałem i zacząłem zbierać się do wyjścia,

pani Bryson powiedziała kilka przepraszających słów na temat swojej niedyspozycji a ja zrewanżowałem się jej tym samym.

- Przykro mi, że właściwie w niczym wam nie pomogliśmy, panie Cavell - odezwał się Bryson.

Pomogliście, pomogliście odpowiedziałem. Praca policji przeważnie ogranicza się do sprawdzania i eliminowania różnych możliwości. Pozwoliliście nam wyeliminować więcej, niż sądzicie. Przepraszam, że narobiłem tyle zamieszania. Zdaję sobie sprawę, jaki to wielki wstrząs dla waszych rodzin, tak blisko związanych z Mordon. Ale mówiąc o rodzinach, gdzie są teraz dzieci?

- Chwała Bogu nie tutaj odparła pani Chipperfield. Są u babci w Kencie... wie pan, mają teraz ferie jesienne i jak zwykle pojechały do niej.

-Rzeczywiście w tej chwili to dla nich najlepsze miejsce- przyznałem.

Potem jeszcze raz ich przeprosiłem, szybko się pożegnałem i wyszedłem.

Na dworze było już całkiem ciemno. Wróciłem do wynajętego samochodu, wsiadłem i wyjechałem z bramy w lewo, do Alfringham. Po jakichś czterystu metrach skręciłem w najbliższą boczną drogę, wyłączyłem silnik i zgasilem światła. Noga bardzo mnie bolała i powrót do domku Brysona zajął mi prawie piętnaście minut. Okna pokoju zasłaniała stora, ale niezbyt szczelnie. Bez trudu mogłem zobaczyć wszystko, co chciałem. Pani Bryson siedziała na kanapie, płacząc rzewnymi łzami. Mąż obejmował ją jedną ręką, a w drugiej trzymał szklankę whisky opróżnioną więcej niż w połowie. Chipperfield, z taką samą szklanką, wpatrywał się w ogień z pociemniałą i ponurą twarzą. Na wprost mnie siedziała na kanapie pani Chipperfield. Nie widziałem jej twarzy, a tylko jasne włosy, połyskujące w świetle lampy, kiedy pochylała się nad jakimś przedmiotem, który trzymała w dłoni. Nie mogłem dostrzec, co to było, lecz nie musiałem- moje domysły równały się całkowitej pewności. Odszedłem cicho i bez pośpiechu wróciłem do samochodu. Do przyjazdu pociągu z Londynu i... Mary pozostało mi jeszcze dwadzieścia minut.

Mary to dla mnie wszystko. Byłem z nią żonaty zaledwie od dwóch miesięcy, ale wiedziałem, że tak będzie do końca moich dni. Jest dla mnie wszystkim. Każdy mężczyzna z łatwością używa takich słów, które są tanie i zwykle nie mają większego znaczenia. Jednak nie w wypadku Mary – trzeba ją najpierw zobaczyć, by uwierzyć, że to prawda.

Jest drobną śliczną blondynką o zdumiewająco zielonych oczach. Lecz nie to stanowi o jej wyjątkowości – wieczorem w Londynie, kiedy jest największy ruch, bez trudu można spotkać przynajmniej kilka drobnych ślicznych blondynek na wyciągnięcie ręki. Nie chodzi też o otaczającą ją zaraźliwą atmosferę szczęścia, której każdy ulega, ani o jej nieodparcie

wesołe usposobienie, czy radość życia rzucającą się w oczy jak u kolibra. W niej jest coś więcej. Coś szczególnego w twarzy, oczach i głosie, we wszystkim, co mówi i robi. Właśnie to sprawia, że jako jedyna znana mi osoba nie ma wrogów ani wśród kobiet, ani wśród mężczyzn. Tylko jedno słowo może opisać tę szczególną cechę, choć jest staroświeckie i często używane w ujemnym znaczeniu - dobroć. Mary sama nie znosi tak zwanych dobrych ludzi i nazywa ich świętoszkami, ale jej własna dobroć otacza ją w wyczuwalny sposób niczym pole magnetyczne, przyciągając do niej więcej nieudaczników, rozbitków życiowych, poszkodowanych na ciele i umyśle, niż w sumie kilkanaście osób może spotkać w ciągu całego życia. Jednakowo lgnie do niej staruszek, który dożywa swych dni, drzemiąc na parkowej ławce w bladych promieniach jesiennego słońca, i ptak ze złamanym skrzydłem. Złamane skrzydła to jej specjalność i dopiero teraz zacząłem sobie uświadamiać, że po każdym złamanym skrzydle, jakie leczyła, zjawiało się następne którym poza nią nikt w świecie nie wiedział. Ten idealny obraz dopełnia jedna wada, nadająca Mary cechy ludzkie - wybuchowy charakter co przejawia się w najbardziej widowiskowy sposób z akompaniamentem odpowiednio szokującego języka, ale tylko wówczas, gdy widzi ptaka ze złamanym skrzydłem... albo Osobę, która ponosi za to odpowiedzialność.

Jest moją żoną ja wciąż nie przestaję się dziwić, dlaczego za mnie wyszła. Mogła przecież poślubić tylu innych, a

wybrała właśnie mnie. Pewnie dlatego, że przypominałem jej ptaka ze złamanym skrzydłem. Gąsienica czołgu, która

strzaskała mi nogę w błocie pod Caen, i ten pocisk gazowy, co tak mi opalił całą połowę twarzy, że Adonis by się do niej

nie przyznał - chirurgia plastyczna okazała się bezsilna, a moje lewe oko z trudem rozróżnia dzień i noc - wszystko to

uczyniło mnie ptakiem ze złamanym skrzydłem.

Przyjechał pociąg i zobaczyłem ją, jak wyskakuje z przedziału około dwudziestu metrów ode mnie, a za nią jakiegoś

tęgiego faceta w średnim wieku, w meloniku i z parasolem, dźwigającego jej walizki - wypisz wymaluj wielkowiejski

kapitalista, który gnębi ubogich i eksmituje wdowy i sieroty. Nigdy przedtem go nie widziałem i

byłem pewien, że Mary

go nie знаła. Ona po prostu zniewalała otoczenie ludzkie, po których najmniej można się tego spodziewać, wprost bili się

o to, żeby jej pomóc, a ten kapitalista wyglądał na takiego, co umie walczyć.

Nadbiegła po peronie i wpadła na mnie z takim impetem, że ledwo utrzymałem się na nogach. Powitaniom nie było końca, a choć wciąż jeszcze nie mogłem się pogodzić ze zdziwionymi spojrzeniami współpasażerów, to jednak powoli zaczynałem się do nich przyzwyczajać. Ostatni raz widziałem ją tego samego dnia rano, a witała się ze mną jak z dawno utraconym kochankiem, który wraca do domu po długoletnim pobycie na pustkowiach Australii. Akurat stawiałem Mary na ziemi, kiedy nadszedł kapitalista, rzucił walizki, promiennie uśmiechnął się do mojej żony, uchylając kapelusza, i ruszył dalej. Odchodząc tanecznym krokiem, wciąż z promiennym uśmiechem zapatrzony w Mary, spadł z peronu. Kiedy wstał i zaczął się otrzępywać, w dalszym ciągu promieniał. Ponownie uchylił kapelusza i znikł.

Uważaj, jak się uśmiechasz do swoich wielbicieli powiedziałem surowo. Chcesz, żebym przez ciebie do końca życia pracował wyłącznie na odszkodowania? Ten ciemniejszy klasy robotniczej, co właśnie sobie poszedł, zmusi mnie do chodzenia w jednym garniturze przez całe życie.

- On był naprawdę bardzo miły rzekła z uśmiechem, przyjrzała mi się i nagle spoważniała. - Pierre Cavell, jesteś zmęczony, czymś się zamartwiasz i boli cię noga.

- Cavell ma twarz jak maskę odparłem. Nie można odgadnąć, co czuje i myśli... mówią o nim "nieprzenikniony". Spytaj kogo chcesz.

- I piłeś whisky.

- Zmusiła mnie do tego tak długa rozłąka – stwierdziłem prowadząc Mary do samochodu. - Mieszkamy w "Zajeździe".

- Cudownie! Te dachy pokryte strzechą, dębowe belki i zaciszne kąciki przy płonącym kominku! - wykrzyknęła, radośnie i zadrżała. - Ale ziąb. Nie mogę się doczekać, kiedy tam będziemy.

Dotarliśmy na miejsce w trzy minuty. Zaparkowałem samochód koło typowo nowoczesnego budynku, błyszczącego szkłem i chromem. Mary spojrzała nań, potem na mnie i rzekła

- I to ma być ten "Zajazd"?

- Spójrz na neon. Wygodki na dworze i podziurawione przez korniki słupki baldachimów nad

łózkami już wyszły z mody. - Ale na pewno mają centralne.

Właściciel, który teraz występował w drugiej roli jako recepcjonista, pewnie lepiej by się czuł w prawdziwym osiemnastowiecznym zajeździe. Miał czerwoną twarz, był bez marynarki i mocno załatywało od niego browarem. Popatrzył na mnie spode łba, uśmiechnął się do Mary i przywołał jakiegoś dziesięciolatka, prawdopodobnie swojego syna, który zaprowadził nas na piętro. Pokój okazał się dość czysty, w miarę przestronny, z widokiem na podwórze, którego wystrój był marną imitacją kontynentalnego ogródka piwiarni. Najważniejsze, że jedno okno wychodziło na pokryte daszkiem przejście, prowadzące na kort. .

Kiedy za chłopcem zamknęły się drzwi, Mary podeszła do mnie i spytała

- Jak tam ta twoja głupia noga, Pierre? Ale szczerze.

- Nie najlepiej - przyznałem, dawno już bowiem zrezygnowałem z udawania przed Mary, która przynajmniej wobec mnie zachowywała się jak wykrywacz kłamstw w ludzkiej postaci. - Ale to przejdzie. Jak zwykle.

- A teraz na fotel - rozkazała. - Podstawimy ten stołek, o, tak. Dziś już nie będziesz więcej używał tej nogi.

- Chyba jednak będę musiał. Ale tylko troszeczkę. To cholernie przykre, ale nic nie poradzę

- Poradzisz - upierała się. - Nie musisz wszystkiego robić sam. Jest mnóstwo ludzi...

- Obawiam się, że nie tym razem. Muszę wyjść. Dwukrotnie. Chciałbym, żebyś za pierwszym razem ze mną poszła, i dlatego zaprosiłem cię tutaj.

Nie zadawała żadnych pytań. Podniosła słuchawkę telefonu i zamówiła whisky dla mnie, a dla siebie sherry. Alkohole przyniósł ten sam facet bez marynarki, lekko zadyszany z powodu wspinaczki po schodach.

- Bardzo proszę, czy nie moglibyśmy zjeść kolacji w pokoju? - spytała uśmiechając się do niego.

- Kolację!?! - wykrzyknął z oburzeniem, a jego twarz jeszcze bardziej poczerwieniała, co wydawało się niemożliwe. - W pokoju? Kolację! A to dobre! Myśli pani, że tu jest

co... może Hilton?

Oderwał wzrok od sufitu, dokąd kierował swoje błagalne spojrzenia w poszukiwaniu odsieczy z nieba, i znów popatrzył na Mary. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zamknął je, cały czas

spoglądając na Mary, i już wiedziałem, że przegrał.

- Hilton - powtórzył jak automat. - Ja... no, to zobaczę, co się da zrobić... Widzi pani... u nas_ nie ma takiego zwyczaju, ale... ale zrobię to z przyjemnością, proszę pani.

Wyszedł.

- Prawo powinno karać takich jak ty - powiedziałem.- Nalej mi trochę whisky i przynieś telefon.

Przeprowadziłem trzy rozmowy pierwszą z Londynem, drugą z inspektorem Wylieem, a ostatnią z Hardangerem. Wciąż jeszcze był w Mordon. Sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego i podenerwowanego, czemu się nie dziwiłem. Miał za sobą .długi i prawdopodobnie pełen frustracji dzień.

- Cavell? - jego głos zabrzmiał niemal jak szczeknięcie.- Jak ci poszło z tymi dwoma? Myślę o tych na farmie z Brysonem i Chipperfieldem? Nie ma nic. Dwustu świadków przysięgnie; że wczoraj między jedenastą wieczorem a północą żaden z nich nie zbliżył się do Mordon na dziesięć kilometrów.

- Co ty opowiadasz? Dwustu...

- Byli na dansingu. Dały coś zeznania reszty podejrzanych z laboratorium numer jeden?

- A co miały dać? -rzekł z goryczą. - Myślisz, że morderca jest taki głupi; żeby nie mieć alibi? Oni wszyscy mają alibi... i to cholernie mocne. Ciągle nie jestem przekonany, . że to nie był ktoś z zewnątrz.

- A Chessingham i doktor Hartnell ? Czy ich zeznania trzymają się kupy?

- Dlaczego akurat ci dwaj? - spytał Hardanger podejrzliwie.

- Interesują mnie. Dziś wieczorem będę się z nimi widział i ciekaw jestem, co mówili.

- Z nikim się nie będziesz widział bez mojego pozwolenia, Cavell - Hardanger niemal krzyczał. - Niepotrzebni mi ludzie, którzy popełniają głupie błędy.

- Nie zrobię błędu. I zobaczę się z nimi. Generał powiedział, że mam wolną rękę, prawda? Oczywiście możesz mi zabronić, ale według mnie trudno to nazwać dawaniem - wolnej ręki. Generał nie będzie tym zachwycony.

Milczenie. Hardanger się opanowywał. W końcu przemówił nieco łagodniejszym tonem.

- Wmawiałaś mi, że nie podejrzewasz Chessinghama.

- Ale chcę się z nim zobaczyć. Jest bystry i spostrzegawczy, a przy tym łączy go z Hartnellem więcej niż zwykła znajomość. Interesuje mnie właściwie Hartnell. Choć jest wybitnym naukowcem, to jednak człowiek młody i finansowo nieodpowiedzialny. Myśli, że jak się zna na wirusach, to już wystarczy, żeby grać na giełdzie. Trzy miesiące temu wsadził całą swoją gotówkę w pewną spółkę, która oferowała tanie nocne loty za pomocą imponujących ogłoszeń, zamieszczanych w każdym krajowym dzienniku. Wszystko to stracił. Potem, kilka tygodni przed moim wyjazdem z Mordon, zadłużył się na hipotekę swojego domu. Chyba również i to prawie zupełnie stracił, próbując sobie odbić tamto.

- Dlaczego u diabła wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? - spytał Hardanger.

- Dopiero dziś nagle mi się przypomniało.

- Dopiero dziś nagle mi... - urwał, jakby się dusił, a później zaczął głośno rozważać Czy to nie za proste? Naskoczyć na Hartnella? Wyłącznie dlatego, że grozi mu bankructwo?

- Nie wiem. Mówię tylko; że nie zawsze jest rozsądny. Muszę to zbadać. Obaj naturalnie mają alibi?

- Byli w domu. Ich rodziny to potwierdzają. Chciałbym się potem z tobą zobaczyć - rzekł, co świadczyło, że ustąpił.

- Będę w Alfringham w sądzie.

- Ja jestem w "Zajeździe". To parę minut drogi. .Nie mógłbyś wpaść do nas około dziesiątej?

- Nas?

- Po południu przyjechała Mary.

- Mary?

W jego głosie wyczułem zaskoczenie, podejrzliwość, które nie starał się ukryć, lecz przede wszystkim radość. Hardanger nie darzył mnie zbyt wielką sympatią z jednego ważnego powodu zabrałem mu najlepszą sekretarkę, jaką kiedykolwiek miał. Mary pracowała z nim trzy lata, a jeśli o kimś można powiedzieć, że jest uwielbiany, choć przewrotny jak bazyliiszek, to tylko o niej.

Powiedział, że będzie koło dziesiątej.

Rozdział piąty

Jechałem do Lasu Hailemskiego z siedzącą obok mnie Mary, która dziwnie milczała. Podczas kolacji wszystko jej opowiedziałem wszystko bez wyjątku jeszcze _ nigdy nie zauważyłem u niej strachu, lecz teraz się bała.

Nawet bardzo. Dwoje przestraszonych ludzi w samochodzie. zajechaliśmy pod dom Chessinghama mniej więcej kwadrans przed ósmą. Do frontowych drzwi tej staromodnej kamiennej budowli o płaskim dachu i długich, wąskich oknach prowadziły schodki, również zbudowane z kamienia, biegnące ponad rowem, który otaczał dom niby fosa i zapewniał światło-dzienne suterenie. W gałęziach wysokich drzew, rosnących wokół budynku, szumiał wiatr i właśnie zaczynała się ulewa. Ta sceneria i wieczorna pora świetnie pasowały do naszego nastroju.

Chessingham usłyszał nadjeżdżający samochód i już czekał u szczytu schodów. Był blady i spięty, ale to o niczym nie świadczyło, każda bowiem osoba, którą cokolwiek łączyło z blokiem "E", miała wystarczające powody, żeby tego dnia tak wyglądać. nie wyciągnął ręki na powitanie, jednak otworzył drzwi na oścież i stanął z boku, by nas przepuścić.

- Cavell - powiedział. - Słyszałem, że byłeś w Mordon. Raczej się ciebie tutaj nie spodziewałem. Myślałem, że dzisiaj zadawano mi już dość pytań.

- Nasza wizyta jest całkiem prywatna zapewniłem go.- To moja żona, Chessingham. Kiedy ją ze sobą zabieram,

wówczas kajdanki zostawiam w domu.

Nie było w tym nic zabawnego. Z ociąganiem uściśnął rękę Mary i wprowadził nas do staromodnego salonu z ciężkimi meblami z epoki króla Edwarda, aksamitnymi draperiami od sufitu po samą podłogę i ogniem płonącym na ogromnym kominku, przy którym w fotelach z wysokimi oparciami siedziały dwie osoby. Jedna z nich ładna, niespełna dwudziestoletnia dziewczyna - miała takie same brązowe włosy i oczy jak Chessingham. Jego siostra. Druga to oczywiście ich matka, ale znacznie starsza, niż się spodziewałem. Dokładniej się przyjrzawszy stwierdziłem, że wcale nie jest aż tak stara, na jaką wygląda. Włosy miała zupełnie białe, jej oczy szklily się owym dziwnym blaskiem, który daje się zauważyć u starych ludzi pod koniec życia, a złożone na podołku wychudzone ręce pokryte były zmarszczkami i siateczką drobnych sinych żyłek. To nie stara, lecz chora, bardzo chora kobieta, która się przedwcześnie postarzała Siedząc trzymała się jednak bardzo

- Państwo Cavellowie - przedstawił nas Chessingham. - O panu Cavellu już nieraz wam wspominałem. Moja mama, moja siostra Stella.

- Witam państwa!

Pani Chessingham mówiła w sposób bezpośredni pewnym i rzeczowym tonem, który doskonale -by pasował do wiktoriańskiego salonu i domu pełnego służby. Spojrzała badawczo na Mary.

- Niestety nie mam już tak dobrego wzroku jak niegdyś, ale... mój Boże, pani jest naprawdę piękną kobietą. Proszę

podejść i usiąść koło mnie. Jakże się panu udało zdobyć takie cudo, panie Cavell?

- Chyba przez pomyłkę wzięła mnie za kogoś innego- odparłem.

- Tak bywa - stwierdziła pani Chessingham. W jej oczach błysnęły iskierki humorów, a potem mówiła dalej - To straszne, co się dziś wydarzyło w Mordon. Straszne. Wszystkiego się dowiedziałam.

Po chwili milczenia na jej ustach znów pojawił się blady uśmiech.

- Panie Cavell - powiedziała - mam nadzieję, że nie przyjechał pan tutaj po to, żeby od razu zabrać Erica do więzienia

- Nawet nie zdążył zjeść kolacji. Widzi pan, wszystko przez te nerwy. - Jedyne, co łączy syna z tą sprawą, pani Chessingham, to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że akurat pracuje w laboratorium numer jeden. Interesujemy się nim tylko dlatego, żeby całkowicie i ostatecznie uwolnić go od podejrzeń. każda kolejna osoba, którą eliminujemy, w pewnym sensie posuwa śledztwo do przodu.

- Jego nie trzeba eliminować - powiedziała pani Chessingham nieco oschłym tonem. - Eric nie ma z tym nic wspólnego.

- Należy sprawdzić wszystkie zeznania, nawet jeśli może okazać się to niepotrzebne. Miałem ogromne trudności z przekonaniem komisarza, że to ja powinienem tu przyjechać zamiast jednego z jego funkcjonariuszy. Zauważyłem, jak Mary ze zdumienia wytrzeszczyła oczy, ale szybko się opanowała.

- Dlaczego pan to uczynił, panie Cavell?

- Zrobiło mi się żal młodego Chessinghama, który musiał czuć się głupio i bezradnie wobec tak apodyktycznego zachowania swojej matki.

- Ponieważ znam pani syna, a policja nie. Pozwoli to nam z punktu oszczędzić trzy czwarte pytań. A w takich wypadkach jak ten wywiadowcy z Wydziału Specjalnego potrafią zadawać mnóstwo bardzo nieprzyjemnych i zbędnych pytań.

- Bez wątpienia Nie wątpię teź że w razie potrzeby pan równieź umie być bezwzględnym jak wszyscy mężczyźni, których kiedykolwiek poznałam. Wiem jednak, że teraz nie ma takiej potrzeby.

Westchnęła i położyła dłonie na poręczach fotela.

- Mam nadzieję, że mi pan wybaczy. Jako starsza pani, która niezbyt dobrze się czuje, mam pewne przywileje...Kolacja w łóżku jest jednym z nich - powiedziała, a potem z uśmiechem zwróciła się do Mary Chciałabym z panią porozmawiać, moje dziecko. Tak niewiele osób mnie odwiedza, więc muszę to wykorzystać. Nie zechciałaby mi, pani pomóc przy wchodzeniu na te okropne schody? Stella tymczasem zajmie się kolacją

- Przepraszam za zachowanie mojej matki odezwał się Chessingham, kiedy zostaliśmy sami. Nie chciała...

- Uważam, że jest wspaniałą kobietą. Nie musisz mnie przeproszać - odparłem i na te słowa twarz mu się nieco roz pogodziła. - A teraz. do rzeczy. Mówiłeś, że całą noc byłeś w domu. Matka i siostra oczywiście to potwierdzą?

- Oczywiście - powiedział z uśmiechem. - Potwierdziłyby, nawet gdybym nie był

- Z tego, co widziałem, trudno się temu dziwić - pokiwałem głową. - We wszystko, co mówi twoja matka, można

uwierzyć. Ale nie siostra. jest młoda i niedoświadczona...

Sprawny policjant rozgryzie ją w pięć minut. Jesteś za sprytny, żeby tego faktu nie uwzględniać, a więc musisz mówić prawdę, jeśli masz z tym cokolwiek wspólnego. Czy obie mogą zaręczyć, że cały wieczór byłeś w domu...powiedzmy do jedenastej piętnaście?

- Nie - odparł marszcząc brwi. - Stella poszła spać około pół do jedenastej, a ja jeszcze siedziałem przez parę godzin na dachu.

- W swoim obserwatorium? Słyszałem o nim. Czy ktoś może potwierdzić, że tam byłeś?

- Nie - odpowiedział i zastanawiając się znowu zmarszczył brwi. - Ale czy to takie ważne? Przecież nie mam nawet roweru, a o tej porze autobusy już nie kursują. Jeżeli byłem tu o dziesiątej trzydzięci, to i tak nie mógłbym dojść do Mordon przed jedenastą piętnaście. Jak wiesz, to aż siedem

kilometrów.

- Czy wiesz, w jaki sposób dokonano przestępstwa? spytałem. To znaczy, czy o tym słyszałeś? Ktoś odwrócił uwagę strażników, a w tym czasie kto inny poprzecinał ogrodzenia. Ten pierwszy uciekł potem Bedfordem skradzionym w Alfringham.

- Słyszałem coś w tym rodzaju. Policjanci nie byli zbyt rozmowni, ale doszły mnie plotki.

- Czy wiesz, że tego Bedforda odnaleziono porzuconego zaledwie sto pięćdziesiąt metrów od twojego domu?

- Sto pięćdziesiąt metrów! - wykrzyknął chyba rzeczywiście zaskoczony i markotnie zapatrzył się w ogień. - To fatalnie, co?

- Jeszcze jak

Zastanawiał się przez chwilę, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie jestem znowu taki sprytny, za jakiego mnie uważasz.

Sytuacja nie jest fatalna, lecz dobra. Gdybym to ja prowadził ten samochód, musiałbym najpierw pojechać po niego do

Alfringham.. wyruszając stąd o dziesiątej trzydzieści. Poza tym; gdybym ja był tym kierowcą, wówczas oczywiście nie

mógłbym być w Mordon... a w tym czasie rzekomo powinienem już- stamtąd uciekać. Po trzecie, nie jestem taki głupi,

żeby zostawiać samochód u progu własnego domu. A po czwarte, nie umiem prowadzić.

- To by wszystko załatwiało - przyznałem.

- Mam jeszcze coś lepszego - rzekł podniecony. - O, Boże! Dziś w ogóle nie umiem myśleć. Chodźmy do obserwatorium.

Weszliśmy na schody. Mijając jakieś drzwi na pierwszym piętrze, usłyszałem przytłumione głosy. To pani Chessingham

rozmawiała z Mary Po drabinie wspięliśmy się do kwadratowej nadbudówki pośrodku płaskiego dachu. Przepierzeniem ze sklejk podzieleno ją na dwie części wejście do jednej było zasłonięte

kotarą, w głębi drugiej znajdował się zdumiewająco duży teleskop, umocowany w kopule z pleksiglasu.

- To jedyne moje hobby - powiedział Chessingham. Z jego twarzy zniknęło już napięcie, a teraz malował się na niej zapal prawdziwego entuzjasty. - Jestem członkiem Sekcji Jowisza Brytyjskiego Towarzystwa Astronomicznego i korespondentem kilku specjalistycznych pism... niektóre z nich prawie wyłącznie opierają się na pracy takich amatorów jak ja... a muszę ci powiedzieć, że najgorzej jest z tymi astronomami amatorami, co na dobre połkną tego bakcyła. Siedziałem tu prawie do drugiej w nocy... robiąc dla "Miesięcznika Astronomicznego" serię zdjęć "Czerwonej Plamy" na Jowiszu i satelity Io w jego cieniu - wyjaśniał uśmiechnięty, teraz już całkiem rozluźniony. - Tu jest list, w którym proszą mnie o te zdjęcia... i dziękują za nadesłane materiały.

Rzuciłem okiem na list. Był oczywiście autentyczny.

- Zrobiłem zestaw sześciu fotografii. Według mnie bardzo dobrych. Czekał, zaraz ci je pokażę.

Zniknął za kotarą zasłaniającą, jak się domyślałem, wejście do ciemni a po chwili wrócił z plikiem najwyraźniej świeżych zdjęć. Wziąłem je do ręki. Moim zdaniem wyglądały okropnie jakaś kupa szarawych plam i smug na ciemnym rozmazanym tle.

- Niezłe, co?

- Niezłe - odparłem, a po chwili milczenia nagle spytałem - Czy na podstawie tych zdjęć można stwierdzić, kiedy zostały zrobione?

Właśnie dlatego je przyniosłem. Zawieź je do obserwatorium w Greenwich, niech tam dokładnie określą długość i szerokość geograficzną mojego domu, i w ciągu pół minuty powiedzą ci, o której godzinie wykonano każde z tych zdjęć.

Proszę, możesz je wziąć.

- Nie dziękuję - rzekłem zwracając mu fotografie i uśmiechnąłem się. - Wiem, że i tak już straciłem dużo czasu.. o wiele za dużo. Wyślij je do "Miesięcznika Astronomicznego" z moimi najlepszymi życzeniami.

Mary i Stellę zastaliśmy na rozmowie przy kominku. Po kilku uprzejmościach i grzecznym wymówieniu się od alkoholu ruszyliśmy w drogę. W czasie jazdy włączyłem ogrzewanie na maksimum, ale nie zauważyłem żadnej różnicy.

Pewnie włącznik nie działał. Było okropnie zimno i lało. Łudziłem się jednak nadzieją, że deszcz ustanie.

- A ty masz coś? - zapytałem Mary.

- Nienawidzę tego - powiedziała gwałtownie.-i nienawidzę tego obrzydliwego podchodzenia ludzi Tych kłamstw...Okłamywania tak cudownej kobiety jak pani Chessingham... tej miłej dziewczyny. I pomyśleć, że tyle lat pracowałam z komisarzem i nawet nie przyszło mi do głowy...

- Wiem - przerwałem jej. - Ale tylko złem można zwalczyć zło. Nie zapominaj o tym dwukrotnym mordercy, o

Człowieku, który ma w kieszeni szatańskiego wirusa. Pomyśl

- Przepraszam Naprawdę bardzo cię przepraszam. Po prostu chyba nigdy nie nadawałam się na.. mniejsza z tym...

Nie wiele ustaliłam. Mają służącą... dlatego kolacja była gotowa, jak tylko Stella wstała. Stella mieszka z nimi...

Nakłonił ją do tego jej brat. Chce, żeby cały czas spędzała w domu i doglądała matki. Z tego, co wiem od Stelli, ich

Matka jest rzeczywiście, bardzo chora. W każdej chwili może umrzeć... lekarz powiedział, że pobyt w ciepłym klimacie, w

Grecji czy Hiszpanii, przedłużyłby jej życie o dziesięć lat. To, jakieś groźne połączenie astmy z niedomogą serca. Ale matka nie chce wyjechać i woli raczej umrzeć w Wiltshire, niż wegetować w Alicante. Mniej więcej tak to wygląda. I tylko tyle.

To wystarczyło. Aż nadto. Siedziałem w milczeniu, zastanawiając się, czy przypadkiem chirurdzy nie mieli racji, proponując mi nową stopę, gdy nagle usłyszałem głos Mary.

- A ty? Dowiedziałeś się czegoś?

Wszystko jej opowiedziałem. Kiedy skończyłem, rzekła

-.Słyszałam, jak mówiłeś komisarzowi, że chcesz się widzieć z Chessinghamem tylko po to, by wypytać go o doktora Hartnella. No i czego się dowiedziałeś?

- Niczego. Nawet nie pytałem.

- Nawet nie... dlaczego, u licha?

Wyjaśniłem jej dlaczego.

Doktora Hartnella z żoną byli bezdzietni - zastaliśmy w domu. Oboje znali Mary - spotkaliśmy się na gruncie towarzyskim jeden raz w czasie jej krótkiego pobytu w Mordon, kiedy jeszcze tam mieszkałem - ale teraz najwyraźniej nie uważali naszej wizyty za prywatną. Wszystkie odwiedzane osoby okazywały zdenerwowanie i przyjmowały postawę obronną. Nic dziwnego. Ja też bym się denerwował, gdyby podejrzewano mnie o dwa morderstwa.

Wyjaśniłem, że moja wizyta to jedynie formalność i że tylko oszczędziłem im nieprzyjemności, przychodząc samemu, zamiast pozwolić, by jeden z funkcjonariuszy Hardangera zadawał im pytania. Nie interesowało mnie, czym się zajmowali wczesnym wieczorem. Zapytałem ich, co robili później, a oni odpowiedzieli, że oglądali "Złotych Rycerzy", telewizyjną wersję sztuki teatralnej, która długo cieszyła się powodzeniem w Londynie i akurat zeszła z afisza.

- Państwo ją oglądali? - wtrąciła Mary. - Ja też. Wczoraj wieczorem Pierre wyszedł z domu w sprawach zawodowych, więc włączyłam telewizor. Świetna rzecz.

Przez kilka minut dyskutowali o tej sztuce. Wiedziałem, że Mary ją obejrzała, a. teraz stara się zorientować, czy oni rzeczywiście ją widzieli, lecz niewątpliwie tak było. Po jakimś czasie spytałem

- O której się skończyła?

- Koło jedenastej.

- A co potem?

- Szybko zjedliśmy kolację i spać - rzekł Hartnell.

- Powiedzmy o pół do dwunastej?

- Najdalej.

- To mnie absolutnie zadowala.

Usłyszałem, że Mary chrząka, więc spojrzałem na nią niby przypadkowo. Jej palce o długich paznokciach lekko spoczywały na podolku. Wiedziałem, co to znaczy – Hartnell kłamie. Nie wiedziałem, na czym jego kłamstwo polegało,

ale do jej sądów miałem całkowite zaufanie

- Zerknąłem na zegarek. Umówiłem się na telefon o pół do dziewiątej i teraz była dokładnie ta

godzina. Inspektor Wylie

okazał się punktualny. Rozległ się dzwonek. Hartnell powiedział coś do słuchawki, a później wręczył ją mnie

- To do ciebie, Cavell, chyba policja.?

Rozmawiałem trzymając słuchawkę w pewnej odległości od ucha. Wylie z natury miał donośny głos, a ja go prosiłem, aby mówił głośno. Zastosował się do tego.

- Pan Cavell? Powiedział mi pan, że pan tam będzie, więc korzystam. Sprawa jest pilna. Paskudna historia w Hailem

Junetion. Jeśli się nie mylę, ma ścisły związek z Mordon. naprawdę bardzo nieprzyjemna. Czy mógłby pan natychmiast przyjechać?

- Spróbuję. Gdzie jest Hailem Junetion?

- Niecały kilometr od miejsca, gdzie się pan w tej chwili znajduje. Trzeba pojechać do końca alei, skręcić w prawo, minąć "Zielonego Ludka" i już.

Odłożyłem słuchawkę i wstałem.

- To inspektor Wylie - powiedziałem z wahaniem – Mają jakieś kłopoty w Hailem Junetion. Czy Mary mogłaby tu zostać na parę minut? Inspektor powiedział mi, że to niezbyt daleko.

- Oczywiście. Zajmiemy się nią, staruszk.

Od chwili gdy uznałem jego alibi, doktor Hartnell stał się prawie jowialny.

Po przejechaniu kilkuset metrów zaparkowałem samochód w alei, wyjąłem ze schowka latarkę i wróciłem pod dom Hartnella. Zajrzałem w oświetlone okno, by się upewnić, czy z tej strony nic mi nie grozi. Hartnell napełniał szklanki i cała trójka zdawała się rozmawiać z ożywieniem - jak zwykle, kiedy mija napięcie. Wiedziałem, że mogę polegać na Mary, która potrafi zająć ich rozmową w nieskończoność. Zauważyłem; że pani Hartnell wciąż siedzi na tym samym krześle; kiedy przyjechaliśmy, nawet nie wstała, żeby się z nami przywitać. Pewnie bolały ją nogi. Elastyczne pończochy nie są tak niewidoczne, jak utrzymują niektórzy producenci.

Na drzwiach garażu wisiała ciężka kłódka, lecz mistrz ślusarski, u którego praktykowałem z kilkunastoma kolegami w odległej przeszłości, uśmiełby się na jej widok. Ja się nie śmiałem; przecież nie jestem mistrzem ślusarskim; ale mimo to otworzyłem ją w niespełna dwie minuty,

prawie się nie kalecząc.

Lekkomyślne przedsięwzięcie giełdowe Hartnella w pewnej chwili zmusiło go do sprzedania samochodu i teraz jego jedynym środkiem transportu był skuter vespa, chociaż wiedziałem, że do pracy jeździ autobusem. Skuter był niedawno myty, lecz mnie interesowały wyłącznie części brudne. Dokładnie obejrzałem pojazd i w końcu zdrapałem trochę zeschniętego błota spod przedniego błotnika, a potem włożyłem do plastikowej torebki, którą szczelnie zamknąłem. Przez dwie minuty rozglądałem się po garażu, a potem, wyszedłem zamykając go za sobą.

Później jeszcze raz szybko sprawdziłem, jak przedstawia się sytuacja w pokoju - w dalszym ciągu cała trójka siedziała przy kominku, pijąc i rozmawiając. Ruszyłem do szopy z narzędziami, która znajdowała się za garażem. Nikt z okien domu nie mógł mnie tam zobaczyć, więc korzystając z tego dokładnie obejrzałem sobie kłódkę. Otworzyłem ją i wszedłem do środka.

Szopa miała nie więcej niż półtora metra na dwa i w niespełna dziesięć sekund znalazłem to, czego szukałem. Nawet nie próbowano niczego ukryć. Skorzystałem z dwóch następnych plastikowych torebek, zamknąłem drzwi, zawiesiłem kłódkę i wróciłem do samochodu. Wkrótce potem zaparkowałem go przed domem Hartnella. Nacisnąłem dzwonek i drzwi otworzył mi gospodarz.

- Rzeczywiście nie zajęło ci to wiele czasu, Cavell- powiedział wesóło, wprowadzając mnie do hallu. - Co tam się... - przerwał z zamierającym uśmiechem, spostrzegłszy moją minę. - Czy... czy coś się stało?

Obawiam się, że tak - odparłem chłodno. - Jest bardzo niedobrze. Wpakowałeś się, doktorze Hartnell. I to chyba

nieźle. Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Wpakowałem się? - spytał na pozór obojętnie, lecz w jego oczach pojawił się cień strachu. - O czym ty u diabła mówisz

_ - Dość tego - rzekłem. - Ja w przeciwieństwie do ciebie trochę sobie cenię swój czas. A ponieważ nie chcę go tracić

na dobieranie eleganckich słów, więc powiem krótko i otwarcie beczelnie kłamiesz, Hartnell.

- Do cholery, Cavell, za dużo sobie pozwalasz! - Zbladł, zacisnął pięści i zauważyłem, że gorączkowo się zastanawiał,

czy nie ruszyć na mnie, co jako medyk powinien uznać za byt mało. obiecujące, ważył bowiem dwadzieścia kilogramów mniej. - Nikomu nie pozwolę tak do siebie mówić!

- Będziesz musiał, kiedy staniesz przed prokuratorem w Old Bailey, więc lepiej trochę sobie poćwicz, żeby się przyzwyczaić. Gdybyś, jak twierdzisz, oglądał wczoraj "Złotych Rycerzy", to musiałbyś wozić telewizor na kierownicy skutera. Policjant, który cię widział, jak nocą jechałeś przez Hailem, nic o telewizorze nie wspomniał.

- Zapewniam cię, Cavell, nie mam zielonego pojęcia...

- Już mi to obrzydło. Kłamstwo mogę wybaczyć, ale głupoty człowiekowi tej klasy, co ty, nie - rzekłem i spojrzałem na Mary - Co było z tą sztuką?

Skrepowana niezręczną sytuacją lekko wzruszyła ramionami. -Wczoraj wieczorem jakaś awaria sieci elektrycznej poważnie zakłóciła nadawanie wszystkich programów telewizyjnych w południowej Anglii. Sztukę trzykrotnie przerywano i skończyła się dopiero za dwadzieścia dwunasta.

- Musicie mieć rzeczywiście wyjątkowy telewizor - zwróciłem się do Hartnella.

Podszedłem do półki z gazetami i wziąłem do ręki "Radio Times", ale zanim zdążyłem zajrzeć do programu, usłyszałem drżący głos żony Hartnella.

- Proszę się nie fatygować, panie Cavell. Wczorajsza sztuka była powtórzeniem z niedzieli. Oglądaliśmy ją w niedzielę po południu - wyznała, a potem zwróciła się do męża

- No, mów, Tom, bo tylko wszystko sobie pogorszysz.

Hartnell spojrzał na nią żałośnie, po czym odwrócił się; zwałił na krzesło i kilkoma haustami osuszył swoją szklanekę.

Mnie nie poczęstował, lecz nie dołączyłem braku gościnności do listy jego wad - jeszcze na to za wcześnie.

- Wieczorem byłem poza domem. Wyszedłem tuż po pół do jedenastej. Ktoś do mnie zadzwonił i prosił, żebym spotkał się z nim w Alfringham.

- Kto to był?

- Nieważne. Nie zobaczyłem się z nim... kiedy przyjechałem, nie było go na umówionym miejscu. .

- A przypadkiem to nie nasz stary znajomy "Dziesięcioprocentowy" Tuffnell z firmy "Tuffnell i Hanbury - doradcy

prawni"?

Spojrzał na mnie zaskoczony,

- Tuffnell,.. to ty znasz Tuffnella?

- Ta stara firma prawnicza znana jest policji kilkunastu hrabstw. Tytułują siebie "doradcami prawnymi", lecz każdy

może siebie tak nazwać. Taki zawód nie istnieje i nawet największe orły palestry nie znajdą podstaw do wszczęcia przeciwko nim jakichkolwiek kroków prawnych. W wypadku Tuffnella cała jego znajomość prawa bierze się stąd, że dość często ciągnano go po sądach, zwykle za łapówki. To jedna z największych firm lichwiarskich w kraju i wszystko wskazuje na to, że najbardziej bezwzględna.

- Ale jak... jak się domyśliłeś

- Wcale nie musiałem się domyślać. Jestem pewien, że to był Tuffnell. jedynie człowiek, który ma na ciebie duży wpływ, mógł cię o tej porze wyciągnąć z domu, a Tuffnell spełnia ten Warunek. nie tylko siedzi ci na hipotece, ale jeszcze ma Wechsel na pięćset funtów z twoim autografem.

- Kto ci o tym powiedział? - wyszeptał Hartnell.

- Nikt. .Sam to ustaliłem. Chyba wiesz, że skoro jesteś zatrudniony w najbardziej strzeżonym laboratorium w Anglii , to musimy o tobie wiedzieć wszystko. A o twojej przeszłości wiemy o wiele więcej niż ty sam. To najprawdziwsza prawda. A więc, to był Tuffnell, he?

Hartnell skinął głową.

- Powiedział, że chce się ze mną zobaczyć punktualnie o jedenastej. Naturalnie odmówiłem, ale mi zagroził, że jeśli nie przyjadę, to on zarówno pozbawi mnie prawa wykupu mojej hipotece, jak i odda do protestu mój Wechsel.

Pokiwałem głową.

- Wy, naukowcy, wszyscy jesteście tacy sani. Poza laboratorium trzeba was krótko trzymać. Człowiek pożyczający pieniądze robi to na własne ryzyko i nie może prawnie dochodzić ich zwrotu. Więc go tam nie było?

- Nie. Czekałem piętnaście minut, a później pojechałem do niego.,. ma taką czerwoną rezydencję z kortem tenisowym , basenem i wszystkim, czego tylko dusza zapragnie - powiedział Hartnell z goryczą. Myślałem, że może pomylił miejsce spotkania. Ale W domu go też nie zastałem. nie było nikogo. Jeszcze raz pojechałem do jego biura w Alfringham, poczekałem trochę dłużej niż kwadrans i około północy wróciłem do domu.

- Czy ktoś cię widział? Albo .czy ty Widziałeś kogoś. Kto mógłby to potwierdzić?

- Nikogo, absolutnie nikogo. O tak późnej porze drogi są puste... było bardzo zimno przerwał, a potem rzekł z ożywieniem Przecież ten policjant... mnie widział.

Przy ostatnich dwóch słowach jakby się zawahał.

- Skoro widział cię w Hailem, to wyjeżdżając z miasta mogłeś równie dobrze skręcić do Mordon. Poza tym, nie było żadnego policjanta - westchnąłem - nie tylko ty umiesz kłamać. Widzisz więc, w jakiej kropce się znalazłeś, Hartnell? Ten telefon, który tylko ty możesz potwierdzić... ani śladu tego człowieka co rzekomo do ciebie dzwonił. Przejechałeś skuterem dwadzieścia kilometrów i do tego jeszcze to czekanie w zazwyczaj ruchliwym miasteczku, gdzie nikt cię nie widział, bo nie ma żywego ducha. A na domiar tkwisz po uszy w długach. Jesteś tak beznadziejnie zadłużony, że byłbyś gotów zrobić wszystko, nawet włamać się do Mordon, gdyby ktoś ci dobrze zapłacił.

Przez chwilę milczał, a potem znużony z wysiłkiem się podniósł.

- Jestem całkowicie niewinny, Cavell. Ale sam widzę, jak to wygląda... nie jestem aż tak głupi. A więc, jak ty to nazywasz, zostanę zatrzymany?

- A co pani sądzi? - spytałem jego żonę.

Zakłopotana uśmiechnęła się do mnie półgębkiem.

- Raczej nic - powiedziała z wahaniem. - Ja... cóż... nie wiem, jak policjanci rozmawiają z ludźmi, których mają zamiar aresztować za morderstwo, ale pan robi to inaczej, niż sobie wyobrażałam.

- Chyba pani powinna pracować w laboratorium numer jeden zamiast męża powiedziałem bezstronnie. - To, co mówisz, Hartnell, jako alibi jest do niczego, bo to tylko słowa. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy w to ani na chwilę, a więc straciłem rozum, bo ci wierzę.

Hartnell wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi, jego żona zaś spytała głosem, w którym przenikliwość mieszała się z niepewnością

- A może to pułapka? Może pan uważa Toma za winnego i tylko stara się uśpić...

- Pani Hartnell - przerwałem jej. Bez obrazy... ale nie ma pani najmniejszego pojęcia, jak w Wiltshire wygląda życie na prowincji. Niech pani mąż sobie myśli, że nikt go nie widział, lecz zapewniam panią między dziesiątą trzydzieści a jedenastą wieczorem droga stąd do Alfringham jest pełna ludzi... zakochane pary, panowie, którzy wracają z pubów do domu, sącząc ostatnie krople z butelek i przygotowując się do obrony przed gniewem żon... starsze i nieco młodsze panie, ukradkiem wyglądające przez niezbyt szczelnie zasłonięte okna. Z oddziałem wywiadowców mógłbym jutro do południa odnaleźć ze dwadzieścia takich osób. Założę się, że kilkunastu mieszkańców Alfringham widziało pani męża, kiedy wczoraj wieczorem czekał pod biurem Tuffnella. Ale nawet nie mam zamiaru ich szukać.

- Pan to mówi szczerze, Tom - cicho powiedziała pani Hartnell.

- Bo tak uważam. Ktoś próbuje skierować podejrzenia na ciebie, Hartnell. Chcę, żebyś przez najbliższe dwa dni pozostał w domu... załatwię to w Mordon. Masz z nikim nie rozmawiać, absolutnie z nikim. Jeśli musisz, udawaj obłożnie chorego, ale z nikim nie rozmawiaj. Twoja niedyspozycja i nieobecność w pracy zostaną w tych okolicznościach uznane za dziwne i ten ktoś może sobie pomyśleć, że podejrzewamy właśnie ciebie. Rozumiesz?

- W zupełności. Przepraszam, że tak głupio się zachowałem, Cavell, ale...

- Ja też nie byłem zbyt przyjemny. Dobranoc.

W samochodzie Mary spytała z niedowierzaniem

- Co się u licha dzieje z tym legendarnym twardym Cavellem.

- Nie wiem. Sama powiedz.

- Nie musiałeś się przyznawać, że go nie podejrzewasz. - Kiedy już ci to wszystko opowiedział, mogłeś po prostu nic nie mówić, żeby jak zwykle poszedł do pracy. Człowiek tego pokroju nie potrafiłby ukryć faktu, że jest śmiertelnie przerażony, i też osiągnąłbyś swój cel, bo morderca by pomyślał, że mam na oku również Hartnella. Ty jednak nie mogłeś tak postąpić, prawda

Przed ślubem byłem inny. Teraz ze mnie ruina. Poza tym, gdyby Hartnell wiedział, jakie naprawdę mam przeciwko niemu dowody, zgłupiałby do reszty. Przez jakiś czas milczała. Siedziała z mojej lewej strony, a ja na lewe oko nie bardzo widzę, wiedziałem jednak, że na mnie patrzy.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała w końcu.

- Na tylnym siedzeniu leżą trzy plastikowe torebki. W jednej z nich jest trochę zeschniętego czerwonego błota. Hartnell do pracy stale jeździ autobusem... tymczasem ja znalazłem to błoto, tę

charakterystyczną czerwonawą glinę, pod przednim błotnikiem jego skutera, a jedyne miejsce, gdzie ona występuje w promieniu wielu kilometrów stąd, to tylko pole w pobliżu głównej bramy Mordon. W drugiej torebce jest młotek; który znalazłem w jego szopie z narzędziami... wygląda na czysty, ale mogę się założyć, że na trzonku jest kilka włosków z sierści naszego dobrego znajomego, psa Rolla, któremu ktoś tak boleśnie przyłożył ubiegłej nocy. Trzecia torebka zawiera duże izolowane kombinerki. Dokładnie je oczyszczono, jednakże porównując pod mikroskopem elektronowym kilka zadrapań na kombinerkach z uciętymi końcami kolczastego drutu z ogrodzenia Mordon, powinniśmy otrzymać bardzo interesujące wyniki.

- I ty to wszystko wykryłeś? szepnęła.

- A jakże. Można powiedzieć niemal geniusz, co?

- Bardzo się tym przejmujesz, prawda? - spytała Mary, ale jej nie odpowiedziałem, mówiła więc dalej. I mimo tego

wszystkiego wciąż jeszcze nie jesteś przekonany że jest winny? Moim zdaniem nikt nie powinien posuwać się do tego, żeby...

- Hartnell jest niewinny. W każdym razie nie zabił. Ktoś wczoraj majstrował przy kłódce na drzwiach jego szopy z narzędziami. Widać na niej wyraźne zadrapania, jeśli się wie gdzie ich szukać.

- Wobec tego dlaczego zabrałeś

- Z dwóch powodów. Jest tutaj kilku policjantów, którym wbito w głowy, że dwa razy dwa zawsze równa się cztery, i którzy bez zastanowienia ominęliby Old Bailey chętnie powiesili Hartnella na najbliższym drzewie. To czerwone błoto, młotek i kombinerki, a jeszcze ta jazda przy księżycu... to dostatecznie obciążające dowody.

- Ale... sam przecież powiedziałeś, że wiele osób musiało widzieć i...

- Dla zamydlenia oczu. Nazwałem Hartnella bezczelnym kłamcą, lecz on nie dorasta mi nawet do pięt. Nocą wszystkie domy są szare. W ciemnościach każdy motocyklista wygląda tak samo gruba kurtka, kask ochronny i okulary. Uważałem że nic nie osiągnę, napędzając Hartnellowi i jego żonie jeszcze więcej strachu. W przeciwnym razie zrobiłbym to bez wahania. Ale co innego z tym szaleńcem, który ukradł szatańskiego wirusa. Poza tym nie chciałem, żeby Hartnell się bał.

- Co ty u licha kombinujesz?

- Na dobrą sprawę nie wiem - przyznałem. Hartnell nie zabiłby nawet muchy, ale jest zamieszany w coś bardzo podejrzanego.

- Skąd te przypuszczenia? Mówiłeś, że jest czysty. Dla-

- Powiedziałem ci, że nie wiem - przerwałem jej z irytacją.- możesz to nazwać przecuciem albo czymś, co powstało w mojej podświadomości, i jeszcze do mnie nie dotarło. Tak czy inaczej, drugim powodem, dla którego gwizdnąłem te rzeczy, jest to, że ten, kto podrzucił je Hartnellowi i zrobił z niego wariata, teraz się wystraszy. Gdyby policja odczepiła od Hartnella albo go zamknęła, nasz przyjaciel wiedziałby na czym stoi. Kiedy jednak Hartnell nie wiadomo z jakiego powodu zostanie w domu, a równocześnie policja nie wspomni o tych przedmiotach, morderca zacznie się zastanawiać, co chcą zrobić gliny. Więc niepewność. Niepewność zaś przeszkadza w działaniu, tym samym je opóźniając. A nam potrzebny jest czas, jak najwięcej czasu.

- Cavell, jesteś przebiegły drań - powiedziała Mary bez ogródek. - Myślę jednak, że gdybym to ja była niewinna, a wszystko świadczyłoby przeciwko mnie, to wolałabym, żeby nikt inny nie prowadził śledztwa, tylko ty. I na odwrót.

Gdybym była winna i nic by na to nie wskazywało, wolałabym, żeby ktokolwiek zajmował się śledztwem, byle nie ty.

- To samo twierdzi mój ojciec, a on powinien wiedzieć. Jestem pewna, że znajdziesz tego człowieka, Pierre.

Pragnąłem choć częściowo dzielić jej przekonanie, ale nie miałem do tego żadnych podstaw. Niczego nie byłem pewien, absolutnie niczego, poza tym, że ani Hartnell, ani jego poczciwa żona nie są tacy kryształowo niewinni, na jakich wyglądają, i że wściekle boli mnie noga. Niewesoło rysowała mi się perspektywa tego wieczoru.

Wróciliśmy do "Zajazdu" tuż przed dziesiątą. Hardanger już czekał w pustym kącie hallu w towarzystwie nieznanego mężczyzny w ciemnym garniturze, jak się później okazało, policyjnego stenografa. Komisarz studiował jakieś dokumenty, od czasu do czasu rzucając w przestrzeń chmurne spojrzenia, ale kiedy podniósł wzrok i nas dostrzegł, albo raczej gdy zobaczył Mary, jego kamienną twarz rozjaśnił błysk radości. Naprawdę bardzo ją lubił i nie mógł zrozumieć, dlaczego wyszła akurat za mnie, człowieka dla niej tak nieodpowiedniego.

Pozwoliłem im rozmawiać przez minutę czy dwie, obserwując twarz Mary i wsłuchując się w jej głos. Po raz nie wiem który żałowałem, że nie mam przy sobie magnetofonu i kamery, by móc zarejestrować owe miękkie rytmiczne kadencje jej głosu i fascynujące zmiany wyrazu jej twarzy, gdyby pewnego dnia jedynie to zostało mi po Mary. W stosownej chwili chrząknięciem przypomniałem im o swojej obecności. Hardanger spojrzał na mnie, przycisnął jakiś wewnętrzny przełącznik i jego uśmiech znikł.

- Odkryłeś coś rewelacyjnego? - spytał.

- W pewnym sensie. Młotek, którym załatwiono owczarka, kombinerki którymi przecięto druty, i niezbity dowód, skuter doktora Hartnella był wczoraj w pobliżu Mordon.

Nawet nie drgnęła mu powieka.

- Chodźmy do waszego pokoju - zaproponował, a kiedy tam dotarliśmy, zwrócił się najpierw do swego towarzysza - Johnson, otwieraj notatnik - a potem do mnie- jeszcze raz od początku, Cavell.

- Dokładnie mu opisałem wszystkie zdarzenia tego wieczoru, pomijając tylko to, czego Mary dowiedziała się od matki i siostry Chessinghama. Kiedy skończyłem, Hardanger zapytał

- Jesteś przekonany, że ktoś chce zrobić Hartnella?

- Chyba na to wygląda, nie?

- A nie przyszło ci do głowy, że to podwójna gra? Że Hartnell umyślnie ściąga podejrzenia na siebie?

- Tak. Ale to prawie niemożliwe. Znam Hartnella. Poza pracą w laboratorium jest nieudolny, nerwowy, chwiejny głupi jak osioł... to nie materiał na bezwzględny i wyrachowany mordercę. I trudno uwierzyć, żeby swoją własną kłódkę otwierał wytrychem. Tak czy owak, nie o to chodzi.

- Kazałem mu na razie zostać w domu. Ktokolwiek ukradł Botulinę i szatańskiego wirusa, to na pewno miał w tym jakiś cel. Inspektor Wylie aż się rwie do roboty. Niech więc swoimi ludźmi przez całą dobę obserwuje dom Hartnella. Zauważą, czy on przypadkiem nie wychodzi. Gdyby nawet był winny, to chyba nie jest na tyle szalony, żeby te wirusy trzymać w domu. A jeżeli są gdzie indziej i nie będzie mógł się " do nich dostać, to mamy o jedno zmartwienie mniej. Chciałbym również, by sprawdzono tę jego wczorajszą rzekomą wycieczkę skuterem.

- Wezmą pod obserwację i sprawdzą - obiecał Hardanger, .

. Wydobyłeś coś z Chessirtghama na temat Hartnella

- Nic, co mogłoby się przydać. I tak się wszystkiego domyślałem. Wiem, że wśród pracowników Laboratorium

numer jeden tylko Hartnell jest w sytuacji , która pozwala ci szantażować. Idzie o to, że jeszcze ktoś o tym wie. Wie również, że Tuffneila nie było w domu. To właśnie człowiek, którego szukamy. Ale jak się tego dowiedział

- A jak ty się dowiedziałeś - spytał Hardanger.

- Sam Tuffnell mi powiedział. parę miesięcy temu przyjechałem tu na dwa tygodnie pomóc Derryemu w sprawdzaniu grupy nowych naukowców. Poprosiłem Tuffnella o podanie nazwisk wszystkich pracowników Mordon, którzy zwracali się do niego o radę w sprawach finansowych. Spośród kilkunastu osób zrobił to tylko Hartnell.

- Prosiłeś czy żądałeś?

- Zażądałem.

- Wiesz, że to samowola - ponuro stwierdził Hardanger. - a na jakiej podstawie?

- A na takiej, że jeśli mi nie poda tych nazwisk, to wiem o nim wystarczająco dużo, żeby na długie lata wsadzić za

kratki.

- A wiesz?

- Nic. Ale taki podejrzany typ jak Tuffnell zawsze ma wiele do ukrycia, więc _e_ podał. Właśnie Tuffnell mógł mu

coś powiedzieć o Hartnellu. Albo jego wspólnik Hanbury. A reszta jego pracowników?

On nie ma żadnego personelu. Nawet maszynistki W takim interesie nie można wierzyć nawet własnej matce. poza wspólnikami wiedzieli u tym tylko Cliveden i przypuszczalnie Weybridge... Clandon i ja. No i oczywiście Faston Derrv. nikt więcej w Mordon nie miał dostępu do tajnych akt. Derry i Clandon nie żyją. A ci myślcie alibi Clivedena?

- Absurd. Był w Ministerstwie Wojny na posiedzeniu, które skończyło się po północy. W Londynie.

- Co widzisz absurdalnego w tym, że Cliveden przekazuje tę informację komuś innemu? spytałem, a ponieważ

- Hardanger milczał, ciągnąłem albo Weybridge. A on co wtedy robił?

- Spał.

- Skąd wiesz? Sam ci powiedział?

Komisarz skinął głową.

- Ktoś może to potwierdzić?

Hardanger wyglądał na skrupowanego.

- Mieszka samotnie w bloku oficerskim. Jest wdowcem i do pomocy ma ordynansa.

- To już lepiej. Co z resztą?

- Pozostaje siedmiu - odparł Hardanger. - Pierwszy to nocny strażnik, o którym wspominałeś. Jest tu zaledwie od dwóch dni...i w ogóle nie spodziewał się tego przeniesienia. Przysłany z macierzystego pułku, żeby zastąpić chorego wartownika. Doktor Gregori przez całą noc był w domu. Mieszka w jakimś luksusowym pensjonacie pod Alfringham i kilka osób przysięgnie, że nie wychodził co najmniej do północy. To go wyklucza. Doktor MacDonald siedział w domu ze znajomymi. Bardzo przyzwoici ludzie. Grali w karty. Dwaj technicy, Verity i Heath, byli wieczorem na dansingu w Alfringharn. Wyglądają na czystych. Dwaj pozostali, Robinson i Marsh, poszli razem na wspólną randkę ze swoimi dziewczynami. kino, kawiarnia, a potem powrót do domu.

- Więc niczego nie znalazłeś?

- Nic a nic.

- A ci technicy z dziewczynami? wtrąciła Mary.

Robinson i Marsh... jeden drugiemu zapewnia alibi, a przecież tam na wabia użyto dziewczyny.

- To nie oni powiedziałem. Ci co to zrobili, są zbyt sprytni. nie popełniliby tak elementarnego błędu jak wzajemne zapewnianie sobie alibi. Gdyby któraś z tych dziewczyn tutaj nie mieszkała, to co innego i może byłby to jakiś ślad, ale obie tu mieszkają i są porządne, a Robinson i Marsh chodzą z nimi od czasu, gdy ostatnim razem ich sprawdzaliśmy. Obecny tu pan komisarz wyciągnąłby z nich prawdę w ciągu najwyżej pięciu minut, a może nawet dwóch.

- Zajął mi to dwie minuty - potwierdził Hardanger. - Ale niczego nie znalazłem. Posłaliśmy do laboratorium ich obuwie... ten czerwony włókienko wciska się w najmniejsze zagłębienie... to jednak czysta formalność. Nic z tego nie wyniknie. Chcesz odpisy zeznań podejrzanych i świadków?

- Proszę. ..Jaki będzie twój następny ruch?

- A twój?

- Ja bym spróbował się dowiedzieć od Tuffnella, Hanburyego, Clivedena i Weybridgea, czy nikomu nie mówili

o kłopotach finansowych Hartnella. Potem spytałbym Gregoriego, MacDonalda, Hartnella, Chessinghama, Weybridgea i tych czterech techników, oczywiście oddzielnie, o ich kontakty towarzyskie. Można mimochodem rzucić pytanie,

czy wzajemnie się nie odwiedzają. I jeszcze wysłałbym grupę dochodzeniową do ich domów, żeby zebrać jak najwięcej

odcisków. Na taki drobiazg z łatwością uzyskasz nakazy. Jeżeli Iks będzie utrzymywał, że nigdy nie był w domu Igreka, a ty znajdziesz tam jego odciski, będzie to świadczyło, że kłamie... No, cóż, ktoś będzie musiał się tłumaczyć. . .

- Czy mam też sprawdzić domy generała Clivedena i pułkownika Weybridgea? - z rozpaczą spytał Hardanger.

- Co mnie to obchodzi, że poczują się dotknięci. Teraz nie pora liczyć się z czyjąś urażoną ambicją.

Ale to wszystko jest bardzo, bardzo niepewne - powiedział Hardanger. - Przestępcy, którzy chcą coś ukryć, a szczególnie łącznicy między nimi, zwykle wzajemnie się nie odwiedzają.

- A możesz pozwolić sobie na lekceważenie czegoś nawet tak niepewnego?

- Chyba nie - odparł Hardanger. - Raczej nie.

Wyszli zabierając ze sobą torebki plastikowe z dowodami rzeczowymi. Dwadzieścia minut później wyślizgnąłem się

przez okno, zsunąłem po daszku na ziemię, wsiadłem do samochodu i pojechałem do Londynu.

Rozdział szósty

Dokładnie o pół do drugiej w nocy wprowadzono mnie do biblioteki Generała w jego mieszkaniu na West Endzie. Gospodarz powitał mnie ubrany w czerwony pikowany szlafrok i gestem wskazał mi krzesło. Zauważyłem, że jeszcze się nie kładł - szlafrok o niczym nie świadczył, zawsze go bowiem nosił, przebywając w domu. Choć już po siedemdziesiątce, ten proporcjonalnie zbudowany, prawie

dwumetrowy mężczyzna trzymał się prosto, a cery i dobrego wzroku mógłby mu pozazdrościć czterdziestolatek. Miał gęste szpakowate włosy i wąsy, szare oczy i najsprawniejszy umysł, z jakim kiedykolwiek się spotkałem. Widziałem, że akurat intensywnie się nad czymś zastanawiał, ale chyba nie był zachwycony wynikami swych rozważań.

- No, cóż, Cavell - odezwał się ostrym, niemal wojskowym tonem. - Nieźle narozrabiałeś.

- Tak jest, panie generale - odparłem, a w ten sposób- zwracałem się wyłącznie do niego.

- Jeden z moich najlepszych pracowników, Neil Clandon, nie żyje. Drugi, tak samo dobry, Easton Derry, prawdopodobnie również nie żyje, chociaż uważany jest za zaginionego. Doktor Baxter, wielki uczony i wielki patriota, a wiadomo, jak bardzo potrzebujemy i jednych, i drugich, też nie żyje. Czyja to wina, Cavell?

- Moja - odpowiedziałem patrząc na karafkę.- Napiłbym się, panie generale.

- Rzadko nie masz na to ochoty - skomentował cierpko, a potem spytał trochę łagodniejszym tonem - Dokucza noga?

Troszeczkę. Przepraszam za to nocne najście, panie generale, ale to było konieczne. Jak pan sobie życzy, żebym przedstawił tę całą historię?

- Wprost, krótko i od samego początku.

- Hardanger zjawił się u mnie o dziewiątej rano. Ale najpierw przysłał inspektora Martina, przebranego za Bóg wie, co, żeby sprawdził moją lojalność. Przypuszczam, że pan też o tym wiedział. Mógł mnie pan uprzedzić.

- Próbowałem - rzekł poirytowany. Ale się spóźniłem. Wiadomość o śmierci Clandona dotarła do generała Clivedena i Hardangera wcześniej niż do mnie. Dzwoniłem do ciebie, lecz nie mogłem się połączyć ani z domem, ani z biurem.

- Hardanger wyłączył mi oba telefony powiedziałem kiwając głową. - W każdym razie zdałem ten egzamin.

Komisarz był z tego bardzo zadowolony i poprosił mnie, żebym pojechał do Mordon. Oświadczył, że sam zaproponował moją kandydaturę, a pan niechętnie na nią przystał. Niełatwo podsunąć coś Hardangerowi w taki sposób, aby miał przekonanie, że sam to wymyślił.

- To prawda. Nie wolno lekceważyć Hardangera. To świetny policjant. Niczego nie podejrzewa? Jesteś pewien?

- Że to wszystko lipa? Że to pan wszystko sfabrykował i wyrzucił mnie z Wydziału Specjalnego, przeniósł do Mordon i z kolei wywalił stamtąd? Nie, niczego się nie domyśla. Gwarantuję.

W porządku. Opowiadaj. nie marnowałem słów. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczył się agent pracujący z Generałem, to oszczędność słów. W ciągu dziesięciu minut przekazałem mu wszystkie istotne fakty i wiedziałem, że ani jednego nigdy nie zapomni. Prawie co do joty zgadza się z tym, co drogą służbową meldował mi Hardanger - skomentował Generał. - Powiedziałem "prawie". Dobrzy policjanci ograniczają się wyłącznie do najistotniejszych faktów. Twoje wnioski, Cavell?

- Panie generale, jakie są wyniki śledztwa, które na moją prośbę przeprowadzono w Kencie?

- Negatywne.

Wypiłem jeszcze trochę whisky. Bardzo tego potrzebowałem. - Hardanger podejrzewa, że doktor Baxter wpadł we własne sidła - rzekłem. - Pan zresztą już o tym wie, bo komisarz dzwonił do pana w tej sprawie i prosił, żeby pan pozwolił go sprawdzić. Przypuszcza, że Baxter włamał się do Mordon z jakimś człowiekiem i tamten go zabił pod wpływem chwili w wyniku kłótni albo z premedytacją. Hardanger nie wie jednak, że to właśnie doktor Baxter był tym, który w zaufaniu poinformował Eastona Flerryego o znikaniu z Mordon niewielkich ilości rzadkich i cennych, wirusów. . Komisarz nie ma też pojęcia, że to Baxter, na naszą prośbę, wyrzucił mnie z Mordon, żebym jako szef prywatnej agencji detektywistycznej mógł prowadzić śledztwo w Londynie.

W obu wypadkach Hardanger się myli. Tamtego wieczoru doktor Baxter nie mógł się włamać do Mordon z bardzo prostego powodu, jako że w ogóle stamtąd nie wychodził.

Człowiek, który stoi za tym morderstwem i kieruje dość liczną organizacją, porwał dzieci Brysona i Chipperfielda, tych, co hodują zwierzęta laboratoryjne, i w ten sposób zmusił ich do współpracy. Po południu tego dnia, kiedy dokonano obu zabójstw, to właśnie oni wnieśli transporter do laboratorium numer jeden. Robili to regularnie od dawna i strażnikom nawet nie przyszło do głowy, by je sprawdzić. A w transporterach tych przemycono dwóch ludzi jeden był dość zręcznie ucharakteryzowany na doktora Baxtera, drugiego zaś tymczasem nazwijmy iksem.

- Tego dnia wniesiono osiem transporterów. Bryson i Chipperfield jak zwykle nie chcieli zbytnio przeszkadzać personelowi, więc początkowo wnieśli wszystkie transporter do korytarza i ustawili je przy laboratorium. Oczywiście świadczy to niezbiecie, że musieli mieć bardzo szczegółowe informacje od kogoś z zakładu. Kiedy transporter stały w korytarzu, Iks sprytnie przemknął się do pobliskiej szatni, z której korzystają naukowcy i technicy zatrudnieni w laboratorium, i prawdopodobnie schował się w jednej z szafek.

Drugiego człowieka, tego przebranego za Baxtera, wniesiono w transporterach do zwierzętarni, a tam z łatwością można się ukryć.

Z naszych przesłuchań wynika, że tego wieczoru naukowcy i technicy wychodzili z laboratorium, jak zwykle, pojedynczo. Jeden z nich, prawdziwy Iks, korzystając z tego, że w szatni nikogo nie ma, zamienia się miejscami z rzekomym Iksem, któremu wręcza swoją kartę. Rzekomy Iks idzie teraz do głównej bramy, oddaje kartę i fałszuje podpis. Było bardzo ciemno, a ponieważ wychodził w tłumie, czuł się dość bezpiecznie. Iks wraca do laboratorium, gdzie teraz ma wolne pole do działania, i grozi Baxterowi pistoletem. Możliwe też, że Baxterem zajął się już wcześniej człowiek za niego przebrany. Ale to nieważne. Baxter, do którego obowiązków należało nastawianie szyfru, zawsze wychodził ostatni. Oni o zatrzymali. I po jakimś czasie człowiek przebrany za Baxtera wychodzi i w bramie oddaje jego kartę. Iks oczywiście nie mógł tak po prostu włożyć wirusów do kieszeni, rozwalić Baxtera i zniknąć. Strażnik przy bramie przecież wie, że Iks już wyszedł, nie może więc wyjść po raz drugi. Zdaje sobie sprawę, że musi siedzieć cicho do jedenastej, kiedy strażnicy kończą obchód. Czekając więc do tego czasu, po czym zabiera wirusy, uderza Baxtera w głowę kolbą pistoletu i wychodzi, rzucając fiolkę z botuliną na nieprzytomnego mężczyznę. Musiał zabić Baxtera, ponieważ ten go znał. Nie wiedział jednak, że Clandon co wieczór obserwuje korytarz w bloku "E" przez lornetkę, choć zapewne mógł się tego spodziewać. Nie jest człowiekiem, który cokolwiek zostawia przypadkowi. Musiał wiedzieć, że tylko taka ewentualność pokrzyżowałaby mu plany. Stąd ten cukierek z cyjankiem. Clandon zjawił się w chwili, kiedy Iks zamknął już drzwi, a wtedy Iks opowiedział mu jakąś zmyśloną historyjkę i poczęstował cukierkiem. Z pewnością musieli znać się z Clandonem bardzo dobrze.

Generał w zamyśleniu gładził się po wąsach.

- Można powiedzieć genialne. Zasadniczo masz słuszość. Lecz trudno zrozumieć sprawę tego cyjanku. Nawet bardzo trudno. Clandon szukał człowieka, który kradł wirusy. Musiał podejrzewać, że był nim właśnie Iks. Po prostu nie mogę uwierzyć, że Clandon mógł przyjąć tego irysa. Poza tym Iks miał pistolet, prawdopodobnie z tłumikiem. Dlaczego więc go nie użył? Po co ten cyjanek?

- Nie wiem, panie generale - odparłem i ugryzłem się w język, bo chciałem dodać, że mnie tam nie było.

- Ale powiedz mi, jak na to wpadłeś?

- Naprowadził mnie pies, panie generale. Na szyi miał dwie rany od kolczastego drutu. Wydawało się więc prawdopodobne, że na drucie zostało trochę jego krwi. I rzeczywiście. Poszukiwania zajęły mi prawie godzinę, ale znalazłem ją na wewnętrznym ogrodzeniu. Nikt więc nie włamał się tej nocy do Mordon, lecz raczej ktoś stamtąd uciekł.

- Dlaczego Hardanger na to nie wpadł?

- Nie miał takich przesłanek jak ja. Ja wiedziałem, że Baxter się nie włamał, a w dodatku strażnik przy bramie powiedział mi, że Baxter był przeziębiony, trzymał chusteczkę do nosa przy twarzy i mówił niewyraźnie. To wystarczyło. Poza tym ludzie Hardangera za późno zbadali te druty. Najpierw

zajęli się ogrodzeniem zewnętrznym, a dopiero później wzięli się do wewnętrznego.

- I niczego nie znaleźli?

- Nie mogli, bo wytarłem tę krew.

- Prawdziwy z ciebie czort, Cavell.

- Tak jest, panie generale - powiedziałem wiedząc, że w jego ustach to komplement. - Potem ta wizyta u Brysona i Chipperfielda. Para sumiennych, solidnych facetów, którzy ostro piją o pół do szóstej wieczorem i rozlewają alkohol na podłogę przy napełnianiu szklanek. Pani Bryson pali jak lokomotywa, chociaż nigdy w życiu tego nie robiła. W sumie atmosfera cichej rozpaczki, skrzętnie ukrywanej, lecz rzucającej się w oczy.

- Podejrzewasz kogoś ?

Generała Clivedena i pułkownika Weybridgea. Cliveden był w Londynie w czasie, gdy dokonano zabójstwa, ale chociaż zjawiał się w Mordon zaledwie dwa czy trzy razy od chwili objęcia stanowiska, to dwie rzeczy przemawiają przeciwko niemu ma dostęp do tajnych akt, co oznacza, że mógł wiedzieć o kłopotach finansowych Hartnella, no i dziwne, że jako dzielny żołnierz nie zaproponował, że wejdzie do laboratorium jako pierwszy, zamiast mnie. To jego podwórko, nie moje, on przecież tam szefuje.

- Słowa "dzielny" i "żołnierz" nie zawsze chodzą w parze stwierdził Generał obojętnym tonem. - Pamiętaj, że to lekarz, a nie frontowiec.

Zgoda. Przypominam sobie jednak, że aż dwa z tej garstki dwukrotnie przyznanych Krzyży Wiktorii noszą lekarze. Ale to nieważne. Dostęp do tajnych akt miał również Weybridge, lecz tu mam dwa dodatkowe czynniki on mieszka na terenie zakładu i nie ma alibi. I jeszcze Gregori, ponieważ upierał się, moim zdaniem bezpodstawnie, żeby zamknąć laboratorium na amen. Ale sam fakt, że upierał się w tak oczywistej sytuacji, może oddalić od niego podejrzenie. I jak samo jak to, że szafkę z wirusami otworzył kluczem, który miał przy sobie i który uważano za jedyny i, co my tak naprawdę wiemy o Gregorirn, panie generale

- Mnóstwo. Znamy każdy jego krok od kołyski. Ze względu na fakt, że nie jest Anglikiem, sprawdzano go dwa razy dokładniej niż normalnie. To tylko jeśli chodzi o nas. Bo za nim tu przyjechał. prowadził w Turynie jakieś wyjątkowo ważne prace dla rządu włoskiego i wyobrażasz. sobie, jak oni go tam prześwietlali. Jest absolutnie czysty. Nie będę zatem tracił na niego czasu. Jedyny kłopot polega na tym, że sądząc z akt personalnych, również pozostali wydają się czysti. W każdym razie ci trzej to główni podejrzani... i chyba Hardanger zaczyna się czegoś domyślać ; przynajmniej o jednym z tej trójki.

- Sam mu to podsunąłeś, co?

- Nie podoba mi się to wszystko, panie generale. Nie podoba mi się, bo Hardanger to porządny facet, a nie leży w mojej naturze, by działać za jego plecami. Nie chciałbym zwodzić ani oszukiwać. I nie chciałbym też tego robić dlatego, bo Hardanger jest naprawdę cwany i muszę poświęcić prawie tyle samo czasu na prowadzenie śledztwa, co na mydlenie mu oczu; żeby niczego nie skapował.

- nie myśl, że mnie się to podoba - rzekł Generał poważnym tonem. - Ale tak musi być. Mamy przeciwko sobie podstępnych i na wszystko zdecydowanych ludzi; których główną bronią jest działanie w ukryciu, spryt i...

- Przemoc.

- Niech ci będzie, a więc działanie w ukryciu, spryt i przemoc. Trzeba ich poznać i zniszczyć tymi samymi metodami. Muszę używać najlepszej broni, jaką dysponuję, a nie znam nikogo, kto potrafiłby nauczyć się czegoś więcej w tych trzech dziedzinach.

- Dotychczas nie byłem zbyt sprytny, panie generale.

- Nie byłeś - przyznał Generał. = Z drugiej strony jednak ja nie byłem w porządku, kiedy ci powiedziałem, że nieźle narozrabiałeś. Inicjatywa ciągle należy do przestępcy. W każdym razie idzie o to, że ty musisz działać przede wszystkim sam, jako jednoosobowy zespół, Hardanger zaś musi działać przede wszystkim w grupie. A to wymaga podziału kompetencji i uwagi, krępuje inicjatywę, wprowadza niebezpieczeństwo dekonspiracji, a jednocześnie zmniejsza szansę na końcowy sukces. Taka zorganizowana grupa jest ci jednak niezbędna przygotowuje teren, prowadzi rutynowe śledztwo, czego przypuszczalnie sam byś nie mógł zrobić, a poza tym odwraca od ciebie uwagę i podejrzenia.

Tak więc Hardanger, świadomie czy nieświadomie, nie pozwala zorientować się zabójcy albo zabójcom, jaki kierunek przyjmuje śledztwo. To wszystko czego od niego chcę.

- Nie będzie tym zachwycony, kiedy się dowie.

- Jeśli się dowie, Cavell. Niech ciebie o to głowa nie boli. To moje zmartwienie. Reszta podejrzanych?

- Ci czterej technicy. Ale to mało prawdopodobne. Tam tego wieczoru widziano ich kilkakrotnie, a założenie, że między szóstą a jedenastą zabójca był zamknięty w laboratorium, pozwala ich wykluczyć jako morderców. Hardanger szczegółowo sprawdza, minuta po minucie, co robili późnym wieczorem... jeden z nich mógł być użyty na wabia. Hartnell wydaje się czysty. Ma tak podejrzane alibi, że chyba mówi prawdę, ale mimo wszystko mam wrażenie, że jest tam coś dziwnego i jeszcze

go odwiedzę.

- Teraz Chessingham... wielki znak zapytania. Jako chemik- laborant nie otrzymuje oszałamiającej pensji, ale stać go na prowadzenie dużego domu ze służącą i zatrzymał siostrę w domu, żeby opiekowała się matką. Nawiasem mówiąc, ich matka jest bardzo chora. Lekarz poradził jej, żeby się przenieść gdzieś do cieplejszych krajów; co przedłużyłoby jej życie o kilka lat. Choć ona sama twierdzi, że nie chce się przenieść, ale prawdopodobnie mówi tak tylko z powodu syna który nie może sobie na to pozwolić. Być może Chessingham potrzebuje pieniędzy, by ją wysłać za granicę. Właściwie jestem tego pewien. Oni bardzo się kochają. Wolałbym, żeby Hardanger się nimi nie zajmował. Trzeba sprawdzić stan konta bankowego Chessinghama, kontrolować jego bieżącą korespondencję i ustalić czy miejscowe władze nie wydawały mu prawa jazdy, albo czy w jednostce, w której odbywał służbę wojskową, nie prowadził jakiegoś pojazdu, a na koniec, czy nie pożyczał pieniędzy w jakimś miejscowym banku. Na pewno nie brał pieniędzy od Tuffngerella i Tllanburyego, największych rekinów w tym rejonie, w promieniu trzydziestu kilometrów działa kilka podobnych firm, a Chessingham nigdy zbyt nie oddala się od domu. Może pożycza pieniądze korespondencyjnie w jakimś Londyńskim banku

- Tylko tyle? - ironicznie spytał Generał.

- To konieczne, panie generale.

- Czyżby? A co powiesz na jego doskonałe alibi w postaci tych zdjęć Jowisza czy czegoś tam? To jest...to mogłoby potwierdzić jego obecność w domu prawie co do sekundy. Nie wierzysz?

- Wierzę, że na podstawie tych zdjęć można dokładnie ustalić, kiedy je wykonano. Nie muszę jednak wierzyć w to, że Chessingham przy tym był. Jest nie tylko świetnym naukowcem, ale również niezwykle utalentowanym majsterkowiczem. Sam sobie zrobił aparat fotograficzny, radio i telewizor. Również sam skonstruował teleskop i nawet własnoręcznie szlifował soczewki. Dla niego to żadna sztuka zmontować urządzenie, które automatycznie robi zdjęcia w ustalonym czasie. Poza tym zdjęcia mógł robić ktoś inny, podczas gdy on był gdzie indziej. Albo też wykonano je z takim samym rezultatem w innym miejscu wprowadzając odpowiednią poprawkę na czas. Chessingham jest bardzo inteligentny i od razu wpadł na to że te zdjęcia mogą być doskonałym alibi, chociaż udawał, że przyszło mu to do głowy dopiero w czasie rozmowy ze mną. Słusznie założył, że rzucaloby się to w oczy i był by podejrzany, gdyby z miejsca poczęstował mnie gotowym alibi.

- Ty byś nie uwierzył samemu świętemu Piotrowi, co Cavell?

- Dlaczego nie? Gdyby miał wiarygodnych świadków, którzy potwierdziliby jego alibi? Jedyne luksusy, na jakie mogę

pozwolić, to że nawet cień wątpliwości przemawia na korzyść podejrzanego. I pan dobrze o tym wie, panie generale. Co jednak nie dotyczy Chessinghama. Ani Hartnella.

- Hm - mruknął Generał, patrząc na mnie spod krzaczastych brwi, a potem rzekł bez związku Easton Derry zginął, bo nie o wszystkim mnie informował. Ciekaw jestem, co ty przede mną ukrywasz, Cavell?

- Skąd to pytanie, panie generale?

- Bóg raczy wiedzieć. Głupiec ze mnie, że je zadałem. I tak byś nie odpowiedział. Nalał sobie whisky, ale postawił szklankę na kominku, nawet nie spróbował. - Co się za tym wszystkim kryje, mój chłopcze - Szantaż. W takiej czy innej formie. Nasz przyjaciel ma w kieszeni portek szatańskiego wirusa i botulinę. A jeszcze nie było w historii takiej broni do szantażowania. Prawdopodobnie chce pieniędzy.. bardzo dużo pieniędzy. Jeśli rząd pragnie odzyskać wirusy, będzie go to kosztowało fortunę. Mam nadzieję, że chodzi o dodatkowy szantaż jeśli rząd nie zapłaci, to on sprzeda wirusy jakiemuś obcemu mocarstwu. Obawiam się, że mamy do czynienia nie z przestępcą, lecz z umysłowo chorym. Niech mi pan tylko nie mówi, że wariat nie mógłby czegoś takiego zorganizować... niektórzy są genialni. A skoro jest wariatem, to być może jednym z tych, co głoszą, że jeśli ludzkość nie zrezygnuje z wojen, to wojny zniszczą ludzkość. W tym wypadku jego groźba miałaby mniejszą skalę. Jeśli Anglia nie zrezygnuje z Mordon, to ja zniszczę Anglię". Albo coś w tym rodzaju. Prawdopodobnie już zawiadomił jeden z największych dzienników w kraju, co robi z wirusami.

Generał podniósł swoją szklankę z whisky i wbił w nią wzrok niczym wróżbita szukający odpowiedzi w kryształowej kuli.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Mam na myśli ten list.

- On to musi zrobić, panie generale. Szantaż polega na przymusie. Nasz przyjaciel z wirusami musi nadać sprawie rozgłos. Przerazając społeczeństwo, a będzie naprawdę przerażone że, zaczniesz tak naciskać rząd, że ten nie znajdzie innego wyjścia, jak tylko się zgodzić na każde żądanie albo natychmiast podać do dymisji. .

- Gdzie byłeś wieczorem między za pięć dziesiąta a dziesiątą. - spytał nagle Generał.

Gdzie byłem... odpowiedziałem patrząc na niego tak uważnie jak on na mnie, a potem zacząłem wolno mówić w "Zajeździe" w Alfringham. Rozmawiałem z panem po cywilnemu o nazwisku, Hardangerem i policjantem Johnson.

- Chyba się starzeję rzekł Generał, z irytacją potrząsając głową, a potem wziął z kominka jakąś kartkę papieru dał mi. - Lepiej to przeczytaj, Pierre.

Kiedy mówi do mnie "Pierre", zwykle nie wróży to nic dobrego w tym wypadku również tak było. Nie mogło być inaczej. To, co mi wręczył, okazało się dalekopisową informacją Reutera, napisaną na maszynie.

Jeśli ludzkość nie zrezygnuje z wojen, to wojny zniszczą ludzkość - brzmiały pierwsze słowa maszynopisu. ..Teraz musimy wyeliminować najstraszliwszy sposób prowadzenia wojen. O jakiej. świat kiedykolwiek słyszał. wojnę bakteriologiczną. Od dwudziestu czterech godzin dysponuję ośmioma fiolkami botuliny. które zabrałem z Zakładu Badawczego Mordon koło Alfringham, w hrabstwie Wiltshire. Ubolewam, że dwóch ludzi. Straciło przy tym życie, lecz nie odczuwam głębokiego żalu. Cóż bowiem znaczą dwa istnienia. gdy stawką jest życie całej ludzkości ?

Odpowiednio już ta zawartość jednej, fiołki może zniszczyć wszelkie życie w, Anglii. Kto mieczem wojuje, ten od miecza

zginie - zło zniszczę złem. Mordon musi przestać istnieć. Trzeba całkowicie zetrzeć siedlisko antychrysta z powierzchni ziemi, żeby nie pozostał kamień na kamieniu. Rozkazuję. aby natychmiast przerwano wszystkie doświadczenia w Mordon i niezwłocznie wysadzono dynamitem budynki, w których prowadzi się te plugawe prace, a ruiny zniszczono buldożerami.

Wiadomość potwierdzającą wykonanie mojego rozkazu należy ogłosić przez radio w porannych wiadomościach BBC o godzinie 9.00. Niezastosowanie się do moich żądań zmusi mnie do podjęcia kroków o trudnych do przewidzenia skutkach. Na pewno podejmę te kroki. Takie jest bowiem życzenie Tego, który jest silniejszy niż wojna, na zawsze, skończą się

wszystkie wojny na ziemi, a ja jestem Jego w wybranym narzędziem. Trzeba ochronić ludzkość przed nią samą. "

Przeczytałem to jeszcze raz i odłożyłem kartkę. Wiadomość była niewątpliwie prawdziwa - nikt spoza Mordon nie wiedział, że skradziono osiem fiolek.

- No i co ty na to? - spytał Generał.

- Świr - odparłem. - Zupełnie sfiksował. Proszę zauważyć, co za wyszukany styl.

-Cavell, na miłość boską! - wykrzyknął Generał z surową miną, rzucając mi zimne, wściekłe spojrzenie.- Taka wiadomość, a ty jedynie robisz niestosowne...

- A co mam robić, panie generale? Wyciągnąć worek pokutniczy i posypać sobie głowę popiołem? Pewnie, że to straszne... ale spodziewaliśmy się tego... lub czegoś w tym rodzaju. Jeżeli kiedykolwiek powinniśmy kierować się rozumem, a nie sercem, to właśnie w tej chwili.

- Miałeś rację - westchnął Generał. - Oczywiście miałeś rację. I wszystko przewidziałeś z piekielną dokładnością!

- Czy wiadomość tę przekazano telefonicznie z Alfringham między za pięć dziesiątą a dziesiątą?

-Za to też przepraszam. Jestem gotów podejrzewać nawet siebie samego. Wiadomość tę otrzymał Reuter w Londynie. Wolno podyktowano ją przez telefon. W agencji myśleli, że to jakiś kawał, ale na wszelki wypadek zadzwonili do Alfringham. Informacji tej nie podano jeszcze do publicznej wiadomości... typowa wojskowa głupota bo o morderstwach wiedziało już od wielu godzin pół Wiltshire, także Fleet Street. Reuterowi udało się uzyskać jedynie dementi, ale po reakcji na zadawane pytania zorientowano się że sprawa jest naprawdę poważna. Możesz mi wierzyć albo nie, ale przez dwie godziny dyskutowali, czy w ogóle tę wiadomość należy przekazać prasie. Decyzja o nieprzekazywaniu zapadła na samej górze. Później dotarła do Scotland Yardu, a stamtąd do mnie, już dobrze po północy. To oryginał. Sądzisz, że to wariat?

- Poluzowała mu się jedna czy dwie klepki ale cała reszta jego umysłu funkcjonuje znakomicie. Wie, że musi zdobyć rozgłos, by wyrzucić presję, a w celu wywołania jeszcze większego przerażenia zachowuje się, jakby w ogóle nie wiedział, że trzy spośród ośmiu skradzionych ampulek zawierają szatańskiego wirusa. Gdyby ludzie się dowiedzieli, że on ma szatańskiego wirusa i przez pomyłkę może go użyć, wówczas podnieśliby krzyk, żeby dać mu wszystko, czego sobie życzy, byle tylko go zwrócił.

- Ale on może naprawdę nie wiedzieć, że to szatański wirus - stwierdził Generał, u którego po raz pierwszy widziałem wahanie i niepewność pod zmartwioną miną na ponurej twarzy. - Nie możemy zakładać, że on to wie.

- Ja mogę. Z pewnością wie. Wie, kimkolwiek jest. Ma pan zamiar ukryć to przed gazetami?

- W ten sposób zyskalibyśmy na czasie. Sam twierdzisz, że on potrzebuje rozgłosu.

- A co z samym przestępstwem? Z tym włamaniem i morderstwami?

- Jutro wszystko znajdzie się w każdej gazecie w kraju... ulica już o tym mówi. Wieczorem miejscowi korespondenci w Wiltshire zdobyli jakieś wiadomości na ten temat. W tej sytuacji nic nie możemy zrobić.

- Reakcja mas może być interesująca - rzekłem, skończyłem swoją whisky i wstałem. Będę wracał, panie generale.

- Co zamierzasz zrobić?

- Już panu mówię, panie generale. Zacznę od Brysona i Chipperfielda, ale to tylko strata czasu. Nie będą chcieli mówić z obawy o życie swoich dzieci, a poza -tym jestem przekonany, że nie widzieli ani tego człowieka, co wydawał rozkazy, ani tego, którego przetransportowali do zakładu. Potem znów zabiorę się do ludzi z laboratorium numer jeden. Parę telefonów do Clivedena i Weybridgea. Kilka niejasnych aluzji, żeby ich sprowokować. Potem odwiedzę Chessinghama, Hartnella, Gregoriego i techników. Nie będę się bawił w jakieś szczególne wybiegi czy podstępny. Postraszę ich

trochę sugerując, że wiem więcej niż w rzeczywistości. .leżeli tylko znajdę jakąś podstawę do najmniejszych podejrzeń, to to mi wystarczy. Zamknę się z delikwentem w najgłębszej piwnicy i tak długo będę rozdzierał go na kawałki, póki nie wydobędę prawdy.

- A co zrobisz, jeżeli okaże się, że to pomyłka?

- Spróbuję go poskładać, jeśli mi się uda – stwierdziłem obojętnym tonem.

- Jeszcze nigdy w ten sposób nie działaliśmy, Cavell.

- Ale też nigdy nie mieliśmy do czynienia z obłąkanym, który może nas wszystkich załatwić.

- Otóż to,. otóż to - powiedział Generał potrząsając głową.- Kogo wezmiesz na pierwszy ogień?

- Doktora MacDonalda.

- MacDonalda? A niby dlaczego?

- Czy to nie wydaje się uderzająco dziwne, panie generale, że spośród głównych dramatis personae tylko na doktora MacDonalda nie padł nawet cień podejrzenia? Dla mnie to bardzo interesujące. A może, kiedy tak gorliwie oskarżał pozostałych, odsuwał podejrzenia od własnej osoby? Ten świat jest wyjątkowo wredny i ja automatycznie zaczynam podejrzewać tych, co są nieskazitelnie czysti, jak śnieg.

Przez dłuższą chwilę Generał patrzył na mnie w milczeniu, a potem spojrział na zegarek.

- Może po powrocie uda ci się złapać parę godzin snu. Wyśpię się po odzyskaniu szatańskiego wirusa. człowiek długo nie wytrzyma bez snu, Cavell - odparł bardzo poważnym tonem.

- To nie potrwa długo panie generale. Obiecuję. W ciągu trzydziestu sześciu godzin szatański wirus znajdzie się z powrotem w Mordon.

- Trzydzieści sześć godzin powiedział i przez chwilę się zastanawiał. Komu innemu roześmiałbym się w twarz. Ale Tobie tego bym nie zrobił, bo mnie oduczyłeś. Ale jednak... trzydzieści sześć godzin!

Generał pokręcił głową. Wychowano go według starej szkoły i był zbyt kulturalny ,żeby nazwał mnie głupcem, pyszałkiem czy blagierem.

- . Mówisz o wirusach = odezwał się w końcu. A co z mordercą?

Najważniejsze są wirusy, a to, czy morderca zginie, czy zostanie przekazany policji, nie wydaje się aż tak ważne. - Niech sam się o siebie martwi.

- Ja bardzo martwię się o ciebie. Bądź ostrożny, Cavell... chyba trudno ci to będzie przyjąć do wiadomości, ale on nie może okazać się sprytniejszy i bardziej niebezpieczny od ciebie powiedział, a potem wyciągnął rękę i delikatnie poklepał mnie pod lewą pach. - Przypuszczam, że zabierasz hanyatti na noc do łóżka. Wiesz, że nie pozwalam ci go używać?

- Ja go tylko ludziom pokazuję dla postrachu, panie generale.

- Dobre sobie... dla postrachu... przecież tym można przyprawić o zawał. Ale cię nie aresztuję. Jak Mary?

- Dziękuję, dobrze. Przesyła pozdrowienia.

Oczywiście z Alfringham - rzekł wbijając we mnie wzrok, ale chyba na chwilę zapomniał, że prawdopodobnie tylko ja spośród jego podwładnych nie kulę się pod tym jego spojrzeniem. - Nie powiedziałbym, że jestem zachwycony, kiedy moją córkę... jedyne moje dziecko... wciąga się w coś takiego.

- Potrzebowałem i wciąż potrzebuję osoby, której mógłbym wierzyć bez zastrzeżeń. Taką osobą jest Mary. Pan zna swoją córkę pewnie równie dobrze jak ja. Nienawidzę spraw, którymi się zajmujemy, ale im bardziej ich nienawidzi, tym trudniej utrzymać ją od niech z dala. Uważa, że nie należy puszczać mnie samego. I tak w ciągu dwudziestu czterech godzin sama przyjechałaby do Alfringham.

Generał patrzył na mnie przez chwilę, a potem wolno pokiwał głową i odprowadził mnie do drzwi.

Rozdział siódmy

Doktor MacDonald był dużym, masywnie wbudowanym mężczyzną pod czterdziestkę, ogorzałym i z pozoru tryskającym zdrowiem - typ dość często spotykany wśród tej części ziemiaństwa, która nie zajmuje się pracą i spędza wiele czasu na świeżym powietrzu, przeważnie uganianjąc się konno za lisami. Miał włosy, brwi i wąsy w kolorze piasku oraz gładką, okrągłą i nalaną twarz o czerwonym zabarwieniu, wskazującą na zamiłowanie do pełnego stołu, dobrze zaopatrzonej piwnicy i codziennie

nowej żyletki, a także na rozpoczynającą się chorobę serca. Zawsze imponował masywną, nieco wyniosłą postacią, lecz teraz nie wyglądał najlepiej. Ale nikt nie wygląda dobrze, kiedy przeciera zaspane oczy, otwierając drzwi niespodziewanemu gościowi o szóstej piętnaście w taki ciemny, deszczowy i okropnie zimny poranek w październiku.

Nie powiedziałbym, że przywitał mnie serdecznie.

- Kto tu do jasnej cholery tak się dobija o tej porze!?! - spytał MacDonald.

Drżąc z zimna, ciaśniej owinął szlafrokiem swoje zwaliste ciało; zdołał otworzyć jedno oko na tyle, by poznać mnie w bladym świetle, padającym z przedsionka za jego plecami.

- Cavell! Co to ma znaczyć, u diabła?

- Przepraszam cię, MacDonald - powiedziałem grzecznie i od razu dodałem – Wiem że to nieodpowiednia pora, ale muszę z tobą porozmawiać. To pilne.

- Nic nie jest tak cholernie pilne, żeby o tej porze wyciągać człowieka z łóżka - stwierdził z wściekłością.- Wszystko co

wiem, już powiedziałem policjantom, a w innych sprawach kontaktuj się ze mną w Mordon. Przepraszam, Cavell. Dobranoc! A raczej do widzenia!

Cofnął się i chciał zatrzasać mi drzwi przed nosem nie zdążyłem nic powiedzieć, więc podeszwą prawego buta przytrzymałem je, a potem gwałtownym kopniakiem otworzyłem na oścież. Nagłe przeniesienie ciężaru ciała na lewą chorą

nogę wcale nie zrobiło jej dobrze, ale to nic w porównaniu z prawym łokciem MacDonalda, którego musiały uderzyć otwierając się drzwi. Kiedy bowiem wszedłem do środka, trzymał się lewą ręką za łokieć i podskakiwał jak tańczący derwisz, używając stosownego do sytuacji języka - mieszanki eleganckich zwrotów i niecenzuralnego szkockiego żargonu, z przewagą tego ostatniego. Byłem pod wrażeniem tej wiązanki. Minęło z dziesięć sekund, zanim na dobre uświadomił sobie, że tam stoję.

- Wynoś się! - warknął gniewnie ze wściekłą miną.- Natychmiast wynoś się z mojego domu, ty..

Zaczął przeklinać moich przodków, ale mu przerwałem.

- Słuchaj, MacDonald, dwóch ludzi nie żyje. A szaleniec, który łatwo może zwiększyć liczbę martwych do milionów ano

ciągle jest na wolności. Twoja wygoda przy tym się nie liczy. Chcę, żebyś mi odpowiedział na parę

pytań. I to natychmiast

- Ty chcesz? A kim ty jesteś, że możesz czegoś chcieć? - Na chwilę na jego wykrzywionych bólem grubych wargach pojawił się grymas szyderstwa, lecz powrócił do swego oksfordzkiego akcentu. Wszystko o tobie wiem, Cavell. Wyrzucili cię z Mordon, bo nie umiałeś trzymać języka za zębami. Jesteś tylko tak zwanym prywatnym detektywem, ale pewnie

doszedłeś do wniosku, że więcej zarobisz tutaj niż na tych rozwodowych brudach, w których specjalizują się tacy jak ty. Bóg jedyny wie, jak ci się udało tu wkłęcić, ale wolałbym, żebyś się natychmiast stąd wyniósł. Nie masz prawa o nic mnie pytać. Nie jesteś policjantem. Gdzie twoja legitymacja? No, pokaż ją!

Nie starał się ukryć szyderstwa, które malowało się na jego twarzy, a przy tym ton jego głosu był co najmniej pogardliwy.

Nie miałem żadnej legitymacji, więc zamiast niej pokazałem mu hanyatti. To powinno wystarczyć, takie pokrzykiwanie bowiem jest tylko fasadą, za którą zwykle nic się nie kryje. A jednak nie wystarczyło. Może na MacDonalda trzeba czegoś więcej.

- Mój Boże! - roześmiał się, nie perliście, lecz bardzo nieprzyjemnie. - Pistolet! O szóstej rano. No i co teraz zrobisz? Tani melodramatyczny chwyt. Nareszcie cię poznałem, Cavell, na Boga, poznałem. A teraz jeden krótki telefon do komisarza Hardangera i jesteś załatwiony, ty mały, tani prywatny detektywku.

Poza swoją pracą najwyraźniej nie wyrażał się zbyt precyzyjnie może i jestem tani, ale nie mały - przewyższałem go

wzrostem o dobre kilka centymetrów.

Telefon stał na stoliku blisko mnie. MacDonald zrobił dwa kroki w jego stronę, ja zaś tylko jeden. Lufa hanyatti

trafiła doktora tuż pod mostkiem. Zgiął się w pół jak scyzoryk i upadł na podłogę. Moje postępowanie mogło wydawać

się brutalne, na pozór całkowicie bezpodstawne i sam wcale nie byłem tym zachwycony, ale jeszcze mniej podobał mi się

ten szaleniec z szatańskim wirusem. Jak już będzie po wszystkim, przeproszę MacDonalda. Ale nie teraz.

Przez chwilę skręcał się na podłodze, przyciskając dłonie do brzucha i kaszłąc z bólu, kiedy próbował wciągnąć powietrze do płuc. Po jakiejś minucie uspokoił się, z trudem wstał ,wciąż trzymając się za żołądek; oddychał bardzo szybko i bardzo płytko jak człowiek, któremu brakuje tlenu. Twarz mu nabrzmiała i zaczęła szarzeć, a nabiegłe krwią oczy patrzyły na mnie z nienawiścią. Lecz w ogóle nie miałem do niego o to pretensji.

To już koniec twojej kariery, Cavell - odezwał się chrapliwie, oddychając nierówno i z przerwami, jakby łkał.- Tym razem posunąłeś się za daleko. Napaść bez powodu...

Nagle przerwał i cofnął się, kiedy zobaczył przed oczami lufę hanyatti. Odruchowo podniósł ręce do góry, a potem stęknął z bólu, gdy wolną ręką znów uderzyłem go w brzuch. Tym razem leżał dłużej a kiedy się w końcu pozbierał, był w nienajlepszym stanie. Drżał. W oczach wciąż miał wściekłość, ale poza nią jeszcze coś.. Strach. Zrobiłem w jego kierunku dwa szybkie kroki ,wysoko unosząc hanyatti. MacDonald równie szybko się cofnął i nagle całym ciężarem zwałił się na kanapę, która podcięła mu kolana. Jego twarz wyrażała gniew, oszołomienie i lęk przed następnym ciosem, a wzrok jeszcze nienawiść do nas obu do mnie za to ,co ,nie zrobiłem, a do siebie za świadomość, że robi to, co mu g w powiedziałem. MacDonald nie miał ochoty rozmawiać, ale musiał i obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

- Gdzie byłeś tej nocy, kiedy zginął Baxter i Clandon? - spytałem wciąż trzymając hanyatti w pogotowiu.

- Moje zeznania ma Hardanger - odparł potulnie.- Byłem w domu. Grałem w brydża z trzema znajomymi. Prawie do północy.

- Co to za znajomi?

- Emerytowany kolega naukowiec ,miejscowy lekarz i pastor. Czy według ciebie są wystarczająco odpowiedni, Cavell?

Widocznie zaczęła mu wracać odwaga. Nikt nie ma lepszych kwalifikacji do popełnienia morderstwa niż lekarze, a bywało, że pastory już przechodzili do cywila.

Spojrzałem pod nogi na gruby dywan, pokrywający całą podłogę - gdyby ktoś tu zgubił diamentową szpilkę do krawata, to do odnalezienia jej w tym futrze trzeba by myśliwskiego psa.

- Masz tu wspaniały dywan, doktorku - powiedziałem bez szczególnej intonacji. - Za pięć funtów nie kupi się takiego drobiazgu.

- Nie wymądrzaj się, Cavell.

Na pewno wracała mu odwaga. Miałem nadzieję, że nie będzie na tyle głupi, żeby odzyskać jej za dużo

- Grube jedwabne draperie - ciągnąłem. - Stylowe meble. Prawdziwy kryształowy żyrandol. Spora chałupa i założę się, że cała jest umeblowana w podobnym guście. Tak samo kosztownie. Skąd wzięłeś tyle forsy, doktoru? Rozbiłeś bank? A może jesteś po prostu specjalistą od bingo?

Zrobił taką minę, jakby chciał mi powiedzieć, że to nie mój interes, więc znowu uniosłem nieco hanyatti, tylko trochę, na tyle, żeby zmienił zdanie.

- Jestem kawalerem i nie mam nikogo na utrzymaniu, mogę więc zaspokajać swoje zachcianki.

- Szczęśliwiec. Gdzie byłeś wczoraj wieczorem między dziewiątą a jedenastą?

Wzruszył ramionami.

- W domu - odparł.

- Jesteś pewien?

- No, oczywiście.

Wyraźnie uznał, że święte oburzenie jest dla niego najbezpieczniejszą linią postępowania.

Masz świadków?

- Byłem sam.

- Cały wieczór?

Cały wieczór. Moja gospodyni przychodzi codziennie o dziewiątej rano.

- Ale masz pecha. Wieczór bez świadków.

- O czym ty u diabła mówisz? - spytał szczerze zaintrygowany.

- Zaraz się dowiesz. Prowadzisz samochód, doktoru?

- Tak się składa, że prowadzę

- Ale do Mordon jeździsz wojskowym autobusem?

- Wolę. To nie twoja rzecz.

- Też prawda. Jaki masz samochód?

- Sportowy.

- Jakiej marki?

- Bentley continental.

- Sportowy. Continental - rzekłem i rzuciłem mu znaczące spojrzenie, ale na próżno, patrzył bowiem na dywan...być może faktycznie zgubił diamentową szpilkę do krawata.- Lubisz dywany i samochody w dobrym guście.

- To stary wóz. Używany.

- Kiedy go kupiłeś?

Gwałtownie podniósł wzrok i spojrzał na mnie

- O co ci chodzi? Do czego ty właściwie zmierzasz?

- Kiedy go kupiłeś ?

- Dwa i pół miesiąca temu - odpowiedział i znów zaczął badać wzrokiem dywan.- Może trzy.

- Powiedziałeś, że to stary wóz .Ile ma lat?

- Cztery.

- Cztery lata. Nikt nie odda czteroletniego bentleya continentala za bezcen. Taka zabawka kosztuje około pięciu

tysięcy funtów. Skąd wzięłeś taką sumę trzy miesiące temu? Wziąłem. Zapłaciłem gotówką tysiąc funtów, a resztę

rozłożono mi na trzy lata. Większość ludzi kupuje samochody w ten sposób.

- Długoterminowy kredyt, żeby zachować kapitał. To dla takich ludzi jak ty. Dla ludzi podobnych do mnie to się nazywa sprzedaż ratalna. Obejrzyjmy sobie tę twoją umowę.

Przyniósł ją jeden rzut oka pozwolił mi stwierdzić, że MacDonald mówił prawdę.

Ile wynosi twoja pensja, doktorze MacDonald? - spytałem.

Niewiele ponad dwa tysiące funtów. Rząd nie jest zbyt hojny.

Przestał się już wściekać i oburzać. Ciekawiło mnie dlaczego.

A więc po odjęciu podatku i tego, co wydajesz na życie, pod koniec roku możesz zaoszczędzić aż tysiąc funtów. To daje trzy tysiące po trzech latach. Jednak według umowy masz w tym czasie zapłacić cztery i pół tysiąca, łącznie z odsetkami. Jak chcesz dokonać tego matematycznego cudu?

- Mam dwie polisy ubezpieczeniowe, płatne w przyszłym roku. Zaraz ci je pokażę.

- Nie fatyguj się. Powiedz mi, doktorcu, dlaczego jesteś taki zaniepokojony i zdenerwowany?

- Jestem spokojny.

- Nie kłam.

- No dobrze, kłamię. Jestem zaniepokojony i jestem zdenerwowany. Twoje pytania zdenerwowałyby każdego. Może i miał rację.

- A dlaczego one cię tak denerwują, doktorcu? - spytałem.

- Dlaczego? Też pytanie! wykrzyknął rzucając mi wściekłe spojrzenie, a potem ponownie zabrał się do szukania szpilki. - Bo nie podoba mi się to, co starasz się udowodnić za pomocą swoich pytań. Nikomu by się nie podobało.

- A co takiego staram się udowodnić?

- Nie wiem odparł kręcąc głową i nie podnosząc wzroku. Próbujesz udowodnić, że żyję ponad stan. A tak nie jest.

nie wiem, czego chcesz dowieść.

- Dziś rano, doktorcu, masz kaprawe oczka rzekłem. I chyba nie będziesz protestował, jak ci powiem,

że śmierdzisz

zwietrzałą whisky. Wyglądasz jak człowiek, który wczoraj nieźle sobie popił i teraz za to pokutuje... nie powiem, żeby ci

pomogło te parę ciosów w splot słoneczny. Zabawne, ale figurujesz. w naszych aktach jako osoba pijąca umiarkowanie i tylko towarzystwie. Nie jesteś alkoholikiem. Ale wczoraj wieczorem byłeś sam, a tacy jak ty nie piją do lustra.

- Dlatego tak cię sklasyfikowano. Wczoraj jednak piłeś w samotnie... i to ostro, doktoru. Właściwie dlaczego? Może ze zmartwienia? Widać coś cię trapiło, jeszcze zanim zjawił się tu Cavell z jego kłopotliwymi pytaniami.

- Zwykle wypijam jednego przed snem - odpowiedział na swoją obronę, wciąż patrząc w dywan, ale nie szukał żadnej szpilki, tylko starał się ukryć przede mną twarz.- To nie zrobi ze mnie alkoholika. Cóż to jest jeden do poduszki?

- Albo dwa - przyznałem. - Kiedy jednak taki jeden okazuje się przeszło połową butelki, to już przestaje być jednym

do poduszki.

Rozejrzałem się po pokoju.

- Gdzie jest kuchnia? - spytałem.

- Czego ty..

- Odpowiadaj, do cholery!

- Tam.

Wyszedłem z pokoju i znalazłem się wśród tych błyszczących potworności ze stali nierdzewnej, które przypominają niekompletną salę operacyjną. Jeszcze jeden powód na duże pieniądze. Obok błyszczącego zlewu zaś kolejne dowody, że MacDonald rzeczywiście wypił trochę więcej niż jednego do poduszki butelka whisky w trzech czwartych pusta, a koło niej rozdarty ołowiany kapturek. Nieco dalej brudna popielniczka, pełna rozgniecionych niedopałków. Odwróciłem się usłyszawszy za sobą jakiś szmer. W drzwiach stał MacDonald.

- No, dobrze - odezwał się znużonym głosem. - A więc piłem. Przez jakieś dwie do trzech godzin. Nie nawykłem do

takich strasznych rzeczy, Cavell. Nie jestem policjantem ani żołnierzem. Dwa potworne, ohydne morderstwa.

Lekko wzruszył ramionami. Jeśli udawał, robił to znakomicie.

- Baxter od lat był jednym z moich najlepszych przyjaciół. Dlaczego został zabity? skąd mogę wiedzieć, czy zabójca nie

szuka następnej ofiary? I zdaję sobie sprawę, czym jest szatański wirus. Mój Boże, człowieku, miałem wystarczające

dowody, żeby zamartwić się na śmierć.

Rzeczywiście miałeś przyznałem. I ciągle je masz, choć deptę mu po piętach Myślę o zabójcy. A może on teraz chce załatwić? To również należałoby wziąć pod uwagę.

- Jesteś zimny, bezwzględny drań - wycedził przez zęby.- na miłość boską, odejdz i daj mi spokój.

- Już idę. Zamknij się na klucz, doktoru.

- Jeszcze się spotkamy, Cavell - powiedział odzyskując odwagę, kiedy schowałem pistolet i zbierałem się do wyjścia.

Zobaczymy, czy będziesz taki cholernie twardy, kiedy staniesz przed sądem oskarżony o napaść.

- Nie gadaj głupstw - skwitowałem krótko. - Nie dotknąłem cię nawet małym palcem. Przecież nie nasz żadnych

śladów. Tylko ty tak twierdzisz i niczego mi nie udowodnisz.

Po wyjściu z jego domu spojrzałem na rysujący się w mroku garaż, w którym przypuszczalnie stał bentley, ale zaraz przestałem o nim myśleć. Kiedy komuś jest potrzebny nie rzucający się w oczy sprawny samochód do jakiegoś zadania, które ma być wykonane jak najdyskretniej, to nie wybiera bentleya continentalą.

Zatrzymałem samochód przy budce telefonicznej i pod pretekstem, że potrzebuję adresu Gregoriego, zadzwoniłem najpierw do Weybridgea, choć wiedziałem, że on go nie zna, a następnie do Clovedena, który go znał. i mi podał. Obaj byli wściekli z powodu tak wczesnego telefonu, ale się uspokoili, natychmiast, bo prowadzone przeze mnie śledztwo jest na etapie, który pozwoli mi znaleźć rozwiązanie jeszcze przed końcem dnia. Obaj wypytywali mnie o szczegóły, ale niczego nie zdradziłem. Niewiele mnie to kosztowało, bo nic nie wiedziałem.

O siódmej piętnaście naciśnąłem dzwonek u drzwi domu doktora Gregoriego, a ściślej budynku, w którym mieszkał- luksusowego pensjonatu, prowadzonego przez jakąś wdowę i jej dwie córki. Od frontu stał na parkingu granatowy fiat 2 I 00. Samochód Gregoriego. Wciąż jeszcze było bardzo ciemno, nadal zimno i mokro. Odczuwałem zmęczenie i tak bardzo bolała mnie noga, że z trudem koncentrowałem się na sprawie, którą miałem załatwić.

Drzwi się otworzyły i wyrzała jakaś korpulentna siwowłosa jejmość po pięćdziesiątce. To z pewnością sama właścicielka pensjonatu, pani Whithorn, uważana za osobę o wesołym i beztróskim usposobieniu, znaną z wyjątkowego nieporządku i braku punktualności, lecz jej pensjonat cieszył się największym wzięciem w okolicy - miała godną pozazdroszczenia reputację znakomitej kucharki.

- A któż to dobija się tak rano? - spytała dobrotliwie, choć z nutką irytacji. - Mam nadzieję, że to nie znowu policja.

- Niestety tak. Moje nazwisko Cavell. Chciałem się widzieć z doktorem Gregorim.

- Biedny pan doktor. Już dość się przez was nacierpiał. Ale proszę wejść. Pójdę sprawdzić, czy już wstał.

- Wystarczy, że mi pani powie, gdzie jest jego pokój ,a sam to zrobię. Bardzo proszę, pani Whifhorn.

Z pewnym wahaniem wskazała mi drogę. Przeszedłem przez duży hall i znalazłem się w bocznym korytarzyku pod drzwiami, na których widniało nazwisko doktora. Zapukałem. Nie musiałem długo czekać. Gregorim był na nogach, ale

z pewnością dopiero co wstał. Pod wypłowiałym brunatnym szlafrokiem miał piżamę; a jego śniada twarz zdawała się ciemniejsza niż zwykle - widocznie jeszcze się nie golił.

- To pan, Cavell - powiedział.

W tonie jego głosu nie wyczułem jakiegoś szczególnego ciepła - ludzie, którzy o świcie witają przedstawicieli prawa, rzadko nastawieni są przyjaźnie - lecz w przeciwieństwie do MacDonalda był przynajmniej uprzejmy.

- Niech pan wejdzie. Proszę usiąść. Wygląda pan na zmęczonego.

Czułem się zmęczony. Usiadłem na _odsuniętym krześle i rozejrzałem się po pokoju. Umeblowanie różniło się od tego, które widziałem u MacDonalda, i raczej nie należało do Gregoriego. Pomieszczenie, w którym się znajdowałem; przypominało bardziej gabinet - gospodarz zapewne spał w sąsiednim pokoju, widziałem bowiem jakieś drzwi. Dywan używany, choć jeszcze w dobrym stanie, dwa trochę podniszczone fotele, jedna ściana całkowicie pokryta półkami na książki, ciężki

dębowy stół z maszyną do pisania i stertą papierów, obrotowe krzesło i to chyba wszystko. W palenisku kominka resztki po wczorajszym ogniu - biały miałki popiół, jaki zostaje po spalonej buczynie. W pokoju było zimno, choć dość duszno. Najwyraźniej Gregori jeszcze nie przejął obłędnego zwyczaju Anglików, polegającego na otwieraniu okien bez względu na pogodę. W powietrzu unosił się jakiś dziwny zapach, tak słaby, że nie mogłem go zidentyfikować.

- Czym mogę panu służyć? - ponaglał go odezwał się Gregori.

- Tylko parę pytań dla formalności - odparłem swobodnym tonem. - Wiem, że to barbarzyństwo przychodzić tak wcześnie rano, ale mamy wyjątkowo mało czasu.

- Pan w ogóle nie kładł się spać? - domyślił się Gregori.

- Jeszcze nie. Byłem bardzo zajęty. składaniem wizyt. Wyborem nieestosownej pory chyba nie zdobywam sobie popularności. Przychodzę prosto od doktora MacDonalda i obawiam się, że nie był zbyt zachwycony, kiedy wyciągałem go z łóżka.

- Doprawdy? Doktor MacDonald? - taktownie powiedział Gregori. - On jest cokolwiek niecierpliwy.

- Czy jest pan z nim blisko? Na przyjacielskiej stopie? -

- Powiedzmy; koleżeńskiej. Szanuję jego pracę. A dla czego pyta pan akurat o niego?

- Jestem niepoprawnie wścibski. Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy ma pan alibi na wczorajszy wieczór?

- Oczywiście - odparł zakłopotany. - Wszystko już mówiłem samemu panu Hardangerowi. Od ósmej prawie do północy. byłem na urodzinach córki pani Whithornnal

- Bardzo przepraszam - przerwałem mu - ale chodzi mi o wczorajszy wieczór nie zaś przedwczorajszy.

- Aha - odparł patrząc na mnie z niepokojem. - Nie było...nie popełniono kolejnych morderstw? -

- Nie - zapewniłem go. - No więc, panie doktorze?

- Wczoraj wieczorem? - uśmiechnął się blado, wzruszając ramionami - Alibi? Gdybym wiedział, że będzie potrzebne to nie omieszkałbym postarać się o nie. A mógłby pan dokładniej określić czas, panie Cavell?

- Powiedzmy, między dziewiątą trzydzieści a pół do jedenastej.

- Niestety ,boję się; że nie mam żadnego alibi. Siedziałem tutaj, w tym pokoju ,i cały wieczór pracowałem nad moją książką. Może pan to uznać za terapię zajęciową po tych strasznych przeżyciach z poprzedniego dnia, panie Cavell.- Zrobił krótką przerwę, a potem mówił dalej przeproszającym tonem - Właściwie nie cały wieczór. Zacząłem tuż po kolacji...około ósmej...a skończyłem o jedenastej. W takich okolicznościach wieczór ten mogę uznać za dobry ..napisałem trzy pełne strony.- Znów się uśmiechnął, ale tym razem inaczej - Jak na taką książkę, panie Cavell, jedna strona na godzinę to duży postęp.

- A co to za książka?

- O chemii nieorganicznej - odparł i zaraz smutno dodał kręcąc głową - Z pewnością nie można oczekiwać, że ludzie

będą oblegali księgarnie, by ją kupić. W tej dziedzinie grono czytelników jest dość ograniczone.

- To ta książka? - powiedziałem skinąwszy głową w stronę sterty papierów na stole.

- Owszem. Zacząłem ją jeszcze w Turynie tak dawno temu, że już tego nie pamiętam. Może ją pan przejrzeć, ale

obawiam się, że niewiele pan zrozumie. Jest bardzo specjalistyczna, a przy tym po włosku... wolę pisać w tym języku.

Nie wyjawilem mu, że czytam po włosku prawie tak samo dobrze jak on mówi po angielsku, a zamiast tego spytałem

- Pan pisze od razu na maszynie?

- Ależ oczywiście. Odręcznie piszę jak prawdziwy naukowiec... moje bazgroły są niemal nie do odszyfrowania. Ale, ale! - wykrzyknął, pocierając dłonią siny szpeciniasty zarost na policzku. - Ktoś mógł słyszeć, jak stukałem na maszynie.

- Dlatego właśnie o to-spytałem. Sądzi pan, że to możliwe?

= Bo ja wiem. Te pokoje wybrałem z myślą o moim pisaniu na maszynie.. rozumie pan, żeby nie przeszkadzać pozostałym gościom. Ani nade mną, ani obok nie ma żadnych sypialni. Ale chwileczkę... No tak, oczywiście! Jestem prawie pewien, że przez ścianę słyszałem telewizor. A przynajmniej tak mi się zdawało - dodał z wahaniem. - Obok jest pokój, który pani Whithorn nazywa nieco pompatycznie klubem, lecz bardzo mało osób tam przychodzi, właściwie tylko ona i jej córki, a do tego niezbyt często Jednak jestem pewien; że coś słyszałem. Powiedzmy, prawie pewien. Można by się zapytać.

Tak też zrobiliśmy. W kuchni pani Whithorn z jedną ze swych córek przygotowywała śniadanie. Zapach smażonego, boczku sprawił, że moja chora noga osłabła jak nigdy. W ciągu minuty wszystkiego się dowiedzieliśmy. Poprzedniego wieczoru pokazywano w telewizji stary godzinny film i pani Whithorn wraz z córkami oglądała go w całości.

Rozpoczął się punktualnie o dziesiątej - mijając pokój doktora Gregoriego w drodze do "klubu" słyszały, jak pisze na

maszynie. Stukot nie był na tyle głośny, by im to przeszkadzało, ale słyszały go wyraźnie. Pani Whithorn powiedziała

wówczas, że to wstyd, by doktor Gregori poświęcał tak mało czasu na rozrywki i odpoczynek. Z drugiej strony wiedziała

że chciał nadrobić czas; który poświęcił na udział w urodzinach jej córki - pierwszy wolny wieczór, jaki miał od wielu

tygodni.

Doktor Gregori nie posiadał się z radości.

- Jestem pani bardzo wdzięczny, pani Whithorn, i temu starymu filmowi - powiedział, a potem uśmiechnął się do

mnie.- Już znikły pańskie podejrzenia, panie Cavell?

- Nigdy pana nie podejrzewałem, doktorze. Ale tak właśnie pracują policjanci...poprzez eliminowanie nawet najbardziej nieprawdopodobnych możliwości.

Doktor Gregori odprowadził mnie do wyjścia. Było jeszcze ciemno, wciąż zimno i naprawdę bardzo mokro. Krople deszczu rozbryzgiwały się na asfalcie. Właśnie się zastanawiałem, jak by tu najlepiej zacząć moją, teraz już klasyczną, bajkę o postępach śledztwa, gdy nagle doktor

Gregori sam poruszył ten temat.

- Nie chcę, żeby zdradzał mi pan swoje tajemnice zawodowe; ale...hm...sądzi pan, że uda się złapać tego łajdaka? Czy śledztwo w ogóle posuwa się naprzód?

- Szybciej niż mogłem przypuszczać jeszcze dwanaście godzin temu. Uważam, że śledztwo zmierza we właściwym kierunku i posunęło się dość daleko. Bardzo daleko. Jest tylko pewien szkopał...teraz mam przed sobą mur. ,

- Na mur można się wspiąć, panie Cavell.

- To prawda. Pokonamy i ten - powiedziałem i na chwilę zamilkłem. - Chyba niepotrzebnie to powiedziałem, ale wiem, że pan to zatrzyma wyłącznie dla siebie.

Szczerze mnie zapewnił, że tak będzie, po czym się rozstaliśmy. Przejechawszy niespełna kilometr; zatrzymałem się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej i zadzwoniłem do Londynu.

- Przespałeś się, Cavell? - spytał Generał na powitanie.

- Nie, panie generale.

- Nie przejmuj się. Ja też nie. Zajmowałem się zrażaniem sobie ludzi, których wyciągałem z łóżek w środku nocy.

- Chyba nie bardziej niż ja, panie generale.

- Niewątpliwie. A masz chociaż jakieś wyniki?

- Nic specjalnego. A pan generał?

- Jeśli chodzi o Chessinghama, to władze cywilne nigdy nie wydawały mu żadnego prawa jazdy. Ale to nie zamyka sprawy... może zrobił je za granicą, choć to się rzadko zdarza. Jeśli zaś idzie o jego służbę wojskową, to rzecz dziwna ale okazało się że odbywał w RASC.*

- W RASC? A więc niewykluczone, że miał prawo jazdy. Czy pan generał to ustalił?

- Jedyne, co udało mi się ustalić w sprawie kariery wojskowej Chessinghama, to to, że w ogóle był w wojsku – z przekąsem rzekł generał. - Ministerstwo Wojny zwykle jest wyjątkowo nierychliwe, a tym bardziej w środku nocy. Może do południa coś się znajdzie. Mamy natomiast całkiem interesujące dane, które pół godziny temu otrzymaliśmy od dyrektora banku Chessinghama.

Przekazał mi te dane, a potem skończył rozmowę. Znowu z trudem wgramoliłem się do samochodu i ruszyłem w kierunku domu Chessinghama. Po kwadransie dotarłem na miejsce. W bladym świetle poranka ta zapadnięta w ziemię kanciasta budowla wyglądała jeszcze bardziej ponuro i odpychająco. Poza tym fatalnie się czułem. Powłócząc nogami wszedłem po zniszczonych schodkach nad fosą i nacisnąłem dzwonek.

Otworzyła mi Stella. Bardzo ładnie się prezentowała w schludnej kwiecistej podomce i z gładko przyczesanymi włosami, lecz twarz miała bladą, a jej oczy były podkrążone. Nie wyglądała na zbyt uradowaną, kiedy powiedziałem, że chcę się widzieć z jej bratem.

- Proszę, niech pan wejdzie - niechętnie zaprosiła mnie do środka.- Mama jest jeszcze w łóżku, a Eric je śniadanie.

Faktycznie. I znów te jajka na bekonie. Czułem, że noga coraz bardziej mi słabnie. Kiedy weszliśmy, Eric zerwał się od stołu.

- Dzień dobry, Cavell - przywitał mnie nerwowo.

Nie odpowiedziałem. Wbiłem w niego zimny, pusty wzrok jak to zwykli robić wyłącznie policjanci i kelnerzy.

- Muszę ci zadać jeszcze parę pytań, Chessingham - odezwałem się w końcu.- Całą noc nie spałem i nie mam nastroju do słuchania wykrętów. Na proste pytania chcę prostych odpowiedzi . Prowadzone w nocy śledztwo weszło na bardzo interesujące tory, które wiodą bezpośrednio tutaj - rzekłem i spojrzałem na jego siostrę. - Panno Chessingham, nie chciałbym pani niepotrzebnie denerwować .Chyba lepiej będzie; jeśli zostaniemy z pani bratem sami.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma, nerwowo polizała wargi, skinęła głową i już chciała odejść, gdy Chessingham ją powstrzymał.

- Zostań tu, Stella. Nie mam żadnych tajemnic. Moja siostra wie o mnie wszystko, Cavell

- Nie byłbym tego taki pewny - odparłem lodowato.- Jeśli ma pani ochotę zostać, to niech pani zostanie. Lecz później proszę nie zapominać, że odradzałem.

Oboje byli teraz bladzi i przerażeni. Dzięki umiejętności straszenia ludzi mógłbym w każdej chwili dostać etat w Interpolu.

- Co robiłeś wczoraj wieczorem, Chessingham? - spytałem.- Powiedzmy koło dziesiątej.

Wczoraj wieczorem? - powtórzył mrugając oczami.- Niby dlaczego mam się rozliczać z tego, co robiłem wczoraj?

- To ja zadaję pytania. Proszę o odpowiedź.

- Więc... ja... byłem w domu. Z mamą i Stellą.

- Cały wieczór?

- Oczywiście.

- To nie jest takie oczywiste. Czy ktoś postronny nie mógłby potwierdzić twojej obecności tutaj?

- Nie, tylko mama i Stella.

- Wyłącznie panna Chessingham, bo o dziesiątej twoja matka jest już w łóżku.

- Rzeczywiście była w łóżku. Zapomniałem.

- Wcale mnie to nie dziwi, bo jesteś niemal specjalistą od zapominania. Wczoraj zapomniałeś mi powiedzieć, że służyłeś w RASC.

- W RASC?

Na powrót usiadł za stołem, lecz nie po to, żeby jeść – po ruchach jego ramion zorientowałem się; że dość mocno ściska sobie dłonie.

- Tak; to prawda. A skąd wiesz?

- Wróble na dachu o tym ćwierkają. I od tych samych wróbli dowiedziałem się, że prowadziłeś jakieś pojazdy wojskowe. - Musiałem zaryzykować, bo z braku czasu nie miałem innego wyjścia. - A przecież mówiłeś, że nie umiesz prowadzić.

- Bo nie umiem - odparł i spojrzał na siostrę, a potem znów na mnie. - To pomyłka. Ktoś się pomylił

- To ty, Chessingham, popełniasz błąd, ciągle zaprzeczając. Co zrobisz, jeśli do wieczora przedstawię ci noicznych świadków, którzy przysięgną, że widzieli cię, jak prowadziłeś?

- Może raz czy dwa próbowałem. Boja wiem... nie jestem pewien. Ale nie mam prawa jazdy.

- Już mi się od tego robi niedobrze - powiedziałem z obrzydzeniem. - Mówisz i zachowujesz się jak krety, Chessingham

- Niewinny! - roześmiałem się złośliwie, jak przystało na , policjanta. - Te fotografie Jowisza, które, jak twierdzisz sam wykonałeś. Jak je zrobiłeś? A może zrobił je kto inny?

- Może zbudowałeś jakiś automat, który wszystko sfotografował, kiedy ty byłeś w Mordon?

- Na Boga, co ty pleciesz!?! - wykrzyknął histerycznie.- Automat? Jaki znowu automat? Przeszukaj dom od piwnicy po dach i zobaczysz, czy znajdziesz...

Popelnia pan straszną pomyłkę rzekła. Eric nie ma nic wspólnego z tym...z tym wszystkim...Z tym morderstwem. Mówię panu, nic! Ja to wiem.

- A była pani przedwczoraj z nim w jego obserwatorium po pół do jedenastej? Jeśli nie, młoda damo, to pani nie wie.

- Znam Erica! I wiem, że on absolutnie nie mógłby.. "

- Charakter o niczym nie świadczy - przerwałem jej ostrym tonem.- A skoro pani tak wszystko wie, to proszę mi _ wyjaśnić, skąd się wzięło tysiąc funtów na koncie pani brata

- Nie bądź naiwny - przerwałem mu. - Pewnie o zakopałeś głęboko w lesie o pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Panie Cavell! - odezwała się Stella Chessingham.

Stała przede mną ze wściekłą miną, tak mocno zaciskając palce; że aż drżały jej ręce.

- W ciągu ostatnich czterech miesięcy?

- Pięćset wpłynęło 3 lipca i tyle samo 3 października. Czy może mi pani to wytłumaczyć?

Popatrzyli na siebie z lękiem, którego nawet nie próbowali ukryć. Kiedy przy drugiej czy trzeciej próbie Chessinghamowi udało się wreszcie przemówić, jego głos był chrapliwy i drżący.

- Ktoś mnie wrabia! Ktoś chce mnie wrobić.

Zamknij się albo mów do rzeczy - powiedziałem- zmęczony. Skąd te pieniądze, Chessingham?

- Od wuja Georgea - odpowiedział żałośnie po chwili wahania, ścisząc głos niemal do szeptu i rzucając lękliwe spojrzenia na sufit.

- Bardzo przyzwoicie z jego strony - rzekłem. - A co to za wujek?

- Brat mamy - odparł wciąż przyciszonym głosem.- Czarna owca w rodzinie, a przynajmniej na to wygląda Powiedział mi, że jest całkowicie niewinny i nie popełnił przestępstw, które mu zarzucano, ale zebrano przeciwko niemu tak druzgocące dowody, że musiał uciekać z kraju.

Nie lubię mętnego gadania o ósmej rano po nie przespanej nocy.

- O czym ty mówisz? Jakie przestępstwa?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Chessingham z rozpaczą. - Nigdy go nie widzieliśmy... dzwonił do mnie dwukrotnie do Mordon. Mama nigdy o nim nie wspominała... do niedawna nie wiedzieliśmy nawet, że istnieje.

- Pani również o tym wiedziała? – spytałem Stellę.

- Naturalnie, że wiedziałam.

- A wasza matka?

- Ależ skąd - odpowiedział Chessingham. Mówiłem już, że nigdy nawet nie wspomniała o jego istnieniu. Musiał być oskarżony o bardzo poważne rzeczy. Powiedział, że gdyby mama się dowiedziała, skąd pochodzą te pieniądze, to by z pewnością uznała je za skłaneé i odmówiła ich przyjęcia. ,to znaczy Stella i ja; chcemy ją wysłać na leczenie za granicę i te pieniądze mają nam w tym pomóc.

Pomogą ci dostać się do Old Bailey – powiedziałem brutalnie - gdzie urodziła się wasza matka?

W Alfringham - odparła Stella, Eric bowiem wydawał się do tego niezdolny.

- Jej nazwisko panińskie?

- Jane Barelay.

- Gdzie macie telefon? Chciałbym zadzwonić.

Powiedziała mi; więc poszedłem do hallu i połączyłem się, z Generałem. Wróciłem do jadalni prawie po piętnastu minutach. Odniosłem wrażenie, że żadne z nich nie zmieniło pozycji od chwili, kiedy ich zostawiłem.

- Mój Boże, ale ż was wesola para - powiedziałem z przekąsem.- Oczywiście nigdy by wam nie przyszło do głowy, żeby zapytać o wujka w urzędzie stanu cywilnego. bo i po co? Wiedzieliście, że to bezcelowe. Wuj George nigdy nie istniał. Wasza matka w ogóle nie miała brata. Ale to dla was nie nowina. no, Chessingham, miałeś dość czasu, żeby wymyślić coś lepszego, bo ta bajeczka o wujku nie bardzo ci się udała.

Chyba nie był w stanie wymyślić nic innego, bo tylko popatrzył na mnie ponuro z wyrazem beznadziejności na twarzy, a potem spojrział na siostrę i wbił wzrok w podłogę.

- Cóż, nie ma pośpiechu -- pocieszyłem go.- Będziesz miał kilka tygodni na wymyślenie czegoś bardziej przekonującego. Tymczasem chciałbym zobaczyć się z twoją matką.

- Do cholery, mamy do tego nie mieszaj! - wykrzyknął zrywając się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, na którym siedział.- Mama jest stara i chora Zostaw ją w spokoju, Cavell; słyszysz?

- Proszę pójść i powiedzieć mamie, że za minutę u niej będę - rzekłem zwracając się do Stelli.

Chessingham skoczył w moją stronę, ale jego siostra stanęła między nami.

- Eric, nie! Proszę! - wykrzyknęła, a potem rzuciła mi takie spojrzenie, jakby chciała przybić mnie wzrokiem do ściany; i kwaśno dodała - Nie wiesz, że pan Cavell zawsze musi postawić na swoim?

Postawiłem na swoim. Rozmowa z panią Chessingham trwała nie więcej niż dziesięć minut. Nie było to jednak najprzyjemniejsze dziesięć minut w moim życiu.

Kiedy zszedłem na dół, Chessingham i jego siostra czekali w hallu. Stella podeszła do mnie z bladą, wylęknioną twarzą, a jej brązowe oczy były pełne łez.

- Popelnia pan straszliwy błąd, panie Cavell, straszliwy błąd - powtórzyła z determinacją. - Eric jest moim bratem i ja go znam. Znam go bardzo dobrze. Przysięgam, że jest całkowicie niewinny.

- Będzie miał okazję to udowodnić.

Czasami bardzo siebie nie lubię i właśnie tym razem tak było.

-- Najlepiej zrobisz, Chessingham, jak spakujesz walizkę. Weź trochę rzeczy, przynajmniej na kilka dni.

- Zabierasz mnie ze sobą? - spytał bezradnie.

- Nie mam prawa cię aresztować ani nie mam nakazu. Ale nie bój się, ktoś po ciebie przyjdzie Tylko nie bądź głupi nie próbuj uciekać Nawet mysz się nie prześlizgnie przez kordon wokół domu.

- Kordon? - powtórzył wytrzeszczając oczy. - To tu są policjanci...?

- A co, może myślałeś, że pierwszym samolotem uciekniesz za granicę? - spytałem. - Tak jak dobry wujaszek George

To pozwoliło mi spokojnie się oddalić, więc wyszedłem.

Następną i ostatnią wizytę przed śniadaniem zamierzałem złożyć tego ranka Hartnellom. W połowie drogi zatrzymałem się w lesie koło przydrożnego telefonu dla kierowców i

Zadzwoiłem do "Zajazdu". Po pewnym czasie usłyszałem głos Mary, która spytała, jak się czuję. Powiedziałem, że dobrze, a ona w odpowiedzi nazwała mnie kłamcą. Poinformowałem ją, że po dziewiątej wrócę do hotelu na śniadanie, poproszę Hardangera, żeby też przyszedł, jeśli będzie mógł.

Wyszedłem z budki. Chociaż samochód stał zaledwie o parę metrów ode mnie, ruszyłem do niego biegiem - wciąż lał rześisty zimny deszcz. Mimo pośpiechu nagle zatrzymałem się przy na wpół otwartych drzwiach, widząc jakąś postać, która nadchodziła drogą w strugach deszczu. Kiedy zbliżyła się na odległość około stu metrów zobaczyłem, że był to porządnie ubrany mężczyzna w średnim wieku, w nieprzemakalnym płaszczu i filcowym kapeluszu, lecz na tym kończyło się jego podobieństwo do normalnego człowieka. Poruszał się bowiem środkiem wypełnionego wodą deszczową rynsztoku. Rozpostarł ręce i podskakiwał na jednej nodze kopiąc zardzewiałą puszkę. Każdy jego podskok połączony z kopnięciem wyrzucał w górę fontannę wody.

Przez jakiś czas obserwowałem to widowisko, póki nie doszło do mojej świadomości, że krople deszczu biją mi po plecach i mam zupełnie mokre ramiona. Poza tym uznałem, że to nieładnie tak się gapić. Być może mieszkając na takim odludziu w Wiltshire, sam bym grał w klasy podczas w deszczu. Ze wzrokiem utkwionym w tę zjawę szybko wsiadłem do samochodu i zamknąłem drzwi. Dopiero wtedy zrozumiałem, że ten człowiek wcale nie zwariował, lecz starał się odwrócić moją uwagę od samochodu; w którym ktoś się za mną czaił.

Zza pleców doszedł mnie jakiś szmer, a kiedy zacząłem odwracać głowę, było o wiele za późno łom musiał już wówczas opadać. Nie zdążyłem nawet przełożyć mojej chorej nogi za kolumnę kierownicy, a poza tym napastnik zaatakował mnie z lewej strony, a przecież na lewe oko nie widzę więc łom uderzył mnie za lewym uchem z dużą siłą i celnie, ledwie bowiem poczułem ból, od razu straciłem przytomność.

Rozdział ósmy

Nie wyraziłbym się ściśle mówiąc, że się Obudziłem. Albowiem obudzić się, znaczy dość szybko przejść w jednym kierunku od stanu nieświadomości do świadomości, to zaś, co się ze mną działo w owym półśnie na granicy między tymi dwoma stanami, nie było ani szybkie, ani

jednokierunkowe. To zdawałem sobie niejasno sprawę, że leżę na czymś twardym i mokrym, to znów traciłem przytomność. Nie mogłem określić, ile czasu mijało między okresami półświadomości, a gdybym nawet mógł, to i tak nic by z tego nie wyszło, bo w głowie miałem watę. Chwile przytomności zaczęły się stopniowo wydłużać, aż w końcu przestałem zapadać się w, otchłań, lecz trudno powiedzieć, że oznaczało to jakąś poprawę albo żebym bardzo tego pragnął, ponieważ wraz z powracającą zdolnością pojmowania chwycił mnie obezwładniający ból, który ścisnął mi głowę; kark i prawą stronę klatki piersiowej niczym w ogromnym imadle, a jeszcze jakaś bezlitosna ręka zdawała się je dokręcać. Miałem wrażenie, jakby przepuszczono mnie przez młockarnię.

Z wielkim trudem otworzyłem swoje dobre oko i rozejrzałem się dookoła, aż w końcu znalazłem źródło mdłego światła zakratowane okienko wysoko na ścianie, tuż pod sufitem. Znajdowałem się w pomieszczeniu przypominającym celę, w piwnicy podobnej do sutereny domu Chessinghama.

Nie omyliłem się podłoga była twarda. I mokra. Surowy beton z płytkimi kałużami wody. Ten, kto mnie tutaj wrzucił, umyślnie wybrał największą.

Leżałem wyciągnięty na podłodze, częściowo na plecach, a częściowo na prawym boku, z rękami z tyłu, w bardzo dziwnej i niewygodnej pozycji. Zastanawiałem się półprzytomnie, dlaczego wybrałem tak męczącą pozycję, i wszystko pojąłem, kiedy spróbowałem ją zmienić. Ktoś bardzo sprawnie związał mi ręce za plecami - zdrętwiałe ramiona świadczyły niezbicie, że zaciskał węzły ze znaczną siłą. Chciałem podciągnąć nogi, by usiąść, lecz nawet nie drgnęły. Porostu nie mogłem ich ruszyć. Dźwignąłem się do pozycji siedzącej, zaczekałem, aż barwne koła przestaną mi wirować przed oczami; i spojrzałem przed siebie. Miałem nogi nie tylko skrępowane w kostkach, ale również przywiązane do metalowej podpórki regału na butelki z winem, zajmującego całą ścianę poniżej okna. Nie dość, że mnie związano, to jeszcze użyto do tego celu drutu w plastikowej izolacji. Bez wątplenia zrobił to zawodowiec. Takiego drutu nie przegryzie nawet goryl, a węzły można rozwiązać tylko potężnymi, kombinerkami - palce są w tym wypadku do niczego.

Uważając, by nie wykonać gwałtowniejszego ruchu - miałem bowiem wrażenie, że zaraz odpadnie mi głowa - z wolna i ostrożnie rozejrzałem się po piwnicy. Wyglądała przeciętnie i niczym nie różniła się od innych okno, zamknięte drzwi, regał i ja. Mogło być gorzej. A tu nikt nie napełniał jej wodą, żeby mnie utopić, i nie wpuszczał śmiertelnie gazy, żadnych jadowitych węży ani czarnych wdów. Tylko piwnica i ja. Sytuacja jednak wyglądała nie najlepiej.

Podciągnąłem się do regału i gwałtownymi szarpnięciami nóg próbowałem zerwać drut, którym byłem doń przywiązany, co jedynie zwiększyło ból. Potem starałem się uwolnić ręce, lecz mając świadomość, że to tylko strata czasu, zrezygnowałem już po pierwszej próbie. Zacząłem się zastanawiać; kiedy przyjdzie mi umrzeć z głodu lub z pragnienia.

"Tylko spokojnie" rzekłem do siebie w duchu. "Pomyśl; jak się uwolnić, Cavell". Gdyby ból nie rozsadzał mi czaszki z pewnością znalazłbym jakieś rozwiązanie, ale teraz mogłem jedynie myśleć o tym, jak bardzo jest mi źle i niewygodnie.

Właśnie wtedy dostrzegłem hanyatti. Niedowierzająco zamrugałem oczami, pokręciłem głową i spojrzałem jeszcze raz. Nie było wątpliwości; to na pewno hanyatti – ledwo widoczny kawałek kolby wystawał na parę centymetrów spod lewej kłapy marynarki. Patrzyłem, a on nie znikał. Mętnie zastanawiałem się, dlaczego ten człowiek... oczywiście ci ludzie, co mnie tu zaciągnęli, nie zauważyli pistoletu; ale z wolna do mnie dotarło; że oni go w ogóle nie szukali. Angielscy policjanci nie noszą broni. Dla nich w pewnym sensie byłem policjantem, więc nie powinienem mieć pistoletu.

Uniosłem lewe ramię i starałem się jak najniżej opuścić głowę, odchylając policzkiem kłapę marynarki. Przy trzeciej próbie chwyciłem kolbę zębami, ale mi się wyslizgnęła, gdy chciałem wyciągnąć pistolet z kabury. Czterokrotnie powtórzyłem ten manewr i zrezygnowałem. Wykręcanie szyi w tak nienaturalny sposób jest zawsze męczące, a teraz dochodziły jeszcze skutki uderzenia łomem i w rezultacie piwnica zawirowała wokół mnie w oszalamiającym tempie. Równocześnie poczułem ostry, kłujący ból z prawej strony klatki piersiowej i z przerażeniem zacząłem się zastanawiać, czy nie mam złamanego żebra, które mogło przebić mi płuco. W takim stanie wszystkiego się mogłem spodziewać. Po krótkim odpoczynku z trudem ukląknęłam, mocno zgąłem się w pasie i pochyliłem głowę niemal do podłogi

sądząc, że pistolet sam wysunie się z kabury pod własnym ciężarem. Nic z tego. Spróbowałem jeszcze raz, lecz zbyt

gwałtownie szarpnąłem się do przodu i jak długi upadłem na twarz. Kiedy w końcu przestało mi szumieć w głowie, powtórzyłem operację - tym razem pistolet, ostatecznie wysunął się z kabury i grzmotnął o podłogę.

Kłęcząc spoglądałem nań tęsknie w słabym świetle wypełniającym piwnicę. Człowiek o sadystycznych skłonnościach

uznałby to za świetny kawał, gdyby teraz mógł opróżnić pistolet z naboju i z powrotem włożyć go do kabury. Lecz

nikt taki szczęśliwie się nie zjawił. Na liczniku była dziewiątka - pełny magazynek.

Odwrociłem się kłęcząc, związanymi dłońmi podniosłem hanyatti, zwolniłem bezpiecznik i zacząłem przesuwając pistolet za plecami do prawego boku, na ile pozwalało mi nienaturalnie wykręcone lewe ramię. Muszka zahaczała o marynarkę, ale ciągnąłem i szarpałem tak długo, póki nie zobaczyłem, że wystaje na parę centymetrów zza mojego biodra. Skręciłem kolana i pochyliłem się do przodu, aż moje stopy znalazły się jakieś czterdzieści centymetrów przed wylotem lufy.

W pierwszej chwili chciałem przestrzelić węzeł krępujący mi kostki, ale tylko w pierwszej chwili. Czegoś takiego mógłby dokonać wyłącznie Buffalo Bill, lecz on widział dobrze na oba oczy i raczej nie urządzał pokazów w półmroku, ze zdrętwiałymi rękami, które miał związane z tyłu. Więcej niż pewne, że w ogólnym rozrachunku, moja próba mogłaby ucieszyć jedynie tamtych dwóch londyńskich

chirurgów, którzy chcieli amputować mi lewą stopę. Postanowiłem wybrać za cel półmetrowy odcinek czterech skręconych - ze sobą kabli, którymi przywiązano mi nogi do regału.

Przymierzyłem się, jak tylko mogłem najlepiej, i pociągnąłem za spust. Wszystko stało się nagle i równocześnie. Ta nienaturalna pozycja, w jakiej trzymałem pistolet, sprawiła, że miałem wrażenie; jakby odrzut złamał mi prawą rękę.

Huk wystrzału w zamkniętym pomieszczeniu zdawał się rozrywać bębunki, zagłuszając świst rykoszetu, który zwichrzył mi włosy, kiedy przelatował tak blisko, dosłownie o centymetr od głowy, że moje kłopoty omal nie skończyły się na zawsze. Poza tym zdarzyło się jeszcze coś - spudłowałem. Po dwóch sekundach znów strzeliłem. Bez chwili wahania. Jeśli bowiem na górze ktoś został na straży i cieszy się bezczynnością, to zaraz tu zejdzie; żeby sprawdzić, kto zakłóca mu spokój w domu. Alé nie tylko tym się kierowałem - gdybym zwlekał zastanawiając się, czy następny rykoszet nie polecą a ten centymetr bliżej, to prawdopodobnie nigdy bym się nie zdecydował pociągnąć za spust.

Znowu huk bliskiego wystrzału i tym razem byłem pewien, że mam wybity prawy kciuk, lecz nie bardzo się tym przejąłem. Najważniejsze, że kabel, którym przywiązano mnie do regału, został pięknie rozerwany w samym środku.

Buffalo Bill nie zrobiłby tego lepiej. Odwracając się chwyciłem jedną z podpórek regału wprawdzie całymi, lecz niemal bezużytecznymi rękami, podciągnąłem ciało do pionu, oparłem lewy łokieć na najbliższej półce i czekałem nie spuszczać z oka drzwi. Każdy, kto teraz wejdzie, by zobaczyć, co się tutaj dzieje, będzie musiał je otworzyć; a mężczyzna o przeciętnym wzroście jest znacznie łatwiejszym celem niż półmetrowy kawałek kabla.

Stałem tak na drżących nogach przez całą minutę, wytężając słuch mocno nadwerężony hukami dwóch wystrzałów.

Nic. Zaryzykowałem kilka szybkich podskoków, a kiedy dotarłem na środek piwnicy, spojrzałem w okno na wypadek, gdyby mój strażnik okazał się ostrożny i sprytny. I znowu nic. Jeszcze parę podskoków i byłem przy drzwiach.

Łokciem nacisnąłem klamkę zamkniętą na klucz. Odwróciłem się plecami do drzwi, tak długo skrobałem po nich łufą, aż trafiłem na zamek; i pociągnąłem za spust. Po drugim wystrzale drzwi nagle ustąpiły pod moim ciężarem co może wiele powiedzieć o stanie mojego umysłu, bo nawet nie obejrzałem przedtem zawiasów, by sprawdzić, w którą stronę się otwierają do środka czy na zewnątrz. Upadłem jak długi na betonową podłogę korytarzyku znajdującego się za drzwiami. Gdyby ktoś tam wówczas czekał i chciał mi przyłożyć, miał po temu najlepszą okazję. Ale nikt mi nie przyłożył, bo nikogo tam nie było. Oszołomiony i poobijany z trudem się podniosłem, odszukałem kontakt i nacisnąłem go ramieniem. Goła żarówka, która wisiała na końcu krótkiego kabla, jednak się nie zapaliła. Mogła być przepalona albo w ogóle do luzu, lecz moim zdaniem fakt ten oznaczał całkowity brak prądu - w powietrzu bowiem unosiła się woń podstarzałej stęchlizny, co świadczyło,

że właściciel opuścił ten dom już dawno.

Zniszczone schody prowadziły w ciemność. Wskoczyłem na pierwsze dwa stopnie i zacząłem tańczyć jak nakręcany

Żeby nie upaść błyskawicznie się obróciłem i usiadłem. Wówczas uznałem, że dla własnego bezpieczeństwa rozsądnie zrobię, jeśli jak najniżej utrzymam środek ciężkości. W tej pozycji dotarłem do szczytu schodów, przenosząc siedzenie po kolei z jednego stopnia na drugi.

Drzwi na górze również były zamknięte na klucz, ale to nie moje drzwi i miałem jeszcze pięć nabojów w magazynku

Hanyatti. Zamek ustąpił po pierwszym strzale i wytoczyłem się do hallu.

Hall był wysoki, miał nieregularny kształt, a jego ściany pokrywało to, co handlarze nieruchomościami nazywają wykwinną boazerią ręcznie ociosane dębowe belki, czarne i brzydkie. Z lewej i prawej strony zobaczyłem jakieś zamknięte drzwi, w głębi następne, oszklone, a obok mnie jeszcze jedno, które przypuszczalnie prowadziły na zaplecze budynku. Nad głową miałem schody, a pod nogami nierówny parkiet, pokryty grubą warstwą kurzu; z przeplatającymi się śladami butów. Biegły one od oszklonych drzwi do miejsca, w którym stałem. Najważniejsze, że w hallu nie było nikogo. Teraz już wiedziałem, że jestem sam, lecz nie wiedziałem, na jak długo chyba zwłoka byłaby głupotą.

Nie chciałem zdeptać śladów na parkiecie, skierowałem się więc do drzwi obok, które dla odmiany nie były zamknięte na klucz. Znalazłem się w następnym korytarzu, prowadzącym do części gospodarczej - spiżarni, kredensu, kuchni i pomywalni. A zatem to duży staromodny dom. Podskakując obszedłem wszystkie te pomieszczenia, otwierałem szafy i wyciągałem szuflady na podłogę, ale była to tylko strata czasu. Nie zauważyłem żadnego śladu, który by wskazywał, że dom ten opuszczono w takim pośpiechu jak latarnię morską na wyspie Flannan - dawni właściciele wyprowadzając się zabrali ze sobą cały dobytek. Nie zostawili nawet agrafki, co wcale nie oznacza, że mógłbym nią rozplątać kabel krępujący mi ręce i nogi.

Drzwi kuchennych także nie zamknięto na klucz. Otworzyłem je i wyskoczyłem na ulewny deszcz, który wciąż jeszcze padał. Rozejrzałem się dookoła, lecz nie zauważyłem nic szczególnego. Całkiem zdziczały, zapuszczony ogród, wysokie na trzy metry żywopłoty, które od lat nie widziały nożyc, ociekające wodą. Sosny i cyprysy, szumiące pod ciemnym zapłakanym niebem. "Wi chrowe wzgórza" to przy tym pestka.

Niedaleko zobaczyłem dwie drewniane budy - jedna z nich na tyle duża, że mogła być garażem, druga zaś znacznie mniejsza. Ruszyłem podskokami w stronę tej ostatniej z bardzo prostego powodu - miałem do niej bliżej. Rozklekotane drzwi, które wisiały na pokrzywionych zawiasach, skrzypnęły smętnie, kiedy oparłem się ramieniem o splekane deski.

Ta szopa służyła widocznie za warsztat, z jednej strony bowiem, pod lepiącym się od brudu oknem, zobaczyłem masywny stół z umocowanym do blatu zardzewiałym imadłem. Jeśli nie jest zbyt zardzewiałe jeśli znajdę jakieś narzędzie do cięcia, imadło to bardzo mi się przyda. Lecz w zasięgu wzroku nie dostrzegłem niczego, co przypominałoby takie narzędzie – nie widziałem w ogóle żadnych narzędzi, zupełnie jak w budynku mieszkalnym. Wyprowadzający się właściciele dokładnie wszystko ogołocili, zabierając swoje manatki. Ściany szopy były absolutnie puste. Zostawili tylko jedną rzecz, uznając zapewne, że do niczego się nie przyda - skrzynię ze sklejki, pełną różnych śmieci i wiórów. Za pomocą ułamka deski udało mi się ją przewrócić i wysypać zawartość na podłogę. Grzebałem patykiem w tej kupie rupieci - odpadów drewna, pokrytych rdzą śrub, kawałków pogiętej blachy, krzywych gwoździ – aż w końcu znalazłem bardzo starą zardzewiałą piłkę do metali. Prawie dziesięć minut zajęło mi umocowanie jej w imadle – ręce, miałem tak zdrętwiałe, że niewiele mogłem nimi zrobić - następne dziesięć minut szukałem po omacku kabla krępującego mi nadgarstki. W normalnych warunkach trwałoby to znacznie krócej ale z rękami skrępowanymi z tyłu nie widziałem, co robię, i musiałem działać powoli, w tej sytuacji, bowiem nietrudno przeciąć sobie tętnicę albo ścięgno zamiast drutu - do tego stopnia nie czułem swoich rąk.

Kiedy przepiłowałem ostatni kabel i wyciągnąłem je przed sobą, wyglądały prawie jak martwe - okropnie spuchły, napięta skóra była purpurowo sina, ze skaleczeń na wewnętrznej stronie nadgarstków i na prawie wszystkich palcach wolno spływała krew. Miałem nadzieję, że rdza łuszcząca się z piłki, która spowodowała te rany, nie wywoła zakażenia

Przez pięć minut siedziałem na skrzyni klnąc jak szewc, tymczasem purpurowe plamy na rękach powoli znikwały i tysiącami nieznośnie kłujących szpileczek wracało krążenie.

Kiedy w końcu mogłem już utrzymać piłkę w rękach, przeciąłem kabel, którym związane mi nogi, i znów przez jakiś czas kłąłem równie kwieciście, co przedtem, póki krew nie zaczęła w nich krążyć prawie normalnie. Podciągnąłem koszulę, by obejrzeć sobie prawy bok, ale szybko i byle jak od tak, wcisnąłem ją z powrotem za pasek. Dłuższe oglądanie tego widoku znacznie bowiem pogorszyłoby moje samopoczucie nieliczne miejsca z prawej strony klatki piersiowej, których nie pokrywała gruba skorupa zaschniętej krwi, groteskowo mieniły się już wszystkimi barwami tęczy. Przyszła mi do głowy myśl, że gdyby człowiek, który mnie skopał, wybrał lewy bok zamiast prawego, z pewnością połamałby sobie palce u nóg na hanyatti. Dobrze, że tak się nie stało

Wychodząc z szopy, trzymałem pistolet w ręku, lecz właściwie się nie spodziewałem, że będę musiał go używać.

Ominąłem dom - wiedziałem, że nie znajdę tam niczego poza śladami butów, a tym niech się martwią

specjaliści

Hardangera. Od frontu zobaczyłem drogę dojazdową, która biegła łukiem wśród ociekających wodą sosen - musiała

prowadzić do jakiejś szosy. Pokuśtykałem po zarośniętym chwastami żwirze.

Po kilku krokach zatrzymałem się i zacząłem myśleć na tyle intensywnie, na ile pozwalał mi stan mojego umysłu. Z pewnością napastnik chciał na jakiś czas usunąć mnie ze sceny, lecz o ile mi wiadomo, nic z tego nie wyszło. Nie mógł zostawić mojego samochodu przy drodze, musiał więc gdzieś go ukryć. Gdzie? Czyż nie byłoby logicznie i najprościej ukryć go tam, gdzie Cavella? Ruszyłem w stronę garażu.

Samochód faktycznie tam był. Z trudem do niego wsiadłem, by po kilku minutach wysiąść z takim samym trudem.

Skoro ktoś sądzi, że moja nieobecność przyniesie mu jakieś korzyści, to ja też mogę na tym skorzystać jeśli on w dalszym ciągu będzie tak uważał. Wówczas nawet się nie domyślałem, co mi to konkretnie da. Byłem wyczerpany i pobity, nie mogłem więc jeszcze w pełni zebrać myśli. Niejasno zdawałem sobie sprawę, że to daje mi pewną przewagę,

a w moim stanie i wobec braku postępu w śledztwie, które prowadziłem, bardzo tego potrzebowałem. W tej sytuacji samochód tylko by mnie zdradził, ruszyłem więc na piechotę.

Droga dojazdowa zawiodła mnie do zwykłego błotnistego traktu, pociętego i koleinami wypełnionymi wodą. Skręciłem w prawo z bardzo prostego powodu - z lewej strony znajdowało się długie, strome wzgórze - i po około dwudziestu

minutach trafiłem na jakąś szosę, przy której stał drogowskaz z napisem Netley Common 2 mile. Wiedziałem, że Netley Common leży przy głównej trasie z Londynu do Alfringham, co oznaczało, że spod przydrożnego telefonu, gdzie straciłem przytomność, przewieziono mnie na odległość prawie dziesięciu kilometrów. Zastanawiałem się, dlaczego tak daleko, i doszedłem do wniosku, że pewnie był to jedyny ,opuszczony dom z piwnicą w promieniu dziesięciu kilometrów- zejście tych dwu mil do Netley zajęło mi ponad godzinę, częściowo z powodu wyczerpania, a po części dlatego, że wskakiwałem w krzaki albo chowałem się za drzewa kiedy drogą nadjeżdżał jakiś samochód czy rowerzysta. Samo Netley obszedłem polami - pozbawionymi wszelkich oznak życia tego zimnego październikowego ranka - i w końcu dotarłem do głównej drogi, gdzie ukryłem się w rowie za krzakami. Spędziłem tam jakiś czas, trochę klęcząc, trochę leżąc. Czułem się niczym nasiąknięta wodą lalka, która zaczyna rozłazić się w szwach. Byłem tak wyczerpany, że nawet wydawało mi się, jakby przestała mnie boleć klatka piersiowa. Przemarzęłem do kości, drżałem jak marionetka w rękach stremowanego aktora i słałem.

Po dwudziestu minutach byłem jeszcze słabszy. Ruch samochodowy na wsi w Wiltshire w godzinach szczytu nigdy nawet się nie umywa do tego na Piccadilly, a teraz prawie nie istniał. W ciągu tych dwudziestu minut przejechały tylko trzy samochody i jeden autobus, - były pełne albo prawie pełne kilkunastu, żaden więc mi nie odpowiadał. Potrzebowałem samochodu lub ciężarówki jedynie z kierowcą, Jakkolwiek nietrudno wyobrazić sobie reakcję samotnego kierowcy na widok obszarpańca przypominającego faceta, który zwiął z więzienia, gdzie odsiadywał dożywocie, czy wariata, który uciekł z zakładu, uwolniwszy się z kaftana bezpieczeństwa.

W kolejnym samochodzie siedziały dwie osoby, ale się nie wahałem. Z daleka, rozpoznałem czarnego wołseleya, a po chwili dostrzegłem mundury ludzi w jego wnętrzu. Samochód łagodnie się zatrzymał, wysiadł z niego wysoki, tęgi sierżant z błyskiem ulgi na zatroskanej twarzy i podtrzymał mnie, kiedy potykając się wyszedłem z rowu. Jego silne ręce i masywna budowa wskazywały, że potrafi radzić sobie z ciężarami, więc nie miałem nic przeciwko temu, by mnie prawie niósł

- Pan Cavell? - spytał przyglądając mi się badawczo. - Czyżby to pan Cavell?

Wiedziałem, jak bardzo się zmieniłem w ciągu ostatnich paru godzin i na wszelki wypadek natychmiast potwierdziłem, że to ja.

- Dzięki Bogu. Kilkanaście wozów policyjnych i jeszcze więcej wojskowych szuka pana od dwóch godzin - rzekł, troskliwie sadowiąc mnie na tylnym siedzeniu. - A teraz niech pan sobie odpoczywa.

- O niczym innym nie marzę - odparłem, wygodnie układając w kącie swoje obite, przemoczone i uwalane błotem ciało. - Obawiam się sierżancie, że nigdy nie doczyścicie tego siedzenia.

- Proszę się nie martwić... mamy jeszcze kupę innych samochodów - odpowiedział wesoło i ponad oparciem sięgnął po mikrofon, kiedy ruszyliśmy. - Pańska żona czeka w komisariacie u inspektora Wylieego.

- Chwileczkę! - wykrzyknąłem. - Nikomu ani słowa o zmartwychwstaniu Cavella. Zachowajcie to dla siebie., Nie chcę też jechać tam, gdzie ktokolwiek by mnie rozpoznał. Nie znacie jakiegoś spokojnego miejsca, w którym mógłbym się zatrzymać bez zwracania niczyjej uwagi?

Sierżant odwrócił się i spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie rozumiem - rzekł powoli.

Już chciałem powiedzieć, że niczego nie musi rozumieć, ale byłoby to nie fair, więc zdecydowałem się jakoś mu to wytłumaczyć.

- To ważne, sierżancie. Przynajmniej ja tak uważam. - Znacie jakąś kryjówkę?

- No, - zawahał się. - To nie takie proste, panie Cavell...

- A może u mnie, panie sierżancie? - na ochotnika zgłosił się kierowca. - Wie pan, że Jean pojechała do matki, więc może zawieziemy pana Cavella do mnie?

- Czy to spokojne miejsce z telefonem i niedaleko Alfring - spytałem.

- Wszystko się zgadza.

- Znakomicie. Wielkie dzięki. Sierżancie połączcie się z inspektorem, tylko dyskretnie, i poproście go, żeby przyjechał tam z moją żoną. I z komisarzem Hardangerem, jeśli się Czy znacie tu, w Alfringham, jakiegoś policyjnego lekarza ! na którym można polegać? To znaczy, żeby się nie wygadał .

- My się nie wygadamy - zapewnił i spojrzał na mnie - po co panu lekarz ?

Pokiwałem głową i odchyliłem marynarkę. Poranny deszcz przemoczył mnie do suchej nitki i mocno rozcieńczył

cieknącą z ran krew, która pokrywała teraz prawie cały bok mojej koszuli plamą o wyjątkowo nieprzyjemnym odcieniem brunatnej czerwieni. Sierżant zerknął na nią, lekko się odwrócił i cicho powiedział do kierowcy

- Rollie, gazu Zawsze chciałeś jeździć jak Moss i teraz masz okazję. Ale wyłącz ten cholerny sygnał.

Następnie sięgnął po mikrofon i zaczął coś pośpiesznie mówić przyciszonym głosem.

- Nie pójdę do żadnego szpitala i koniec - powiedziałem z pasją, kiedy poczułem się prawie normalnie, połknąwszy

kilka kanapek z szynką i pół dużej szklanki whisky. - Żałuję, doktorze, ale taki już mój los.

- Ja też żałuję - odparł lekarz głosem, który był równie wątpy i profesjonalny jak jego zachowanie, kiedy pochylał się nade mną, gdy leżałem w łóżku w parterowym domku policjanta. - Żałuję tym bardziej, że nie mogę pana do tego zmusić. Chętnie bym to zrobił, bo jest pan człowiekiem poważnie chorym, wymagającym prześwietlenia i szpitalnej opieki. Ma pan pęknięte dwa żebra, a jedno z

pewnością złamane. Nie wiem, czy to złamanie jest niebezpieczne, bo nie mogę przeświecić pana oczami.

- Nie ma się czym przejmować _ powiedziałem uspokajająco - Tak mnie pan zabandażował, że żadne złamane żebro nie przebije mi płuca ani skóry, jeśli o to chodzi.

- O ile nie będzie się pan zanadto gimnastykował, to nie zasztyletuje się pan własnym żebrem - zażartował lekarz z

poważną miną - Jednak najbardziej mnie martwi możliwość wywiązania się zapalenia płuc... złamania, wyczerpanie wilgoć i silne przeżycia tworzą grunt idealnie temu sprzyjający. A połączenie zapalenia płuc ze złamanymi żebrami to już bardzo poważny stan. Cmentarze są pełne ludzi, którzy na to cierpieli.

- Dziękuję za pocieszenie - odparłem kwaśno.

- Pani Cavell - odezwał się lekarz, ignorując moje słowa, i spojrzał na Mary, która z bladą twarzą siedziała sztywno z drugiej strony łóżka. - Proszę co godzina sprawdzać oddech, puls i temperaturę. W wypadku wszelkich niepokojących zmian... czy trudności z oddychaniem proszę się natychmiast ze mną skontaktować. Ma pani mój telefon. Na koniec chciałbym uprzedzić panią i obecnych tu dżentelmenów- skinął głową w kierunku Hardangera i Wylie'ego - że jeśli pan Cavell ruszy się z łóżka w ciągu najbliższych trzech dni, to jako lekarz odmówię wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za stan jego zdrowia.

Spakował swoją walizeczkę i wyszedł. Jak tylko zamknęły się za nim drzwi, spuściłem nogi z łóżka i zacząłem wkładać

świeżą koszulę. Mary i Hardanger nie odezwali się ani słowem, a Wylie widząc, że nie zamierzają reagować, postanowił to zrobić za nich.

- Chce pan popełnić samobójstwo, Cavell? - spytał.- Przecież słyszał pan, co powiedział doktor Whitelow. Panie komisarzu, dlaczego pan go nie powstrzymuje?

- Bo on jest stuknięty. Czyżby pan inspektorze, nie zauważył, że nawet jego żona nie próbuje go powstrzymać Są w życiu rzeczy na które absolutnie szkoda czasu, a przemawianie Cavellowi do rozsądku jest jedną z nich - wyjaśnił Hardanger i rzucił mi gniewne spojrzenie

- Więc znowu coś sobie wykombinowałeś i znów zacząłeś się bawić w wilka samotnika No i widzisz czym się to skończyło? Wplątałeś się w jakąś krwawą awanturę. Dosłownie. Jak ty wyglądasz? Nie ma się czym chwalić .Kiedyż ty na litość boską zrozumiesz, że cała nadzieja we wspólnym działaniu? Niech szlag trafi te twoje Dartaniańskie metody, Cavell. Tylko jakiś system,

metoda, normalne śledztwo i współpraca mogą do czegoś doprowadzić w wypadku poważnego przestępstwa. do cholery ty o tym doskonale wiesz.

- Wiem - przyznałem. Ciężka i cierpliwa praca fachowców pod cierpliwym i fachowym nadzorem. Ale nie teraz. teraz nie ma miejsca na cierpliwość. Cierpliwi fachowcy potrzebują czasu, a my go nie mamy Czy wysłałeś uzbrojonych ludzi do obserwowania domu, w którym byłem, i tych swoich specjalistów, żeby zbadali tamte ślady.

Skinął głową.

- A teraz opowiadaj - rzekł. - Już nie traćmy więcej czasu.

- Pewnie że wszystko ci opowiem. Ale dopiero wtedy, jak mi powiesz, dlaczego mnie nie zwymyślałeś za to, że policja zmarnowała tyle cennego czasu na szukanie mojej osoby, a dlaczego nie kazałeś mi zostać w łóżku. Czyżbyśmy mieli jakieś kłopoty, komisarzu?

- Gazety już o wszystkim piszą. - odparł obojętnym tonem. - O włamaniu, morderstwach i o kradzieży szatańskiego wirusa. Nie spodziewaliśmy się, że napiszą o tej kradzieży. Już wpadły w histerię. Wrzaskliwe nagłówki we wszystkich dziennikach. Wskazał stertę gazet leżących obok niego na podłodze. Chcesz je przejrzeć żeby stracić jeszcze więcej czasu? - I tak wszystkiego się domyślam. Ale nie tylko to cię gryzie.

- Nie tylko. Dzwonił Generał... szukał ciebie.. jakieś pół godziny temu. Dziś rano za pośrednictwem specjalnych posłańców największe koncerny na Fleet Street otrzymały sześć listów tej samej treści. Ten facet pisze w nich, że zlekceważono jego poprzednie ostrzeżenie i niczego nie potwierdzono w wiadomościach BBC o dziewiątej rano. Mury Mordon wciąż jeszcze stoją i temu podobne głupstwa. Twierdzi, że w ciągu kilku godzin udowodni po pierwsze, fakt posiadania wirusów, a po drugie, gotowość ich użycia.

- Gazety to wydrukują?

- Wydrukują. Najpierw zebrali się redaktorzy naczelni i porozumieli z Wydziałem Specjalnym Scotland Yardu. Zastępcą komisarza skontaktował się z ministrem spraw wewnętrznych i chyba odbyło się jakieś nadzwyczajne posiedzenie. W każdym razie rząd postanowił, żeby tego nie drukować. Domyślam się, że ci z Fleet Street zarzucili rządowi uchylanie się od odpowiedzialności i przypomnieli, że to rząd powinien służyć narodowi, a nie odwrotnie, i że jeśli narodowi grozi jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo, a rzeczywiście na to wygląda, to naród ma prawo o tym wiedzieć. Przypomnieli również gabinetowi, że jeśli zrobi w tej sprawie choćby najmniejszy fałszywy krok, to w ciągu jednego dnia wyleci na zbity pysk. Londyńskie popołudniówki pewnie już są w kioskach. Idę o zakład że mają największe nagłówki od dnia zwycięstwa w czterdziestym piątym.

- A więc na dobre się zaczęło - powiedziałem kiwając głową.

Obserwowałem Mary, która z obojętnym wyrazem twarzy, unikając mojego wzroku, zapinała mi mankiety, czego sam nie mogłem zrobić z powodu zabandażowanych nadgarstków i mocno pokaleczonych palców.

- No cóż - ciągnąłem. - To z pewnością dostarczy Anglikom nowego tematu do konwersacji poza meczami piłkarskimi, tym, co poprzedniego dnia było w telewizji i ostatnimi sensacjami muzyki rockowej

Później opowiedziałem Hardangerowi, co wydarzyło się z pominięciem wyjazdu do Londynu i wizyty u Generała

- to ciekawe rzeczy - rzekł sennym głosem, kiedy skończyłem. chcesz przez to powiedzieć, że obudziłeś się w środku nocy

nic nie mówiąc Mary, zaczęłaś polować i Wydzwaniać po Wiltshire?

Mówię ci, że ta stara metoda tajniaków jest najlepszą zaskoczyć podejrzanych w głębokim śnie, i już masz połowę pracy za sobą. A po pierwsze, w ogóle nie kładłem się spać. Nic Ci nie mówiłem, bo wiedziałem, że masz inne zdanie i zatrzymałbyś mnie siłą.

- Gdybym cię zatrzymał - odparł oziębło - to miałbyś całe żebra.

Gdybyś mnie zatrzymał, to nasza lista podejrzanych by się nie skróciła. Wszystkim napomykałem, że wkrótce dostaniemy sprawcę. Któryś z nich przestraszył się tak bardzo, że wpadł w panikę i próbował mi przeszkodzić.

- To tylko twoje przypuszczenie.

- Tak, ale nie jest takie złe. Masz lepsze? Na początek proponuję od razu zamknąć Chessinghama. Wiele świadczy przeciwko niemu i...

- Byłbym zapomniiał przerwał mi Hardanger. - W nocy dzwoniłeś do Generała...

-Tak - potwierdziłem nawet nie udając zakłopotania.- potrzebowałem czyjejś zgody, żeby działać po swojemu, a wiedziałem, że ty byś mi nie pozwolił.

Spryciarz z ciebie - rzekł, a jeśli się domyślał, że kłamię, nie dał tego poznać. --Prosiłeś go, by sprawdził, co Chessingham robił w wojsku. Wygląda na to, że był kierowcą

- Więc jednak. Zamkniesz go?

- Tak. A co z siostrzyczką?

- Ona jest niewinna, jedynie kryje brata. Ich matka z całą pewnością jest czysta.

- I tak jest. Pozostają jeszcze ci cztery, z którymi kontaktowałeś się dziś rano. Uważasz ich za czystych?

- Nie. Weźmy pułkownika Weybridgea. Wiemy o nim tylko tyle, że miał dostęp do tajnych akt i mógłby szantażować doktora Hartnella, zmuszając go w ten sposób do współpracy. . .

- Ale wczoraj twierdziłeś, że Hartnell jest czysty.

Mówiłem, że mam do niego zastrzeżenia. Po drugie, dlaczego nasz dzielny pułkownik ani jego dzielny dowódca nie zaofiarował się z wejściem do laboratorium zamiast mnie? Czy dlatego, że wiedzieli o rozlanej botulinie? Po trzecie, on jest jedyną osobą, która nie ma alibi na czas, kiedy popełniono morderstwo.

- Rany boskie, Cavell, chyba nie chcesz, żebym zamknął pułkownika Weybridgea? Mogę ci tylko powiedzieć, że Cliveden i Weybridge dali nam niezłe popalić, kiedy dziś rano upieraliśmy się, że zdejmemy odciski palców w ich mieszkaniach. Cliveden nawet dzwonił do zastępcy komisarza.

- Który utarł mu nosa?

- W elegancki sposób. Teraz. nienawidzi nas a to, że się ośmieliliśmy.

- To pomaga. A co ze zbieraniem odcisków w domach innych podejrzanych? Masz już coś?

- Daj moim ludziom trochę czasu - odparł Hardanger. - Jeszcze nie ma pierwszej, a opracowywanie wyników zajmie im parę godzin. A ja naprawdę nie mogę zamknąć Weybridgea. Ministerstwo Wojny oskalpowałoby mnie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Jeżeli ten facet użyje szatańskiego wirusa powiedziałem to w ciągu dwudziestu czterech godzin Ministerstwo Wojny przestanie istnieć. To, że ktoś poczuje się dotknięty, nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Poza tym wcale nie musisz wrzucać go od razu do karceru. Zamknij go gdzie ci się żywnie podoba, w areszcie prewencyjnym albo domowym, czy coś w tym guście. Czy pojawiło się coś nowego w ciągu ostatnich paru godzin?

- Mnóstwo i nic = odparł Hardanger ponurym głosem. - Młotek i kombinerki to niewątpliwie narzędzia, których użyto przy włamaniu. Ale i tak byliśmy tego pewni W nigdzie nie znaleźliśmy żadnego przydatnego śladu. Podobnie w budce telefonicznej, z której wczoraj dzwoniło do laboratorium numer jeden . Przemaglowaliśmy tego lichwiarza Tuffnella i jego współnika.

Napuściliśmy na nich Wydział Oszustw, który sprawdził im rachunki, i teraz wiemy o nich tyle, co oni sami moglibyśmy wsadzić ich za kratki w ciągu tygodnia, ale to nie nasz interes. W każdym razie doktor Hartnell jest niewątpliwie ich jedynym klientem. skoro londyńska policja traci czas na szukanie człowieka, który wysłał listy na Fleet Street, to i my możemy równie dobrze robić to samo tutaj. Inspektor Martin przez całe rano wypytywał wszystkich pracowników laboratorium numer jeden o ich wzajemne kontakty towarzyskie i udało mu się jedynie wykryć, że doktor Hartnell i Chessingham bywali u siebie. Lecz o tym już wiedzieliśmy. Sprawdzamy każdy krok wszystkich podejrzanych ostatniego roku i specjalne grupy ludzi wypytyują mieszkańców w promieniu pięciu kilometrów od Mordon, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego w czasie, kiedy popełniano oba morderstwa. Coś musi z tego wyjść. Jeśli sieć jest dostatecznie duża a jej nerka odpowiednio mała, o zawsze coś wychodzi.

- Pewnie, ale po paru tygodniach .albo miesiącach. lecz nasz przyjaciel z szatańskim wirusem obiecał go użyć w ciągu kilku godzin. Do jasnej cholery, komisarzu, nie możemy tak po prostu sobie czekać, aż coś z tego wyjdzie. Metoda numer dwa polegająca na zapaleniu fajki i udawaniu Sherlocka Holmesa, też nigdzie nas nie zaprowadzi. Musimy ich jakoś sprowokować.

- Już ich sprowokowałeś powiedział kwaśno Hardanger.- No i co ci to dało? Chcesz ich jeszcze bardziej sprowokować? Ale jak?

- Na początek trzeba sprawdzić każdą operację finansową i wszelkie wpłaty na prywatne konta osób zatrudnionych w

laboratorium numer jeden, każdą wpłatę z ostatniego roku...nie zapominając też o Weybridge i Clivedenie. Podejrzani

muszą o tym wiedzieć. Wysłać grupy dochodzeniowe do wszystkich domów. Niech wszystko przewrócą do góry nogami i zwrócą uwagę nawet na najmniejszy drobiazg. To nie tylko zaniepokoi człowieka, którego szukamy... może

faktycznie coś jeszcze się wykryje.

- Jeśli już mamy posunąć się aż tak daleko - wtrącił inspektor Wylie - to równie dobrze moglibyśmy ich wszystkich zamknąć. Jedynie w ten sposób wyłączymy tego faceta z obiegu.

- To nic nie da, inspektorze. Może mamy do czynienia z maniakiem, ale to bardzo inteligentny maniak. Taką możliwość przewidział parę miesięcy temu. Dysponuje jakąś organizacją, bo przecież nikt z Mordon nie byłby w stanie dostarczyć tych listów w Londynie dziś rano, i może się pan założyć o całą swoją emeryturę, że pierwsza rzecz, jaką zrobił po kradzieży wirusów, to się ich pozbył.

- Spróbujemy coś zrobić - rzekł Hardanger bez entuzjazmu. - Ale skąd mam wziąć taką kupę ludzi, żeby...

- Możesz odwołać tych, co chodzą po domach. Tylko niepotrzebnie tracą czas.

Skinął głową również bez entuzjazmu, a potem dość długo rozmawiał przez telefon, podczas gdy ja kończyłem się ubierać.

- Nie mam zamiaru cię przekonywać - przemówił do mnie, kiedy odłożył słuchawkę. - Chcesz się zabić, proszę bardzo, ale mógłbyś pomyśleć o Mary.

- Nie bój się, ja właśnie o niej myślę. Akurat przyszło mi do głowy, że jeśli nasz nieznany przyjaciel będzie nieostrożnie obchodził się z szatańskim wirusem, to wkrótce w ogóle nie będzie nikogo. Wydawało się, że moja uwaga na dobre zakończy rozmowę, ale po pewnym czasie odezwał się zamyślony Wylie.

- Ciekaw jestem, czy rząd faktycznie zamknie Mordon, nasz nieznany przyjaciel rzeczywiście zademonstruje jej możliwości.

- Zamknie? On chce, żeby Mordon zrównano z ziemią, a nie sposób odgadnąć, co zrobi rząd. Wszyscy są na razie mocno przestraszeni...jeszcze nikt nie stracił posady i nie wpadł w przerażenie.

- Mów za siebie - cierpko odezwał się Hardanger.- No i co teraz zrobisz, Cavell? Możesz mi łaskawie powiedzieć? - spytał ironicznie.

- Pewnie że ci powiem. Będziesz się śmiał, ale mam zamiar się ucharakteryzować - powiedziałem dotykając blizny na lewym policzku.- Mary pomoże mi zrobić makijaż i blizny znikną. Włożę rogowe okulary, domaluję sobie zmarszczki wbiję się w szary garnitur, wezmę legitymację, która woli mi się przedstawiać jako inspektor Gibson z policji Londyńskiej,i stanę się zupełnie innym człowiekiem.

- A kto ci załatwi tę legitymację? - spytał Hardanger podejrzliwie.- Może ja?

- Nie trzeba. Zawsze mam ją przy sobie, tak na wszelki wypadek - odparłem nie zwracając uwagi na jego zdziwione spojrzenie.- A potem jeszcze raz odwiedzę naszego przyjaciela doktora MacDonalda. Ma się rozumieć w czasie jego obecności. Ten dobry lekarz ze skromną pensją potrafi żyć niemal jak potentat z Bliskiego Wschodu. Brak mu tylko

haremu, ale może dyskretnie ukrył go gdzie indziej. Poza tym ostro pije, bo jest ciężko przestraszony z powodu szatańskiego wirusa. Boi się też o swoje osobiste bezpieczeństwo. Nie wierzę mu. I dlatego znów go odwiedzę.

- Tylko niepotrzebnie stracisz czas - ospale powiedział Hardanger - MacDonald jest poza wszelkimi

podejrzeniami. Ma wspianą kartotekę bez najmniejszej skazy. Dziś rano studiowałem ją przez dwadzieścia minut.

Ja też to czytałem - rzekłem. - Ale w ciągu ostatnich paru lat w Old Bailey odbyło się kilka sensacyjnych procesów tych, którzy mieli nieskazitelną kartotekę, póki nie doścignęło ich prawo.

- Jest tutaj osobą powszechnie szanowaną - wtrącił Wylie.- Trochę snob, zadaje się wyłącznie z miejscową śmietanką towarzyską, ale wszyscy mówią o nim bardzo dobrze. Jest jeszcze coś, o czym nie przeczytasz w jego aktach ciągnął Hardanger. - Wspomina się tam tylko pobieżnie o jego służbie wojskowej w czasie wojny, a tak się złożyło, że osobiście znam pułkownika, który dowodził jednostką MacDonalda przez ostatnie dwa lata wojny. Dzwoniłem do niego. Wydaje się, że MacDonald mówi o sobie niezwykle powściągliwie. Czy wiedziałeś, że jako podporucznik w roku 1940 otrzymał w Belgii Order Zasługi i awans, że skończył wojnę kupą odznaczeń w stopniu pułkownika wojsk pancernych

- Nie wiedziałem i tego nie pojmuję odparłem. Uderzyło mnie, że zgrywa się na twardziela, który jeśli dokonał jakichś dzielnych czynów, to nie jest taki głupi, żeby się do nich przyznawać. On chciał, żebym uważał go a tchórza, a nie a odważniaka. A dlaczego? Bo wiedział, że musi jakoś usprawiedliwić fakt ostrego picia, no i walił to na obawę o własne bezpieczeństwo. Ale z tego, co wiemy, nie jest tchórzem. I to pierwsza dziwna sprawa. Druga dziwna rzecz dlaczego o tych jego zasługach nie wspomina się w aktach? Większość dossier przygotowywał Easton Derry, a nie wydaje się prawdopodobne, by Derry przeoczył taki kawał czyjegoś życiorysu.

- Nic mi o tym nie wiadomo - przyznał Hardanger. - Ale jedno jest pewne jeśli informacje, które otrzymałem na temat MacDonalda, są prawdziwe, to wydaje się w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, by człowiek tak odważny bezinteresowny i reprezentujący tak patriotyczną postawę mógł być zamieszany w coś takiego.

- A ten dowódca pułku MacDonalda, co ci o nim opowiadał... mógłbyś go tu natychmiast ściągnąć?

Hardanger rzucił mi zimne badawcze spojrzenie.

- Myślisz, że to w całości lipa? Że ten człowiek nie jest prawdziwym MacDonaldem? - Nie wiem, co myśleć. Musimy jeszcze raz przejrzeć jego akta i sprawdzić, czy rzeczywiście sporządził je Derry.

- Zaraz to załatwimy - powiedział Hardanger skinąwszy głową

Tym razem rozmawiał przez telefon prawie dziesięć minut, a kiedy odłożył słuchawkę, Mary już skończyła mój makijaż i byłem gotów do wyjścia.

- Wyglądasz okropnie - rzekł Hardanger. - Ale na ulicy bym cię nie poznał. Akta są w sejfie w moim

hotelu. idziemy

Ruszyłem do drzwi. Hardanger spojrzał na moje poranione piłą dłonie i palce, które wciąż jeszcze nieznacznie krwawiły.

- Dlaczego nie każesz lekarzowi zabandażować również palców? spytał z irytacją. Chcesz się nabawić zakażenia

- A próbowałaś kiedyś strzelać z pistoletu zabandażowanymi palcami? spytałem szorstkim głosem.

- Więc załóż, człowieku, rękawiczki i przestań się wygłupiać

- To też na nic. Nie wsadzę palca w kabłąk spustowy.

- Więc weź rękawiczki gumowe powiedział niecierpliwie.

- Albo z plastyku.

To jest myśl przyznałem. Z pewnością ukryją te przeklęte zadrapania.

Spojrzałem na Hardangera niewidzącymi oczami, a potem ciężko usiadłem na łóżku.

A niech to diabli! - powiedziałem cicho.

Siedziałem bez ruchu przez kilka sekund. Nikt się nie odzywał. W końcu zacząłem mówić bardziej do siebie niż do nich.

- Gumowe rękawiczki, żeby ukryć zadrapania. A niby dlaczego nie elastyczne pończochy? Dlaczegoż by nie?

Podniosłem nieprzytomny wzrok i zobaczyłem Hardangera, który patrzył na Wyliego myśląc zapewne, że zbyt wcześnie pozwolili odejść lekarzowi, ale Mary pośpieszyła mi na ratunek.

Dotknęła mojego ramienia, odwróciłem się więc, żeby na nią spojrzeć. Miała spiętą twarz, a w jej szeroko otwartych, wielkich zielonych oczach dostrzegłem zrozumienie i rodzącą się pewność.

- Mordon - szepnęła. - Pola wokół zakładu... jałowiec... porośnięte są jałowcem A ona miała na nogach elastyczne pończochy.

- Na miłość boską, o co tu właściwie... - odezwał się Hardanger chrapliwym głosem.

Nie dałem mu skończyć.

- Inspektorze Wylie, ile czasu zajmie panu zdobycie nakazu aresztowania? Morderstwo. Współdział.

- Ani chwili - odparł zdecydowanym tonem klepiąc się po kieszeni. - Mam tu trzy podpisane in blanco. Jak sam pan stwierdził, nie mamy czasu na czekanie. Trzeba je tylko wypełnić. A więc morderstwo?

- Współdział.

- A nazwisko? - spytał Hardanger niecierpliwie, ciągle nie mając pewności, czy nie powinien wezwać lekarza.

- Doktor Roger Hartnell - powiedziałem.

Rozdział dziewiąty

- Rany boskie, o czym pan mówi? – Młody doktor, Roger Hartnell, z nagle postarzałą, zmęczoną i wymiętą twarzą, spojrział na nas potem na swoją żonę, sztywno stojącą obok niego, a w końcu znów na nas. - Współudział w morderstwie? Człowieku, o czym pan mówi?

- Sądzymy, że pan doskonale wie, o czym mowa - spokojnie odparł Wylie, który właśnie odczytał Hartnellowi stawiane mu zarzuty, dokonując przepisowego aresztowania, była to bowiem jego jurysdykcja. - Muszę pana uprzedzić, że cokolwiek pan teraz powie, może być użyte przeciwko panu w czasie procesu. Uważam, że bardzo by nam pomogło pańskie przyznanie się do winy już teraz, lecz aresztanci mają swoje prawa. Zanim pan coś powie, wolno panu skontaktować się z adwokatem.

Hardanger, Wylie i ja wiedzieliśmy, że na pewno coś wie przed wyjściem z domu i że taki kontakt jest mu bardzo potrzebny.

- Czy któryś z panów byłby łaskaw wytłumaczyć mi to...te brednie? - lodowato spytała pani Hartnell.

Ta kobieta mówiła wyniosłym tonem i w kulturalny sposób wyrażała swoją niechęć, a jednak z całej jej postaci przebijała widoczna wrogość. Mocno ścisnęła sobie dłonie, które wciąż drżały, i wciąż miała na nogach te elastyczne pończochy

- Z przyjemnością - odezwał się Wylie. - Wczoraj, doktor Hartnell, oświadczył pan obecnemu tutaj panu Cavellowi, że. . .

- Cavell? - Hartnell jeszcze bardziej wybałuszył oczy.- Przecież to nie Cavell.

- Nie podobała mi się moja własna twarz - powiedziałem.

- Chyba cię to nie dziwi, Hartnell? Ale teraz mówi inspektor Wylie. ... że przedwczoraj późnym wieczorem wyjechał pan na

spotkanie z panem Tuffnellem - ciągnął Wylie. - Intensywnie prowadzone śledztwo wykazało, że gdyby rzeczywiście wyjechał pan w podanym przez siebie kierunku i czasie kilka osób mogłoby pana widzieć. Jednak nikt pana nie widział. To pierwsza sprawa.

Była to nie tylko pierwsza sprawa, ale również czysta fantazja dochodzenie faktycznie przeprowadzono, lecz nikt ani nie potwierdził, ani nie zakwestionował zeznań Hartnella, czego należało się spodziewać.

- A teraz druga sprawa kontynuował Wylie. – Pod przednim błotnikiem pańskiego skutera znaleziono błoto, które wydaje się identyczne z czerwoną gliną, występującą jedynie w pobliżu Mordon. Podejrzewamy, że wczesnym wieczorem tego samego dnia pojechał pan tam na zwiady. Obecnie zabieramy pojazd na badania w laboratoriach policyjnych. Trzecia...

- Mój skuter! - wykrzyknął Hartnell, jakby niebo zważyło mu się na głowę. - Mordon... Przysięgam...

- Trzecia sprawa mówił dalej Wylie. Później tego samego dnia pojechał pan tym skuterem, wraz z żoną, w pewne miejsce nie opodal domu Chessinghama. Sam pan omal się z tym nie zdradził przed panem Cavellem mówiąc, że policjant, który jakoby widział pana jadącego skuterem, mógłby potwierdzić pańskie zeznania w sprawie tego wyjazdu do Alfringham, ale w ostatniej chwili przypomniał pan sobie, że policjant musiałby widzieć również żonę na tylnym siodełku. Znaleziliśmy ślady kół pańskiego skutera niecałe dwadzieścia metrów od miejsca, w którym porzucono bedforda. Nieostrożność, doktorze, wielka nieostrożność. Widzę, że pan temu nie zaprzecza. Nie mógł. Ślady te wykryliśmy przed niespełna dwudziestoma minutami.

- Sprawa czwarta i piąta. Młotek, którym ogłuszono psa strażnika, i kombinerki, którymi przecięto druty, ogrodzenia wokół zakładu. Oba te przedmioty znaleziono wczoraj wieczorem w pańskiej szopie. To również zasługa pana Cavella

- Co takiego!? Ty ohydny, przybiegły złodzieju... z wykrzywioną twarzą, straciwszy resztki panowania nad sobą, Hartnell skoczył w moją stronę z palcami zagiętymi niczym szpony. Nie przebiegł nawet metra, drogę zagroziły bowiem masywne postacie Hardangera i Wyliego, gdy go obezwładnili. Hartnell szarpał się wściekle, z coraz większą furją jak obłąkany, ale na próżno.

- Zapraszałem cię tu... ty świnió! Zabawiałem twoją żonę. lubilem - powiedział łamiącym się głosem i ucichł, a znów się odezwał. mówił jak zupełnie inna osoba.- młotek, którym ogłuszono psa? Kombinerki? Tu? W moim domu znalezione tutaj? Skąd się tu wzięły Wydawał się oszołomiony, jakby usłyszał, że senator McCarthy był przez całe życie komunista. To niemożliwe! .lane, o czym oni mówią?

Popatrzył na żonę z twarzą pełną rozpacz.

Mówimy o morderstwie - stwierdził obojętnie Wylie.- oczekiwałem, że zechce nam pan pomóc, Hartnell.

Proszę z nami. Państwo oboje.

- To jakaś okropna pomyłka. _... nic nie rozumiem. To jakaś okropna pomyłka - jąkał się Hartnell, patrząc na nas okiem zaszczutego zwierzęcia. Wszystko mogę wyjaśnić. Na pewno wszystko wyjaśnię. , jeżeli musicie kogoś zabrać to weźcie mnie. Ale, proszę, nie zabierajcie mojej matki.

- Dlaczego nie? spytałem. Dwa dni temu ty się nie bałaś jej zabrać?

- Nie wiem, o czym mówicie powtórzył zmęczonym głosem.

Czy pani też zaprzeczy? zwróciłem się do pani Hartnell - Szczególnie wobec oświadczenia lekarza, który badał ją przed niespełna trzema tygodniami i stwierdził, że cieszy się pani doskonałym zdrowiem?

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała, lepiej panując nad sobą niż jej mąż - Do czego pan zmierza?

- Wczoraj była pani w aptece i kupiła parę elastycznych pończoch. Ten jałowiec koło Mordon jest paskudny, pani Hartnell, a było bardzo ciemno kiedy pani uciekała, ściągawszy na siebie uwagę żołnierzy, których przedtem umyślnie wywabiła pani z samochodu Brzydko wyglądają podrapane nogi, prawda? Należało jakoś ukryć te zadrapania. Policjanci są z natury podejrzliwi... szczególnie gdy chodzi o morderstwo.

- To wierutna bzdura - odparła nienaturalnie spokojnym głosem niby automat. - Jak pan śmie insynuować..

- Przez panią tylko tracimy czas! - przerwał jej ostrym tonem Hardanger, odzywając się po raz pierwszy. - Przed domem czeka policjantka. Mam ją tu poprosić?

Nie odpowiedziała.

- No więc doskonale. Proponuję, żebyśmy pojechali do komisariatu.

- Czy mógłbym jeszcze zamienić parę słów z doktorem Hartnellem? - spytałem. - W cztery oczy.

Hardanger i Wylie wymienili spojrzenia. Już wcześniej otrzymałem od nich zgodę, lecz na wszelki wypadek musiałem ponownie o nią prosić teraz, żeby nie mieli kłopotów podczas procesu.

- Po co? - spytał Hardanger.

- Z doktorem Hartnellem znamy się dość dobrze - odparłem. - Byliśmy ze sobą w nie najgorszych stosunkach. Mamy tak niewiele czasu, a może on chciałby ze mną porozmawiać.

- Z tobą? - wypalił Hartnell, któremu udało się połączyć parsknięcie z okrzykiem, a to duża sztuka. - Na Boga, nigdy!

- Rzeczywiście jest bardzo mało czasu - przyznał Hardanger ponuro. - Masz dziesięć minut.

Skinął na panią Hartnell, która z wahaniem popatrzyła na męża i wyszła, a za nią Hardanger i Wylie. Hartnell też chciał ruszyć za nimi, ale zastąpiłem mu drogę.

- Puść mnie - powiedział cicho nieprzyjemnym tonem.- takim jak ty nie mam nic do powiedzenia.

W krótkich słowach przedstawił swoją opinię o podobnych do mnie ludziach, a kiedy w dalszym ciągu nie chciałem

puścić, cofnął się o krok i wziął potężny zamach, żeby mnie uderzyć. Zrobił to jednak tak niezręcznie, że nawet osiem-

dziesięcioletniemu staruszkowi udało się odparować ten cios albo przynajmniej go uniknąć. Pokazałem Hartnellowi pistolet i od razu zmienił zamiar.

- Macie tu jakąś piwnicę? - spytałem.

- Piwnicę? Tak, my...- przerwał i znów nieprzyjemnie się zaśmiał. .- Jeśli myślisz, że tam mnie...

Uniosłem lewą pięść, naśladując jego własny niezdarny ruch, a kiedy zasłonił się prawą ręką, uderzyłem go lufą hanyatti na tyle mocno, by odebrać mu ochotę do walki, po czym wykręciłem mu lewą rękę na plecy i zaprowadziłem go do domu, gdzie było wejście do piwnicy. Kiedy zesliśmy, zamknąłem drzwi i brutalnie posadziłem Hartnella na ławce z surowego drewna. Siedział tam przez kilka sekund, pocierając dłonią czoło, a potem podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

- To jest szyte grubymi nićmi - zachrypiał.- Hardanger i nie wiedzieli, że to zrobisz.

- Hardanger i Wylie nie mają swobody działania - powiedziałem zimno.- Ograniczają ich przepisy o prowadzeniu przesłuchań. Boją się o swoje kariery i pensje. Ale ja nie. Jestem osobą prywatną.

- Myślisz, że ujdzie ci to na sucho? - spytał z powątpiewaniem. - Naprawdę uważasz, że ja nikomu o tym nie powiem?

- Przynajmniej póki nie skończę, nikomu niczego nie powiesz - rzekłem obojętnie.- Wyciągnę z ciebie prawdę w piętnaście minut, nie zostawiając żadnego śladu. Jestem specjalistą od tortur, Hartnell...belgijscy kolaboranci udzielali mi instrukcji przez całe trzy tygodnie... pokazywali mi wszystko na moim własnym ciele. Wyobraź sobie, że wcale mnie to nie obchodzi, jak bardzo cię uszkodzę. Niemniej spróbujemy najpierw łatwiejszego sposobu zaproponowałem. Zacznijmy od przypomnienia sobie, że na wolności jest szaleniec z szatańskim wirusem i grozi, że jeśli nie zaspokoi się jego żądań, to on wymorduje nie wiadomo ilu Anglików... a może zacząć w każdej chwili.

- O czym ty mówisz? spytał chrapliwym głosem.

Powiedziałem mu, co usłyszałem od Hardangera.

- Jeśli ten wariat - ciągnąłem - zacznie spełniać swoje groźby, to ludzie zaczną szukać winnego, a tak będą naciskali, że w końcu dostaną jakiegoś kozła ofiarnego. Chyba nie jesteś taki głupi, żeby tego nie rozumieć? Z pewnością możesz wyobrazić sobie swoją własną żonę, Jane, z pętlą na szyi i kata pociągającego dźwignię zapadni. Ciało jej spada, zawisa z szarpnięciem, trzaskają kręgi, odruchowe wierzganie nogami... Wyobrażasz to sobie, Hartnell? Widzisz, co możesz jej zrobić? Jest za młoda, żeby umierać. Śmierć przez powieszenie jest okropna... a u nas wciąż taka jest kara za udział w morderstwie z chęci zysku.

Spojrzał na mnie tępo, z rozpaczą i żalością w błędnych oczach. Twarz mu poszarzała w półmroku piwnicy, a na czoło wystąpił pot.

Chyba zdajesz sobie sprawę, że potem możesz odwołać wszystko, co mi tutaj powiesz. Zeznania bez świadków są nieważne przerwałem, a potem ściszyłem głos. Doskonale to rozumiesz, prawda. Skinął głową. Wzrok miał utkwiony w podłodze.

- Kim jest morderca Kto za tym wszystkim stoi? spytałem.

- Nie Wiem. Bóg mi świadkiem, że nie wiem. Ktoś zadzwonił i zaproponował mi pieniądze za odwrócenie uwagi strażników. Mnie i Jane. Myślałem, że zwariował, a gdyby nie proponował mi śmierdzącego interesu... w każdym razie

odmówiłem. _następnego dnia otrzymałem przekaz na dwieście funtów z dopiskiem, że dostanę jeszcze trzysta.

Jeśli zrobię to ,o co mnie proszono .Jakieś...jakieś dwa tygodnie później znów miałem telefon.

- A ten głos? Poznałeś go po głosie?

-Był niski, przytłumiony. Nie mam pojęcia kto to. Chyba czymś zasłaniał usta.

- Co powiedział?

- To samo, co w tym dopisku. Że dostanę jeszcze trzysta funtów ,jeśli zrobię to, o co prosił

- Powiedziałem, że zrobię.

Wciąż patrzył w podłogę.-

- ...ja już wydałem część tych pieniędzy.

- Dostałeś te trzysta funtów ?

- Jeszcze nie.

- A ile wydałeś z tych dwustu?

- Jakieś czterdzieści.

- Pokaż mi resztę.

- Nie mam ich przy sobie .Ani w domu .Wczoraj po twojej wizycie zakopałem je w lesie.

- Jakie to były banknoty?

- Pięciofuntówki. Wydane przez Bank Angielski.

- Aha. Wszystko to bardzo interesujące, doktoru.

Podszedłem do ławki ,na której ciągle siedział ,i mocnym chwytem za włosy, gwałtownie poderwałem mu głowę, wbiłem lufę hanyatti w jego splot słoneczny, a kiedy Hartnell zachłysnął się z miejsca, wpakowałem mu ją między zęby. Trwałem tak bez ruchu dziesięć sekund, on zaś patrzył na mnie oszalałym ze strachu wzrokiem. Zrobiło mi się cokolwiek

niedobrze.

- Mogłem dać ci tylko jedną szansę, Hartnell powiedziałem cicho. Już ją miałeś. A teraz się tobą zajmę. Ty zgniłku, łżesz jak najęty. Myślisz, że uwierzyć w tę głupią historyjkę. Uważasz, że tak inteligentny facet jak ten, który za tym stoi, mógłby zadzwonić do ciebie i prosić o odwrócenie uwagi strażników doskonale wiedząc, że możesz natychmiast pójść na policję i postawić na nogi wszystkich gliniarzy i całe wojsko w Mordon, co zniweczyłoby jego plany?

Czy myślisz, że w okręgu, gdzie jeszcze nie ma automatycznych połączeń, ten człowiek rozmawiałby

z tobą w takiej sprawie przez telefon, ryzykując, że jakaś nudząca się panienka w centrali podsłucha każde jego słowo? Czy naprawdę jesteś do tego stopnia naiwny, by z kolei mnie posądzać o taką naiwność, że w to uwierzę? Sądzisz, że ten człowiek, taki geniusz organizacji, mógłby pozwolić, żeby wszystko, powodzenie wszelkich jego planów zależało od czegoś tak niepewnego jak twoja chciwość? Czy przypuszczasz, że zapłaciliby ci pięciofuntówkami, których drogę łatwo prześledzić i na których mogą pozostać odciski palców nie tylko jego, lecz i tej kasjerki, co je wydawała? Chcesz mi wmówić, że zaproponował ci pięćset funtów za robotę, którą para fachowców z Londynu wykonałaby za jedną dziesiątą tej sumy? A wreszcie myślisz, że uwierzę, byś zawracał sobie głowę zakopywaniem pieniędzy nocą w lesie tylko po to, żebyś powiedział, że nie możesz ich odnaleźć, kiedy policja każe ci je odkopać? - Cofnąłem się, odsuwając pistolet od jego twarzy. - A może pójdziemy poszukać tej forsy teraz, co

- O Boże, to nie ma sensu - jęknął całkowicie zdruzgotany. - Jestem skończony, Cavell, ze mną już koniec. Pożyczałem pieniądze od kogo się dało i teraz mam długów na ponad dwa tysiące.

- Daruj sobie te żale - powiedziałem szorstko. - To mnie nie interesuje.

- Tuffnell... ten lichwiarz... mocno mnie przycisnął- mówił dalej tępym głosem, nie patrząc mi w oczy. - W Mordon zbieram pieniądze na obiady w kantynie. Zdefraudowałem ponad sześćset funtów. Ktoś to odkrył.. Bóg jedyny wie, kto i w jaki sposób... Przysłał mi list, w którym napisał, że jeśli nie będę z nim współpracował, to on o wszystkim zawiadomi policję. No i się zgodziłem.

Schowałem pistolet. Prawda w jego głosie nie brzmiała jak w ustach niewiniątka, ale wiedziałem, że Hartnell był zbyt rozbity, aby dalej kręcić.

- Czy według ciebie coś mogłoby wskazywać, kto jest autorem tego listu? - spytałem.

- Nie. I przysięgam, że nic nie wiem o tym młotku i kombinerkach, ani o tym czerwonym błocie.

Noga bolała mnie. tak bardzo, że dostałem samochód policyjny z kierowcą, ale mimo to droga do domu MacDonalda się nie była dla mnie przyjemnością. Czas uciekał, a ja wciąż miałem przed sobą mur Wieczorem we wszystkich popołudniówkach ukaże się wyważona informacja, że w Mordon aresztowano dwóch naukowców pod zarzutem morderstwa

że ostateczne rozwiązanie sprawy kradzieży szatańskiego wirusa to tylko kwestia godzin. Chociaż mieliśmy nadzieję że w ten sposób uspimy czujność prawdziwych morderców, to jednak śledztwo nie posunęło się naprzód.

Błądziliśmy jak ślepcy w gęstej mgle o północy. A przy tym nie mieliśmy niczego czego można by się uchwycić. Absolutnie nic.

Hardanger zamierzał rozpocząć w Mordon intensywne dochodzenie by ustalić, kto ma dostęp do rachunków w kantynie - pomyślałem z goryczą, że prawdopodobnie jest tego kilkaset osób.

Drzwi otworzyła mi gospodyni MacDonalda. Miała trzydzieści kilka lat, wyglądała lepiej niż znośnie i przedstawiła się jako pani Turpin. Na jej twarzy malowała się wściekłość, miała minę wiernego rządcy, który jest bezsilny, bo nie umie bronić własności swego pana przed atakiem i plądrowaniem. Kiedy pokazałem jej moją fałszywą legitymację i poprosiłem, żeby mnie wpuściła, wówczas odparła kwaśno, jeden wścibski policjant mniej czy więcej to teraz bez różnicy.

- Okazało się że dom był pełen ubranych po cywilnemu policjantów. Przedstawiłem się dowódcy, sierżantowi o nazwisku Carlisle.

- Znaleźliście już coś ciekawego, sierżancie?

Trudno powiedzieć. Jesteśmy tu ponad godzinę, zaczęliśmy od strychu i jeszcze nie natrafiliśmy na nic, co moim

zdaniem byłoby podejrzane. Mogę tylko stwierdzić, że doktorowi MacDonaldowi chyba nieźle się powodzi Jeden z

moich ludzi, który się trochę zna na artystycznych rupieciach, mówi, że wiele z tych obrazów, garnków i innych staroci warte jest niezłą sumką. Powinien pan też zobaczyć tę jego ciemnię na strychu choć sama jest byle jaka, to on ma w niej sprzętu fotograficznego za przynajmniej tysiąc funtów.

- Ciemnię? A to ciekawe. Nigdy nie słyszałem, żeby doktor MacDonald interesował się fotografią.

- Jak Boga kocham. To jeden z najlepszych fotografów amatorów w kraju. Jest prezesem naszego kółka fotograficznego w Alfringham. W gabinecie ma całą szafkę nagród. Zapewniam pana, że on nie robi z tego tajemnicy.

Zostawiłem rewizję sierżantowi i jego ludziom jeśli oni niczego nie znaleźli, to i ja nie znajdę i poszedłem na górę do ciemni. Carlisle wcale nie przesadził MacDonaldowi rzeczywiście powodziło się nie najgorzej, zarówno jeśli chodzi o sprzęt fotograficzny. jak i w ogóle materialnie. Nie pozostałem tam jednak długo no bo jaki związek ze sprawą może mieć sprzęt fotograficzny? Zanotowałem tylko w pamięci, żeby sprowadzić z Londynu policyjnego eksperta od fotografii, istniała bowiem jedna szansa na tysiąc, jemu może jemu uda się coś wykryć. Potem zszedłem na dół zobaczyć się z gospodynią.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego całego zamieszania, pani Turpin powiedziałem uprzejmie. Proszę zrozumieć, to zwykłe rutynowe postępowanie. Chyba przyjemnie zajmować się

takim pięknym domem.

- Jeśli ma pan jakieś pytania, to niech pan je zadaje warknęła ale proszę mnie tu nie czarować.

Nie dała się podejść.

- Ile lat pani pracuje u doktora MacDonalda?

- Cztery. Od czasu, jak tu przyjechał. Większego dżentelmena nigdzie pan nie znajdzie. A skąd to pytanie?

- Doktor ma tu wiele wartościowych przedmiotów - odparłem i wymieniałem kilkanaście z nich, poczynając od wspaniałych dywanów, a kończąc na obrazach.- Od jak dawna je ma?

- Nie muszę odpowiadać na takie pytania, panie inspektorze. Nie można powiedzieć, uczynna osoba.

- Nie. Nie musi pani -.przyznałem.- Szczególnie jeśli chce pani pogorszyć sytuację swego chlebowawcy.

Rzuciła mi wściekłe spojrzenie, zawahała się, w końcu zdecydowała się odpowiedzieć. Przynajmniej połowę tych rzeczy MacDonald przywiózł ze sobą, kiedy się tu wprowadził przed czterema laty. Resztę dokupił później w mniej więcej równych odstępach czasu. Pani Turpin należała do tych wspaniałych kobiet, które z fotograficzną dokładnością zapamiętują wszystkie drobiazgi ,mogła więc określić datę, godzinę ,a nawet pogodę, jaka panowała, kiedy dostarczano każdy z tych przedmiotów. Wiedziałem, że gdybym chciał to sprawdzić to tylko straciłbym czas. Jeśli pani Turpin tak powiedziała, to nie mogło być inaczej i nie sposób nic do dodać.

Okoliczności te z pewnością uwalniały MacDonalda od podejrzeń. W ciągu ostatnich tygodni czy miesięcy nic nowego nie przybyło - wszystkich tych cennych zakupów dokonywał przez lata. Nie domyślałem się, skąd zdobywał na to potrzebne do tego środki, lecz w tej chwili wydawało się to mało ważne. Jak sam powiedział, był samotnym kawalerem bez rodziny, mógł więc sobie na to pozwolić.

Wróciłem do bawialni i zobaczyłem Carlislea, który szedł w moją stronę, niosąc kilka grubych teczek.

- Robimy teraz dokładną rewizję gabinetu doktora Macdonalda ,panie inspektorze .Wszystko naturalnie spisujemy, ale pomyślałem sobie, że to mogłoby pana zainteresować Zdaje się, że to jakaś urzędowa korespondencja.

Zainteresowała mnie, lecz z innego powodu, niż się spodziewałem. Im głębiej wnikałem w sprawy

MacDonalda, tym bardziej wydawał mi się niewinny. Teczka zawierała kopie jego listów do kolegów naukowców i różnych organizacji badawczych w Europie, głównie do Światowej Organizacji Zdrowia, oraz odpowiedzi, które stamtąd otrzymał. Listy te bez wątpienia świadczyły, że MacDonald jest bardzo utalentowanym i wielce szanowanym chemikiem i mikrobiologiem, należącym do czołówki w jego dziedzinie. Niemal połowa listów nosiła adresy pewnych organizacji stowarzyszonych w WHO, przede wszystkim w Paryżu, Sztokholmie, Bonn i Rzymie. Ich treść nie zawierała nic szkodliwego dla państwa ani żadnych tajemnic państwowej wagi - wystarczającą gwarancję stanowiła parafa doktora Baxtera, którą często spotykałem na kopiach. Poza tym, choć miała to być tajemnica, wszyscy naukowcy w Mordon wiedzieli, że ich poczta jest nieustannie cenzurowana. Jeszcze raz przejrzałem teczkę i właśnie miałem ją odłożyć, kiedy zadzwonił telefon.

Był to Hardanger, którego głos brzmiał dość ponuro. Ja również straciłem humor, usłyszawszy wiadomość, którą mi przekazał. Ktoś zadzwonił do Alfringham i powiedział, że jeżeli policja nie zawiesi dochodzenia w ciągu dwudziestu czterech godzin, to Pierreowi Cavellowi, który jak wiadomo zniknął, stanie się coś bardzo nieprzyjemnego. Jeśli do godziny osiemnastej policja nie zaprzestanie śledztwa, to zostanie dostarczony dowód na to, że rozmówca wie, gdzie jest Cavell.

Lecz to nie ta część wiadomości popsowała mi nastrój.

- Cóż, spodziewaliśmy się czegoś takiego - rzekłem.

Kiedy rano tak rozповідаłem o naszych sukcesach, to widać musieli uznać, że staję się dla nich niebezpieczny.

- Schlebiasz sobie, przyjacielu - skomentował Hardanger grobowym głosem.- Jesteś tylko pionkiem. Ten facet dzwonił nie na policję, ale do twojej żony w Zajeździe, i powiedział jej, że jeśli Generał...tu podał jego imię, nazwisko, wiek stopień i dokładny adres...nie odtrąbi odwrotu ,to ona jutro w porannej poczcie otrzyma parę uszu. Dodał jeszcze, że chociaż jest męzatką od zaledwie paru miesięcy, to z pewnością rozpozna w nich uszy swego męża.

poczułem, że na karku jeżą mi się włosy, bo wyobraziłem

sobie że ktoś obcina mi uszy.

- Są trzy pewniki, Hardanger - powiedziałem, dokładnie przemyślawszy sobie sprawę.- W tej okolicy naprawdę niewiele osób wie, że jesteśmy małżeństwem dopiero od dwóch miesięcy. Tych, które wiedzą, że Mary jest córką Generała, jeszcze mniej .Ale tych, którzy wiedzą, poza tobą i mną, jak naprawdę nazywa się Generał, można policzyć na palcach jednej ręki. Skąd, na miłość boską, jakiś przestępca

może znać prawdziwe nazwisko Generała?

- Mnie to mówisz? - spytał ponuro Hardanger.- To najgorsze ze wszystkiego. Ten człowiek wie nie tylko, kim jest

generał, ale również, że Mary to jego jedyne dziecko i oczko w głowie ,jedyna osoba na świecie która może wyrzucić na niego presję. A ona z pewnością by to zrobiła abstrakcyjne ideały sprawiedliwości nic nie znaczą dla kobiety,której zagrożone jest życie jej męża. To wszystko brzydko pachnie, Cavell.

Jeszcze jak - przytaknałem.- Zdradą...i to zdradą wysoko na górze.

- Lepiej nie mówmy o tym przez telefon - pośpiesznie wtrącił Hardanger.

- Słusznie. Może próbowałeś się dowiedzieć, skąd był ten telefon?

- Jeszcze nie. Ale równie dobrze można tracić czas w ten sposób.

Wyłączył się ,a ja stałem w milczeniu zapatrzony w słuchawkę .Generał został mianowany osobiście przez premiera i ministra spraw wewnętrznych. Jego nazwisko znali szefowie wywiadu i kontrwywiadu - musieli. Poza tym zastępca naczelnego komisarza, komendant, Mordon, szef bezpieczeństwa w tym zakładzie i Hardanger - na tym kończyła się lista osób znających prawdziwe nazwisko Generała. Przyszła mi do głowy dziwna myśl. Zastanawiałem się mianowicie, co będzie przez następne parę godzin robił generał Cliveden nie musiałem mieć jakichś szczególnych zdolności telepatycznych, by wiedzieć, dokąd się udał Hardanger po odłożeniu słuchawki. Spośród wszystkich naszych podejrzanych jedynie Cliveden wiedział, kim jest Generał. Być może więcej uwagi powinienem był poświęcić Clivedenowi.

Jakieś cienie pojawiły się za szybą drzwi wejściowych. Podniosłem wzrok i zobaczyłem trzy postacie w mundurach khaki stojące na podeście. Jeden z nich, w stopniu sierżanta, już unosił rękę do dzwonka, ale ją opuścił, widząc, że podchodzę.

- Czy zastałem tu inspektora Gibsona? - spytał.

- Gibsona? - W tej samej chwili przypomniałem sobie, że to przecież chodzi o mnie. - To ja jestem inspektor Gibson, sierżancie.

- Mam tu coś dla pana, inspektorze - powiedział wyjmując spod pachy teczkę. - Otrzymałem rozkaz, żeby najpierw sprawdzić pańską tożsamość.

Pokazałem mu legitymację, a on wręczył mi teczkę.

Mam rozkaz nie spuszczać jej z oka - rzekł przepraszająco sierżant. - Komisarz Hardanger

powiedział, że tateczka należy do akt urzędowych pana Clandona, a wiem, że one są ściśle tajne.

- Oczywiście.

Nie zważając na oburzoną minę pani Turpin, którą wyręczyłem otwierając drzwi, wszedłem do bawialni, a za mną sierżant z szeregowcami po bokach. Poprosiłem gospodynię, żeby zostawiła nas samych, co też zrobiła, rzucając mi wściekłe spojrzenia.

Zerwałem pieczęć i otworzyłem teczkę. W środku znalazłem drugą pieczęć do ponownego zabezpieczenia teczki i tajne akta doktora MacDonalda. Oczywiście widziałem je już przedtem, kiedy przejmowałem stanowisko szefa bezpieczeństwa po Eastonie Derrym, który zaginął, ale wówczas zbyt szczegółowo się z nimi nie zaznajomiłem. Nie miałem powodu. Co innego teraz.

Teczka zawierała siedem arkuszy formatu kancelaryjnego przeczytałem je trzykrotnie. Bardzo dokładnie. Szukałem choćby najdrobniejszego szczegółu, który mógłby mnie naprowadzić nawet na jakiś pozornie mało istotny ślad wszędzie wietrzący komunistów senator McCarthy to przy mnie pestka - ale w ogóle nic nie znalazłem. Jediną dziwną rzeczą, na którą Hardanger już przedtem zwrócił mi uwagę, były bardzo skąpe dane na temat wojskowej kariery MacDonalda, a przecież Easton Derry, który sporządził te akta, musiał mieć dostęp do takich informacji. Tymczasem nie było tam nic poza uwagą u dołu strony, że MacDonald wstąpił do Ochotniczej Armii Rezerwowej w 1938 roku jako szeregowy, a zakończył karierę wojskową we Włoszech w 1945 roku jako podpułkownik w dywizji czołgów. Na początku następnej stronicy podano, że w pierwszych miesiącach 1946 roku otrzymał etat chemika w instytucji rządowej w północno-wschodniej Anglii. Tak mógł napisać Easton Derry, albo i nie.

Udając, że nie widzę zgorszonej miny sierżanta, ostrzem scyzoryka rozciąłem tekturowy narożnik, którym spięto _ arkusze. Pod nim znajdowała się zszywka z cienkiego drutu, jakich używa się praktycznie w każdym biurze. Odgiąłem

końcówki, wyciągnąłem zszywkę i sprawdziłem wszystkie arkusze oddzielnie każdy z nich miał tylko jedną parę dziurek - tych, które zrobił zszywacz. Jeśli ktoś usunął tę zszywkę, żeby wyjąć jakiś arkusz, musiał wyjątkowo dokładnie włożyć ją w to samo miejsce. Na pozór wszystko wyglądało tak, jakby nikt się do tych akt nie dobierał.

Nagle uświadomiłem sobie, że obok mnie stoi policjant w cywilnym ubraniu, trzymając w rękach plik papierów i skoroszytów.

- Nie wiem, panie inspektorze, może to pana zainteresuje - powiedział.

- Chwileczkę - odparłem.

Na powrót spiąłem arkusze, wsunąłem je do teczki, którą po zapieczętowaniu wręczyłem sierżantowi, a ten wyniósł ją pod eskortą swych podwładnych.

- Co tam macie? - spytałem Carlislea.

- Fotografie, panie inspektorze.

- Fotografie? Dlaczego sądzą, sierżancie, że mogą mnie interesować fotografie?

- Bo były wewnątrz zamkniętej na klucz stalowej skrzynki, panie inspektorze, która znajdowała się w dolnej szufladzie biurka, również zamkniętej na klucz. Są tu jeszcze jakieś papiery... moim zdaniem prywatna korespondencja.

- Mieliście jakieś kłopoty z tą skrzynką?

- Nie z taką piłką do metali, jakiej ja używam, panie inspektorze. Już prawie skończyliśmy. Wszystko spisane.

Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, to na tej liście nie ma nic ciekawego.

- Przeszukaliście cały dom? Jest jakaś piwnica?

- Tylko najpaskudniejsza piwnica na węgiel, jakiej pan w życiu nie widział - odparł z uśmiechem Carlisle. - O ile zdążyłem się zorientować w gustach doktora MacDonalda, to on wygląda na faceta, który nawet węgla nie trzymałby w piwnicy, gdyby mógł znaleźć czystsze i bardziej eleganckie miejsce do tego celu.

Zostawił mnie z tym, co przyniósł. Były to cztery albumy. Trzy zawierały typowe zdjęcia rodzinne, jakie można znaleźć

w tysiącach angielskich domów - przeważnie pożółkłe i wyblakłe fotografie, zrobione w czasach młodości MacDonalda,

w latach dwudziestych i trzydziestych. Czwarty album, znacznie aktualniejszy, stanowił prezent od kolegów ze Światowej Organizacji Zdrowia w uznaniu długoletnich zasług doktora dla tej instytucji - taka w każdym razie była treść ozdobnej dedykacji, przyklejonej na wewnętrznej stronie okładki. Znajdowały się tam zdjęcia MacDonalda z kolegami, wykonane przynajmniej w kilku miastach Europy, przeważnie we Francji, Skandynawii i Włoszech, a tylko kilka w innych krajach. Ułożono je chronologicznie, pod każdym widniała data i nazwa miejscowości - ostatnie zrobiono w Helsinkach

niespełna pół roku temu.

Nie interesowały mnie te fotografie, moją ciekawość wzbudziło natomiast zdjęcie, którego brakowało. Wykonano je niewątpliwie około półtora roku temu, o czym świadczyło miejsce z którego je usunięto. Podpis był zamazany poziomymi kreskami, tym samym białym tuszem, jakim napisano wszystkie pozostałe. Włączyłem światło i dokładnie obejrzałem zamazany podpis. Nazwa miejscowości wyraźnie zaczynała się na literę T, a dalej trudno powiedzieć. Następną literą mogło być o albo d. Tak, ale byłem pewien, że żadne miasto w Europie nie zaczyna się na Td. Reszta okazała się całkowicie nieczytelna. To...

W sumie nazwa składała się z jakichś sześciu, może siedmiu liter, lecz żadna z nich nie wystawała poza linię skreślenia, a więc nie mogło tam być p, g, j i tak dalej.

Ile znam europejskich miast, których nazwy zaczynają się na To i mają sześć lub siedem liter? Chyba niewiele, a WHO nie organizuje swych posiedzeń w małych miasteczkach. Torquay - nie pasuje, wystają litery. Totnes – zbyt małe w Europie? Tornio w Szwecji, Tondor w Danii, ale znowu te są stosunkowo niewielkie. Toledo - tak, trudno je nazwać miasteczkiem, lecz MacDonald nigdy nie był w Hiszpanii. Najbardziej pasowało Tournai w Belgii albo Toulon we Francji. Tournai? Toulon? Przez chwilę zastanawiałem się nad tymi nazwami. Podniosłem plik listów.

Musiało ich tam być trzydzieści do czterdziestu - wszystkie delikatnie perfumowane i związane, coś podobnego, niebieską wstążką. Nigdy bym o to nie posądzał MacDonalda.

Listy wyglądały na miłosne, a ja chociaż nie miałem ochoty wnikać w młodzieńcze niedyskrecje doktora, teraz byłbym zdecydowany przeczytać nawet Homera w oryginale, gdyby miało to coś dać. Rozwiązałem wstążkę.

Dokładnie pięć minut później rozmawiałem przez telefon z Generałem.

- Chciałbym pomówić z pewną madame. Nazywa się Yvette Peugeot i pracowała w Instytucie Pasteura w Paryżu w latach 1945-1946. Nie za tydzień, nie jutro, lecz zaraz. Dziś po południu. Może mi pan to załatwić, panie generale?

- Mogę załatwić wszystko, Cavell - odparł Generał wprost. - Przed niespełna dwiema godzinami premier oddał do naszej dyspozycji wszystkie służby. Boi się jak diabli. Czy to pilne?

- To może być sprawa życia i śmierci, panie generale. Muszę coś ustalić. Wydaje się, że tę kobietę łączyły bardzo

bliskie stosunki z MacDonaldem w ciągu ostatnich mniej więcej dziewięciu miesięcy wojny i po jej zakończeniu. A nam brak informacji

o tym okresie jego życia. Jeśli ta kobieta nie umarła i uda nam się do niej dotrzeć, to może wypełni tę lukę.

- To wszystko? - spytał obojętnie z ledwo skrywanym rozczarowaniem. - A co powiesz o samych listach?

- Przeczytałem tylko kilka, panie generale. Wydają się całkiem niewinne, chociaż wolałbym ich nie czytać przed sądem, gdybym to ja je napisał.

- To chyba za mało, żeby iść tym tropem, Cavell.

- To tylko domysł, panie generale. A może coś więcej. Niewykluczone, że z tajnych akt MacDonalda ktoś gwizdnął

jakiś arkusz. Daty na tych listach odpowiadają okresowi, którego mogłyby dotyczyć informacje zawarte w tym arkuszu... jeżeli faktycznie go brakuje. A gdyby tak było, to chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Brakuje arkusza? - jego głos zabrzmiał ostro. - Jak to w możliwe, żeby zginął arkusz z tajnych akt? Kto mógłby a raczej kto miał dostęp do tych akt?

Easton, Clandon i ja.. no i oczywiście Cliveden i Weybridge

- Właśnie. Generał Cliveden. - W słuchawce nastąpiła wiele mówiąca cisza. - Ta niedawna groźba, że Mary otrzyma twoją głowę na tacy... Generał Cliveden jest jedynym człowiekiem w Mordon, który zarówno zna moje personalia, jak i wie, kim jestem dla Mary. Poza tym należy do osób które mają dostęp do tajnych akt. Nie uważasz, że powinieneś bliżej zainteresować się Clivedenem?

- Uważam, że Clivedenem powinien zainteresować się Hardanger. Ja wolałbym się zobaczyć z madame Peugeot.

- Doskonale. Nie wyłączaj się. - Po kilku minutach znów usłyszałem jego głos. - Pojedziesz do Mordon. Stamtąd wrócisz helikopterem na lotnisko Stanton, gdzie będzie na ciebie czekał dwumiejscowy nocny myśliwiec. Lot ze Stanton do Paryża potrwa czterdzieści minut. Odpowiada ci to?

- Znakomicie. Tylko obawiam się, panie generale, że nie mam przy sobie paszportu.

Nie będzie ci potrzebny. Jeżeli madame Peugeot jeszcze nadal mieszka w Paryżu, to będzie na ciebie czekała na lotnisku Orly. Obiecuję. Zobaczymy się, jak wrócę... za pół godziny wyjeżdżam do

Alfringham.

Odwiesiłem słuchawkę i obejrzałem się za siebie z plikiem listów w ręku. Przez otwarte drzwi dostrzegłem panią

Turpin z obojętną miną. Jej wzrok padł na listy, które trzymałem w dłoni, a potem znów spotkał się z moim. Po chwili odwróciła się i znikła. Ciekaw jestem, jak długo tam stała patrząc i podsłuchując.

Wszystko odbyło się tak, jak powiedział Generał. W Stanton czekał na mnie helikopter. Wariacki lot odrzutowym myśliwcem ze Stanton na Orly trwał dokładnie trzydzieści pięć minut. Kiedy przyleciałem, madame Peugeot siedziała w ustronnym pokoju w towarzystwie jakiegoś inspektora policji paryskiej. Pomyślałem, że wszystko zorganizowano rzeczywiście sprawnie i szybko.

Odnalezienie madame Peugeot - obecnie madame Halle- okazało się niezbyt trudne. Wciąż pracowała tam, gdzie była zatrudniona pod koniec swej znajomości z MacDonaldem- w Instytucie Pasteura - i chętnie zgodziła się przyjechać na

lotnisko, kiedy policja powiedziała jej wprost, że sprawa jest pilna. Ta ciemnowłosa pulchna czterdziestolatka o skorych

do uśmiechu oczach była pełna wahania, niepewna i lekko wystraszona, co jest normalną reakcją, kiedy człowiekiem

interesuje się policja

Francuski inspektor dokonał prezentacji. Nie traciłem czasu.

- Bylibyśmy pani bardzo wdzięczni - rzekłem - za udzielenie informacji o pewnym Angliku, którego znała pani w

połowie lat czterdziestych... a dokładnie w latach 1945-1946.

Chodzi o doktora Alexandra MacDonalda.

- Doktora MacDonalda? Alexa? - Roześmiała się. – On by dostał furii, gdyby usłyszał, że ktoś nazywa go Anglikiem. Kiedy ja go znałam, był najbardziej zagorzałym szkockim... jak wy to nazywacie?

- Nacjonalistą?

- Właśnie. Był szkockim nacjonalistą. Zagorzałym. Pamiętam, jak krzyczał precz z odwiecznym wrogiem

Anglią... i niech żyje stary sojusz francusko-szkocki. A jednocześnie doskonale wiem, że w czasie wojny dzielnie walczył w obronie tego wroga, może więc nie był tak do końca szczery. - Przerwała patrząc na mnie wzrokiem, w którym przenikliwość mieszała się z obawą. - On... chyba

nie umarł, prawda?

- Nie, madame, żyje.

- Ale ma kłopoty? Z policją?

Była bystra i inteligentna. Od razu wyczuła pewną, prawie niedostrzegalną zmianę intonacji mojego głosu.

- Może mieć. W jaki sposób i kiedy pani go poznała, madame Halle?

- Jakies dwa, trzy miesiące przed zakończeniem wojny... naturalnie wojny w Europie. Pułkownika MacDonalda wysłali wtedy do St.Denis, by przeszukał poniemiecką fabrykę amunicji i chemikaliów. Pracowałam tam w dziale badawczym... Zapewniam pana, nie z wyboru. Nie wiedziałam wówczas, że pułkownik MacDonald sam jest znakomitym chemikiem. Zaczęłam mu objaśniać różne procesy chemiczne i funkcjonowanie linii produkcyjnych, a dopiero gdy skończyliśmy obchód fabryki, zorientowałam się, że on wie znacznie więcej ode mnie. - Uśmiechnęła się. – Chyba podobałam się pułkownikowi. A on mnie.

Pokiwałam głową. Sądząc z jej płomiennych listów, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Kilka miesięcy stacjonował w rejonie Paryża - ciągnęła. Nie wiem, na czym polegały jego obowiązki, ale były to ważne sprawy techniczne. Wspólnie spędzaliśmy każdą wolną chwilę. - Wzruszyła ramionami. - To było jednak dawno, zupełnie inny świat. Po demobilizacji pojechał do Anglii, lecz po tygodniu tu wrócił. Bezskutecznie szukał pracy w Paryżu. Zdaje się, że w końcu otrzymał etat naukowca w jakiejś firmie pracującej dla rządu angielskiego.

- Czy kiedykolwiek zauważyła pani u pułkownika Macdona coś podejrzanego lub nagannego, a może słyszała o czymś takim? - spytałem bez ogródek.

- Nigdy. Gdyby tak było, to bym się z nim nie spotykała.

Głębokie przekonanie, z jakim powiedziała te słowa, i budzący szacunek sposób bycia tej kobiety sprawiły, że nie mogłem jej nie wierzyć. Ni stąd, ni zowąd nieszczercze pomyślałem że chyba General miał rację, i po co tracę cenny czas na szukanie po omacku, jeżeli - znów gorzka refleksja - mój czas jest cenny. Cavell i do domu z podwiniętym ogonem.

- Absolutnie nic? - upierałem się. - Nie przypomina sobie pani nawet najmniejszego drobiazgu?

- Chyba nie chce mnie pan obrazić - powiedziała obojętnym tonem.

- Przepraszam - rzekłem zmieniając front. - Mógłbym zapytać, czy go pani kochała?

- Domyślam się że to nie doktor MacDonald przysłał tu pana - odparła spokojnie. - Musi pan dużo o mnie wiedzieć z moich listów. Pan zna odpowiedź na to pytanie.

- A on panią kochał _.

- Wiem, że tak. W każdym razie prosił mnie, żebym za niego wyszła. Przynajmniej z dziesięć razy. To powinno wystarczyć za dowód, prawda?

- Ale pani za niego nie wyszła i straciła z nim kontakt. A skoro się kochaliście i on prosił panią o rękę, to czy mogę

zapytać, dlaczego mu pani odmówiła? Przecież musiała pani odmówić.

- Odmówiłam z tego samego powodu, dla którego skończyła się nasza znajomość. Jak sądzę, po części dlatego, że

mimo jego zapewnień o miłości był niepoprawnym kobieciarzem, lecz główna przyczyna to znaczne różnice między nami

oraz fakt, że oboje byliśmy zbyt młodzi i niedoświadczeni, aby kierować się rozsądkiem.

- Różnice? Czy mogę wiedzieć, co to za różnice, madame Halle?

- Dlaczego pan się tak upiera? Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała i westchnęła. - Dla pana pewnie ma. Pan po prostu

tak długo będzie mnie dręczył, póki nie otrzyma odpowiedzi. To żadna tajemnica, ale to wszystko wydaje się teraz błahe i

raczej niepoważne.

- A jednak chciałbym wiedzieć.

- Nie wątpię. Po wojnie, jak pan pamięta, we Francji panował polityczny chaos. Nasze partie polityczne nie mogły bardziej różnić się poglądami niż wtedy od prawicowych ekstremistów po skrajną lewicę. Ja jestem dobrą katoliczką i należałam do prawicowej partii katolickiej.-

- Uśmiechnęła się z dezaprobatą. - U was takich nazywają bezkompromisowymi torysami. No cóż, chyba doktor, MacDonald tak bardzo, w zbyt gwałtowny sposób nie zgadzał się z moimi poglądami politycznymi, że w końcu nasza dalsza znajomość stała się całkiem niemożliwa.

- Widzi pan, tak to bywa. Dla młodego człowieka polityka jest niesłychanie ważna.

- Więc doktor MacDonald nie podzielał pani konserwatywnych poglądów?

- Konserwatywnych! - Roześmiała się szczerze ubawiona.

- Pan mówi konserwatywnych! Nie umiem powiedzieć, czy Alex był prawdziwym szkockim nacjonalistą, czy nie, ale z całą pewnością mogę stwierdzić, że poza murami Kremla nigdy nie istniał bardziej nieprzejednany i zdeklarowany komunista. On był okropny.

Po godzinie i dziesięciu minutach wchodziłem do hallu Zajazdu w Alfringham.

Rozdział dziesiąty

Z lotniska Stanton zadzwoniłem zarówno do Generała, jak i do komisarza Hardangera, i teraz obaj czekali na mnie w hallu. Choć jeszcze nie zapadł zmrok, przed Generałem stała na stoliku szklanka z resztkami tego, co zwykle nazywa się dużą whisky. Dotychczas nawet nie wiedziałem, że Generał używa alkoholu przed dziewiątą wieczorem. Miał bladą, nieruchomą, skupioną twarz i po raz pierwszy wyglądał na swoje lata. Nic szczególnego na to nie wskazywało, może tylko nieco przygarbione plecy i prawie niezauważalne znużenie. Dostrzegłem w nim coś osobliwie patetycznego, jak u człowieka, który zawsze trzyma się prosto, i nagle czuje, że na swoich barkach dźwiga ciężar ponad siły.

Hardanger też nie wyglądał najlepiej.

Przywitałem się z nimi, wziąłem szklankę whisky od właściciela, który jak zwykle był bez marynarki i pozostawał w takiej odległości od nas, że nie mógł usłyszeć tego, co mówimy, a później z ulgą pozwoliłem odpocząć moim stopom.

- Gdzie Mary? - spytałem.

- Pojechała odwiedzić Stellę Chessingham i jej matkę- odparł Hardanger. - Leczy kolejne złamane skrzydła. Twój gburowaty gospodarz zza baru właśnie przed chwilą ją tam odwiózł. Pragnęła je pocieszyć i złożyć im wyrazy ubolewania. Zgodziłem się z nią, że obie panie muszą być w bardzo ponurym nastroju po aresztowaniu młodego Chessinghama, ale uznałem jej zamiar za nierozsądny. Odjechała, zanim zjawił się tu pan generał. Nie chciała mnie posłuchać. Wiesz, jaka jest twoja żona, Cavell. I pańska córka, panie generale.

- W tym wypadku Mary niepotrzebnie traci czas - rzekłem. - Młody Chessingham jest niewinny jak noworodek.

Dziś o ósmej rano powiedziałem to jego matce... musiałem... jest schorowana i taki szok mógłby ją zabić... a ona przekazała to swojej córce, jak tylko Chessinghama zabrał radiowóz. Żadna z nich nie potrzebuje ani współczucia, ani pocieszenia.

- Co takiego!?! - wykrzyknął Hardanger. Pochylił się do przodu z twarzą pociemniałą od wzbierającego gniewu i zacisnął swoją ogromną łapę na szklance, jakby chciał ją zmiażdżyć. - Coś ty u diabła powiedział, Cavell? Niewinny?

Przecież do jasnej cholery mamy wystarczająco dużo dowodów pośrednich...

- Jedynym dowodem przeciwko niemu jest to jego uzasadnione kłamstwo, że nie umie prowadzić samochodu, i fakt, że prawdziwy morderca przysyłał mu pieniądze pod fałszywym nazwiskiem, żeby rzucić na niego podejrzenia i tym samym zyskać na czasie. Zawsze stara się grać na zwłokę. Nie wiem dlaczego, ale widocznie czas jest mu nie-

zbędny. Zyskuje na czasie za każdym razem, gdy kieruje podejrzenia na kogoś innego, a jest tak niezwykle sprytny, że

udało mu się to praktycznie z każdym. Porywając mnie dziś rano, też próbował grać na zwłokę. Sprawa polega na tym,

że już kilka miesięcy przed popełnieniem zbrodni wiedział, że czas będzie mu potrzebny... pierwsze pieniądze wpłynęły na konto Chessinghama na początku lipca. Dlaczego? Do czego potrzebny mu czas?

- Niech cię, zrobiłeś ze mnie balona - chrapliwie odezwał się Hardanger. - Wymyśliłeś tę historyjkę...

- Przedstawiłem ci tylko fakty tak, jak je widziałem- odparłem, nie mając ochoty uspokajać Hardangera.- jakbym ci powiedział, że Chessingham jest niewinny, to byś go nie aresztował. Doskonale wiesz, że nie. Ale go aresztowałeś i w ten sposób my zyskaliśmy na czasie, bo morderca czy mordercy przeczytają popołudniówki i będą przekonani, że jesteśmy na fałszywym tropie.

- Zaraz pewnie powiesz, że Hartnella i jego żonę też wrobili - rzekł z przekąsem.

- Jeżeli chodzi o młotek, kombinerki i błoto na skuterze, jasne, że go wrobili, i ty o tym bardzo dobrze wiesz. Co

innego pozostałe zarzuty. Są winni, ale żaden sąd ich nie skąże, bo Hartnell pod szantażem kazał żonie narobić krzyku i zatrzymać wojskowy samochód. To całe ich przestępstwo. On dostanie parę lat, ale za coś zupełnie innego, mianowicie za defraudację, chyba że wojsko będzie bardzo naciskało, w co wątpię. Jednak jego aresztowanie znów pozwala nam zyskać na czasie. Podrzucając młotek i kombinerki, mordercy mieli właśnie taki cel, ale nie zdają sobie sprawy, że tym razem to my z tego skorzystaliśmy. Jeszcze jeden punkt dla nas.

- Czy pan wiedział, że Cavell pracuje za moimi plecami, Panie generale? - spytał Hardanger.

Generał zmarszczył brwi.

- Trochę nie za ostro, komisarzu? A co do tego, czy wiedziałem... do jasnej cholery, człowieku, przecież to pan mi wmówił żeby wciągnąć w to Cavella. - Generał wybrnął naprawdę sprytnie. - Muszę przyznać, że on pracuje w bardzo nieszablony sposób. Ale a propos, Cavell, dowiedziałeś się w Paryżu czegoś ciekawego o MacDonalddie?

- Zależy co się rozumie pod słowem ciekawe, panie generale. Z całą pewnością mogę panu podać nazwisko

człowieka, który za tym wszystkim stoi. Doktor Alexander MacDonald. Ponad wszelką wątpliwość jest jednym z najlepszych komunistycznych szpiegów od piętnastu lat. Jeżeli nie dłużej.

Tu ich miałem. Generał i Hardanger to ostatni ludzie na ziemi, których można by czymkolwiek zaskoczyć, ale tym razem obaj wybałuszyli oczy ze zdumienia. Lecz tylko na sekundę. Później popatrzyli na siebie, a potem na mnie. W równą minutę wszystko im opowiedziałem.

- O, Boże! - szepnął Hardanger i poszedł wezwać samochód.

- Widziałeś na dworze wóz policyjny z radiostacją?- spytał Generał.

Skinąłem głową.

- Jesteśmy w stałym kontakcie z rządem i Scotland Yardem - rzekł, sięgnął ręką do kieszeni i wyjął dwie kartki

maszynopisu. - Pierwszą z tych wiadomości otrzymaliśmy jakieś dwie godziny temu, drugą zaledwie przed dziesięcioma minutami.

Rzuciłem na nie okiem i po raz pierwszy w życiu uświadomiłem sobie, jak bardzo odpowiada prawdzie powiedzenie, że coś potrafi zmrozić człowiekowi w żyłach krew. Poczulem wewnątrz ciała niewytłumaczalne zimno, wręcz lód, ucieszyłem się więc na widok Hardangera, który zdążył już wezwać swój samochód i teraz wracał z trzema nowymi szklankami whisky. Teraz wiedziałem, co było powodem tak marnego wyglądu jego i Generała, kiedy się tu zjawiłem, i zrozumiałem, dlaczego rezultaty mojego wyjazdu do Paryża spotkały się ze stosunkowo niewielkim zainteresowaniem z ich strony.

Pierwsza wiadomość przyszła prawie równocześnie do Roeutera i AP i była bardzo krótka. Kwiecistość stylu nie pozostawiała żadnych wątpliwości

Mury siedliska antychrysta wciąż stoją. Zlekceważono moje rozkazy. Na was spoczywa odpowiedzialność. Jedną fiolkę z wirusami. przymocowałem do prostego urządzenia wybuchowego, które zostanie zdetonowane dziś o godzinie

3.45 w Lower Hampton w hrabstwie Norfolk. Kierunek wiatru WSW. Jeśli dziś do północy nie zaczniecie burzyć

Mordon, to jutro będę zmuszony rozbić następną fiolkę. w samym środku Londynu. Takiej rzezi jeszcze świat nie

widział. Wybór należy do was.

- Lower Hampton to niewielka osada z około stu pięćdziesięcioma mieszkańcami, niespełna siedem kilometrów od morza - powiedział Generał. - Zachodni wiatr oznacza, że chmura wirusów pokryje pas lądu długości zaledwie siedmiu kilometrów i wpadnie do morza. chyba, że wiatr się zmieni. Wiadomość ta nadeszła dziś o czternastej czterdzieści pięć. W rejon ten natychmiast skierowaliśmy najbliższe radiowozy, które ewakuowały na zachód całą ludność osiedla i możliwie jak najwięcej mieszkańców obszaru leżącego między osadą a morzem. - Przerwał i wbił wzrok w blat stołu. - Ale to są żyzne tereny rolnicze. Jest tam wiele gospodarstw, a samochodów mieliśmy mało. Obawiam się, że nie do wszystkich udało się dotrzeć na czas. W Lower Hampton przeprowadzono pośpieszne poszukiwania bomby, ale łatwiej znaleźć igłę w stogu siana. Dokładnie o piętnastej czterdzieści pięć pewien sierżant i dwaj konstable usłyszeli niewielki wybuch. Kiedy zobaczyli ogień i dym wydobywający się ze strzechy starej opuszczonej chaty, uciekli do samochodu. Tylko możemy sobie wyobrazić, jak zmykali.

Poczułem suchość w ustach. Częściowo się jej pozbyłem, wypijając jednym haustem połowę dużej szklanki whisky.

Generał mówił dalej.

- O szesnastej dwadzieścia bombowiec RAF, samolot wywiadu lotniczego, wystartował z bazy we wschodniej

Anglii i znalazł się nad tym obszarem. Wykonano zdjęcia całego terenu... Z wysokości trzech kilometrów fotografowanie kilku kilometrów kwadratowych nie trwa długo... i w pół godziny po starcie samolot wylądował. W ciągu zaledwie paru minut zdjęcia wywołano, a następnie zanalizował je specjalista. Na drugiej kartce znajduje się to, co ustalił.

Ta informacja była nawet krótsza niż pierwsza

Na obszarze wytworzonego trójkąta, którego wierzchołek sięga wsi Little Hampton, a podstawą jest pięciokilometrowy, odcinek wybrzeża morskiego. nie zauważa się dostrzegalnych oznak życia ani wśród zabudowań, ani na polach. Liczbę martwego bydła na pastwiskach ocenia się na 300-400 sztuk. Poza tym trzy stada owiec, które także wydają się martwe. Zidentyfikowano siedem ciał ludzkich.

Charakterystyczna pozycja zarówno ludzi, jak i zwierząt wskazuje, że śmierć nastąpiła w konwulsjach. Przygotowuje się szczegółową analizę.

Drugą połowę mojej whisky wypilem także jednym haustem. Zupełnie jak wodę sodową, miała bowiem podobny do niej smak i skutek.

- Co zamierza rząd? - spytałem.

- Nie wiem - odparł Generał bezbarwnym głosem. – Oni sami też nie wiedzą. Mają podjąć decyzję przed dziesiątą

wieczór... ale teraz chyba zrobią to szybciej, kiedy usłyszą twoją wiadomość. Ona wszystko całkowicie zmienia. Myśleliśmy, że mamy do czynienia z szalejącym, choć bardzo inteligentnym wariatem, a tu zamiast niego chyba mamy jakiś

komunistyczny spisek, który ma na celu zniszczenie najpotężniejszej broni, jaką kiedykolwiek dysponowała Anglia, a tak na dobrą sprawę jakiej nie miał jeszcze żaden kraj. Może to tylko początek spisku, którego celem jest zniszczenie Anglii. Cholera, dopiero teraz przyszło mi to do głowy i jeszcze nie miałem czasu wszystkiego przemyśleć. Czy to możliwe, żeby komuniści chcieli w ten sposób odkryć swoje karty Zachodowi i pokazać, jak bardzo są pewni, że mogą uderzyć tak mocno i skutecznie, by wykluczyć wszelki odwet? A tak by się niewątpliwie stało po wyeliminowaniu Mordon i wirusów. Bóg jedyny wie. Chyba wolałbym. Mieć do czynienia z wariatem. Poza tym, Cavell, nie wiadomo, czy twoja informacja jest prawdziwa.

- Tylko w jeden sposób można to sprawdzić, panie generale - rzekłem wstając. - Widzę tam wolny radiowóz z kierowcą. Jedziemy pogadać sobie z MacDonaldem?

Dotarliśmy do Mordon w równe osiem minut po to tylko, by usłyszeć od wartownika przy bramie, że MacDonald wyszedł przeszło dwie godziny temu. Po następnych ośmiu minutach zatrzymaliśmy się przed frontowymi drzwiami jego domu.

-Nigdzie nie paliło się światło i nie było żywej duszy. Gospodyni, pani Turpin, jeszcze nie powinna wyjść na noc, ale jednak wyszła. MacDonald również wyszedł, lecz nie na noc, tylko na zawsze. Nasz ptaszek wyfrunął.

Opuszczając dom nawet się nie pofatygował, żeby zamknąć drzwi na klucz. Za bardzo się śpieszył. Weszliśmy do hallu włączyliśmy światło i naprędce przeszukaliśmy parter. Żadnego ognia na kominku, zimne kaloryfery, w powietrzu nie czuło się woni gotowanych posiłków ani papierosowego dymu. Jeśli ktoś tu był, to nie uciekł przez okno z tyłu domu, kiedy myśmy wchodzili frontowymi drzwiami. Wyszedł stąd bardzo dawno. Poczulem się stary, hory i zmęczony I głupi. Teraz bowiem zrozumiałem, dlaczego zniknął stąd w takim pośpiechu.

Nie tracąc czasu, obeszlśmy cały dom, począwszy od ciemni na strychu. Drogi sprzęt fotograficzny stał tak samo jak podczas mojej ostatniej wizyty, lecz tym razem zobaczyłem go w innym świetle. Mając do dyspozycji w pewne fakty sprawie mojego wyjazdu do Paryża. Bóg jedyny wie, jak długo stała w drzwiach. Obserwowała mnie i widziała, że „trzymam te listy. Na pewno wszystko zauważyła, łącznie z tym, że utykam, i zadzwoniła do McDonalda. Powtórzyła o czym rozmawiałem. Od razu domyśliła się że to ja bez względu na to, czy utykałem, czy nie. Cholera, to wszystko moja wina - powtórzyłem. - Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby ją podejrzewać. Uważam, że powinniśmy z nią porozmawiać. Oczywiście, jeśli jeszcze zastaniemy ją .

Musiała podsłuchiwać, kiedy dzwoniłem do Generała nieodpowiednią ilość czasu, nawet Cavell może dojść do jakiegoś wniosku. Przeszliśmy do sypialni, lecz nie było tam śladów pakowania się czy pośpiesznej ucieczki. To dziwne Ludzie udający się w podróż, z której nie zamierzają wrócić, zwykle biorą ze sobą choć trochę rzeczy bez względu na to, jak bardzo się spieszą. Sprawdzenie łazienki dało równie intrygujące wyniki. Brzytwa, pędzel, krem do golenia, szczoteczka do zębów - niczego nie zabrano. Pomyślałem bez związku, że dawny dowódca McDonalda nie będzie zbyt zachwycony, kiedy przyjedzie, a tu nie ma kogo identyfikować.

Kuchnia jeszcze bardziej nas zaskoczyła. Wiedziałem, że pani Turpin zwykle wychodzi o pół do siódmej, kiedy Mac- bummy Donald wraca do domu. Zostawia mu przygotowany posiłek, a on sam się obsługuje i zostawia brudne naczynia, które ona zmywa następnego dnia rano. Lecz w kuchni nie było nawet śladu gotowania - ani rusztu w piekarniku, ani garnków z jeszcze ciepłym jedzeniem, elektryczna kuchenka zaś tak zimna, że z pewnością nikt jej nie używał od wielu godzin.

- Ostatni z funkcjonariuszy, którzy robili tutaj rewizję, wyszedł najpóźniej o pół do czwartej powiedziałem. - Nie widzę żadnego powodu dla którego pani Turpin nie miałaby ugotować kolacji dla McDonalda... a MacDonald wygląda mi na faceta, który by się wściekał, nie znajdując gotowego zarcia.

A ona niczego nie przygotowała. Dlaczego? -Bo wiedziała, że nie będzie potrzebne

- Musiała coś usłyszeć albo zobaczyć i zorientowała się, że nasz zacny doktor nie zabawi tu zbyt długo, kiedy mu o tym powie.

To znaczy, że była z nim w zмовie albo przynajmniej wiedziała o działalności McDonalda.

- To moja wina - przyznałem ze złością. - Przeklęta baba.

Hardanger ruszył do telefonu a Generał udał się ze mną do gabinetu McDonalda. Podeszedłem do dużego biurka, w którym znaleziono korespondencję i fotografie McDonalda. Było zamknięte na klucz.

- Zaraz wrócę, panie generale - powiedziałem i wyszedłem na dwór.

W garażu nie znalazłem nic odpowiedniego. Za garażem stała duża szopka z narzędziami. Włączyłem latarkę i rozejrzałem się. Narzędzia ogrodnicze, kupka szarych cegieł z żużlobetonu, sterta pustych worków po cemencie stół warsztatowy i rower. Nie znalazłem młotka ciesielskiego, którego szukałem, ale natknąłem się na spory toporek, niemal jak on przydatny. Wróciłem z nim do gabinetu i akurat zbliżałem się do biurka, kiedy wszedł Hardanger. Chcesz je rozwalić? - spytał. się Hardanger.

A może MacDonald mi zabroni? ponuro odezwałem się. Zamachnąłem się dwa razy i szuflada poszła w drzazgi.

i Albumy i korespondencja doktora ze Światową Organizacją zdrowia wciąż tam były. Otworzyłem album, w którym brakowało fotografii, i pokazałem Generałowi - Naszemu przyjacielowi chyba musiało bardzo zależeć, żeby tego zdjęcia tu nie było - rzekłem. - Coś mi się wydaje, że, ono jest ogromnie ważne. Proszę spojrzeć na ten zatarty podpis, około sześciu liter, zapewne jakieś miasto, którego nazwa zaczyna się na To. Nie mogę tego rozgryźć.

Chłopcy z laboratorium łatwo by sobie z tym poradzili, gdyby to był inny papier albo dwa rodzaje tuszu. Ale tu jest wyłącznie biały tusz i papier jak bibuła. Nic z tego nie wyjdzie.

- Nie ma szans - potwierdził Hardanger i spojrzał na mnie uważnie. - A dlaczego to zdjęcie jest takie ważne?

- Gdybym to wiedział, nie zawracałbym sobie głowy tym podpisem. Zastależ szanowną panią Turpin w domu?

- Nikt tam nie odpowiada. Później zadzwoniłem do miejscowego komisariatu i dowiedziałem się, że jest wdową i mieszka sama. Wysłano policjanta, żeby sprawdził, co się z nią dzieje, ale pewnie niczego nie ustalili. Kazałem przekazać wszystkim radiowozom, żeby jej szukały.

- Doskonale zrobiłeś - powiedziałem kwaśno.

Szybko przeczuciłem korespondencję MacDonalda, wybierając odpowiedzi jego europejskich kolegów z WHO. Wie-

działem, czego szukam, więc za ledwie po dwóch minutach miałem sześć listów od niejakiego doktora Johna Weissmanna z Wiednia. Padałem je nad biurkiem Generałowi i Hardangerowi.

- Proszę. Oto dowód rzeczowy numer jeden dla Old Bailey, kiedy MacDonald będzie szedł na szubienicę.

Generał z postarzałą i zmęczoną twarzą popatrzył na mnie bez wyrazu.

- O czym ty mówisz, Cavell? - bezceremonialnie spytał Hardanger.

Zawahałem się i spojrzałem na Generała.

- Nie martw się, chłopcze - powiedział cicho. - Hardanger to zrozumie. I wreszcie z tym skończymy.

- Co mam zrozumieć? Najwyższy czas, żebym wszystko rozumiał. Od początku wiedziałem, że w tej przeklętej sprawie jest coś dziwnego. Przede wszystkim zbyt skwapliwie zgodziłeś się wziąć w tym udział.

- Przykro mi - odparłem. - Nie mogło być inaczej. Wiesz, od czasu wojny kilkakrotnie zmieniałem pracę... wojsko, policja, Wydział Specjalny, narkotyki, ponownie Wydział specjalny, szef bezpieczeństwa w Mordon, a potem prywatny detektyw. Ale w rzeczywistości to wszystko lipa. Od szesnastu lat pracuję bez przerwy z Generałem. Za każdym razem, kiedy wylewano mnie z pracy.. cóż, aranżował to generał.

Nie jestem zbyt zaskoczony - powiedział Hardanger ospale, a ja ucieszyłem się widząc, że jest bardziej zaintrygowany niż wściekły. - Trochę się domyślałem.

- Dlatego pan jest komisarzem - mruknął Generał.

- W każdym razie mniej więcej przed rokiem mój poprzednik w Mordon, Easton Derry, zaczął coś podejrzewać. Nie powiem ci, kiedy i jak, ale doszedł do wniosku, że z Mordon potajemnie wynoszono pewne odmiany wirusów i bakterii trzymany tam w największym sekrecie. Jego domysły zmieniły się w pewność, kiedy doktor Baxter dyskretnie mu napomknął, że jest przekonany o znikaniu zarazków.

- Doktor Baxter!? - wykrzyknął z lekka zaskoczony Hardanger.

- Tak, Baxter. Z tego powodu też mi przykro... ale przecież mówiłem ci na tyle wyraźnie, na ile mogłem, że zajmowanie się nim to tylko strata czasu. Baxter powiedział Derremu, że zarazki, które znikają z laboratorium A, nie należały do ściśle tajnych odmian, niemniej były ważne. I właściwie nawet bardzo ważne. Anglia należy do największych producentów broni biologicznej na świecie,

broni przeciwko ludziom, zwierzętom i roślinom. Nigdy tego nie usłyszysz, kiedy w parlamencie uchwała się budżet dla ośrodka Mordon, ale zatrudnieni tam naukowcy albo sami wyhodowali albo wyselekcjonowali najbardziej śmiertelne odmiany zarazków, które wywołują dżumę, tyfus, ospę, chorobę zakaźną i brucelozę u człowieka oraz salmonelozę, prawdziwy i rzekomy pomór drobiu, zarazę bydłą, pryszczycę, nosaciznę i wąglika u zwierząt. Opracowali też różne biologiczne sposoby wywoływania raka i rdzy zbożowej u roślin oraz niszczenia ich za pomocą popilii, omacnicy prosowianki, muszki owocowej, ryjko a i Bóg wie czego jeszcze. Wszystko to świetnie się nadaje do prowadzenia zarówno wojny ograniczonej, jak i totalnej.

- A co to ma wspólnego z doktorem MacDonaldem?- spytał Hardanger.

- Już do tego przechodzę. Ponad dwa lata temu nasi agenci w Polsce zaczęli się interesować nowo budowanym Muzeum Łowiectwa na peryferiach Warszawy. Dotychczas muzeum tego jeszcze nie otwarto dla publiczności. I nigdy do tego nie dojdzie, bo ono jest odpowiednikiem Mordon, czyli po prostu ośrodkiem badań mikrobiologicznych. Jednemu z naszych agentów, który należy do partii i ma stosowną legitymację, udało się otrzymać tam etat i ustalić interesujący fakt, a mianowicie, że w kilka tygodni lub w najgorszym wypadku miesiący po tym, jak wspomniane zarazki udoskonalano w Mordon, Polacy odkrywali je u siebie. To się tak rzucało w oczy, że trudno było tych faktów nie skojarzyć.

Easton Derry rozpoczął śledztwo. Popełnił jednak dwa błędy działał sam, nie informując nas o sytuacji, i niechcący się zdradził, lecz nie mamy pojęcia, jak do tego doszło. Może całkowicie nieświadomie wtajemniczył w to osobę, która

przemyślała wirusy z Mordon. Z pewnością tą osobą był MacDonald... trudno oczekiwać, żeby w takim miejscu pracowało więcej agentów wywiadu. W każdym razie ktoś uświadomił sobie niebezpieczeństwo, że Easton Derry może zbyt wiele się dowiedzieć. Wobec tego Derry musiał zniknąć.

Wówczas obecny tu pan generał zaaranżował wyrzucenie mnie z Wydziału Specjalnego i przyjęcie na stanowisko szefa bezpieczeństwa w Mordon. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było zastawienie pułapki. W pokoju przylegającym do laboratorium numer jeden włożyłem do szafy stalowy pojemnik z nalepką oznaczającą, że zawiera stężoną botulinę. Jeszcze

tego samego dnia pojemnik zniknął. W bramie ośrodka zainstalowaliśmy czujnik radiowy, w pojemniku był bowiem tranzystorowy mikronadajnik na baterie. Każda osoba z tym pojemnikiem, która znalazłaby się w odległości dwustu metrów od czujnika, zostałaby natychmiast wykryta. Chyba zrozumiałe - powiedziałem obojętnym tonem - że ten, kto kradnie taki pojemnik, nie zagłąda do niego, by sprawdzić, czy rzeczywiście zawiera botulinę.

Nikogo jednak nie wykryliśmy. Nie trudno odgadnąć, co się stało. Po zapadnięciu zmroku ktoś podszedł do ogrodzenia i przerzucił pojemnik na przyległe pole... to tylko dziesięć metrów. I to nie

dlatego, że miał jakieś podejrzenia co do jego zawartości... tak po prostu należało zrobić, bo wiecie, jak często rewiduje się osoby wychodzące z Mordon. Tego jednego dnia o ósmej wieczorem podobne czujniki były już zainstalowane na lotniskach w Londynie, Southend i Lydd, portach nad Kanałem i.

- A czy przypadkiem uderzenie o ziemię nie uszkodziło. tego nadajnika? - z powątpiewaniem spytał Hardanger.

- Dyrektor amerykańskiej spółki, która produkuje zegarki robi te nadajniki, dostałby wtedy ataku serca - odparłem.- taki nadajnik można wystrzelić z działa okrętowego bez obawy o najmniejsze uszkodzenie. W każdym razie późnym wieczorem odebraliśmy sygnał na lotnisku w Londynie. Prawie na pewno dobiegał on od człowieka, który zamierzał lecieć samolotem BEA do Warszawy. Zdjęliśmy go. Zznał, że jest kurierem i raz na dwa tygodnie odbiera przesyłkę pod pewnym adresem w południowej części Londynu. Nigdy nie widział osoby, która dostarczała te przesyłki.

- Sam ci to powiedział? - z przekąsem odezwał się Hardanger. - Już sobie wyobrażam, jak wydobywałeś z niego to dobrowolne oświadczenie.

- Mylisz się. Powiedzieliśmy temu Czechowi, naturalizowanemu w Anglii, że za szpiegostwo grozi kara śmierci, postanowił zatem sam wydać współników. Zrobił to naprawdę dość szybko. Nam potrzebny był jego dostawca z Mordon, a więc wyrzucono mnie stamtąd i czatowałem na niego pod tym cholernym adresem i w okolicy przez trzy tygodnie. Nikt inny nie mógł tego zrobić, bo jedynie ja znałem wszystkich naukowców i techników z ośrodka. Nie miałem jednak szczęścia... tyle tylko, że wirusy przestały znikać. Zdawało się, że zatrzymaliśmy przeciek... przynajmniej chwilowo.

Ale według Baxtera i naszego informatora w Polsce, nie tylko w ten sposób dochodziło do przecieków. Dowiedzieliśmy się, że Muzeum Łowiectwa dysponuje wirusami, które wprawdzie opracowano w Mordon, lecz ich stamtąd nie skradziono. Ktoś najwyraźniej przekazywał informacje o hodowli i selekcji tych odmian. Teraz już wiemy, jak to robił.

- Poklepałem korespondencję MacDonalda z jego kolegą z WHO mieszkającym w Wiedniu. - Metoda nie jest nowa, lecz prawie nie do wykrycia. Mikrofotografia.

- Stąd ten drogi sprzęt na górze? - mruknął Generał.

- No właśnie. Z Londynu ma przyjechać specjalista od aparatów fotograficznych, ale na dobrą sprawę nie musi.

Popatrzcie na te litery w liście doktora Weissmanna. Łatwo zauważyć, że w pierwszym akapicie brak

kropki nad jednym

i oraz na końcu zdania. Weissmann pisał jakiś tekst na maszynie, potem zmniejszał go do rozmiarów kropki i zwykle wklejał do listu w odpowiednie miejsce. MacDonaldowi wystarczyło oderwać kropkę od listu i powiększyć. Oczywiście w ten sam sposób preparował swoje listy do Weissmanna. I na pewno nie za darmo - dodałem rozglądając się po bogato umeblowanym pokoju. - Przez lata zarobił fortunę... nie płacąc ani grosza podatków.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Z pewnością masz rację - odezwał się Generał, kiwając głową. - Przynajmniej z MacDonaldem mamy spokój.-

odniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się smutno. - Wprawdzie to już musztarda po obiedzie, ale powiem ci coś, co

może cię zainteresuje. Ten zamazany podpis.

- Toulon Tournai?

- Ani jedno, ani drugie - odparł otwierając album na ostatniej stronie. - Takie albumy dla pewnych osób z WHO

robiła firma Gucci Zanolette, Via XX Settembre, Genoa czwartym słowem jest Torino... a to oczywiście włoska

nazwa Turynu.

Turyn. Tylko jedno słowo, a podziałało na mnie jak uderzenie obuchem. Skutek w każdym razie był ten sam. Turyn.

usiadłem na krześle, bo nogi się pode mną ugięły. Kiedy minął pierwszy szok, udało mi się opanować oszołomienie i

zmusić do myślenia. Lecz byłem tak obolały, przemoczony, głodny i niewyspany, że nie myślało mi się najlepiej.

powolnie zacząłem kojarzyć pewne fakty w otumanionym umyśle, a bez względu na to, jak je ze sobą łączyłem, za

każdym razem wynik był ten sam. Dwa razy dwa jest zawsze cztery.

Z trudem się podniosłem.

- Racja, panie generale - rzekłem. - W, tym, co pan powiedział jest więcej prawdy, niż pan sądzi.

- Dobrze się czujesz, Caveli? - troskliwie spytał Generał.

- Padam, ale mimo to mój umysł jeszcze funkcjonuje. A przynajmniej tak mi się wydaje. Zaraz zobaczymy.

Wzięłem latarkę i wyszedłem z pokoju. Generał i Hardanger zawahali się, a potem ruszyli za mną. Przypuszczam, że

wymieniali znaczące spojrzenia, lecz nie dbałem o to. W garażu i szopie już byłem, nie tam więc należało szukać.

z przerażeniem, bo wciąż jeszcze padało, pomyślałem, że może w krzakach... W hallu skręciłem w stronę kuchni i już

zbliżałem się do drzwi wychodzących na ogród, gdy nagle spostrzegłem schody do piwnicy. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że coś mówił o niej sierżant Carlisle, kiedy po południu ze swymi ludźmi przeprowadzał tutaj rewizję.

Zszedłem na dół, otworzyłem drzwi piwnicy i zapaliłem światło. Odsunąłem się wpuszczając przed sobą Generała i

Hardangera.

- Jest tak, jak pan powiedział - mruknąłem. - Z MacDonaldem mamy już spokój.

Co jednak niezupełnie odpowiadało prawdzie. MacDonald miał jeszcze sprawić wiele kłopotów – policyjnemu lekarzowi, zakładowi pogrzebowemu i tej osobie, co odetnie sznur, który łączył szyję doktora z grubym żelaznym kółkiem przy klapie otworu zsykowego pod sufitem. Widok dyndającego MacDonalda, którego stopy niemal dotykały podłogi, a nogi ocierały się o przewrócone krzesło, przypominał koszmarny sen oczy wytrzeszczone w przedśmiertnym strachu, sina twarz, spuchnięty język, sterczący między poczerniałymi wargami z rozdziawionych ust. Wolałbym, żeby mi się to nie przyśniło.

- Mój Boże, MacDonald! - powiedział Generał przytłumionym głosem. Przyjrzał się wiszącemu ciału, a potem rzekł z wolna - Musiał zdawać sobie sprawę, że zbliża się jego ostatnia godzina.

Przecząco pokręciłem głową.

- Ktoś inny zdecydował, że wybiła jego ostatnia godzina.

- Ktoś inny... - powtórzył Hardanger, dokładnie oglądając martwe ciało z miną, która niczego nie zdradzała.- Przecież jego ręce ani nogi nie są związane. Był przytomny, kiedy się wieszał. Krzesło przyniesiono z kuchni. A mimo to twierdzisz,

- Został zamordowany. Popatrz na te bruzdy i ślady w miale węglowym kilkadziesiąt centymetrów od krzesła i na te

kawałki węgla porozrzucone po całej podłodze, jakby ktoś je kopał. Spójrz na te pręgi i krew po wewnętrznej stronie

kciuków.

- W ostatniej chwili mógł się rozmyślić - burknął Hardanger. - Mnóstwo wisielców tak robi. Kiedy zaczął się dusić, to

prawdopodobnie chwycił rękami za sznur nad głową i trzymał się tak długo, aż zupełnie stracił siły. Stąd te ślady na

kciukach.

- Ślady na kciukach spowodował sznurek albo drut, który go krępował - powiedziałem. - Ktoś sprowadził tutaj MacDonalda, prawie na pewno grożąc pistoletem, i kazał mu się położyć na podłodze. Może zawiązał mu oczy, nie wiem. prawdopodobnie tak. Morderca przełożył sznur przez kółko, narzucił pętlę na szyję MacDonalda, a potem zaczął ciągnąć, nim tamten mógł cokolwiek zrobić. Kiedy doktor czuł, że sznur go dusi, zaczął się szarpać, próbując wstać... stąd się wzięły te ślady w miale. Z kciukami skrępowanymi na plecach nie było to łatwe, choć początkowo morderca w w pewnym sensie mu pomagał. Ta szarpanina opóźniła śmierć ledwie o parę sekund, bo morderca po prostu nie przestał ciągnąć za sznur. Nie widzisz, że MacDonald prawie urwał sobie kciuki, chcąc je uwolnić? W końcu stał jedynie na czubkach palców... ale człowiek długo nie wytrzyma w tej pozycji. Kiedy umarł wówczas ten facet za pomocą krzesła przyniesionego z kuchni podciągnął go tak, by nie dotykał stopami podłogi... a doktor był duży i ciężki. Przywiązał go na tej wysokości, przeciął sznurek na jego kciukach i kopnął krzesło, żeby to wszystko wyglądało na samobójstwo. To ten sam facet, który za wszelką cenę chce zyskać na czasie. liczył, że jeśli uda mu się nas przekonać o samobójstwie MacDonalda to tym samym właśnie jego uznamy za głównego sprawcę. Lecz nie był

pewien.

- To tylko domysły - stwierdził Hardanger.

- Nic podobnego. Czy możesz sobie wyobrazić, że taki facet jak MacDonald, który nigdy nie tracił nadziei i był nie

tylko oficerem z wysokimi odznaczeniami, walczącym przez sześć lat w pułku czołgów, ale również pozbawionym

nerwów doświadczonym szpiegiem, nagle popełnia samobójstwo, bo znalazł się w trudnej sytuacji? Czy MacDonald

mógłby zrezygnować albo dać za wygraną? Na pewno nie. Jego po prostu zamordowano... na co zresztą niewątpliwie

zasługiwał. Prawdziwym powodem tego morderstwa nie była jedynie chęć zmylenia nas i gra na zwłokę... on musiał

umrzeć. Jednocześnie ten facet pomyślał sobie, że jeśli to będzie wyglądało na samobójstwo, to przy okazji wyprowadzi nas w pole. Przedtem bawiłem się w domysły Hardanger, ale nie teraz.

- MacDonald musiał umrzeć? - spytał Hardanger. W milczeniu przez dłuższy czas badawczo mi się przyglądał i nagle powiedział - Mówisz, jakbyś był tego pewien.

- Bo jestem. Ja to wiem.

Podniosłem szufłę i zacząłem przesypywać węgiel z kupy pod ścianą piwnicy. Było go tam parę ton, sięgał bowiem

niemal do sufitu, ja zaś miałem co najwyżej tyle sił, żeby umyć sobie zęby, ale wystarczyło go tylko poruszyć z każdą szufłą węgla wybieranego przy podłodze z góry osypywało się ze sto kilogramów brył.

- Czego tam szukasz? - ironicznie spytał Hardanger.- Następnego trupa?

- Wyobraź sobie, że tak. Spodziewam się znaleźć panią Turpin. Fakt, że doniosła na mnie MacDonaldowi i nie zawracała sobie głowy przygotowaniem dla niego kolacji, wiedząc o jego zamiarze ucieczki, świadczy ponad wszelką wątpliwość, że była w zмовie z doktorem. Wiedziała tyle samo co MacDonald. Nie było sensu uciszać MacDonalda, a ją pozostawić przy życiu, żeby wszystko wypaplała. A więc i ją załatwiono.

Gdziekolwiek jednak ją załatwiono, w piwnicy pani Turpin nie było. Poszliśmy na górę i podczas gdy Generał prowadził dłuższą rozmowę przez radiotelefon w samochodzie policyjnym, który przyjechał za nami z Alfringham, ja i Hardanger w towarzystwie obu kierowców przeszukiwaliśmy teren w świetle latarek. Nie było to łatwe zadanie, nasz zacny doktor bowiem nie tylko tak starannie umeblował swój dom, ale zadbał również o zapewnienie sobie spokoju znajdowaliśmy się ni to w parku, ni to w ogrodzie o powierzchni ponad półtora hektara, otoczonym tak gęstym parkowym żywopłotem, że mógłby zatrzymać czołg.

Było ciemno i bardzo zimno, lecz bezwietrznie. Deszcz więc padał pionowo poprzez rzadkie liście drzew na rozmokłą ziemię. Przemknęła mi ponura myśl że to odpowiednia sceneria dla poszukiwań trupa, a czekało nas przeczesywanie półtora hektara w tę nieprzyjemną ciemną noc.

Bukowy żywopłot niedawno przystrzyżono i obcięte gałęzie leżały w odległym kącie ogrodu. Tam właśnie znaleźliśmy panią Turpin - niezbyt głęboko - przykrytą gałęziami i patykami tylko na tyle, żeby nie było jej widać. A obok niej młotek, którego bezskutecznie szukałem w szopie. Wystarczyło raz spojrzeć na potylicę pani Turpin, by wiedzieć, do czego posłużył. Odniosłem wrażenie, że człowiek który połamał mi żebra i ten, co zmasakrował głowę pani Turpin, to jedna i ta sama osoba - zarówno moje żebra jak i głowa martwej kobiety świadczyły o bezsensownym i ślepym okrucieństwie złośliwego szaleńca.

Po powrocie dobrałem się do whisky MacDonalda. Już jej nie będzie potrzebował, a ponieważ sam podkreślał, że nie

ma rodziny, nikt zatem nie otrzyma jej w spadku więc nie chciałem, żeby się zmarnowała. Wobec tego nalałem Hangerowi, sobie i dwóm policjantom, a jeśli nawet Hardanger krzywo patrzył na tę kradzież cudzego mienia i naruszenie przepisu, który zabraniał częstowania alkoholem policjantów na służbie, to jednak zatrzymał to dla siebie. Wypił swoją whisky przed nami. Towarzyszący nam kierowcy odeszli, gdy tylko wrócił Generał. Wyglądał, jakby z każdą minutą swojej nieobecności przybywało mu pół roku życia zmarszczki koło nosa i ust jeszcze bardziej mu się pogłębiły.

- Znaleźliście ją? - spytał biorąc podaną mu szklankę.

- Znaleźliśmy - potwierdził Hardanger. - Martwą tak jak przewidywał Cavell. Zamordowana.

- To prawie się nie liczy - stwierdził Generał. Nagle wzruszył ramionami i wypił spory haust whisky.
- To tylko jedna osoba, a jutro o tej porze mogą być tysiące trupów. Ile? Bóg jedyny wie, ile tysięcy. Ten szaleniec przysłał następną wiadomość. Jak zwykle biblijny język mury Mordon wciąż stoją, żadnych śladów rozbiórki i dlatego zmienił rozkład jazdy. Jeżeli dziś do północy rozbiórka Mordon się nie zacznie, to o czwartej rano fiolka z botuliną zostanie rozbita w samym środku Londynu, w odległości najwyżej czterystu metrów od New Oxford Street.

Sytuacja najwyraźniej wymagała następnej porcji whisky. to nie szaleniec, panie generale - odezwał

się Hardanger.

- Nie - zgodził się znużony Generał, pocierając dłonią czoło. - Powiedziałem tym na górze, co ustalił Cavell, i jakie

jest nasze zdanie. Wpadli w kompletną panikę. Czy wiecie, że niektóre gazety są już w sprzedaży... a jeszcze nie ma szóstej? To się jeszcze nigdy nie zdarzyło, lecz to prawda. Gazety chyba dobrze oddają stan powszechnego przerażenia i proszą... a raczej domagają się, by rząd ustąpił temu szaleńcowi... bo kiedy je drukowano, każdy myślał, że to łagodny wariat. Dzienniki radiowe i telewizyjne właśnie zaczęły informować o zagrożeniu dla tego rejonu wschodniej Anglii i wszyscy są nieprzytomni ze strachu. Ten, kto za tym stoi, jest genialny jeszcze kilka godzin i będzie miał naród na kolanach. Najbardziej przeraża jego niesamowita szybkość działania. Prawie natychmiast spełnia swoje groźby. A przy tym wszystkie gazety, radio i telewizja trąbią, że on nie wie, jaka jest różnica między botuliną a szatańskim wirusem, a właśnie jego może użyć następnym razem.

- Wygląda na to - powiedziałem - jakby wszyscy ci, którzy tak gorzko lamentowali i narzekali, że nie warto żyć w cieniu zagłady jądrowej, nagle odkryli, że mimo wszystko warto. Myśli pan, że rząd się złamie?

- Nie umiem powiedzieć - przyznał Generał. - Obawiam się, że chyba źle oceniałem premiera. Sądziłem, że jest bojaźliwy jak oni wszyscy. A teraz nie wiem. Ostatnio zdumiewająco usztywnił swoje stanowisko. Być może wstydzi się swojej poprzedniej panikarskiej reakcji. Niewykluczone, że widzi w tym szansę napisania się w historii.

- A może robi tak jak my wtrąciłem i również pije whisky.

- Być może. W tej chwili naradza się z członkami gabinetu. Mówi, że jeśli to spisek komunistyczny, to on za żadne skarby się nie ugnie. Jeżeli za tym stoją komuniści, wówczas jego zdaniem ostatnią rzeczą, na jaką moglibyśmy sobie pozwolić, to ulec, bo chociaż skutek odmowy zniszczenia Mordon wiele osób może stracić życie, to jednak spełnienie żądań przyniesie śmierć wszystkim. Według mnie to jedyna możliwa do przyjęcia postawa i zgadzam się i premierem, kiedy mówi, że jest raczej gotów ewakuować Londyn niż ulec.

- Ewakuować Londyn? - zdziwił się Hardanger. Dziesięć milionów ludzi w ciągu dziesięciu godzin? Czysta fantazja. Ten człowiek oszalał. To niemożliwe.

- Dzięki Bogu, nie jest tak źle. Wieczór mamy bezwietrzny, pada silny deszcz, a biuro meteorologiczne przewiduje, że w nocy też nie będzie wiało. Unoszące się wirusy opadną z deszczem na ziemię, bo bardziej odpowiada im woda niż powietrze. Eksperti wątpią, by w warunkach bezwietrznej i deszczowej pogody wirusy rozprzestrzeniły się dalej niż na kilkaset metrów od miejsca rozbicia fiolki. W razie potrzeby proponują ewakuować obszar między Euston Road a

Tamizą, od Portland Street i Regent Street na zachodzie do Groys Inn Road na wschodzie.

- To się da zrobić - przyznał Hardanger. - W każdym razie nocą jest tam praktycznie pusto... głównie biura, urzędy i sklepy. Ale te wirusy. Deszcz je rozniesie. Skażą Tamizę. Mogą dostać się do wody pitnej. co... powiemy ludziom, żeby przez dwanaście godzin powstrzymywali się od mycia i nie pili wody, póki tlen nie zabije wirusów?

Tak właśnie twierdzą eksperci. Chyba, że zawczasu przygotuje się zapasy wody. Mój Boże, co z tego wszystkiego wyniknie? Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak cholernie bezradny. Nie dysponujemy żadnym śladem, który mógłby

zaprowadzić nas prosto do sprawcy. Choćby jakiś cień podejrzenia, najdrobniejsza wskazówka, kto za tym stoi...

No, gdybyśmy go tylko dostali, to jak mi Bóg miły sam bym się odwrócił tyłem i pozwolił Cavellowi nad nim popracować.

Wypiłem swoją whisky i odstawiłem szklankę.

- Naprawdę, panie generale?

- A jak myślisz? - odparł Generał. Podniósł wzrok znad szklanki i wbił we mnie swoje zmęczone szare oczy. - Co ty

tam knujesz, Cavell? Wymyśliłeś coś?

- Więcej, panie generale. Ja wiem. Wiem, kto to jest.

Bardzo się rozczarowałem reakcją Generała, choć on zawsze tak reaguje. Nie zatkało go, nie wytrzeszczył oczu, żadnej emocjonalnej pirotechniki.

- Oddam pół królestwa, Pierre - mruknął. - Kto?

- Jeszcze jeden dowód - odparłem. - Potrzebuję ostatniego dowodu i wtedy powiem. Przegapiliśmy go, a rzucał się w oczy. Przynajmniej ja miałem go przed nosem. I Hardanger. Pomyśleć, że tacy ludzie jak my stoją na straży

ojczyzny. Ale z nas policjanci i detektywi... Nie wykrylibyśmy nawet dziur w serze szwajcarskim. - Zwróciłem się do Hardangera - Dopiero co w miarę dokładnie przeszukaliśmy ogród. Zgadza się?

- Zgadza. No i co?

- Sprawdziliśmy prawie każdy metr kwadratowy? - pytałem uporczywie.

- Mówże! - huknął zniecierpliwiony.

- Czy zauważyłeś, żeby tam coś budowano? Domek ? Mur? Basen? A może jakieś kamienne dekoracje? Cokolwiek.

Przecząco pokręcił głową, patrząc na mnie podejrzliwie. Pewnie myślał, że zwariowałem.

- Nie - odparł. - Nic takiego tam nie było.

W takim razie co się stało z cementem z tych pustych worków w szopie z narzędziami? Z tych, które widzieliśmy

kiedy znalazłem tam ten brezent? Przecież nie wyparował. A pamiętasz te cegły z żużlobetonu? To pewnie tylko resztki.

Jeżeli roboty murarskie w ogrodzie nie były hobby MacDonalda, to gdzie najprawdopodobniej mógłby się w to bawić?

W stołowym? W sypialni?

- Może w końcu mi powiesz, Cavell?

- Zrobię więcej. Ja ci to pokażę.

Zostawiłem ich samych, poszedłem do szopy z narzędziami i zacząłem szukać łomu albo kilofa. Nie znalazłem

ani jednego, ani drugiego. Najbardziej zbliżonym narzędziem okazał się średniej wielkości młot kowalski. Musi

wystarczyć. Zabrałem go ze sobą wraz z wiadrem poszedłem do kuchni, gdzie już czekali na mnie Generał i Hardanger z

kranu nad zlewem nabrałem wody i zaprowadziłem ich do piwnicy.

- Co chcesz nam pokazać, Cavell, jak się robi brykiety.- ospale spytał Hardanger, najwyraźniej

niepomny obecności trupa dyndającego pod sufitem.

I wtedy w hallu na górze zadzwonił telefon. Odruchowo popatrzyliśmy na siebie. Telefon do MacDonalda w tej sytuacji mógł być bardzo interesujący.

- Ja odbiorę - powiedział Hardanger i wbiegł na schody. Rozmawiał przez chwilę, a potem mnie zawołał. Natychmiast ruszyłem na górę. Hardanger podał mi telefon.

- To do ciebie. Nie chciał się przedstawić. Chce rozmawiać tylko z tobą.

Wziąłem słuchawkę.

- Cavell, słucham.

- A więc udało ci się uwolnić i ta panienka nie kłamała - głębokim szeptem zachrypiał przytłumiony głos w słuchawce. - Opuść to, Cavell. I powiedz Generałowi, żeby też opuścił. Jeżeli chcecie zobaczyć panienkę żywą.

Nowe tworzywa syntetyczne są dość mocne i dlatego nie zgmiotłem słuchawki w rękę. Serce podskoczyło mi do gardła, a potem zaczęło nieprzytomnie walić. Odzyskałem głos

- O czym pan mówi, do cholery? - spytałem.

- O pięknej pani Cavell. Mam ją. Chce ci coś powiedzieć.

Po chwili usłyszałem jej głos.

- Pierre? Kochany, tak mi przykro... nagle przerwała gwałtownie wciągając powietrze i krzyknęła z bólu. Zapadła cisza. A potem znów ten stłumiony szept.

- Opuść to, Cavell.

I zaraz trzasnęła odkładana słuchawka. Odłożyłem więc swoją, wybijając głośnie staccato na widelkach. Moja ręka drżała, jakbym miał febrę. na skutek wstrząsu czy przerażenia, albo jednego i drugiego, tak mnie zmroziło, że zachowałem normalny wyraz twarzy, a może makijaż wszystko ukrył. W każdym razie nikt niczego nie zauważył, Generał odezwał się bowiem całkiem zwyczajnym tonem.

- Kto to był? spytał z zaciekawieniem.

- Nie wiem - odparłem, a po chwili dodałem jak automat - Oni mają Mary.

Generał akurat trzymał dłoń na klamce. Teraz jego ręka opadała w absurdalnie zwolnionym ruchu, który trwał z dziesięć sekund, a tymczasem coś w jego oczach gasło. Hardanger ze skamieniałą twarzą wyszeptał jakieś niecenzuralne słowo. Żaden z nich nie poprosił mnie o powtórzenie, żaden nie miał najmniejszych wątpliwości, co oznaczały moje słowa.

- Kazali nam przestać - ciągnąłem tym samym drewnianym głosem. - Inaczej ją zabiją. Na pewno ją porwali.

Powiedziała parę słów. a potem krzyknęła. Musieli jej coś zrobić.

- Skąd on wiedział, że uciekłeś? spytał Hardanger niemal z rozpaczą. Jak się tego domyślił? Skąd...

- Odpowiedzią jest MacDonald rzekłem. On to wiedział.. pani Turpin mu doniosła... a MacDonald poinformował mordercę.

Patrzyłem niewidzącym wzrokiem na Generała, z którego przygasłej, choć wciąż spokojnej twarzy uciekło wszelkie życie.

- Tak mi przykro mówiłem dalej. Jeśli Mary coś się stanie, to ja będę winny. To wszystko przez tę moją karygodną głupotę i niedbalstwo.

- No i co teraz zrobimy, mój chłopcze? spytał Generał zmęczonym, apatycznym głosem, który był pusty jak jego oczy teraz pozbawione żołnierskiego ognia. Wiesz, że oni zabiją ci żonę. Tacy zawsze mordują.

- Tracimy czas - powiedziałem chrapliwie. A ja potrzebuję tylko dwóch minut, żeby się upewnić.

Zbiegłem do piwnicy, podniosłem wiadro i wylałem połowę jego zawartości na przeciwległą ścianę. Woda szybko spływała na podłogę, nie splukując pyłu węglowego, który osiadał na niej przez kilka czy kilkanaście lat. Na oczach Generała i Hardangera, którzy wciąż mnie obserwowali, nie rozumiejąc o co chodzi, wylałem resztę wody na ścianę w głębi piwnicy, gdzie zanim zacząłem kopać, sarta węgla wznosiła się aż pod sufit. Woda rozprysła się i wsiąknęła w węgiel, prawie do czysta zmywając ścianę, która teraz wyglądała, jakby wzniesiono ją zaledwie przed kilkoma tygodniami. Hardanger wlepił w nią wzrok, potem spojrzał na mnie i znowu na ścianę.

- -Przepraszam cię, Cavell - rzekł. To dlatego usypano ten węgiel tak wysoko... żeby ukryć ślady niedawnej pracy.

Nie traciłem czasu na rozmowę - czas był teraz towarem, którego zaczynało nam brakować. Podniosłem więc młot i z

zamachem uderzyłem w górną część ściany, tę z zużłowych cegieł, niżej bowiem wykonano ją z betonu. Zamachnąłem

się tylko jeden raz, bo w prawym boku poczułem ból, jakby ktoś wbił mi sztylet między żebra. Chyba ten lekarz miał jednak rację, że moje żebra straciły swoje naturalne oparcie. Bez słowa oddałem młot Hardangerowi i znużony usiadłem na odwróconym wiadrze.

Hardanger waży ponad sto kilogramów i mimo pozornego spokoju na kamiennej twarzy w środku zapewne aż się gotował. Z całą siłą i determinacją wściekle zaatakował ścianę, jakby uosabiała wszelkie ziemskie zło nie miała żadnych szans. Po trzecim uderzeniu pierwsza cegła wykruszyła się i wypadła. W ciągu trzydziestu sekund Hardanger wybił dziurę o powierzchni blisko pół metra kwadratowego. Przerwał i spojrzał na mnie. Z trudem się podniosłem, czułem się bowiem jak bardzo, bardzo stary człowiek, i zapaliłem latarkę. Razem zajrzeliśmy do ciemnego otworu. Między fałszywą a prawdziwą ścianą piwnicy znajdowała się wąska przestrzeń o szerokości mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów, a na jej dnie, na poły przysypane kawałkami muru, odłamkami cegieł i pyłem, leżały szczątki tego, co niegdyś było człowiekiem. Połamane, skręcone, bezlitośnie okaleczone, a jednak niewątpliwie ciało jakiegoś mężczyzny.

- Cavell, czy wiesz, kto to jest? - cicho spytał Hardanger głosem pełnym złych przeczuć, siląc się na spokój.

- Znam go. To Easton Derry. Był przede mną szefem bezpieczeństwa w Mordon.

- Easton Derry - powtórzył Generał z takim samym nienaturalnym spokojem jak Hardanger. - Skąd wiesz? Przecież tej twarzy nie sposób poznać.

- Tak, ale w pierścieniu na lewym ręku jest błękitny kryształ górski. Easton Derry zawsze nosił taki pierścień. to na pewno on.

- Kto... kto go tak urządził? - powiedział Generał wbijając wzrok w pólnagie ciało. - Wypadek drogowy? A może... dzikie zwierzę?

Dłuższą chwilę uważnie patrzył na zwłoki, a potem wyprostował się z jeszcze bardziej postarzałą i zmęczoną twarzą, nieruchome spojrzenie jego posępnych oczu było lodowato zimne, kiedy się do mnie odezwał.

- To zrobił człowiek. Zakatował go na śmierć.

- Tak Zakatowano go na śmierć - potwierdziłem.

- A ty podobno wiesz, kto to zrobił? - przypomniał mi Hardanger.

Hardanger wyjął pióro i blankiet nakazu aresztowania z wewnętrznej kieszeni i stanął w wyczekującej pozycji. To ci nie będzie potrzebne, komisarzu, jeżeli ja dopadnę go pierwszy - powiedziałem. - A gdyby mi się nie udało, to doktor Giovanni Gregori, choć prawdziwy doktor Gregori nie żyje.

Rozdział jedenasty

Osiem minut później wielki policyjny wóz gwałtownie zatrzymał się przed domem Chessinghama i po raz trzeci w ciągu niespełna doby wspiałem się po zniszczonych schodkach nad suchą fosą i nacisnąłem dzwonek za mną stał Generał, a Hardanger siedział w radiowozie, zawiadamiając policję w kilkunastu hrabstwach, by uważano na doktora Gregoriego i jego fiata, a po zidentyfikowaniu śledzono, na razie nie zatrzymując. Sądziliśmy, że póki Gregori nie znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, póty nie zabije Mary, a naszym obowiązkiem było dać jej przynajmniej cień szansy.

Pan Cavell! - wykrzyknęła Stella Chessingham, witając mnie zupełnie inaczej niż rano jej oczy na powrót jaśniały

żywym blaskiem i z twarzy zniknął niepokój. - Jak miło! Ja bardzo przepraszam, że rano tak się zachowałam, panie Cavell. Czy.. czy to prawda, co powiedziała mi mama po aresztowaniu brata?

- Najprawdziwsza, panno Chessingham.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale mając tak fatalne samopoczucie i obolałą twarz, z której przed wyjściem z domu MacDonalda pośpiesznie zeskrobałem teraz już bezużyteczny makijaż, cieszyłem się, że nie widzę efektów tej próby.

Moja sytuacja przypominała położenie Stelli sprzed dwunastu godzin, tylko że przedstawiała się znacznie gorzej.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale wówczas to było konieczne - powiedziałem. jeszcze dziś pani brat zostanie zwolniony. Czy po południu widziała się pani z moją żoną?

- Oczywiście. to bardzo ładnie z jej strony, że przyszła nas odwiedzić. A może by pan zajrzał do mamy ze swoim..... znajomym? Jestem pewna, że się ucieszy.

Przecząco pokręciłem głową.

- O której wyszła stąd moja żona?

- Chyba około pół do szóstej. Zaczynało się ściemniać i... czy coś się stało? - dokończyła szeptem.

- Porwał ją morderca i trzyma jako zakładniczkę.

- Och, nie! Och, nie, panie Cavell, nie! – wykrzyknęła chwytając się za gardło. - To... to niemożliwe.

- Czym stąd odjechała?

- Porwano? Pańską żonę porwano? - powtarzała patrząc na mnie przerażonym wzrokiem. - Dlaczego ktoś miałby ją...

- Na miłość boską, proszę odpowiedzieć na moje pytanie! - wybuchnąłem. - Czy to był wynajęty samochód, taksówka,

autobus Czym odjechała?

- Samochodem - szepnęła. Przyjechał po nią samochód.

Ten człowiek powiedział, że pan chce się z nią natychmiast zobaczyć... - przerwała, kiedy uświadomiła sobie, co to oznaczało.

- Jak wyglądał ten człowiek? - spytałem. - Co to był za samochód?

- Mężczyzna... w średnim wieku - odparła drżącym głosem. = Śniady... W granatowym samochodzie... Z tyłu siedział drugi... Nie wiem, jaki to był samochód poza tym, że... ależ oczywiście! Zagraniczny.. miał kierownicę z lewej strony... Czy ona..?

- Gregori ze swoim fiatem? szepnął Generał. Lecz, na Boga, jak on się dowiedział, że Mary była tutaj?

- Przez telefon - odpowiedziałem z goryczą. - Wie, że mieszkamy w Zajeździe. Zadzwoił tam i zapytał, czy zastał Mary, a wtedy ten grubas zza baru usłuźnie go poinformował, niby dlaczego miał tego nie zrobić, że pani Cavell nie ma, bo przed dwiema godzinami osobiście ją odwiózł do domu pana Chessinghama Gregoriemu było po drodze, więc tu zajrzał. On nie ma nic do stracenia. Może tylko zyskać.

Nawet, nie pożegnaliśmy się ze Stellą. Zbiegliśmy po schodkach, złapaliśmy Hardangera, kiedy wysiadał z radiowozu, i niemal wepchnęliśmy go do jaguara.

- Alfringham - rzuciłem kierowcy. - Mimo wszystko wziął tego fiata. Nie sądziłem, że będzie ryzykował...

- On nie ryzykował = mruknął_ Hardanger. Właśnie mi zameldowano, że jego fiat leży w rowie le wsi Grayling,

niecałe pięć kilometrów stąd, w bocznej uliczce... niespełna dwadzieścia metrów od domku miejscowego konstabla,

który akurat słuchał naszego komunikatu, podniósł oczy i zobaczył ten samochód.

- Oczywiście pusty?

- Pusty. Ale Gregori by go nie zostawił w rowie, nie mając innego. Zaalarmowano wszystkie radiowozy, żeby informo-

wały nas o skradzionych autach. Ten drugi samochód na pewno ukradł w Grayling, które, o ile wiem, jest trochę

większą osadą. Wkrótce się dowiemy.

Rzeczywiście wkrótce się dowiedzieliśmy i to sami. Wjeżdżając do Grayling dokładnie dwie minuty później, zobaczyliśmy jakąś postać, która na nasz widok zaczęła wykonywać coś w rodzaju tańca wojennego i gwałtownie wymachiwać

trzymaną w ręku aktówką. Jaguar zahamował i Hardanger opuścił szybę w oknie.

- To straszne! - wykrzyknął człowiek z aktówką. – Dzięki Bogu, akurat się zjawiliście. To oburzające! Niesłychane! W

biały dzień...

- O co chodzi? - przerwał mu Hardanger.

- O mój samochód. Ukradli w biały dzień! O, Boże! Właśnie byłem z wizytą w tym domu i...

- Jak długo pan tam był?

- Hm? Jak długo? A co, u diabła...

- Proszę odpowiadać! - ryknął Hardanger.

- Czterdzieści minut. Ale co...

- Jaki to samochód?

- Trzylitrowy vanden plas princess - powiedział niemal z płaczem. - Nowiusieńki, proszę pana. Turkusowy. Miałem go dopiero od trzech tygodni...

- Nie martw się pan rzekł Hardanger niezbyt uprzejmie, kiedy jaguar już ruszał. - Odnajdziemy go i zwrócimy.

Podniósł szybę w oknie, zostawiając okradzionego mężczyznę z rozdziawionymi ustami, a potem zaczął wydawać

polecenia sierżantowi na przednim siedzeniu

- Do Alfringham. Potem na drogę do Londynu. Przekażcie wszystkim radiowozom, żeby zamiast granatowego fiata

szukały trzylitrowego turkusowego vandena plas princess.

Odnaleźć, śledzić, ale się nie zbliżać.

- Zielonkawo niebieskiego - mruknął Generał. - Zielonkawo niebieskiego, a nie turkusowego. Mówicie do policjantów, nie do ich żon. Połowa z nich nie zna się na kolorach.

- Wszystko zaczęło się od MacDonalda - rzekłem.

Wielki policyjny jaguar mknął z szumem opon po mokrym asfalcie, drzewa rosnące na poboczach uciekały do tyłu, znikając w czarnym jak smoła mroku, i chyba lepiej było rozmawiać, niż milczeć i ze zmartwienia odchodzić od zmysłów Poza tym Generał i Hardanger czekali już wystarczająco długo i cierpliwie.

- Wiadomo, czego chciał MacDonald, a nie ograniczało się to jedynie do służenia komunistom. Głęboko i niezmiennie MacDonalda interesowało w życiu tylko jedno MacDonald Bez wątpienia kiedyś sporo podróżował... madame i wcale nie zrobiła na mnie wrażenia osoby, która w czymkolwiek się myli... zresztą nie sądzę, by w inny sposób udało mu się wejść w kontakt z komunistami. W ciągu tych lat musiał zarobić kupę pieniędzy... wystarczy tylko popatrzeć na wyposażenie jego domu... ale korzystał z nich sprytnie i mądrze, nie wydając zbyt wiele za jednym razem.

- A ten jego bentley continental? - wtrącił Hardanger.- chyba nie zaprzeczysz, że to rozrzutność.

- Miał na to pokrycie i do niczego nie można było się przyczepić. Ale stał się zachłanny. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zarobił tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi zrobić.

- Pracując na drugim etapie przy wysyłaniu próbek do Warszawy i listów z informacjami do Wiednia? – spytał Generał.

- Nie - odparłem. - Szantażując Gregoriego.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - rzekł Generał i niecierpliwie poruszył się na siedzeniu.

- Nietrudno to zrozumieć - powiedziałem. - Gregori... albo raczej człowiek, którego znamy pod tym nazwiskiem... miał dwie rzeczy wspaniały plan i pecha. Pamiętajcie, że przyjazd Gregoriego do Anglii nie był żadną tajemnicą... wywołał nawet drobny kryzys międzynarodowy, bo Włosi szaleli, kiedy jeden z ich najlepszych biochemików postanowił wypiąć się na własny kraj i pracować tutaj. Ktoś, kto znał chemię nieco bardziej niż powierzchownie i wyglądem trochę przypominał Gregoriego, przeczytał o tym wszystkim w gazetach w zbliżającym się wyjeździe Gregoriego do Anglii dostrzegł życiową szansę dla siebie i poczynił stosowne przygotowania.

- Prawdziwy Gregori został zamordowany? spytał Hardanger.

- Nie ulega wątpliwości. Ten Gregori, który wyjechał z Turynu z całym swoim dobytkiem na tylnym siedzeniu fiata, nie dotarł do Anglii. W drodze spotkała go śmierć, a podający się za niego osobnik, rzecz jasna po dokonaniu sprytnych poprawek w swoim wyglądzie, żeby jeszcze bardziej się upodobnić do zamordowanego, znalazł się w Anglii z jego samochodem, ubraniami, paszportem, fotografiami i całą resztą dobytku. Do tej chwili szło mu bardzo dobrze.

A teraz zaczyna się pech. Prawdziwy Gregori znany był w Anglii wyłącznie z doniesień o jego pracach. Przypuszczalnie tylko jeden człowiek znał go tutaj osobiście, a choć fałsz w Gregori miał tylko jedną szansę na milion, by go spotkało to jednak okazało się, że pracują w tym samym laboratorium. Człowiekiem tym był MacDonald. Gregori o tym nie wiedział w przeciwieństwie do MacDonalda, który natychmiast zorientował się, że to oszust. Nie zapominajcie, że MacDonald przez wiele lat był naszym delegatem w WHO, a mogę się założyć o co chcecie, że Gregori odgrywał podobną rolę we Włoszech.

- Co by wyjaśniało zniknięcie tej fotografii z albumu- rzekł z wolna Generał.

- Bez wątpienia przedstawiała obu MacDonalda i prawdziwego doktora Gregoriego stojących obok siebie. W Turynie. W każdym razie MacDonald rozważył sobie tą sytuację, a później powiedział rzekomemu Gregoriemu, że wszystko o nim wie. Możemy się tylko domyślać, co było potem. Gregori pewnie wyjął pistolet i powiedział, że niestety musi go uciszyć na zawsze, a wtedy nie w ciemną bitą

MacDonald pokazał mu jakiś list i oświadczył, że to fatalnie się składa, bo jeśli on nagle umrze, to jego bank, a może policja otworzy zalakowaną kopertę, w której znajduje się kopia tego listu zawierającego parę ciekawych informacji o Gregorim. Wówczas Gregori musiał schować pistolet i ubili interes. Jednostronny. Gregori miał płacić MacDonaldowi określoną sumę miesięcznie. Albo

coś w tym rodzaju. Nie zapominajcie, że MacDonald mógł grozić mu ujawnieniem morderstwa.

- Nie rozumiem - powiedział Hardanger ospale. - To nie ma sensu. Wyobraźmy sobie, że powiedzmy w Warszawie dla obecnego tutaj pana generała pracuje nad jedną i tą samą sprawą dwóch ludzi, którzy nie tylko wcześniej się nie znali, ale również mają sprzeczne interesy i wzajemnie mogą trzymać się za gardło. Oj, Cavell, chyba mam lepsze zdanie o inteligencji komunistów niż ty.

- - Zgadzam się z Hardangerem rzekł Generał.

- Ja również - stwierdziłem. - Ale ja przecież powiedziałem, że to, tylko MacDonald pracował dla komunistów.

I nawet nie wspomniałem, że Gregori robi to samo albo że szatański wirus ma coś wspólnego z komunistami. Wy to

sugerujecie

Hardanger pochylił się do przodu, by lepiej mnie widzieć.

- A więc... sądzisz, że Gregori mimo wszystko jest stuknięty?

- Jeśli tak myślisz, to najwyższy czas, żebyś wziął dłuższy urlop - skomentowałem uszczypliwie. - Gregori miał jakieś

swoje ważne powody, żeby zdobyć te wirusy, i założę się o swoją głowę, że powiedział o tym MacDonaldowi. Musiał

zapewnić sobie jego współpracę. Gdyby jednak mu powiedział, że chce po prostu uciec z botuliną, to wątpię, by Mac-

Donald przyłożył do tego choćby jeden palec. Ale jeśli zaproponował mu powiedzmy dziesięć tysięcy funtów, to MacDonald mógł natychmiast zmienić zdanie, bo on taki właśnie był.

Tymczasem wjechaliśmy już do Alfringham. Wielki policyjny jaguar pędził na sygnale z szybkością dwukrotnie większą od dozwolonej, przemykając między pojazdami coraz rzadszymi o tej porze. Kierowca był świetnym fachowcem Hardanger zabrał go z Londynu - i doskonale wiedział, na co może sobie pozwolić, by nas nie pozabijać.

- Zatrzymajcie się przy tym policjancie! - krzyknął do niego Hardanger, nagle mi przerywając.

Szybko zbliżaliśmy się do jedynych świateł regulujących ruch uliczny w Alfringham zmieniających

ręcznie w porze,

która uchodziła tam za godziny szczytu. Jakiś policjant w białej czapce, błyszczącej od deszczu w świetle latarni, stał przy zawieszanej na słupie skrzynce do kierowania ruchem.

Samochód się zatrzymał i Hardanger, opuściwszy szybę w oknie gestem przywołał policjanta.

- Komisarz Hardanger z Londynu - przedstawił się krótko. - Nie widzieliście przejeżdżającego tędy zielonkawo niebieskiego vandena plas princess?. Jakaś godzinę temu.

- Właściwie tak, panie komisarzu. Zbliżał się, kiedy włączyłem żółte światło, i wiedziałem, że na skrzyżowaniu będzie na czerwonym. Gwizdnąłem i zatrzymał się tuż za skrzyżowaniem. Spytałem kierowcy, dlaczego przejechał światła, a on mi odpowiedział, że na mokrej jezdni zablokowały mu się tylne koła, a kiedy zdjął nogę z hamulca, bał się ponownie hamować, żeby nie obudzić córki, która spała na tylnym siedzeniu i mogłaby się zranić, gdyby zrobił to zbyt nagle, bo poleciałaby do przodu. Zajrzałem na tylne siedzenie i rzeczywiście spała tam jakaś dziewczyna. Tak głęboko, że nawet nie obudziła jej nasza rozmowa. Koło niej siedział jakiś mężczyzna. No więc... więc pouczyłem kierowcę i kazałem odjechać... - policjant niepewnie zawiesił głos.

- No właśnie! - ryknął Hardanger. - Teraz się domyślacie. Nie umiecie odróżnić osoby śpiącej od takiej, która udaje, że

śpi, bo zmuszono ją do tego pistoletem? Spała, rzeczywiście - powiedział z wściekłością. - Ty nędzny gamoni, z hukiem

wylecisz z policji! Ja ci to załatwię!

- Tak jest - odparł policjant.

Stał na baczność, patrząc niewidzącymi oczami gdzieś nad dachem jaguara - przypominał gwardzistę podczas parady, który zaraz zemdleje, ale do końca się trzyma.

- Przepraszam, panie komisarzu - wyjąkał.

- W którą stronę pojechali?

- Na Londyn, panie komisarzu - odpowiedział policjant drewnianym głosem

- Chyba trudno oczekiwać, żebyście zauważyli jego numer uszczypliwie mruknął Hardanger.

- XOW 973, panie komisarzu.

- Co!?

- XOW 973.

- Możecie dalej uważać się za policjanta - burknął Hardanger. Zakręcił szybę i znowu ruszyliśmy. Sierżant cicho mówił

do mikrofonu.

- Może potraktowałem go trochę zbyt surowo – odezwał się Hardanger. - Gdyby był na tyle bystry, żeby coś więcej

zauważyć, to teraz słuchałby chórów anielskich, a nie naciskał guziki, zmieniając światła. Przepraszam, że ci przerwałem Cavell.

Nie szkodzi - odparłem w gruncie rzeczy zadowolony, że na chwilę przestałem myśleć o Mary, której morderca groził pistoletem. - Mówiłem o MacDonalddie. Miał bzika na punkcie pieniędzy, a przy tym był sprytny. Bardzo sprytny...

taki być, żeby tyle czasu się utrzymać w tej szpiegowskiej awanturze. Wiedział, że kradzież botuliny, bo Gregori z pewnością nigdy nie wspominał o swoim zamiarze zabrania również szatańskiego wirusa, pociągnie za sobą intensywne przekopywanie życiorysów wszystkich podejrzanych, to znaczy osób pracujących w laboratorium numer jeden. Mógł także przypuszczać, że jego działalność szpiegowska spowoduje ponowne sprawdzanie wszystkich naukowców. Wiedział, że wszelkie znane szczegóły jego życia odnotowano w tajnych aktach, i był pewien, że niektóre z tych faktów, mianowicie związane z jego działalnością tuż po wojnie, zostaną bez trudu właściwie zinterpretowane. Wiedział również, że akta te trzymał szef bezpieczeństwa, Derry. Powiedział więc Gregoriemu, że dopóki ich nie zobaczy, to nie ma mowy o żadnym interesie ani współpracy.

MacDonald nie miał ochoty narażać się na wpadkę podczas ewentualnego późniejszego śledztwa.

Dlatego Easton Derry, albo raczej to, co z niego zostało, leży teraz w piwnicy - cicho rzekł Generał.

- Tak Choć to tylko domysły... ale nie bezpodstawne. Poza aktami, które były potrzebne MacDonalldowi, Gregori chciał zdobyć jeszcze coś szyfr do zamka w drzwiach laboratorium numer jeden, znany wyłącznie Derryemu i doktorowi Baxterowi. Myślę, że załatwili to tak MacDonald poprosił Derryego, żeby do niego przyszedł, bo ma mu coś ważnego do powiedzenia. Derry się zjawił, a kiedy przekroczył próg domu

MacDonalda, to już było po nim. Zadbął o to Gregori, który czekał w ukryciu z pistoletem w ręku. Najpierw odebrali mu klucze do sejfu, w którym u siebie w domu trzymał akta. Szef bezpieczeństwa zawsze ma te klucze przy sobie. Potem próbowali go zmusić, żeby zdradził im szyfr do drzwi laboratorium. Próbował przynajmniej Gregori... nie sądzę, żeby MacDonald brał w tym udział, choć zapewne o tym wiedział, albo nawet przy tym był.

Może Gregori nie jest całkowicie stuknięty, lecz to psychopata... o skłonnościach sadystycznych, najwyraźniej żądny krwi. Wystarczy przypomnieć Derry'ego głowę, głowę pani Turpin, moje żebra i sposób, w jaki powiesił MacDonalda

I w ten sposób sobie zaszkodził - ospale wtrącił Hardanger. Tak zaciekle torturował i maltretował Derryego, że ten umarł, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Ustalenie, kim jest ten fałszywy Gregori, nie powinno być zbyt trudne. Człowiek posługujący się taką techniką musi być w kartotekach policyjnych. Jeżeli prześlemy odciski palców i rysopis Interpolowi w Paryżu, to w ciągu godziny go zidentyfikują.

Pochylił się do przodu, by wydać stosowne instrukcje sierżantowi.

- Tak - powiedziałem. - To nie będzie trudne. Lecz teraz nie ma znaczenia. Gregori zabił Derryego, nim tamten powiedział, i musieli szukać jakiegoś innego sposobu dostania się do laboratorium. Przede wszystkim przeszukali dom... a założę się, że przy sposobności zajrzeli też do prywatnych papierów i natknęli się na fotografię przedstawiającą Derryego jako družbę na ślubie. Moim ślubie. Na tym zdjęciu jest oczywiście również Generał. Dlatego najpierw porwali mnie, a później Mary. Po prostu wszystko wiedzieli. W każdym razie otworzyli sejf, z dossier MacDonalda usunęli arkusz, który narażał go na ryzyko i... wzięli się do czytania pozostałych akt. Dowiedzieli się o kłopotach finansowych Hartnella i uznali, że będzie można go szantażować by pomógł im w ucieczce z Mordon, odwracając uwagę strażników, bo skoro Gregoriemu nie udało się wydobyć , z Derryego szyfru, musiał zmienić plan .zdobycia wirusów. W ucieczce? - spytał Hardanger, marszcząc brwi.-

Chciałeś powiedzieć we włamaniu.

- A jednak w ucieczce.

Nie przejmując się zbytnio spojrzeniami Hardangera siedzącego w półmroku z wymowną miną, powiedziałem mu o swoich domysłach, przedstawionych wczesnym rankiem Generałowi, a mianowicie o tych dwóch ludziach, co zostali przemyceni w transporterach do laboratorium jeden przebrany za Baxtera, drugi za Iksa. Opisałem, jak obaj wyszli z Mordon o zwykłej porze, oddając

strażnikowi karty kontrolne, a tymczasem prawdziwy Iks zaczął tam w ukryciu do jedenastej, po czym uśmiercił Baxtera botuliną, później poczęstował Clandona irysem z cyjankiem, a wreszcie uciekł z wirusami przez ogrodzenie.

- Bardzo, bardzo interesujące - powiedział Hardanger, kiedy skończyłem. Jego głos i mina w równym stopniu zdradzały zawodową ciekawość i urazę. - Mój Boże, i ty śmiesz twierdzić, że Easton Derry trzymał wszystko pod korcem! Zasługujesz na kopniaka za wpuszczenie mnie w maliny. Niech cię diabli.

- Wcale nie ja cię wpuściłem - rzekłem. - Zrobiłeś to na własne życzenie. W każdym razie śledztwo prowadziliśmy równolegle - powiedziałem choć w rzeczywistości było inaczej. - Nie mnie a tobie zawdzięczamy przełom. Przecież to ty zacząłeś podejrzewać, że dossier MacDonalda czegoś brak.

Nagle zatrzeszczało radio. Przekazano nam, że właściciel vandena plas - lekarz, który odwiedzał pacjenta - po naszym odjeździe zgłosił się do miejscowego komisariatu i podał interesujący fakt: zbiornik paliwa w jego samochodzie był prawie pusty. Hardanger w krótkich słowach polecił kierowcy i sierżantowi uważać na stacje benzynowe, a potem poprosił mnie, żebym mówił dalej. Moja ostatnia uwaga trochę go udobruchała, ale wciąż był zły, czemu się nie dziwię.

- Nie mam już wiele do powiedzenia. Gregori nie tylko dowiedział się o powiązaniach Hartnella z Tuffnellem, tym lichwiarzem, ale również odkrył, że Hartnell z Tuffnellem, tym lichwiarzem, ale również odkrył, że Hartnell jako osoba prowadząca kasę stołówki podkradał z niej pieniądze. Nie pytaj mnie, w jaki sposób to odkrył. Potem...

- Sam ci to mogę powiedzieć - wtrącił Hardanger. - Jak zwykle za późno - dodał z goryczą - MacDonald był gospodarzem stołówki w Mordon, a kiedy się dowiedział o kłopotach finansowych Hartnella, zaczął coś podejrzewać. Jako gospodarz miał oczywiście dostęp do ksiąg rachunkowych... i sprawdził.

- Oczywiście, oczywiście - powiedziałem z taką samą goryczą jak Hardanger - Wiedziałem że był gospodarzem. No więc chyba jasne. Mogę sobie pogratulować. W każdym razie Hartnell zdany był na jego łaskę i niełaskę... MacDonald zaś znając akta Hartnella wiedział, że policja w końcu musi wziąć pod lupę i jeszcze bardziej wszystko pogmatwał, podrzucając mu młotek i kombinerki użyte podczas ucieczki, dla pewności smarując dodatkowo jego skuter czerwoną gliną. Mógł to zrobić Gregori albo któryś z jego pomocników. To pierwszy podstęp. Drugi to udawanie tajemniczego wuja George'a który dokonał wpłat na konto Chessinghama wiele tygodni przed popełnieniem przestępstwa. Wiedział oczywiście, że jedną z pierwszych rzeczy, które zaczną sprawdzać policja, będą konta bankowe.

- Same podstępny - gorzko żalił się Hardanger. - Zawsze te same przekłete podstępny. Po co?

- Żeby zyskać na czasie. Już do tego przechodzę.

- A później te dwa zabójstwa w Mordon i kradzież wirusów tak jak przypuszczałeś? – odezwał się Generał.

- Nie – przecząco pokręciłem głową. – Tutaj się pomyliłem.

Generał spojrzał na mnie z miną, która mówiła niewiele ale i tak wystarczająco dużo.

- Myślałem, że zarówno doktora Baxtera, jak i Clandona, zabił ktoś z naukowców pracujących w laboratorium numer jeden. Wszystko na to wskazywało. Myliłem się jednak. Musiałem się pomylić. Sprawdzaliśmy to wielokrotnie i okazało się, że każdy naukowiec i technik pracujący w tym laboratorium ma niepodważalne alibi na ten czas kiedy dokonano morderstwa ... niepodważalne, bo prawdziwe. Przemycano dwóch ludzi, to pewne.. może nawet trzech. Nie wiem. Ale wiemy, że Gregori musi mieć do dyspozycji dość sporą organizację .Chyba więc było ich trzech. Powiedzmy trzech. Tylko jeden z nich wyszedł z zakładu o normalnej porze po zakończeniu pracy...ten przebrany za Baxtera. Dwóc pozostało, ale wśród nich nie było Iksa... on również wyszedł o zwykłej porze i pojechał do domu, żeby zapewnić sobie wygodne alibi. Iksem był oczywiście prawie na pewno Gregori... MacDonald to jedynie cichy wspólnik w tym interesie. Gregori zabrał ze sobą wirusy, albo i nie.. raczej nie, na wypadek wyrywkowej kontroli. Tak czy inaczej bez wątpienia zostawił tamtym dwóm jedną fiolkę z botuliną... i jeden irys posypany cyjankiem. Pamiętacie, że wszyscy się dziwiliśmy, dlaczego Clandon ot tak przyjął od kogoś irysa i do tego w nocy.

- Ale po co ta botulina i ten cyjanek? - spytał Generał.- Przecież były całkowicie niepotrzebne.

- Gregori widział to inaczej. Kazał im ogłuszyć Baxtera i wylać na niego zawartość fiolki z botuliną tuż przed wyjściem. Obaj opuścili laboratorium i wtedy jeden z nich posłużył jako przynęta. Zobaczył go Clandon, który obserwował korytarz ze swego domu, i natychmiast przybiegł z pistoletem w rękę. Kiedy trzymał na muszce jednego z tych ludzi, drugi zaszedł Clandona od tyłu i go rozbroił. Potem siłą wsadzili mu cukierek do ust. Tylko Bóg jedyny wie, co wówczas myślał Clandon. Zanim jednak zdążył się zorientować, co mu wcisnęli, już nie żył.

- Dranie - mruknął Generał. - Skończone dranie.

- Wszystko zaaranżowano tak, by sprawiało wrażenie, że zarówno Baxter, jak i Clandon, znali mordercę. I to się udało. Ten trzeci podstęp całkowicie wyprowadził nas w pole. Gregori zyskuje na czasie, ciągle zyskuje na czasie. To geniusz podstępu. Mnie też zmylił tym telefonem do Londynu wczoraj o dziesiątej wieczorem. To on sam dzwonił.

Następny podstęp nie wiadomo już który z kolei.

- To wtedy telefonował Gregori? - spytał Hardanger, rzucając mi surowe spojrzenie. - Miał przecież alibi. Osobiście go sprawdzałeś. Podobno pisał na maszynie czy coś w tym rodzaju.

- Gregoriemu nie dorastasz nawet do pięt, jeśli idzie o umiejętność przewidywania - zauważyłem cierpko. - Odgłosy pisania na maszynie bez wątpienia dochodziły z jego pokoju. Tylko że on to przedtem nagrał na taśmę i włączył magnetofon, zanim wyszedł przez okno. Kiedy wczesnym rankiem składałem mu wizytę, to w jego pokoju unosił się dziwny zapach, a w palenisku kominka zobaczyłem kupkę białawego popiołu. Tylko to zostało z tej taśmy.

- Ale po co te wszystkie wybiegi... - odezwał się Hardanger, lecz przerwał mu głos sierżanta z przedniego siedzenia.

- Jest stacja.

- Podjedźcie tam - rozkazał Hardanger. - Zapytacie o ten samochód.

Zjeżdżając z autostrady, kierowca włączył syrenę. Jej dźwięk mógłby obudzić martwego, lecz nie obudził pracownika stacji. Sierżant bez wahania wyskoczył w biegu. Zanim samochód się zatrzymał, co trwało kilka sekund, on już, wchodząc do jasno oświetlonego kantoru. Po chwili wyszedł i natychmiast znikł na tyłach stacji. To mi wystarczyło. Wypadłem z samochodu, a za mną Hardanger.

Pracownika znaleźliśmy w garażu za stacją, fachowo skrępowanego i zakneblowanego przez osobę która nie liczyła się z ceną taśmy przylepnej. Ta sama osoba dla pewności ogłuszyła go czymś ciężkim, ale on już przychodził do siebie, a dokładniej, odzyskał przytomność, zanim się do niego zbliżyliśmy. Ten krzepki mężczyzna w średnim wieku miał moim zdaniem normalnie czerwoną twarz, lecz teraz pałała purpurą ze złości i wysiłku, próbował się bowiem uwolnić.

Przecieliśmy taśmę na jego kostkach i nadgarstkach, niezbyt delikatnie zerwaliśmy mu ją z ust i pomogliśmy usiąść. Zaczął niezwykle kwiecistą wiązaną i mimo pośpiechu musieliśmy pozwolić, by się wygadał, ale po kilku sekundach

Hardanger ostro mu przerwał.

- Dobra. Wystarczy. Ten człowiek, co to zrobił, to uciekający morderca, a my jesteśmy z policji. Siedząc tu i przeklinając tylko zwiększa pan szansę jego ucieczki. Proszę nam wszystko opowiedzieć krótko i węzłowato.

Pracownik stacji potrząsnął głową. Nie musiałem być lekarzem, by stwierdzić, że jeszcze nieźle mu w niej szumiało.

- Mężczyzna. W średnim wieku - powiedział. - Taki śniady. Przyszedł tu po benzynę. O pół do siódmej. Poprosił. . . -

- Pół do siódmej - przerwałem mu. - To zaledwie dwadzieścia minut temu. Jest pan pewien?

- Jestem pewien - odparł matowym głosem. - Skończyła mu się benzyna dwa czy trzy kilometry przed stacją, a chyba się śpieszył, bo wyraźnie był zadyszany. Poprosił, żebym mu sprzedał kanister benzyny, a gdy się odwróciłem, dostałem w łeb. Kiedy się ocknąłem leżałem w garażu za stacją związany tak jak widzieliście. Udawałem nieprzytomnego, bo zobaczyłem drugiego Faceta, który trzymał na muszce jakąś dziewczynę... blondynkę. Ten pierwszy gość, ten, co mnie palnął, wyprowadzał tyłem z garażu wóz szefa i...

- Marka, kolor i numer tego samochodu - wysapał Hardanger, ale kiedy usłyszał odpowiedź, rzekł - Proszę tu zostać nie wstawać. Brzydko panu przyłożył. Zawiadomię przez radio policję w Alfringham i szybciotko przyślę tu po pana samochód.

Dziesięć sekund później byliśmy już w drodze, odprowadzani wzrokiem przez pracownika stacji, który obiema rękami, trzymał się za głowę.

- Dwadzieścia minut - powiedziałem jednym uchem słuchając tego, co nagłym tonem szybko do mikrofonu mówił sierżant. - Stracili trochę czasu na zepchnięcie samochodu z drogi, żeby go przed nami ukryć, a potem odbyli dłuższy spacer do stacji benzynowej Dwadzieścia minut.

- No to go mamy - odezwał się Hardanger konfidencko. - Następny, mniej więcej pięćdziesięciokilometrowy odcinek autostrady patroluje kilka radiowozów, a ich kierowcy znają te drogi Tak, jak tylko mogą znać je miejscowi policjanci. Jeśli choć jeden z nich siądzie mu na ogonie, to już Gregori go nie zgubi.

- Każ im zablokować drogę.- Powiedziałem. - Niech go za wszelką cenę zatrzymają

- Oszalałeś? - wykrzyknął Hardanger. - Czy ty, Cavell, postradałeś rozum? Chcesz, żeby zabili ci żonę? Przecież do.

cholery wiesz, że zrobią z niej żywą tarczę. Jeśli wszystko zostanie tak, jak jest to nic jej nie grozi. Od wyjazdu z domu MacDonalda Gregori nie widział policjanta.. oprócz tego, który kierował ruchem. Pewnie już prawie uwierzył, że przestaliśmy go szukać. Człowieku, czy ty tego nie rozumiesz?

- Zablokować - powtórzyłem. Zablokować drogę.

Dokąd będą go śledziły te samochody_ Do centrum Londynu? Do miejsca, w którym rozbije fiolkę z wirusami? W Londynie na pewno ich zgubi. Nie rozumiesz, że trzeba go gdzieś zatrzymać? Jeżeli go nie zatrzymają albo jeśli on ich zgubi w Londynie...

- Przecież sam się zgodziłeś...

- Tak, ale wtedy jeszcze nie byłem pewien, że on pojedzie do Londynu.

- Panie generale - przemówił Hardanger błagalnie.- może pan przekona Cavella...

- To moje jedyne dziecko, Hardanger a od starego człowieka nie można wymagać, aby decydował o życiu czy śmierci swego jedyne dziecko - powiedział Generał bez barwnym głosem. - Pan wie równie dobrze jak inni, czym jest dla mnie Mary. - Przerwał, a potem ciągnął tak samo apatycznie. - Zgadzam się z Cavellem. Proszę słuchać jego poleceń.

Rozgoryczony Hardangér zaklął pod nosem, a potem pochylił się do przodu, by przekazać instrukcje sierżantowi.

- Kiedy skończył, usłyszałem cichy głos Generała.

- Tymczasem, mój chłopcze, mógłbyś wypełnić luki w tej układance. Nie czuję się na siłach, żeby zrobić to samemu.

chodzi mi o sprawę, która nie daje spokoju komisarzowi. Te wybiegi, te wszystkie podstępny... jaki mają cel?

- Zyskanie na czasie.

Sam nie czułem się na siłach, by uzupełnić tę układankę.

Zachowane resztki sprawności umysłowej pozwoliły mi jednak docenić intencje kryjące się za tą prośbą – Generał chciał oderwać nasze myśli od jadącego przed nami samochodu i przerażonej Mary w potrzasku, zdanej na łaskę i niełaskę bezwzględnych, sadystycznych morderców zagłuszyć dręczący nas niepokój i zmniejszyć napięcie z wolna trawiło nasze zmęczone umysły i ciała.

- Ten, za którym jedziemy musiał grać na zwłokę - ciągnąłem, niezdarnie próbując zebrać myśli. - Im dalej byśmy szli fałszywymi tropami, im częściej błądzili po ślepych uliczkach.. a było ich mnóstwo... tym więcej czasu zajęłoby nam dotarcie do miejsc rzeczywiście dla niego niebezpiecznych.

Przeceniał nas, ale mimo wszystko nasze śledztwo Postępowało szybciej, niż się spodziewał... nie zapominajcie, że od momentu ujawnienia zbrodni minęło zaledwie czterdzieści godzin. On jednak wiedział, że prędzej czy później dochodzenie obejmie dom MacDonalda i tego najbardziej się obawiał. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie tak czy inaczej będzie musiał pozbyć się doktora

.. A im później, tym lepiej, ponieważ w ciągu kilku godzin od śmierci MacDonalda pewna zalakowana koperta została by otwarta w banku czy komisariacie, a wtedy ruszylibyśmy za nim z

szybkością ekspresu. Bez względu na to, jaki był ostateczny cel Gregoriego, rzecz jasna wolał go osiągnąć jako szanowany mieszkaniec Alfringham niż morderca, ścigany przez z połowę angielskiej policji jako poszukiwany

- Trudno grozić rządowi... i społeczeństwu.. kiedy ma się na karku policję - przyznał Generał, niemal nadludzkim wysiłkiem zdobywając się na spokój i opanowanie.

- Ale dlaczego MacDonald musiał umrzeć?

Z dwóch powodów. Po pierwsze, znał ostateczny cel Gregoriego a gdyby żył i o tym powiedział plany by mu pokrzyżowało. Poza tym ze względu na panią Turpin. MacDonald był bardzo twardym facetem i nawet przyciśnięty przez policję chyba by się nie wygadał. nie brał.. chociaż prawie na pewno nie maczał palców w żadnym z tych morderstw, to mimo tego sam dość głęboko tkwił w tym bagnie. Lecz pani Turpin mogłaby go zmusić do mówienia... a jeśli nie, sama gotowa donieść. W Paryżu pani Halle wspomniała MacDonald to kawał kobieciarza, a kobieciarze tak łatwo się nie zmieniają. W każdym razie przed osiemdziesiątką. Pani Turpin była przystojną kobietą, a tak zajadle broniąc interesów MacDonalda, sama niechcący się zdradziła. „Kochała go... trudno powiedzieć, czy z wzajemnością, to nie ma znaczenia. Gdyby sprawy przybrały niepokojący obrót, zmusiłaby MacDonalda, żeby poszedł na policję i złożył zeznania, które pokrzyżowałyby plany Gregoriemu. Moim zdaniem zeznania te byłyby tak ważne, tak ogromnie ważne, że w najgorszym wypadku oboje mogliby liczyć na łagodny wyrok dla MacDonalda. Kiedy rozwiałyby się jego nadzieje na pieniądze od Gregoriego, to nie sądzę, żeby się wahał, mając do wyboru czy iść na policję bo przecież gdyby jego zeznania miały dostateczną wagę to mógł się spodziewać nawet darowania kary... czy czekać na aresztowanie za współudział w zabójstwie z chęci zysku, a za to w naszym kraju wciąż jeszcze grozi szafot. A jeżeli by się wahał, to pani Turpin zdecydowałaby za niego.

Przypuszczam... to tylko domysły, ale możemy sprawdzić w Mordon... że pani Turpin

zadzwońiła do MacDolda do laboratorium i albo Gregori podsłuchał tę rozmowę, albo MacDonald sam mu powiedział, co się stało.

Gregori pojechał więc z MacDonaldem do niego, żeby zbadać grunt... i w parę minut się zorientował. Koło Macdonalda zrobiło się gorąco, a to mogłoby mieć fatalne skutki dla Gregoriego. Żeby temu zapobiec, Gregori musiał się pozbyć MacDonalda i pani Turpin.

- Wszystko zgrabnie wykoncypowałeś no nie? skomentował Hardanger, wciąż daleki od tego, żeby mi wybaczyć.

- Sieć zaciskała się i wreszcie zamknęła - przyznałem. Jedyne kłopot polega na tym, że gruba ryba zdążyła się wymknąć, a zostały tylko płotki. Leczn jedno wiemy . Możemy dać sobie spokój z tą bzdurą o rozwalaniu Mordon Gdyby to było celem Gregoriego i właśnie o tym miałby nam powiedzieć MacDonald sytuacja by się nie zmieniła, bo i tak już wiedział o tym cały kraj. Tu idzie o coś ważniejszego, o coś na znacznie większą skalę, czemu prawdopodobnie dałoby się zapobiec, gdybyśmy tylko zawczasu wiedzieli, co to jest.

- Na przykład co? - spytał Hardanger.

- Trudno powiedzieć. Cały dzień się nad tym głowię.

Jednak już przestałem się nad tym zastanawiać i prawie nic nie mówiłem, chyba że było to absolutnie konieczne. Ciepło i wygodna, miękka tapicerka sprawiły, że zacząłem się rozklejać. Z wolna ustępował znieczulający wpływ intensywnego myślenia i ciągłego działania - z każdą chwilą czułem się starszy i bardziej wyczerpany. Przypomniała mi się rozpowszechnione przekonanie, jakoby człowiek odczuwał w danej chwili tylko najsilniejszy ból, i doszedłem do wniosku, że musiało ono powstać w głowie jakiegoś źle poinformowanego idioty. Nie mogłem stwierdzić, co mnie najbardziej bolało stopa, zebra czy głowa, i w końcu uznałem, że o krótki pysk wygrały zebra. Czy to miał, być dowcip?

Na dłuższych odcinkach prostej drogi kierowca przyspieszał do prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale prowadził tak równo i sprawnie, że mimo dręczącego niepokoju o Mary już zasypiałem, kiedy z przodu zaskrzeczało radio.

Zgłaszał się jakiś policjant, który najpierw podał swój kod.

- Szary humber limuzyna, odpowiadający opisowi poszukiwanego samochodu, numeru nie zidentyfikowano, właśnie

skręcił z autostrady londyńskiej na drogę B na skrzyżowaniu koło Flemington cztery kilometry na wschód od Crutchley.

Jadę za nim.

- Skrzyżowanie koło Flemington - odezwał się podniecony sierżant z przedniego siedzenia. - Ta droga prowadzi Flemington, a później, po jakichś pięciu kilometrach, łączy się z autostradą londyńską.

- Jak daleko jesteśmy od tej miejscowości, jak jej tam, Crutchley? - spytał Hardanger.

- Niecałe sześć kilometrów, panie komisarzu. więc do skrzyżowania, na którym Gregori musi ponownie wjechać na autostradę londyńską, zostało nam około piętnastu kilometrów. Ile ma ta boczna droga przez Flemington? Jak długo będzie nią jechał?

- Osiem do dziesięciu kilometrów. Jest dość kręta. Jeśli on przycisnie i będzie ryzykował, zajmie mu to z dziesięć

minut. . Tam jest kupa ostrych zakrętów.

- Sądysz, że uda ci się tam dojechać w ciągu dziesięciu - spytał Hardanger kierowcy.

- Nie wiem, panie komisarzu - zawahał się - Nie znam tej drogi.

- Ja ją znam - rzekł sierżant konfidencyjnym tonem.- Dojedzie.

I rzeczywiście dojechał. Ciągłe padał deszcz i jezdnia była śliska lecz kierowca nadrabiał na prostych odcinkach, a

choć wszystkim nam przybyło trochę siwych włosów, udało mu się dojechać. Nawet z zapasem. Meldunki napływające

nieprzerwanym strumieniem z radiowozów ścigających Gregoriego niedwuznacznie wskazywały, że człowiek siedzący

za kierownicą nie bardzo umie prowadzić.

Nasz samochód się zatrzymał. Kierowca ustawił go w poprzek drogi z Flemington, całkowicie blokując wyjazd na

autostradę londyńską. Wszyscy natychmiast wysiedliśmy, a tymczasem sierżant skierował silny szperacz na dachu samochodu skąd miał nadjechać skradziony humber Gregoriego. Zajęliśmy pozycje w ulewnym deszczu za jaguarem, na

wszelki wypadek dziesięć metrów od niego. Kierowca szybko jadący w takim deszczu z zaparowaną szybą lub niesprawnymi wycieraczkami mógłby zbyt późno zauważyć

Jaguara. A tym bardziej tak słaby kierowca, jak nas poinformowano.

Uważnie rozejrzałem się dookoła. Trudno byłoby znaleźć lepsze miejsce na zasadzkę. Skrzyżowanie miało kształt litery T - po jednej stronie drogi rosła gęsta buczyna, do drugiej zaś, oświetlonej wciąż palącymi się reflektorami jaguara, przylegało rozległe pastwisko na którym w odległości około dwustu metrów stała okolona drzewami chałupa, a w połowie tej odległości stodoła i rozproszone budynki gospodarcze. W strugach ulewnego deszczu ledwo mogłem dostrzec zamglone światło w jednym z okien chałupy. Wzdłuż drogi z Flemington biegł głęboki rów. Zastanawiałem się, czy by się w nim nie ukryć gdzieś blisko miejsca, w którym przypuszczalnie stanie samochód Gregoriego, a potem podnieść się i rzucić kamieniem w szybę po stronie kierowcy, żeby wyeliminować pięćdziesiąt procent przeciwników, zanim cokolwiek zrobią. Jedyne kłopot polegał na tym, że mógłbym również wyeliminować Mary - wprawdzie nie siedziała z przodu, kiedy Gregori przejeżdżał przez Alfringham, lecz to nie gwarantowało, że teraz jej tam nie ma.

Postanowiłem nie ruszać się z miejsca.

Poprzez szum deszczu, którego krople rozbijały się w biały pył na asfalcie drogi i bębniły w dach samochodu, usłyszeliśmy coraz bliższe odgłosy silnika wściekle zwiększającego obroty podczas bardzo niefachowej zmiany biegów. Po kilku sekundach dostrzegliśmy światła reflektorów, które sprawiały niesamowite, wrażenie przebijając się przez buczynę w jasnych smugach deszczu. Przykucnęliśmy za policyjnym jaguarem jak za tarczą, a ja wyciągnąłem odbezpieczyłem hanyatti.

W chwilę później, przy akompaniamencie zgrzytania skrzyni biegów i wycia silnika, co świadczyło że kierowca nie działałby wiele w Le Mans, samochód pokonał ostatni zakręt i ruszył prosto na nas. Słyszeliśmy, jak przyspieszył po wyjściu z wirażu w odległości zaledwie stu pięćdziesięciu metrów od nas a potem obroty raptownie spadły i niemal

natychmiast dotarł do nas dźwięk niedwuznacznie świadczący, że zablokowane koła ślizgają się po mokrej nawierzchni. Światła reflektorów gwałtownie omiały jezdnię kiedy kierowca starał się odzyskać kontrolę nad pojazdem a ja w napięciu czekałem, aż uderzy w naszego jaguara, lecz do zderzenia nie doszło. Dzięki szczęściu, bo umiejętności nie miały z tym nic wspólnego, niecałe pięć metrów od jaguara kierowcy udało się zatrzymać samochód na środku drogi, tylko trochę obrócony w lewo. Wyprostowałem się i podszedłem do jaguara, mrużąc oczy oślepienie blaskiem reflektorów humbera. Z pewnością byłem doskonale widoczny w tej powodzi światła, ale wątpię, by mogli zobaczyć mnie ludzie siedzący w samochodzie - szperacz na dachu jaguara też miał odpowiednią moc i świecił prosto w przednią szybę humbera.

Nie strzelam z rewolweru tak jak Annie Oakley, lecz do średnicy talerza nie chybiam z odległości kilku metrów. Dwa strzały i reflektory humbera rozprysły się i zgasty. Kiedy wychodziłem zza

jaguara, a za mną pozostali, nadjechał radiowóz, który śledził Gregoriego, i zatrzymał się za Humberem. Równocześnie prawe drzwi skradzionego samochodu otworzyły się na oścież i wyskoczyli z niego dwaj mężczyźni. Przez sekundę, tylko przez tę sekundę, miałem wygraną sprawę mogłem ich z miejsca zabić i wcale nie zmartwiło mnie to, że jednemu z nich musiałbym strzelić w plecy. Ale zawahałem się i zbyt wolno uniosłem broń- sekunda minęła i straciłem ostatnią szansę, Gregori bowiem już zdążył siłą wyciągnąć Mary z samochodu tak brutalnie, że aż zachłysnęła się z bólu, i trzymając ją przed sobą celował we mnie z pistoletu nad jej prawym ramieniem. Drugi mężczyzna był krępy, barczysty, w typie latynoskim, o wyglądzie człowieka pozbawionego skrupułów. W owłosionej dłoni trzymał broń, która przypominała obrzyn armaty. Zauważyłem, że była to lewa ręka, a właśnie mańkut poprzecinał druty ogrodzenia w Mordon. Oto prawdopodobnie zabójca Baxtera i Clandona. Po chwili już nie miałem żadnych wątpliwości, że on to zrobił.- kiedy człowiek napatrzy się na tyłu morderców od razu ich rozpoznaje.

Mogą wyglądać normalnie, całkiem niewinnie jak zwykli ludzie, ale zawsze gdzieś w głębi ich oczu kryje się szaleństwo. To nie znaczy, że w spojrzeniu mają coś szczególnego im po prostu czegoś brak. A on właśnie był taki. A Gregori? Czy się zmienił? Nie, to ten sam Gregori, jakiego znałem wysoki, śniady, szpakowaty, na twarzy ta sama zagadkowa mina, a jednak zupełnie inny. Wiem - nie miał okularów.

- Cavell - odezwał się cicho bezbarwnym głosem, niemal jakby prowadził normalną rozmowę. - Parę tygodni temu miałem okazję cię zabić. Powinienem z niej wtedy skorzystać. Niedopatrzenie. Od dawna wiedziałem, kim jesteś. Ostrzegano mnie przed tobą, ale nie posłuchałem.

- Ten twój leworęczny kumpel - powiedziałem trzymając pistolet w opuszczonej ręce i patrząc w lufę obrzyna w owłosionej dłoni, wymierzoną prosto w moje lewe oko. - To on zabił Baxtera i Clandona.

- Istotnie - odparł Gregori i mocniej chwycił Mary

Miała okropnie potargane włosy, umorusaną błotem twarz i brzydkie stłuczenie nad prawym okiem – zapewne próbowała wyrwać się swoim prześladowcom w drodze między porzuconym samochodem a stacją benzynową – lecz chyba zbyttnio się nie bała, a jeśli nawet, to świetnie udało jej się to ukryć.

- Słusznie mnie ostrzegano - ciągnął Gregori. - Henriques, mój... mmm... zastępca... jest sprawcą jeszcze kilku innych drobnych wypadków, prawda, Henriques? Łącznie z tym, co tobie się przydarzyło, Cavell.

Pokiwałem głową. To by się zgadzało. A więc Henriques jest sprawcą. Jego zawzięta twarz i puste oczy-pozwoliły mi stwierdzić, że Gregori mówił prawdę. Lecz to nie umniejszało jego winy, a jedynie wyjaśniało pewne sprawy wysokiej klasy przestępcy pokroju Gregoriego sami prawie nigdy nie zajmują się mokrą robotą.

Gregori spojrział na dwóch policjantów, którzy wysiedli z radiowozu, i ruchem głowy dał znak

Henriquesowi, a ten wymierzył do nich z obrzyna Zatrzymali się. Wówczas ja wziąłem pistolet i ruszyłem w stronę Gregoriego.

- Nie zbliżaj się Cavell - powiedział Gregori, tak mocno wbijając lufę w bok Mary, że aż jęknęła z bólu - Zastrzelę ją

Przesunąłem się do przodu o jeszcze jeden krok. Dzieliło nas niespełna półtora metra.

- Nie zrób jej krzywdy, bo cię zabiję - rzekłem. - Dobrze o tym wiesz. Nie mam pojęcia, co ty knujesz, ale widocznie

jakiś duży numer, skoro włożyłeś w to tyle pracy i starań, posuwając się nawet do morderstwa. Ale bez względu na to,

jaki masz cel jeszcze go nie osiągnąłeś. Chyba nie chcesz na własne życzenie zrezygnować z tego wszystkiego zabijając

moją żonę, prawda, Gregori?

- Zabierz mnie, Pierre, ten człowiek jest straszny - niepewnie odezwała się Mary półgłosem. - Ja... jeśli nawet coś ni zrobi

- Nic ci nie zrobi, kochanie - powiedziałem cicho. – Nie ośmieli się. I on to wie.

Bawisz się w psychologa, co? - spytał Gregori tym samym tonem, co przedtem, jakby prowadził rozmowę

Wtem całkiem nieoczekiwanie oparł plecy o samochód i obiema rękami ze złością pchnął na mnie Mary z taką siłą, że wyleciała jak z katapulty. Uderzenie prawie ścięło mnie nóg zatoczyłem się, cofając o dwa kroki. Kiedy po odzyskaniu równowagi przytuliłem żonę do siebie i znów uniosłem pistolet, spostrzegłem, że Gregori trzyma coś w wyciągniętej dłoni szklaną fiolkę z niebieskim korkiem. W drugiej ręce miał, metalowy pojemnik, z którego dopiero co ją wyjął. Spojrzałem na kamienną twarz Gregoriego, a potem jeszcze raz na fiolkę i wówczas poczułem, że dłoń zaciśnięta na kolbie hanyatti nagle mi zwilgotniała.

Odwróciłem głowę w stronę Generała, Hardangera i dwóch stojących za mną policjantów - zauważyłem, że zarówno Generał, jak i Hardanger trzymają w ręku pistolet potem popatrzyłem przed siebie na funkcjonariuszy, do których mierzył z obrzyna Henriques.

- Tylko spokojnie, panowie, nie róbcie żadnych głupstw - powiedziałem wolno i wyraźnie. - W tej fiołce jest szatański

wirus. Czytaliście dzisiejsze gazety i wiecie, co się stanie, jeżeli ona się rozbije.

Doskonale wiedzieli, że gdyby do tego doszło wyglądałoby jak postacie z gabinetów figur woskowych powykręcane w tańcu świętego Wita. Co wczoraj powiedział Gregori? Ile czasu trzeba, żeby zginęło wszelkie życie w Anglii, jeżeli ten udoskonalony wirus polio wydostanie się na zewnątrz Nie mogłem sobie przypomnieć. W każdym razie niewiele. Ale nie o to chodziło.

- Zgadza się - spokojnie potwierdził Gregori. – Czerwony korek to botulina a niebieski to szatański wirus. przed chwilą Cavell ryzykował życie swojej żony, wówczas trochę blefowałem, lecz teraz, proszę mi wierzyć, nie blefuję muszę osiągnąć dzisiaj to, na czym bardzo mi zależy.

- Przerwał i popatrzył kolejno na każdego z nas, a w blasku światła policyjnego szperacza z jego oczu wyczierała pustka.- Jeśli nie osiągnę swego celu i j oddalić się stąd w spokoju, to nie moje dalsze życie straci wszelki sens. Wówczas rozbiję tę fiolkę. Zaklinam was, uwierzcie, że mówię całkiem serio, z absolutnym przekonaniem.

Wierzyłem mu bez zastrzeżeń Ten człowiek był kompletnie obłąkany.

- Co sądzi twój zastępca, Henriques, o takim niefrasobliwym traktowaniu jego życia? - spytałem.

- Raz uratowałem go od śmierci przez utonięcie i dwukrotnie od krzesła elektrycznego. Mogę więc swobodnie dysponować jego życiem. I on to-rozumie. Poza tym Henriques jest głuchoniemy.

- To szaleństwo - wykrztusiłem chrapliwym głosem.- powiedziałaś nam wczoraj że nic nie powstrzyma szatańskiego wirusa... ani ogień, ani mróz, morza czy góry.

- Uważam, że istotnie tak jest. Jeżeli będę musiał odejść z tego świata , to niby dlaczego reszta ludzkości nie miałaby mi

towarzyszyć.

- Urwałem. - Boże Święty, Gregori, żaden szaleniec nawet najpotworniejszy zbrodniarz w historii nigdy by się nie odważył zrobić coś takiego... Na miłość boską, człowieku ty nie możesz tak myśleć.

- Chyba że jestem obłąkany - odparł.

Nie miałem co do tego wątpliwości. Już nie. Przerażonym wzrokiem patrzyłem na fiolkę, z którą Gregori obchodził się tak nieostrożnie. Nagle błyskawicznie się schylił, i położył ją na mokrej drodze pod uniesioną podeszwą swojego lewego buta wspartego jedynie na obcasie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy kilka ciężkich pocisków z hanyatti nie przewróci go do tyłu, uwalniając fiolkę, lecz natychmiast zrezygnowałem z tego pomysłu. szaleniec może lekkomyślnie igrać z życiem

swoich bliźnich, ale nie ja, wszak byłem przy zdrowych zmysłach. Gdyby nawet istniała tylko jedna możliwość na milion, że zamiast wybawcą zostanę katem, nigdy bym nie podjął takiego ryzyka.

- Laboratorium przeprowadziłem próby z tymi fiolkami... chyba nie muszę dodawać, że pustymi - mówił dalej

Gregori swobodnym tonem. Ustaliłem że wystarczy nacisk trzech i pół kilograma, by je strzaskać. Przy okazji na wszelki wypadek przygotowałem tabletki z cyjankiem dla siebie i Henriquesa, bo szatański wirus, jak zaobserwowaliśmy w czasie eksperymentów na zwierzętach, zabija trochę później niż botulina i wywołuje większe cierpienia. A teraz będziecie kolejno do mnie podchodzili i oddawali pistolety, trzymając je za lufy. Musicie uważać, żebym nie stracił równowagi i nie rozdeptał fiołki. Ty pierwszy, Cavéll.

Odwróciłem pistolet i powolnym ruchem wyprostowanej ręki podałem go Gregoriemu z największą ostrożnością, by nie zakłócić mu równowagi. Nasza całkowita porażka i fakt że ten szaleniec i morderca zaraz ucieknie i prawie na pewno zrealizuje swoje niegodziwe plany, teraz po prostu się nie liczyły. Chodziło jedynie o to, żeby Gregori nie stracił równowagi.

Wszyscy po kolei oddaliśmy mu pistolety. Potem kazał nam ustawić się w szeregu i ten głuchoniemy Henriques szybko i sprawnie nas zrewidował, szukając ukrytej broni Niczego nie znalazł. Dopiero wtedy Gregori ostrożnie zdjął but z fiołki, schylił się, podniósł ją i wsunął z powrotem do stalowego pojemnika.

- Teraz chyba wystarczy nam broń konwencjonalna- odezwał się drwiąco. - Używając jej człowiek nie jest tak bardzo narażony na popełnianie błędów o... trwałych skutkach.

Wziął dwa pistolety spośród tych, które Henriques ułożył w stos na masce humbera, i sprawdził, czy są odbezpieczone.

Skinał na Henriquesa i zaczął coś szybko do niego mówić. sprawiało to niesamowite wrażenie - wszystko odbywało się

w absolutnej ciszy - Gregori poruszał wargami z przesadną artykulacją, nie wydając żadnego dźwięku. Trochę czytam z

ust, ale niczego nie mogłem zrozumieć – prawdopodobnie rozmawiali w jakimś obcym języku, lecz nie po francusku

ani po włosku. Kiedy Gregori skończył, Henriques ze zrozumieniem pokiwał głową, patrząc na nas dziwnym wzrokiem. To spojrzenie bardzo mi się nie podobało – Henriques wyglądał na człowieka wyjątkowo złośliwego. Lufą pistoletu Gregori wskazał na policjantów, którzy jechali za nim

samochoodem.

- Ściągać mundury - rozkazał krótko. No, jazda!

Policjanci popatrzyli na siebie i jeden z nich burknął przez zaciśnięte zęby

- Ani mi się śni!

- Zginiesz, idioto, jeśli tego nie zrobisz - powiedziałem

- Nie wiesz z kim masz do czynienia? Rozbieraj się.

- Za żadne skarby - zaklinał się policjant.

-To rozkaz! - wściekle warknął Hardanger ponagląjącym tonem. - Myślisz, że sprawisz mu więcej kłopotu, jeżeli zdejmie twój mundur z trupa? Rozbierajcie się - zakończył z naciskiem, powoli cedząc słowa.

Z pewnym ociąganiem obaj potulnie zdjęli mundury i stali drżąc z zimna w ulewnym deszczu. Henriques pozbierał je i

wrzucił do jaguara.

- Kto w jaguarze obsługuje krótkofalówkę? - spytał Gregori. chociaż się tego spodziewałem, poczułem jednak jakby przebił mnie szpadą i zaczął nią wiercić.

- Ja - odparł sierżant-

- Świetnie - rzekł Gregori. - Połącz się z komendą główną powiedz im, że nas złapaliście i udajecie się do Londynu. Dodaj żeby odwołali wszystkie radiowozy z tego rejonu...oczywiście z wyjątkiem tych, które normalnie pełnią tu służbę patrolową.

- Róbcie, co wam każe - odezwał się Hardanger zmęczonym głosem. - Myślę, sierżancie, że jesteście zbyt inteligentni, aby coś kombinować. Zrobicie dokładnie to, co on powiedział. ,

Sierżant skrupulatnie wykonał rozkaz. Nie miał wyboru czując lufę pistoletu, którą Gregori wciskał mu w ucho.

Gdy policjant skończył, Gregori z zadowoleniem pokiwał głową.

- To powinno wystarczyć - stwierdził spoglądając na Henriquesa, który wsiadał do humbera. - Nasz samochód i którym przyjechali ci dwaj, co tak się trzęsą, ukryjemy w lesie i na wszelki wypadek uszkodzimy w nich rozdzielacze.

Do świtu nikt ich nie znajdzie. Po odwołaniu obławy, mając policyjnego jaguara i te dwa, mundury, oddalimy się stąd chyba bez najmniejszych trudności. Potem zmienimy samochód - Z żalem spojrział na jaguara. - Kiedy w komendzie głównej zorientują się że zaginęliście, ten wóz będzie już dobrze znany. Pozostał tylko jeden problem co zrobić z wami?

Rzucając obojętne spojrzenia spod ociekającego wodą kapelusza zaczekał, aż Hénriques ukryje oba samochody a potem spytał

- Czy w jaguarze jest latarka? Chyba to przepisowe wyposażenie, sierżancie?

- Jest w bagażniku - flegmatycznie odparł sierżant.

- Wyjmij ją – rozkazał Gregori, uśmiechając się z miną tygrysa schwytanego w pułapkę i patrzącego na człowieka, który ją wykopał i sam też w nią wpadł. – Nie mogę was zastrzelić, choć zrobiłbym to bez wahania, gdyby ten dom stał trochę dalej. Nie będę próbował was ogłuszyć, bo wątpię żebyście nie stawiali oporu. Nie mogę was zwięzać, ponieważ nie mam w zwyczaju nosić przy sobie tyłu lin i knebli, żeby unieruchomić i uciszyć ośmiu ludzi. Ale wydaje mi się, że szopa czy stodoła powinna zapewnić mi to, czego wymagam od prowizorycznego więzienia. Sierżancie, zgaś reflektory w samochodzie, włącz latarkę i ruszaj tam. Reszta dwójkami za nim. Pani Cavell pójdzie ze mną na końcu. Będzie miała lufę mojego pistoletu między łopatkami, a jeśli któryś z was zechce uciekać albo w inny sposób sprawi mi kłopot, to po prostu nacisnę spust.

Nie miałem wątpliwości, że to zrobi. Żaden z nas nie miał.

Budynki gospodarcze okazały się ustę, to znaczy nie było w nich ludzi. Z obory dochodziły odgłosy poruszających się i

przeżuwiających krów - skończyła się już pora wieczornego dojenia. Gregori nie zatrzymał się przy oborze. Minął mleczarnię, stajnię zamienioną na garaż dla traktorów, dużą wybetonowaną chlewnię i paszarnię. Zawahał się przechodząc koło stodoły, a potem znalazł dokładnie to, czego szukał. Muszę przyznać, że dokonał właściwego wyboru. Długi, wąski budynek z kamienia miał okna, które tak bardzo przypominały strzelnice, że człowiek instynktownie podnosił wzrok w poszukiwaniu murów obronnych zwieńczonych blankami. Wyglądem przywodził na myśl starą prywatną kaplicę, a swą obecną funkcją zapewne niezbyt się od niej różnił. Służył do produkcji jabłecznika, o czym świadczyła widoczna w głębi staromodna dębowa prasa, długie rzędy półek na jabłka, pokrywających całą jedną ścianę, a pod drugą zaszpuntowane beczki i przykryte kadzie ze świeżym napojem. Solidne drzwi, podobnie jak prasa wykonane z litej dębiny, po zamknięciu od zewnątrz na sztabę można by wyważyć jedynie taranem.

Wprawdzie nie mieliśmy tarana, ale za to byliśmy zdesperowani zaradni i w sumie dość inteligentni. czy Gregori może być taki głupi, aby sądzić, że nie zdołamy się stąd wydostać? Czyżby uważał, że jacyś ludzie albo gospodarze nie usłyszą naszych wołań z odległości niespełna stu metrów? straszliwa pewność bliskiego końca zmroziła mi serce i pozbawiła zdolności rozsądnego myślenia, kiedy nagle zrozumiałem, że on wcale nie jest taki głupi. On wiedział, że nie będziemy wołać ani forsować drzwi, wiedział ponad wszelką wątpliwość, że żaden z nas nigdy stąd nie wyjdzie, a opuścimy to miejsce na noszach pod przykryciem. Miałem wrażenie, jakby na kręgosłupie ktoś wygrywał mi Rachmaninowa zamiast palców używając lodowatych sopli.

- Do samego końca i nie ruszać się, póki nie zamknę drzwi - rozkazał Gregori. - Brak czasu nie pozwala mi na wyszukane mowy pożegnalne. Za dwanaście godzin, na zawsze opuszczając ten przeklęty kraj, nie omieszkam was wspomnieć. Żegnam.

- Bez żadnych wielkodusznych gestów wobec pokonanego wroga?- spytałem odzyskując rezon.

- Skoro tak usilnie prosisz, Cavell, to ci powiem, że mam jeszcze trochę czasu, żeby oddać drobną przysługę człowiekowi, który naraził mnie na tyle kłopotów i omal nie zniweczył wszystkich moich planów.

Podszedł do mnie, lewą ręką wcisnął mi lufę hanyatti w żołądek, a muszką pistoletu trzymanego w prawej dłoni powolnym i pełnym nienawiści ruchem rozorał mi twarz z obu stron. Poczulem wściekle piekący ból rozrywanej skóry i ciepłą krew na zimnych policzkach. Mary piskliwie coś krzyknęła i chciała do mnie podbiec, ale Hardanger schwycił ją silnymi ramionami i trzymał tak długo, aż przestała się wyrywać. Gregori cofnął się i rzekł:

- To dla żebraków, Cavell. .

Pokiwałem głową. Nawet nie uniosłem rąk do twarzy.

Była już dostatecznie zniekształcona i nie sposób jeszcze bardziej ją zeszpecić.

- Mógłbyś przynajmniej zabrać moją żonę - powiedziałem.

- Pierre! - załkała Mary - a w jej głosie udręka mieszała się z rozpaczą i brutalnie zranioną dumą.

- Co ty wygadujesz!?! - warknął Hardanger i ze złością zaklął cicho.

Generał milczał, niczego nie rozumiejąc.

Gregori stał bardzo spokojnie, patrząc mi prosto w oczy wzrokiem pustym, bez żadnego wyrazu

Potem w jakiś dziwny sposób krótko skinął głową i zaczął mówić.

- Teraz ja ciebie o coś proszę : wybacz mi. Nie sądziłem, że wiedziałaś. Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie kole na mnie... – urwał i odwrócił się przodem do Mary. – Źle by się stało. Śliczne dziecko. Nie myśl sobie, Clavell, że jestem pozbawiony wszelkich ludzkich uczuć, a przynajmniej gdy chodzi o kobiety i dzieci. Na przykład tych dwoje dzieci, które byłem zmuszony porwać z Alfringham-Farm, już wypuszczono i w ciągu godziny wrócą do rodziców Tak, tak źle by się stało

Pani Cavell, idziemy

Zamiast do niego podeszła do mnie i delikatnie dotknęła – mojej twarzy.

- O co chodzi, Pierre? - szepnęła zdziwiona głosem pełnym miłości i współczucia, bez śladu wyrzutu. - Co miałyby źle się stać?

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz Gregori chwycił ją za rękę i poprowadził do wyjścia. W tym czasie głuchoniemy Henriques obserwował nas złym wzrokiem, trzymając w obu rękach pistolety. Potem drzwi się zamknęły, stuknęła ciężka sztaba i zostaliśmy sami. Patrzyliśmy na siebie w świetle latarki, która wciąż się paliła na podłodze.

- Ty wredna, parszywa świni! - wściekle warknął Hardanger przez zaciśnięte zęby. - Dlaczego...

- Zamknij się. - wycedziłem i zaraz cicho dodałem nagłym zdesperowanym tonem - Rozstawić się. Obserwować okna. Szybciej! Na Boga, pośpieszcie się!

Mój głos mógłby wówczas nakłonić do działania chyba nawet egipską mumię. Cała nasza siódemka bez słowa

- On chce coś wrzucić przez okno - szepnąłem. – Pewnie fiolkę z botuliną. Może to zrobić w każdej sekundzie powiedziałem zdając sobie sprawę, że otwarcie stalowego pojemnika z fiolkami to tylko kwestia kilku chwil. – Złapcie ją.

Musicie złapać. Jeśli spadnie na podłogę albo uderzy w ścianę, to wszyscy zginiemy.

Ledwo skończyłem kiedy za oknem coś nagle się poruszyło, na framugę padł cień ręki i do wnętrza wleciał jakiś wirujący przedmiot. Błysnął w świetle latarki leżącej na podłodze. Fiolka z czerwonym korkiem. Fiolka z botuliną.

Wpadła szybko i nieoczekiwanie, umyślnie ciśnięta w dół pod takim kątem, żeby żaden z nas nie

mógł jej schwycić. Zawirowała w powietrzu, uderzyła dokładnie w spojenie kamiennej ściany z kamienną podłogą i z brzękiem roztrzaskała się na drobne kawałki.

Rozdział dwunasty

Nie mam pojęcia, co mną kierowało. Nigdy się nie dowiem, dlaczego zareagowałem tak niewiarygodnie szybko, z czego zdaję sobie sprawę dopiero teraz. Ten ułamek sekundy, jaki upływa od momentu dostrzeżenia opadającej pałki napastnika do chwili zasłonięcia się uniesioną ręką, to był cały czas mojej reakcji. Wszystko odbyło się automatycznie, instynktownie, bez zastanowienia, choć musiała kryć się za tym jakaś forma błyskawicznego rozumowania, które nie zdążyło się przeobrazić w świadome myślenie, zrobiłem bowiem jedną jedyną rzecz w świecie, jaka dawała cię szansy przeżycia.

Fiolka jeszcze wirowała w powietrzu i już wiedziałem, że nie ma mowy o jej przechwyceniu, kiedy odruchowo sięgnąłem po beczkę z jabłecznikiem, która stała na kozłach obok mnie. Wciąż jeszcze dźwięk rozbijanego szkła odbijał się echem w ciszy tego niewielkiego pomieszczenia, gdy z całej siły rzuciłem beczkę dokładnie w miejsce, gdzie fiolka zetknęła się z ziemią. Strzaskane klepki pękły, jakby wykonano je z najcieńszej sklejki, i pięćdziesiąt litrów jabłeczniaka z bulgotem zalało ścianę i podłogę.

- Więcej wina! krzyknąłem. Jak najwięcej. Lejcie je na podłogę, na ścianę, tam, gdzie wylądowała ta przekłeta fiolka. Tylko, na Boga, siebie nie ochlapcie! Pośpieszcie się! Szybciej !

- Po co to wszystko, u licha? - zdziwił się Hardanger, jego zazwyczaj czerwona twarz była teraz blada i spięta. Choć komisarz niczego nie rozumiał, mimo to już wylewał jabłeczniak z niewielkiej kadzi na podłogę. - Co to da?

- Botulina jest higroskopijna - odparłem w pośpiechu.- Zawsze woli wodę od powietrza. Jej powinowactwo z tlenem jest sto razy większe niż z azotem. słyszałeś, jak Generał mówił o tym dziś wieczorem

- Ale to nie woda - zaproponował Hardanger prawie ze złością - To przecież jabłeczniak.

- O Boże! wykrzyknąłem niecierpliwie. - Pewnie, że to jabłeczniak. Ale nie mamy nic innego. Nie wiem, co to da, ale mówię ci, Hardanger, że chyba po raz pierwszy w życiu dziękować Bogu za to że w alkoholu jest dużo wody.

Próbowałem podnieść następną, trochę mniejszą beczkę, ale mnie zatkało i wypuściłem ją z rąk, kiedy ostry,

ból przeszył mi prawy bok. W pierwszej chwili myślałem, że to wirus zaczął działać, lecz zaraz uświadomiłem sobie prawdziwą przyczynę kiedy rzucałem pierwszą, mimo ciasnego opatrunku musiały mi się przemieścić złamane żebra. Niepewnie zastanawiałem się, czy któreś z nie przebiło opłucnej albo nawet płuca, ale wkrótce o tym zapomniałem - w takiej sytuacji było to prawie nieważne.

Ile pozostało nam życia? Kiedy pojawią się pierwsze konwulsje, jeśli choć część botuliny uniosła się w powietrze? Co przed drzwiami laboratorium powiedział wczoraj Gregori, o chomiku? Aha, piętnaście sekund w wypadku szatańskiego wirusa i mniej więcej tyle samo, jeśli to będzie botulina. Chomik ma piętnaście sekund. A człowiek? Tylko Bóg jedyny wie, ale chyba nie więcej niż pół minuty. Co najwyżej. Schyliłem się i podniosłem latarkę.

- Nie lejcie już - rzekłem ponaglająco. - To wystarczy. Stańcie jak najwyżej. Jeśli chcecie żyć, stańcie jak najwyżej. Uważajcie, żeby ten jabłecznik nie zamoczył wam butów.

Świeciłem im latarką, kiedy gramolili się na beczki, uciekając przed bursztynową falą jabłeczniaka, która szybko zalewała kamienną podłogę. Doszedł mnie odgłos zapuszczanego silnika jaguara. To odjeżdżał Gregori z Mary i Henriquesem, by zrealizować swoje megalomańskie marzenia, całkowicie przekonany, że zostawił za sobą kostnicę.

Minęło pół minuty. Co najmniej pół minuty. Nikt się nawet nie skrzywił, nie mogło być więc mowy o konwulsjach. Ponownie, tym razem wolniej, obejrzałem wszystkich po kolei w świetle latarki, zaczynając od spiętych twarzy z oczami zapatrzonymi w przestrzeń, a potem niespiesznie coraz niżej, aż do stóp. Snop światła zatrzymał się na jednym z rozebranych konstabli.

- Zdejmijcie prawy but - rozkazałem. - Jest zachlapany. Nie ręką, idioto! Zsuń go czubkiem drugiego buta. Komisarzu, masz mokry lewy rękaw marynarki.

Hardanger stał spokojnie i nawet na mnie nie spojrzał, kiedy ostrożnie zsuwałem marynarkę z jego ramion i rąk, zanim rzuciłem ją na podłogę

- Czy... czy już jesteśmy bezpieczni, panie majorze? - nerwowo spytał mnie sierżant.

- Bezpieczni? Wolałbym, żeby w tym cholernym bunkrze roило się od kobr i czarnych wdów. Nie, nie jesteśmy bezpieczni. Trochę tych piekielnych zarazków znajdzie się w powietrzu, kiedy wyschną pierwsze plamy z jabłeczniaka na ścianach i podłodze... poza tym, wiecie, to wino paruje.

Przypuszczam, że jak tylko wyschnie którakolwiek z tych plam, to w ciągu minuty zarazki zaatakują

nas wszystkich.

- A więc wydostańmy się stąd - spokojnie oświadczył Generał. - Jak najszybciej. Nie uważasz, że to jedyne wyjście, mój chłopcze?

- Tak jest, panie generale. - Pośpiesznie się rozejrzałem.- Trzeba ustawić po dwie pary beczek z obu stron drzwi. Na tych beczkach stanie czterech ludzi, którzy wezmą prasę do jabłek i użyją jej jako tarana. Ja tego nie zrobię, bo mam kłopoty z żebrami. Ta prasa musi ważyć przynajmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Jak sądzisz, komisarzu, poradzicie sobie?

- Czy sobie poradzimy? - mruknął Hardanger. - Mógłbym to zrobić sam jedną ręką, gdybym miał pewność, że się wydostaniemy. Chodźcie, na miłość boską, pośpieszmy się.

Rzeczywiście się pośpieszyli. Manewrowanie beczkami, pełnymi, kiedy samemu stoi się na beczkach, to sprawa, lecz desperacja i strach graniczący z paniką sprawiają, że człowiek zdobywa się na wyczyny, w które trudno mu uwierzyć. W niespełna dwadzieścia sekund beczki znalazły się na miejscu, a po następnych dwudziestu Hardanger, sierżant i dwaj konstable, trzymając nieporęczną prasę po dwóch z każdej strony, zamachnęli się nią po raz pierwszy.,

Drzwi wykonane z masywnej dębiny miały odpowiednio mocne zawiasy i sztabę od zewnątrz, lecz uderzone potężnym

taranem rozbujanym przez czterech silnych mężczyzn, doszczętnie się rozleciały, jakby były ze sklejki, i wypadły z zawiasów, a prasa, w ostatniej chwili wypuszczona z rąk, poszybowała za nimi w ciemność. Pięć sekund później ostatni nas ruszył w jej ślady.

- Chodźmy do gospodarzy - ponaglająco odezwał się Hardanger. - Idziemy. Powinni mieć telefon.

- Czekaście! - wykrzyknąłem jeszcze bardziej nagłym tonem. - Nie wolno nam tego zrobić. Nie wiadomo, czy nie mamy na sobie zarazków. Moglibyśmy przynieść śmierć rodzinie. Niech najpierw deszcz splucze z nas zarazki, które ewentualnie gdzieś przylgnęły.

- Do jasnej cholery, nie możemy czekać! – wybuchnął Hardanger. - A poza tym, skoro zarazki tam nas nie zaatakowały to teraz z pewnością już nam nic nie grozi. Prawda, panie generale?

- Nie jestem pewien - odparł Generał z wahaniem.- Ma pan rację. Nie mamy czasu...

Byłem przerażony, kiedy jeden z rozebranych konstabli, któremu jabłecznik zmoczył but, głośno krzyknął aż krzyk przeszedł w chrapliwy jęk, przerywany kaszlem kurczowo chwycił zeszywniałą, wyprężoną szyję, na której białały napięte ścięgna, wibrując jak druty. Policjant zatoczył się i ciężko zwałił na błotnistą ziemię. Już nie jęczał, tylko paznokciami szarpał sobie gardło. Jego kolega wydał

jakiś nieartykułowany okrzyk, podbiegł doń i schylił się, żeby mu pomóc, ale w tej samej chwili stęknął z bólu, kiedy zgiętą w łokciu ręką chwyciłem go za szyję.

- Nie dotykaj go! krzyknąłem chrapliwie. – Dotkniesz go i też umrzesz. Musiał trafić na botulinę, kiedy dotknął ręką buta, a potem przeniósł ją do ust. Jemu już nic nie pomoże. Cofnąć się i nie zbliżać do niego.

Umierał tylko dwadzieścia sekund, lecz te dwadzieścia sekund zapamiętam do końca życia. Wiele razy widziałem śmierć człowieka, ale nawet ci, co umierali w męczarniach wskutek ran od kuli czy szrapnela, robili to cicho i spokojnie w porównaniu z tym policjantem, którego ciało, miotane gwałtownymi konwulsjami agonii i okropnym bólem rzucało się we wszystkie strony w nieprawdopodobnych skrętach. A potem wszystko się skończyło tak samo nagle i nieoczekiwanie, jak zaczęło. Policjant leżący twarzą w dół na błotnistej ziemi teraz był już tylko bezkształtną kupką odzieży. W zaschniętych ustach poczułem smak soli - smak strachu.

Nie umiem powiedzieć, jak długo tam staliśmy w ulewnym, zimnym deszczu, wpatrując się w zmarłego. Chyba długo. Później spojrzeliśmy na siebie i każdy z nas wiedział., że pozostali mogą myśleć tylko jedno kto następny? W nikłym świetle latarki, którą wciąż trzymałem w ręku, oglądaliśmy się wzajemnie, część uwagi skupiając na wypatrywaniu pierwszych oznak bliskiej śmierci u innych, a część kierując do wewnątrz, by szukać tych oznak u siebie. W pewnej chwili, ni stąd, ni zowąd, zakląłem wściekle pewnie byłem zły na siebie albo na swoje tchórzostwo, a może na Gregoriego lub na botulinę nie wiem. Odwróciłem się gwałtownie i ruszyłem do obory, zabierając ze sobą latarkę i zostawiając w głębokich ciemnościach swoich towarzyszy, którzy w ulewnym deszczu otaczali martwego policjanta niczym skamieniali żałobnicy podczas jakiegoś pogańskiego obrządku, odprawianego o północy.

Szukałem węża do polewania. Prawie natychmiast go znalazłem, wyniosłem na zewnątrz, podłączyłem do hydrantu i do samego końca odkręciłem kran ciśnienie wody było identyczne jak w mieście. Niezdarnie wdrapałem się na

stojący nie opodal wóz do przewożenia siana.

- Proszę, panie generale, pan ma pierwszeństwo - powiedziałem. Zbliżył się i wszedł pod skierowany ku ziemi wylot węża.

uderzeniami strumienia wody w głowę i ramiona Generał zatoczył się i omal nie upadł, lecz zgodnie z moimi zaleceniami dzielnie wytrwał aż pół minuty. Zanim skończyłem, był tak przemoczony, jakby cały wieczór spędził w rzece, i gwałtownie się trząsł, że poprzez szum wody słyszałem, jak szczękał zębami. Wiedziałem jednak, że jeśli przedtem były na twarzy czy ciele jakieś zarazki to splukałem je co do jednego. Pozostała czwórka bez oporu poddała się tej operacji i później Hardanger zrobił to samo ze mną. Woda biła z taką siłą, że człowiek miał wrażenie, jakby nieustannie uderzały go wcale nie najłżejsze pałki, a była przy tym lodowato zimna. Kiedy jednak pomyślałem o konstablu, który

właśnie umarł, i o tym, jak umierał, nawet nie przyszło mi do głowy, że nie warto się narażać na kilka sińców i zapalenie płuc. Wreszcie Hardanger skończył, zakręcił wodę i spokojnie rzekł:

- Przepraszam, Cavell, miałeś rację.

- Ale to moja wina, że on zginął - powiedziałem zmartwionym głosem, któremu wcale nie chciałem nadać tego zabarwienia. W każdym razie tak zabrzmiał. Przynajmniej w moich uszach. - Powiniennem go ostrzec, uprzedzić, żeby nie dotykał ręką ust ani nosa.

- On sam powinien był myśleć o sobie - odparł Hardanger jak zwykle rzeczowym tonem. - Wiedział, co mu grozi, równie dobrze jak ty... pisały dziś o tym wszystkie gazety w kraju. Chodźmy sprawdzić, czy gospodarz ma telefon, co wprawdzie niewiele teraz zmieni. Gregori wie, że ten jaguar za bardzo rzuca się w oczy i, że jak najszybciej musi znaleźć inny samochód. Zwyciężył na całej linii, niech go szlag trafi, już nic go nie powstrzyma. Za dwanaście godzin będzie po wszystkim.

- Za dwanaście godzin Gregori będzie martwy - stwierdziłem.

- Co? - Czuję, że na mnie patrzy. - Coś powiedział?

- Będzie martwy - powtórzyłem. - Jeszcze przed świtem.

- Dobrze, już dobrze - uspokajał mnie Hardanger, zapewne myśląc, że w końcu się załamałem i że oni powinni zachowywać się wobec mnie normalnie, jakby nic się nie stało. Wziął mnie pod rękę i poprowadził w kierunku prostokątów światła, tam, gdzie był dom. - Im wcześniej to się skończy, tym szybciej wszyscy odpoczniemy, najemy się i wyśpimy.

- Odpocznę i pójdę spać, kiedy zabiję Gregoriego-powiedziałem. - Mam zamiar zabić go dziś w nocy. Najpierw uwolnię Mary, a potem go zabiję.

- Mary nic się nie stanie, Cavell - pocieszał mnie Hardanger, sądząc najwyraźniej, że świadomość niebezpieczeństwa

grożącego mojej żonie do reszty odebrała mi rozum. - On ją sam wypuści, nie ma przecież powodu jej krzywdzić. A ty

musiałeś tak postąpić. Pewnie myślałeś, że jeśli ona zostanie tam z nami, to zginie. Tak było, Cavell?

- Jestem pewien, że komisarz ma rację, mój chłopcze.- Generał podszedł teraz do mnie z drugiej strony, a powiedział to cicho, bo głośna rozmowa działa pobudzająco na wariatów. - Nic złego jej się nie stanie.

- Skoro mnie odbiło, to już do cholery nie wiecie, co powinniście zrobić!?! - wybuchnąłem.

Hardanger się zatrzymał, mocniej ścisnął mnie za ramię i zaczął mi się badawczo przyglądać. Wiedział, że ludzie, gdy tracą rozum, nigdy się do tego nie przyznają, bo są przekonani o swojej normalności.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział ostro.

- Zaraz zrozumiesz - odparłem i zwróciłem się do generała - Musi pan przekonać gabinet, żeby kontynuować ewakuację centrum Londynu. Trzeba stale nadawać komunikaty przez radio i w telewizji. Proszę mi wierzyć, że bez trudu dadzą się namówić do opuszczenia tego obszaru. I tak zresztą w nocy nie ma tam prawie nikogo.- odezwałem się do Hardangera - Weź swoich dwustu dobrych policjantów i daj im broń. Dla mnie też załatw pistolet i.. nóż. Dokładnie wiem, co chce zrobić Gregori dziś w nocy i co ma nadzieję osiągnąć. Poza tym bardzo dobrze wiem, w jaki sposób zamierza opuścić Anglię i gdzie

- Skąd wiesz, mój chłopcze? - spytał Generał tak cicho, że ledwo go słyszałem poprzez szum deszczu.

- Tacy jak Gregori prędzej czy później zawsze się wygadają, choć on jest przebieglejszy od innych. Bo nawet kiedy przekonany, że wkrótce zginiemy, powiedział bardzo Ale mnie to wystarczyło. Faktycznie domyślałem się wszystkiego już od chwili, gdy znaleźliśmy ciało MacDonalda.

- Musiałeś słyszeć coś, czego ja nie słyszałem – kwaśno rzekł Hardanger.

- Wszyscy słyszeliśmy, jak mówił, że jedzie do Londynu. Gdyby naprawdę chciał użyć tych wirusów w Londynie żeby wymusić zniszczenie zakładu, to by został w Mordon i obserwował rozwój wypadków, a do Londynu wysłałby kogoś innego. Ale on wcale nie jest zainteresowany zniszczeniem ośrodka. Nigdy nie miał takiego zamiaru. On chce coś załatwić w Londynie. Inny zręczny manewr z serii jego nie kończących się podstępów, idzie mi oczywiście o tę aferę z komunistami, był rezultatem szczęśliwego zbiegu okoliczności a on nie przyłożył do tego ręki. To po pierwsze a po drugie... akurat dzisiejszej nocy ma zaspokoić jakieś swoje wielkie ambicje. Po trzecie... dwukrotnie uratował Henriquesa od krzesła elektrycznego, a nie sądzę, żeby to zrobił jako adwokat. Z tego widać, kim jest Gregori. Mogę się założyć o nie wiem co, że nie tylko figuruje w kartotekach Interpolu, ale jest również byłym amerykańskim gangsterem dużego kalibru, którego deportowano do Włoch, a to w czym się specjalizował, może się okazać dla nas bardzo interesujące, bo nawet największe gangsterskie rekiny rzadko zmieniają branżę. Po czwarte, on spodziewa się opuścić Anglię za dwanaście godzin, a po piąte, dziś jest sobota. Wystarczy, że się złoży to wszystko do kupy, i zrozumiecie.

- Może jednak, nam powiesz niecierpliwie dopraszał się Hardanger.

Powiedziałem.

Wciąż padał rzęsy deszcz jak przed kilkoma godzinami, gdy ulewa i szybka ucieczka pozwoliły nam uniknąć losu tego nieszczęsnego policjanta, który na naszych oczach umierał tak straszną śmiercią. Teraz, dwadzieścia po trzeciej

nad ranem, deszcz był zimny jak lód, ale właściwie tego nie czułem. Miałem jedynie świadomość ogromnego wyczerpania, przy każdym oddechu czułem ostry, przeszywający ból w boku, a do tego męczyła mnie obawa że mimo pewności siebie, jaką udawałem przed Generałem i Hardangerem, mogę się jednak mylić i stracę Mary na zawsze. A nawet gdybym się nie mylił, to też niewykluczone, że ją utracę. Rozpaczliwym wysiłkiem woli skierowałem swoje myśli na inne sprawy.

Podwórko jak studnia, na którym tkwiłem od trzech godzin, było ciemne i puste jak całe centrum Londynu. Ewakuacja chwilowo bezdomnych mieszkańców tego obszaru do zawczasu przygotowanych hal, teatrów i sal balowych zaczęła się po południu, tuż po szóstej, gdy zamknięto biura, sklepy i urzędy. Przyspieszył ją komunikat ogłoszony przez radio o dziewiątej, że teren zostaje skażony wirusami nie o czwartej, lecz o pół do trzeciej. Nie było jednak paniki nikt się nie śpieszył i nie rozpaczał. Właściwie nie odnosiłoby się wrażenia, że działo się coś niezwykłego, gdyby nie te ogromne tłumy ludzi z walizkami flegmatyczni londyńczycy którzy widzieli już City w ogniu i przeżyli wiele nocy pod bombami w czasie wojny, nigdy nie wpadali w popłoch.

I tak między dziewiątą a dziesiątą ponad tysiąc żołnierzy metodycznie przeczesало centrum miasta sprawdzając, czy wszyscy mieszkańcy znaleźli bezpieczne schronienie i czy nikogo mimo woli nie przeoczono. O pół do dwunastej policyjna motorówka z wygaszonymi światłami cichutko dobiła do północnego brzegu Tamizy, gdzie wysiadłem. Znajdowałem się na Embankment, tuż pod mostem Hungerford. O północy uzbrojeni żołnierze i policjanci szczelnym kordonem otoczyli śródmieście, nie wyłączając mostów. O pierwszej poważna awaria sieci elektrycznej pograżyła w ciemnościach większą część tego obszaru - rejon otoczony kordonem policji i wojska.

Nowego lądowiska dla śmigłowców, usytuowanego na północnym brzegu rzeki, nie znałem nawet ze zdjęć, ale

pewien inspektor z londyńskiej policji opisał mi je tak dokładnie, że mógłbym się tam poruszać po omacku. I faktycznie do tego doszło. Nie widziałem nic. Absolutnie. W taką ciemną deszczową noc pozbawione światła śródmieście tonęło niemal w zupełnym mroku.

Wiedziałem, że do lądowiska, które znajdowało się na dachu dworca kolejowego, trzydzieści metrów nad poziomem ulic, prowadziły trzy różne drogi. Jedną z nich były dwie windy, ale one nie działały z powodu braku prądu. między nimi wznosiła się oszklona klatka spiralnych schodów, która

nie dawała żadnej osłony, a więc korzystanie z niej równałoby się samobójstwu, gdyby tam na mnie czekał jakiś komitet powitalny, a przecież Gregori nie zostawiłby głównego wejścia bez obstawy. Wreszcie trzecia droga, która w tej sytuacji okazała się dla mnie jedyną zapasową schodami na wypadek pożaru, ale po drugiej stronie dworca.

Przeszedłem dwieście metrów wzdłuż muru, wąską uliczką wybrukowaną kocimi łbami. Kiedy się skończył, wdrapałem

się na drewniany parkan, cichutko zsunąłem na drugą stronę i ruszyłem przez tory.

Autorzy informatora o Clapham Junction, którzy utrzymują, że ten węzeł kolejowy ma największą liczbę torów w Anglii, z pewnością nie sprawdzali tego w ciemną październikową noc podczas lodowatego deszczu. Na tym nieskończenie szerokim torowisku nie było ani jednego żelastwa, o które bym się wtedy nie potknął, rozbijając sobie kostki u nóg i piszczele. Potykałem się bowiem o wszystko o szyny, druty, semafony, dźwignie, hydranty, a nawet o perony tam, gdzie nie powinno ich być. W dodatku z twarzy i dłoni zaczął spływać mi palony korek, którym wcześniej je natarłem, a palony korek smakuje tak, jak należałoby się tego spodziewać, nie mówiąc już, że piecze, kiedy dostanie się do oczu. Nie groziło mi tylko jedno niebezpieczeństwo szyny pod napięciem, ponieważ nie było prądu.

Bez trudu znalazłem płot po drugiej stronie torów – po prostu na niego wpadłem. Zsunąwszy się na ulicę, ruszyłem w lewo w kierunku zapasowych schodów, które, jak mi powiedziano, kończyły się na małym podwórku. Odszukałem to podwórko, wszedłem tam i przywarłem do ściany. Schody dostrzegłem w odległości jakichś sześciu metrów ledwo widoczne na tle nieco jaśniejszego nieba, nagie, ponure i kanciaste wznosiły się zygzakami, które ginęły w mroku. Ich najniższe dwa czy trzy biegi kryły się w cieniu wysokich murów.

Stałem tam ze trzy minuty, zdradzając tyle oznak życia, co Indianin z drewna. Poprzez szum wody w rynnach i bębnie-

nie deszczu na moich ramionach wreszcie usłyszałem jakiś szmer szurnięcie buta na chodniku, jakby ktoś zmieniał pozycję

Dźwięk się nie powtórzył, ale to mi wystarczyło. Ktoś stał pod najniższym spocznikiem schodów. Bardzo by mnie zdziwiło, gdyby okazał się człowiekiem Bogu ducha winnym, który się tam ukrył w trosce o swoje zdrowie. Miało to się dla niego źle skończyć, ale martwym już na niczym nie zależy.

Choć jego obecność mogła być dla mnie groźna, to jednak nie odczuwałem obawy czy zawodu, a tylko ogromną satysfakcję i nieopisaną ulgę. Fakt, podjąłem wielkie ryzyko, ale potwierdziły się moje przypuszczenia. Doktor Gregori postępował dokładnie tak, jak przewidziałem w rozmowie z Generałem i Hardangerem.

Wyjąłem z pochwy nóż i sprawdziłem go kciukiem miał czubek lancetu i ostrze skalpela. Był bardzo mały, lecz dziesięć centymetrów stali zabija równie skutecznie jak najdłuższy sztylet czy najcięższy miecz, jeżeli się wie, gdzie i jak uderzyć. Ja wiedziałem. A na dziesięć kroków celniej rzucam nożem niż strzelam z pistoletu.

W kilkanaście sekund pokonałem pięć z sześciu metrów dzielących mnie od schodów, sunąc tak cicho jak cień płątka śniegu w księżycową noc. I wówczas dość wyraźnie zobaczyłem tego człowieka. Stał pod pierwszym spocznikiem schodów próbując znaleźć choćby niewielką osłonę przed deszczem. Z pochyloną głową, jakby na szyi miał ciężki łańcuch, zdawał się drzemać. Wystarczyło, żeby spojrzał w bok, od razu by mnie zauważył.

Ale przecież nie będzie tak usłużnie stał w nieskończoność. odwróciłem nóż ostrzem do góry i zacząłem się wahać.

Wahałem się, chociaż w grę wchodziło życie Mary. Nie miałem wątpliwości, że ten człowiek, kimkolwiek był, zasłużył sobie na śmierć. Ale jak tu zabić nożem człowieka, który drzemie i niczego się nie spodziewa, jeśli nawet na to zasługuje. ? Przecież to nie wojna. Cichutko jak myszka wyjąłem webleya, chwyciłem go za lufę i zamachnąłem się, celując w miejsce tuż za lewym uchem, pod ociekające wodą rondo kapelusza, a ponieważ byłem zły na siebie za tę bezsensowną niechęć do użycia noża, przyłożyłem temu facetowi naprawdę dość mocno. Odgłos przypominał uderzenie siekierą w pień drzewa. Kiedy padał, podtrzymałem go i delikatnie ułożyłem na ziemi. Nie obudzi się przed świtem, a może nawet nigdy. Nieważne. Ruszyłem po schodach w górę.

Nie śpieszyłem się zbyt. Pośpiech mógłby źle się skończyć. Szedłem wolno, po jednym schodku, cały czas patrząc w górę. Byłem zbyt blisko celu, żeby sobie pozwolić na brak rozwagi, który prawdopodobnie zniweczyłby wszystkie moje wysiłki.

Na szóstym czy siódmym piętrze jeszcze zwolniłem, lecz nie ze względu na ból nogi czy brak tchu, co też było prawdą,

ale po prostu na ścianie w górze spostrzegłem jakieś rozproszone światło. Nie miało prawa tam być, w ogóle nie powinno być żadnego światła, bo w całym śródmieściu Londynu wyłączono prąd.

Jeżeli duchom wolno mieć czarne twarze - choć podejrzewam, że na mojej pojawiły się już jasne pasma - to następne piętro pokonałem jak duch. Zbliżając się do światła zauważyłem, że nie pada z okna, lecz z drzwi wykonanych z żelaznych prętów. Zadarłem głowę i ostrożnie zajrzałem do środka.

Drzwi znajdowały się na poziomie potężnych stalowych dźwigarów, które łukiem spinały ściany dworca u podstawy dachu. Wewnątrz paliło się kilkanaście lamp - słabe, niewielkie pojedyncze światła, które jedynie podkreślały mrok prawie całkowicie wypełniający ogromną halę. Sześć lamp wisiało bezpośrednio nad hydraulicznymi odbojami tam, gdzie kończyły się tory, i wówczas zrozumiałem, że to lampy awaryjne, zasilane z akumulatorów, włączające się automatycznie w

wypadku braku prądu. Fakt ten dostatecznie wyjaśniał pochodzenie światła i byłem pewien, że się nie myliłem.

Przez jakiś czas patrzyłem na geometryczną siatkę pokrytą sadzą dźwigarów, ginącą w nieprzeniknionych ciemnościach w głębi hali dworca, a potem lekko popchnąłem drzwi, próbując je otworzyć. Te przeklęte drzwi ustąpiły, ale

skrzyknęły jak szubienica w wietrzną noc, oczywiście szubienica z wisielcem. Przestałem myśleć o zwłokach i cofnąłem rękę. Dość tego hałasowania. Drzwi jednak na tyle się uchylily, że dojrzałem za nimi stalowy balkon i odchodzące od niego pionowo dwie żelazne drabinki. Jedna łączyła go z drugim pomostem dla czyszcicieli okien, biegnącym tuż pod ogromnymi świetlikami, druga zaś z kładką dla elektryków, zawieszoną mniej więcej na poziomie najwyższych lamp w hali dworca. Dobrze o tym wiedzieć, może mi się przydać. Wyprostowałem się. Czekają mnie jeszcze co najmniej sześć pięter wspinaczki, zanim znajdę coś naprawdę interesującego.

Ramię, które chwyciło mnie za szyję i zaczęło dusić, musiało należeć do goryla, wprawdzie ubranego w koszulę i marynarkę, ale mimo wszystko goryla. W pierwszej chwili, obezwładniony szokiem i bólem, pomyślałem że zmiążdży

mi gardło. Nim zdobyłem się na jakąkolwiek reakcję, otrzymałem cios w nadgarstek twardym metalowym przedmiotem - webley wypadł mi z ręki, odbił się od spocznika i poleciał w dół

Nawet nie słyszałem, kiedy uderzył w jezdnię. Byłem zbyt zajęty walką o życie. Lewą ręką - prawą mi natychmiast sparaliżowało i stała się całkiem bezużyteczna – chwyciłem przeciwnika za przegub i próbowałem oderwać jego ramię od swego gardła. Z równym skutkiem mógłbym odłamywać konar dębu dziesięciocentymetrowej średnicy. Ten człowiek był fenomenalnie silny i wyciskał ze mnie życie. W dodatku robił to bardzo szybko.

Nagle poczułem, że coś wściekle gniecie mnie w plecy tuż nad nerkami. Zdawałem sobie sprawę, co to znaczy, ale mimo wszystko nie przestałem walczyć. Wiedziałem, że jeśli nie zdołam się uwolnić w ciągu paru sekund, to się uduszę. Z całej siły odepchnąłem się prawą nogą od prętów drzwi.

Zataczając się obaj wpadliśmy na poręcz metalowych schodów. Kiedy uderzył krzyżem w poręcz poczułem, że jego stopy zsunęły się ze spocznika. Przez chwilę próbowaliśmy odzyskać równowagę, lecz on ani na moment nie przestał mnie dusić. Wtem ucisk na gardle i palcach zelżał, gdy napastnik, ratując swoje życie, rozpaczliwie przytrzymał się poręczy.

Odskoczyłem od niego i zachwiałem się. Krztusząc się z bólu, głęboko wciągnąłem powietrze, a potem ciężko upadłem na schody. Wylądowałem na prawym boku, akurat tam, gdzie miałem połamane żebra. Pociemniało mi w oczach, a gdybym wówczas poddał się zmęczeniu, choć na moment rozluźnił czy uległ swemu ciału gwałtownie dopominającemu się wytchnienia, to z pewnością bym zemdlał. Był to jednak luksus, na który nie mogłem sobie pozwolić. W każdym razie

nie w obecności tego typu. Teraz wiedziałem, z kim mam do czynienia. Gdyby po prostu chciał mnie wyeliminować, mógł mnie uderzyć pistoletem w głowę. Gdyby zaś chciał mnie zabić, mógł mi strzelić, w tył głowy, a jeśli nie miał tłumika i pragnął uniknąć hałasu, to jeden cios w głowę i upadek z wysokości dwudziestu metrów załatwiłby sprawę z równie dobrym skutkiem. Lecz ten człowiek nie lubił nic, co byłoby ciche, proste i bezbolesne. Jeżeli miałem umrzeć, to chciał, żebym umierał świadomie. Dla mnie pragnął śmierci zadanej gwałtem i agonii w okropnych męczarniach,

a dla siebie rozkoszy płynącej z napawania się tym widokiem. Złośliwy sadysta, któremu umysł zaćmiła żądza krwi.

To był Henriques, oprawca na usługach Gregoriego. Tak, to ten głuchoniemy z obłędem w oczach.

Pótleżąc na schodach odwróciłem się, by stawić mu czoło, kiedy znów mnie zaatakuję. Nisko pochylony czaił się z

pistoletem w dłoni, lecz wcale nie zamierzał go używać. Od kuli zbyt szybko się umiera, chyba że trafi w odpowiednie

miejsce. Nagle zorientowałem się, że on właśnie o tym myśli, opuścił bowiem lufę, celując w dolne partie brzucha, w które

strzał oznaczałby raczej długą i niezbyt przyjemną agonię. Gwałtownie wyprostowałem ręce oparte na schodach i gdyby nie kopniak, zadany prawą nogą, którą machnąłem jak kosą, trafił tam, gdzie celowałem, Henriques już więcej nie robiłby mi kłopotów. Lecz moja stopa jedynie musnęła o prawe biodro i uderzyła w przedramię, wytrącając z dłoni pistolet który potoczył się ku krawędzi spocznika i zatrzymał kilka schodków niżej.

Henriques błyskawicznie się odwrócił, żeby go odzyskać, ja byłem równie szybki. Kiedy się pochylił chwytając

zgubę, podskoczyłem i kopnąłem go obiema nogami. Chrapliwie stęknął okropnym głosem, zgiął się w pół i stoczył po schodach na półpiętro, lecz wylądował na nogach i... wciąż miał w ręku pistolet.

Nie wahałem się ani chwili. Gdybym pobiegł w górę, on by mnie dogonił w ciągu paru sekund. Nawet gdyby udało mi się uciec na dach, narobiłbym tyle hałasu, że Gregori już by tam na mnie czekał - znalazłbym się między młotem a kowadłem i Mary straciłaby wszelkie szanse. Zaatakować Henriquesa albo czekać na niego tam, gdzie się znajdowałem, to samobójstwo - miałem jedynie nóż przymocowany paskami do lewego przedramienia, a moja zdrętwiała prawa ręka jeszcze nie była na tyle sprawna, żebym mógł wyjąć go z pochwy, a tym bardziej walczyć. Nawet w najlepszej kondycji nie dałbym rady temu głuchoniememu o niezwykłej sile, a przecież do normalnej kondycji wiele mi brakowało. Wskoczyłem więc w otwarte drzwi jak królik, który ucieka z własnej nory przed deptającą mu po piętach fretką.

Rozpaczliwie rozglądałem się z niewielkiego balkonu. W górę na pomost dla czyścicieli okien czy w dół na kładkę dla elektryków? I wtedy uświadomiłem sobie, że nie mogę zrobić ani jednego, ani drugiego. Nie pozwalała mi na to zdrętwiała ręka. Nie zdołam zatem nigdzie dotrzeć, zanim pojawi się Henriques i dopadnie mnie, kiedy tylko będzie chciał.

Dwa metry od balkonu przez całą szerokość hali biegł jeden z ogromnych łukowatych dźwigarów. Nie przestawałem o nim myśleć, bo widocznie podświadomie zdawałem sobie sprawę, że jeśli przestanę o nim myśleć, to już się stamtąd nie ruszę i Henriques mnie zabije. Dałem nurka pod łańcuchem, który zastępował poręcz balkonu, i skoczyłem nad dwudziestometrową przepaścią.

Moja zdrowa noga wylądowała pewnie na dźwigarze, lewa zaś nieco chybiła i poślizgnęła się na grubej warstwie zdradliwej sadzy, która osiadała tam przez całe pokolenia parowych lokomotyw. Boleśnie uderzyłem się w piszczel o krawędź. Lewą ręką zdążyłem chwycić się belki i na kilka pełnych strachu sekund po prostu zawisłem a wokół kołysała się ogromna pusta hala, przyprawiając mnie o zawrót głowy. W końcu wdrapałem się na dźwigar i już byłem bezpieczny. Chwilowo. Niepewnie wstałem.

Nie mogłem ani czołgać się po dźwigarze, ani powoli iść z rozpostartymi rękami - nie było czasu. Po prostu pochyliłem głowę i zacząłem biec. Belka miała niewiele ponad dwadzieścia centymetrów szerokości i pokrywała ją niebezpiecznie śliska warstwa sadzy. Wzdłuż krawędzi na całej długości znajdowały się dwa rzędy nitów z gładkimi, wystającymi łbami - gdybym się o nie potknął, na pewno straciłbym życie. Mimo to biegłem. W ciągu zaledwie dziesięciu sekund pokonałem odległość dwudziestu pięciu metrów do pionowej podpory, która ginęła w mroku pod dachem. Przytrzymując się jej, śmiało przeszedłem na drugą stronę dźwigaru i spojrzałem na balkon.

Henriques stał na tle żelaznych drzwi. W wyprostowanej prawej ręce trzymał pistolet, celując prosto we mnie, ale

zaraz go opuścił - zbyt późno mnie zobaczył i nie zdążył pociągnąć za spust, nim znalazłem schronienie za podporą.

Rozglądał się jakby z wahaniem. Ja zaś kurczowo trzymałem się podpory, a tymczasem w mojej zdrętwiałej prawej

ręce powoli wracało życie. Henriques się zastanawiał, a ja przeklinałem swoją głupotę, bo wchodząc po zapasowych schodach, przez całą drogę ani razu nie obejrzałem się za siebie. Ten głuchoniemy zapewne robił wówczas obchód rozstawionych wartowników, znalazł pod schodami ogłuszonego przeze mnie człowieka i wyciągnął odpowiednie wnioski.

Nagle Henriques podjął decyzję. Postanowił nie skakać z balkonu na dźwigar, co mnie wcale nie zdziwiło. Wspiął się po żelaznej drabince na pomost dla czyścicieli okien, podszedł do miejsca, które znajdowało się bezpośrednio pod moim dźwigarem, przelazł przez barierkę i na rękach

opuszczał się coraz niżej, aż jego stopy niemal dotknęły belki. skoczył i przytrzymał się ściany dla zachowania równowagi i, ostrożnie się odwrócił i ruszył w moją stronę jak linoskoczek z wyciągniętymi w bok ramionami. Ani myślałem na niego czekać. Obróciłem się i zacząłem iść. Nie zaszedłem daleko, bo nie mogłem - belka docierała do ceglanej ściany i tam po prostu się kończyła. W pobliżu nie było żadnego balkonu ani pomostu. A pod sobą miałem dwudziestometrową przepaść, na której dnie blado połyskiwały tory i hydrauliczne odboje. Sytuacja bez wyjścia. Oparty plecami o ścianę przygotowywałem się na śmierć.

Henriques dotarł do pionowej podpory, ostrożnie ją ominął i coraz bardziej się zbliżał. Zatrzymał się piętnaście

metrów ode mnie. Mimo mroku dostrzegłem błysk jego białych zębów, kiedy się uśmiechnął. Wiedział, co się ze mną

dzieje; zdawał sobie sprawę, że znalazłem się w pułapce i jestem całkowicie zdany na jego łaskę i niełaskę. Dla tego szaleńca musiałem być jednym z najsmaczniejszych kąsków, jakie mu się w życiu trafiły.

Znów zaczął iść, powoli zmniejszając dzielący nas dystans. w odległości sześciu metrów zatrzymał się, pochylił, chwycił rękami za dźwigar i usiadł na nim okrakiem, mocno szepiając pod spodem stopy. Miał na sobie eleganckie włoskie

ubranie, które z pewnością pobrudzi sadza, ale chyba nie dbał o to. Obiema rękami uniósł pistolet i wycelował w mój brzuch.

Nic nie mogłem zrobić. Przylepiony do ściany z rękami z tyłu, zeszywniałem w próżnym oczekiwaniu na uderzenie pocisku. Spojrzałem na Henriquesa i wydawało mi się, że widzę, jak mu bieleją palce. Mimo woli zadrżałem i na chwilę zamknąłem oczy, ale tylko na chwilę. Kiedy ponownie je otworzyłem, Henriques opuszczał pistolet, póki jego ręka nie oparła się na dźwigarze, i w uśmiechu szczyrzył zęby

Nigdy jeszcze nie spotkałem się z aż takim okrucieństwem, choć wiedziałem, czego mogę się spodziewać. Szaleniec,

który dopuścił się tak potwornych czynów - wcisnął cyjanek w usta Clandona, powoli udusił MacDonalda wieszając go

na sznurze, roztrzaskał na miazgę głowę pani Turpin i zamęczył na śmierć Eastona Derryego, a w dodatku w tak bezwzględny sposób połamał mi żebra - z pewnością nie miał zamiaru odmówić sobie przyjemności oglądania powolnej śmierci człowieka, choć tym razem były to katusze psychiczne. Przypomniały mi się te puste oczy, teraz niewątpliwie pałające żądzą widoku cierpienia, te śliniące się usta, wykrzywione w wilczym uśmiechu. On był kotem, a ja myszką, z którą chciał poigrać,

dopóki tą makabryczną zabawą całkowicie nie nasyci swej żądz. Później zastrzeli mnie z żalem, że zabawa już się kończy, choć z pewnością dozna jeszcze jednej przyjemności, kiedy spadnę i roztrzaskam się o beton na dnie przepaści.

Bardzo się bałem. Nie odgrywam bohatera w obliczu pewnej śmierci i nie wierzę, by ktoś na moim miejscu zachowywał się inaczej. Prawie zupełnie zdrętwiałem ze strachu, który zaczął paraliżować mi umysł, lecz i strach, i odrętwienie zniknęły, gdy nagle w przyływie gniewu aż zagotowałem się z wściekłości na myśl, że moje życie i los Mary zależą od kaprysów potwora tylko podobnego do człowieka.

I wtedy przypomniałem sobie o nożu.

Powoli przesuwalem ręce za plecami, póki się nie spotkały. Palcami prawej dłoni, z której ustąpiło już odrętwienie, choć jeszcze mnie bolała, chwyciłem trzonek noża pod prawym rękawem. Henriques znów podniósł pistolet. Tym razem celował mi w głowę, odsłaniając zęby w uśmiechu jak warczący pies, ja zaś powoli wyciągałem nóż, aż całkowicie wyjął się z pochwy.

Widocznie głuchoniemy uznał, że jeszcze za wcześnie, by zabijać, że wciąż czeka go wiele przyjemności, zanim zacznie się nudzić i naciśnie spust, ponownie bowiem opuścił pistolet. Potem usiadł wygodniej, mocniej szczepił nogi pod dźwigarem i wsadził lewą rękę do kieszeni marynarki. Po chwili wyjął paczkę papierosów i zapalki. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, obłąkanego, ponieważ tortura dochodziła do zenitu oprawca bezczelnie pozwala sobie na palenia, a tymczasem jego drżąca ze strachu ofiara trwa w niepewności, bo choć nie wie, kiedy nadejdzie jej ostatnia chwila, wie jednak, że ona musi nadejść – właśnie wszystko sobie wykoncypował.

Wsadził papierosa do ust i pochylił się, żeby go zapalić. W lewym ręku w dalszym ciągu trzymał pistolet. Trzasnęła

zapalka i na ułamek sekundy oślepiła Henriquesa.

W jej słabym świetle błysnęła stal i Henriques się zakrztusił. Mój nóż tkwił po rękojeść u nasady jego szyi. Ranny szarpał się gwałtownie i wyprężył się do tyłu, jakby nagle przez dźwigar popłynął silny prąd elektryczny. Pistolet wypadł mu z dłoni i szerokim łukiem poleciał w dół. Jego lot zdawał się trwać w nieskończoność. Choć nie mogłem oderwać od niego wzroku, to nie widziałem, jak wylądował- zobaczyłem jedynie snop iskier, kiedy stal uderzyła w stal.

Spojrzałem na Henriquesa. Wyprostował się i lekko pochylił do przodu, wlepiając we mnie zdumiony wzrok.

Prawą ręką wyszarpnął nóż z gardła. Tryskająca z rany krew w jednej chwili zalała mu koszulę. Z wykrzywioną twarzą, na

której zbliżająca się śmierć zdążyła już wycisnąć swoje piętno, wysoko podniósł rękę z nożem - jego ostrze już nie błyszczało w słabym świetle lamp. Henriques odchylił się do tyłu, żeby nadać swemu rzutowi jak największą siłę, ale na jego pociemniałej złej twarzy pojawiło się wyczerpanie. Nóż wypadł mu z omdlałej ręki i uderzył o beton. Henriques

osunął się i zawisł pod belką na zahaczonych o siebie stopach. Nie umiałem później powiedzieć, ile czasu wisiał w tej

pozycji. Wówczas wydawało się, że bardzo długo. Wreszcie, niby w jakimś niesamowicie zwolnionym filmie, jego stopy

powoli się rozłączyły i zniknął mi z oczu. Nie widziałem, jak spadał - nie mógłbym na to patrzeć. Kiedy w końcu się przemogłem i jednak spojrzałem, daleko w dole zobaczyłem jego pogruchotane ciało, bezwładnie zwisające z ogromnego

odboju. Miałem nadzieję, że gdziekolwiek wtedy znajdował się duch Henriquesa to nie czekały tam na niego cienie jego

ofiary. Uświadomiłem sobie, że bolą mnie policzki. Ze zdumieniem stwierdziłem, że się uśmiecham do trupa. Jeszcze

nigdy nie miałem mniejszej do tego ochoty.

Przybity i oszołomiony, trzęsąc się jak starzec chory na malarię, wracałem po dźwigarze na czworakach. Chyba

trwało to bardzo długo. Nigdy nie zrozumiałem, jak mi się udało wykonać dwumetrowy skok z dźwigaru na balkon, choć tym razem miałem ułatwioną sprawę, ponieważ mogłem chwycić się łańcucha. Chwiejnym krokiem wyszedłem na schody, a kiedy próbowałem usiąść, ze zmęczenia zwałem się na spocznik. Nigdy przedtem londyńskie powietrze nie sprawiło mi tak wielkiej rozkoszy jak wówczas.

Nie wiem, jak długo tam leżałem, i nie pamiętam, czy cały czas byłem przytomny. Chyba jednak niezbyt długo, bo kiedy spojrzałem na zegarek, dopiero dochodziła czwarta.

Zmusiłem się, żeby wstać, i znużony ruszyłem po schodach w dół. Kiedy znalazłem się na parterze, nawet nie zwracałem sobie głowy szukaniem mojego webleya, pewnie zajęłoby mi to zbyt dużo czasu, a poza tym nie byłem pewien, czy upadek z takiej wysokości nie uszkodził jakiegoś mechanizmu. Ale zdziwiłbym się, gdyby człowiek, którego unieszkodliwiłem, nie miał broni. Nie musiałem się dziwić. Pierwszy raz widziałem pistolet tego typu, miał jednak normalny spust i bezpiecznik, a to mi wystarczało. Od nowa zacząłem wspinać się po schodach.

Ostatnie piętro pokonałem na czworakach i to nie dlatego, chciałem się kryć, lecz po prostu inaczej nie mogłem – do tego stopnia byłem skonany. Oparłem się plecami o ścianę poczekalni dla odlatujących pasażerów i trochę odpocząłem, następnie wolnym krokiem ruszyłem po betonie w kierunku hangaru stojącego na przeciwległym rogu dachu. Z otwartej bramy padało słabe światło, którego z dołu nie było widać, hangar bowiem stał tyłem do zapasowych schodów. Źródło tego światła nie znajdowało się w hangarze, lecz w czekającym tam śmigłowcu - wielkim, dwudziestoczeromiejscowym volandzie, obecnie używanym do obsługi nowych linii międzymiastowych.

Widziałem otwartą kabinę załogi na dziobie helikoptera i światło padało właśnie stamtąd. Dostrzegłem głowę i ramiona pilota w szarym mundurze, siedzącego bez czapki i na lewym fotelu. Prawy zajmował doktor Gregori.

Obszedłem hangar, dotarłem do bocznej bramy i powoli ją otworzyłem - bezszelestnie przesunęła się na dobrze naoliwionych rolkach. Niespełna sześć metrów dzieliło mnie od niskich przenośnych schodków, które prowadziły do otwartych drzwi przedziału pasażerskiego, usytuowanych w środku kadłuba. Wyjąłem z kieszeni odbezpieczony pistolet i

podszedłem do schodków. Wstępowałem na nie tak cicho, że chyba nawet trawa rośnie głośniej. .

Przedział pasażerski też był oświetlony, ale słabo – tylko jedną sufitową lampą na wysokości drzwi. Ostrożnie zajrzałem do środka, a tam, w odległości niespełna metra zobaczyłem Mary z rękami przywiązanymi do poręczy pierwszego z foteli ustawionych tyłem do kierunku lotu. Guz nad jej lewym okiem urósł do rozmiarów kaczego jaja, podrapaną twarz miała śmiertelnie bladą, ale była przytomna. Spojrzała na mnie i natychmiast poznała. Z porozbijaną twarzą i umorusany sadzą musiałem wyglądać jak Marsjanin, któremu przed chwilą ledwo udało się wygrzebać ze szczątków latającego spodka strzaskanego podczas lądowania. Mimo to mnie poznała. Od razu podniosłem palec w odwiecznym geście, nakazującym milczenie, lecz zrobiłem to zbyt późno.

O wiele za późno. Dotychczas Mary siedziała tam pogrążona w beznadziejności, smutna i przegrana, jakby uszło z niej życie, bo właściwie już nie miała po co żyć. A tu nagle zjawia się zmartwychwstały mąż i znów wszystko będzie dobrze. Ale gdyby nie zareagowała spontanicznie, to nie byłaby człowiekiem.

- Pierre! - W głosie jej zaskoczenie mieszało się z nadzieją i radością. - Och, Pierre!

Ja jednak już na nią nie patrzyłem. Utkwiłem wzrok w wejściu do kabiny pilota, kierując broń w tę samą stronę. Doszedł mnie stamtąd odgłos głuchego uderzenia, a potem zobaczyłem Gregoriego. Z pistoletem w dłoni zaglądał do przedziału, wolną ręką przytrzymując się sufitu dla zachowania równowagi. Z uwagą zmrużył oczy, ale reszta jego twarzy była zimna i spokojna. A najdziwniejsze, że pistolet trzymał opuszczony. Uniosłem swój, celując w czoło Gregoriego, i zacząłem naciskać spust.

- Skończyło się, Scarlatti - powiedziałem. - Długo czekałem na tę chwilę. Poza mną dziś już tutaj nikt nie przyjdzie. Nikt, Scarlatti. Absolutnie nikt.

Rozdział trzynasty

- Cavell!? - Gregori uświadomił sobie, że to ja dopiero wówczas, gdy usłyszał mój głos. Jego śniada twarz pobladła. Patrzył na mnie, jakby zobaczył ducha.- Cavell! To niemożliwe!

- Wolałbyś, żeby to było niemożliwe, prawda, Scarlatti? Wyłaż z kabiny i nie próbuj podnosić pistoletu.

- Scarlatti? - Wydawał się nie słyszeć mojego rozkazu.

Zanim ochłonął po pierwszym wstrząsie, oszołomił go następny. Szepnął - Jak się dowiedziałeś?

- Przed pięcioma godzinami Interpol i FBI przekazały nam twój życiorys. Jest co poczytać. Enzo Scarlatti, dyplomowany chemik, który stał się królem przestępców na środkowym Zachodzie. Wymuszenia, rozboje, morderstwa

maty do gry, narkotyki... mnóstwo tego. Ważna figura było się do czego przyczepić. Lecz w końcu cię załatwili, co, Scarlatti? Jak zwykle, za niepłacenie podatków. No i naturalnie deportacja. - Zrobiłem dwa kroki w jego kierunku. Nie chciałem, żeby Mary znalazła się na linii ognia, gdy zaczniemy strzelać. - Wyłaż, Scarlatti.

Wciąż wlepił we mnie wzrok, lecz jego twarz wyglądała normalnie. Ten człowiek miał niesłychaną odporność

- Porozmawiajmy sobie o tym - rzekł powoli.

- Później. Jak stamtąd wyjdiesz. No, jazda... albo cię zastrzelę tam, gdzie stoisz.

- Nie, nie zrobisz tego. Chciałbyś, ale jeszcze nie możesz. wiesz , że czeka mnie śmierć, Cavell. Jak usiądę w fotelu, to dopiero wtedy mnie zabijesz, nie wcześniej.

Znowu zrobiłem krok w jego stronę i wtedy Scarlatti pokazał mi swoją lewą dłoń, w której trzymał jakiś przedmiot.

- To właśnie tego się obawiałeś, prawda, Cavell? Bałeś się że mogę mieć jedną w ręku albo w

kieszeni i że się rozbije, kiedy upadnę. Co, może nie, Cavell?

Faktycznie tak było. Patrzyłem na fiolkę w jego ręku, na tę szklaną buteleczkę z niebieskim korkiem, a on mówił dalej.

myślę, że lepiej zrobisz opuszczając broń, Cavell.

Nie tym razem. Póki celuję ci między oczy, nie będziesz próbował żadnych sztuczek, a jak opuszczę pistolet to ty

mnie zastrzelisz. Poza tym teraz wiem coś, czego przedtem nie wiedziałem. Nie użyjesz tego wirusa. Sądziłem, że jesteś

obłąkany, Scarlatti, ale teraz wiem, że tylko udawałeś, byśmy ze strachu spełnili twoje życzenia. Wiesz, że znam twoją przeszłość. Ty musisz być pomyłony, ale pod innym względem. Bo poza tym jesteś tak samo przy zdrowych zmysłach jak ja. Nie użyjesz go. Zbytńo cenisz własne życie i za bardzo chcesz osiągnąć to, co sobie zaplanowałeś.

- Mylisz się, Cavell. Ja go użyję, choć faktycznie cenię swoje życie. - Zerknął przez ramię, a potem odwrócił się do mnie tyłem. - W Mordon zacząłem pracować osiem miesięcy temu. Mogłem wynosić te wirusy, kiedy tylko mi się podobało. A jednak tego nie robiłem. Dlaczego? Bo czekałem, aż Baxter i MacDonald opracują osłabiony szczep szatańskiego wirusa, odmianę, która wciąż byłaby bardziej zabójcza od botuliny, ale w zetknięciu z tlenem ginęłaby w ciągu doby. Czekałem, aż uda im się wpaść na odpowiednią kombinację wysokiej temperatury, fenolu formaliny i promieniowania ultrafioletowego, by uzyskać szczepionkę przeciwko tej osłabionej odmianie. - Uniósł fiolkę, trzymając ją dwoma

palcami. - W tej buteleczce jest osłabiony szatański wirus, a w moich żyłach płynie krew z unieszkodliwionymi zarazkami, które przeciwko niemu uodporniają. Cyjanek był blefem... nie potrzebny mi cyjanek. Zaraz zrozumiesz, dlaczego Baxter musiał umrzeć... on po prostu wiedział o nowej odmianie wirusa i o tej szczepionce.

Zrozumiałem.

- Musisz więc również rozumieć, że nie boję się go użyć. Zrobię... - urwał. - Co to było?

Ja też usłyszałem dwie krótkie serie zgrzytliwych metalicznych dźwięków, jakby odgłos pracującej nitownicy, tyle że pięć razy szybciej niż normalnie.

- Czyżbyś nie wiedział? - spytałem. - To merlin mark 2, Scarlatti. Nowy typ szybkostrzelnych pistoletów maszynowych, w jakie wyposażono siły NATO. - Spojrzałem na niego uważnie. - Nie

pamiętasz, co mówiłem? Poza mną dziś już tutaj nikt nie przyjdzie. Nikt.

- Co ty wygadujesz? - szepnął. Kiedy jego lewa ręka bezwiednie ścisnęła szklaną buteleczkę, zbieleły mu kostki

palców. - O czym ty mówisz?

- O twoich koleśiach, którzy nie będą oglądali swych domów przez wiele najbliższych lat. O tych wszystkich szumowinach, o tych, trzeba przyznać, czołowych kryminalistach, którzy w tak tajemniczy sposób nagle zniknęli ze swoich melin w Anglii, Ameryce, Francji i Włoszech. Sami najlepsi specjaliści od posługiwania się palnikiem acetylenowym i nitrogliceryną, od otwierania zamków szyfrowych i czego tylko chcesz. Światowa czołówka od wysadzania skarbców i sejfów. Już wiele tygodni temu Interpol zawiadomił nas, że ludzie ci zniknęli. Tylko nie wiedzieliśmy, że wszyscy zebrali się w jednym miejscu... Tu, w Londynie.

Scarlatti świdrował mnie spojrzeniem swych ciemnych, pałających oczu. Oddychał szybko, aż powietrze świszczało mu między zębami. Przypominał wilka.

- W FBI, Scarlatti, uważają cię za najlepszego organizatora, z jakim walczyli od czasu wojny. Niezły komplement, co? Ale zasłużony. Wpuściłeś nas w maliny. Tym upieraniem się przy zburzeniu Mordon, tym skażeniem wschodniej Anglii, tym udawaniem nieświadomości, że w trzech spośród skradzionych fiolek jest szatański wirus, a także tą pozorną niezajomością skutków jego działania przekonałeś nas, że mamy do czynienia z szaleńcem. Byliśmy, pewni, że jakiś maniak grożąc nam skażeniem centrum Londynu, chce zniszczyć Mordon, bo ma taki kaprys. Potem myśleliśmy, że to spisek komunistyczny w celu zniszczenia naszej ostatniej i najsilniejszej linii obrony. Dopiero przed kilkoma godzinami zrozumieliśmy, że groźbą skażenia centrum Londynu pragnąłeś osiągnąć tylko jeden cel doprowadzić do ewakuacji, żeby

nikogo tam nie było

Na tym niewielkim obszarze Londynu znajduje się ze dwadzieścia największych banków świata. Banki te pękają

od różnych walut, mają fortuny w sztabach i sejfy depozytowe z klejnotami, za które można by wykupić kilkunastu

milionerów. I ty, Scarlatti, chciałeś to wszystko zgarnąć, co? Twoi ludzie ukryli się ze sprzętem w pustych budynkach albo w niewinnie wyglądających furgonetkach. Mieli tylko dostać się do banków, kiedy zrobi się ciemno po ewakuacji ostatniego człowieka. Nie byłoby z tym żadnych kłopotów.

Każdy z tych banków jest pilnowany przez strażników, a poza tym ma system alarmowy połączony z

dzwonkiem w

jednym z pobliskich komisariatów. Lecz strażnicy musieli opuścić swoje stanowiska, bo ktoś by chciał umierać od botuliny. Jeśli zaś chodzi o alarmy przeciwwłamaniowe, to jeden z twoich ludzi zdobył plan sieci elektrycznej miasta, co wcale nie jest takie trudne, i wyłączył prąd albo spowodował spięcie, a może po prostu przeciął główny kabel w tej dzielnicy. I właśnie dlatego centrum nie ma światła. Z tego samego powodu milczą dzwonki w komisariatach. Słuchasz mnie, Scarlatti?

Z pewnością słuchał. Jego twarz pałała nienawiścią.

Dalej to już proste. Przypuszczam, że już wczoraj porwałś tego Boga ducha winnego pilota. Teraz wystarczy wszystko przenieść tutaj, załadować na pokład helikoptera i szybko odlecieć na kontynent. To jedyna droga, bo wiedziałeś, że dzielnica będzie otoczona kordonem. W inny sposób nie udałoby ci się wywieźć stąd łupów. A twoi ludzie mieli po prostu cierpliwie czekać, aż wszystko minie, wmieszać się w powracający tłum i zniknąć. O obrabowaniu banków nikt by się nie dowiedział przynajmniej do trzeciej po południu, bo najwcześniej o tej godzinie pozwolono by ludziom na powrót do dzielnicy. A ponieważ dziś jest niedziela, prawdopodobnie dopiero w poniedziałek wyszłoby na jaw, że banki zostały splądrowane. W tym czasie ty byłbyś już na jakimś odległym kontynencie. Ale nic z tego. Jak ci powiedziałem, Scarlatti, to już koniec.

- Czy.. czy naprawdę to wszystko się skończyło? - szeptem spytała Mary zza moich pleców.

- Tak, skończyło się. Przed dziesiątą wieczorem, jeszcze nim wojsko przeprowadziło całkowitą ewakuację, dwustu

wywiadowców zajęło strategiczne punkty w City... w bankach lub w ich pobliżu. Mieli rozkaz nie ruszać się stamtąd trzeciej czterdzieści pięć rano. Minęła czwarta, a więc już po wszystkim. Wszyscy funkcjonariusze byli uzbrojeni w wypożyczone z wojska pistolety maszynowe typu merlin i otrzymali szczegółowe instrukcje, żeby otwierać ogień, jeśli ktoś się porusza. Te strzały, które niedawno słyszeliśmy... no cóż, ktoś musiał się poruszyć.

- Łzesz! - Scarlatti z wściekłości wykrzywił twarz i nerwowo poruszył wargami, choć milczał. Wreszcie odezwał się chrapliwie - Wszystko sobie wymyśliłeś.

- Sam wiesz najlepiej - odparłem. A poza tym zbyt dobrze znam prawdę, żebym musiał cokolwiek zmyślać.

Posłał mi mordercze spojrzenie, a potem cicho warknął

- Zamknij drzwi. Zamykaj, mówię ci, bo jak nie, to na Boga już, teraz z tym wszystkim skończę.

Zrobił dwa kroki między fotelami, wysoko unosząc butelkę z szatańskim wirusem. Obserwowałem go przez moment, a później pokiwałem głową. Nie miał nic do stracenia, a ja z tak błahego powodu nie zamierzałem narażać Mary ani siebie, nie mówiąc już o pilocie Tyłem podszedłem do przesuwanych drzwi wejścia dla pasażerów i zamknąłem je, cały czas trzymając Scarlattiego na muszce i nie spuszczać go z oka.

Znów zrobił dwa kroki naprzód, wciąż wysoko unosząc lewą rękę.

- A teraz pistolet. Cavell, oddaj pistolet.

- Nie, Scarlatti - powiedziałem kręcąc głową. Zastanawiałem się, czy on rzeczywiście stracił rozum, czy tylko jest

świetnym aktorem. - Pistoletu nie oddam i ty dobrze o tym wiesz. Przed ucieczką wszystkich nas byś pozabijał. A nie

uda ci się uciec, dopóki mam pistolet. Chcesz, to rozbij fiolkę, ale ja cię kropnę, zanim zginę od wirusa. O, nie, pistoletu nie oddam.

Wytrzeszczając rozognione oczy, Scarlatti ruszył naprzód i podniósł lewą rękę, jakby szykował się do rzutu. Chyba się

myliłem, sądząc, że stracił rozum.

- Pistolet! - wrzasnął. - Już!

Znów przecząco pokręciłem głową. Scarlatti wykrzyknął coś piskliwym głosem, lewą rękę wyrzucając do przodu. Jego

pięść strzaskała jedyną lampę, jaka paliła się na suficie, i kabinę ogarnął mrok, który na moment rozproszył błyski

żółtego światła, kiedy dwukrotnie nacisnąłem spust. Ogłuszające strzały odbiły się echem, po czym nagle zapadła cisza, którą raptownie przerwał jęk bólu krztuszającej się Mary i głos Scarlattiiego.

- Celuję w gardło twojej żony, Cavell. Zaraz ją zabiję.

Mimo wszystko jednak nie stracił rozumu.

Rzuciłem pistolet na plastikową podłogę. Uderzył w nią z

łoskotem.

- Wygrałeś, Scarlatti - powiedziałem.

- Teraz włącz główny kontakt - rzekł. - Jest z lewej strony

drzwi wejściowych.

Odnalazłem go po omacku i nacisnąłem. Kabinę zalało światło kilkunastu lamp. Scarlatti podniósł się z fotela obok Mary, w który wskoczył, gdy tylko strzaskał klosz. Celował we mnie z pistoletu. Podniosłem ręce i spojrzałem na jego lewą dłoń. Fiolka wciąż była nietknięta. Piekielnie ryzykował, ale nie pozostawało mu_ nic innego. Widziałem, że w lewym rękawie marynarki Scarlatti ma dziurę - niewiele brakowało, żebym go zabił. I niewiele brakowało, żebyśmy wszyscy zginęli. Gdybym go trafił, fiolka na pewno by się rozbiła. Ale z drugiej strony i tak wiedziałem, że do tego dojdzie.

- Cofnij się - spokojnie powiedział Scarlatti. Mówił głosem opanowanym, jakby prowadził rozmowę towarzyską. Za dzisiejszy występ zasługiwał na Oscara i w dalszym ciągu napawał się swym aktorstwem. - Do końca kabiny.

Cofnąłem się. Scarlatti podszedł do miejsca, gdzie leżał mój pistolet, podniósł go, wetknął fiolkę do kieszeni, a potem lufami obu trzymanyh w rękach pistoletów wskazał mi kabinę pilota.

- Teraz tam - rzekł.

Ruszyłem naprzód. Kiedy mijałem Mary, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się zza woalki jasnych włosów, które opadły jej na twarz. Jej zielone oczy zachodziły łzami. Ja też się do niej uśmiechnąłem. Graliśmy jak prawdziwi aktorzy i nawet Scarlatti nie mógłby zrobić tego lepiej.

Nieprzytomny pilot leżał twarzą na przyrządach sterowniczych. Zrozumiałem, skąd się wziął ten dziwny odgłos, jaki doszedł mnie z kabiny, kiedy Mary krzyknęła na mój widok.

Nim Scarlatti sprawdził, dlaczego to zrobiła, postarał się, by pilot mu nie przeszkadzał. Był to potężny mężczyzna o czarnych włosach. Zauważyłem, że widoczną część jego twarzy pokrywała opalenizna. Z tyłu głowy, spod włosów na potylicy sączyła mu się cienka strużka krwi.

- Siadaj - rozkazał mi Scarlatti, wskazując fotel drugiego pilota. - Ocuć go.

- Niby jak, u licha? - spytałem opadając na fotel pod lufami pistoletów. -- Nieźle mu przyłożyłeś.

- Niezbyt mocno - powiedział. - Pośpiesz się.

Robiłem, co mogłem, Nie miałem wyboru. Potrząsałem pilotem, delikatnie klepałem go po twarzy i przemawiałem doń, ale Scarlatti musiał uderzyć go mocniej, niż sądził. Ze smutkiem pomyślałem, że w takich warunkach nie miał zbyt wiele czasu na dokładne wymierzenie siły ciosu. Teraz zaczynał się niecierpliwić i denerwować jak kot – nieustannie spoglądał przez szybę w bramę hangaru, sądząc zapewne, że tam, w ciemnościach, kryje się pułk policji albo wojska. Przecież nie wiedział, jak bardzo prosiłem, wręcz błagałem Generała i Hardangera, żeby się zgodzili, abym poszedł sam. Pozwalało mi to działać niepostrzeżenie i dawało jedyną szansę uratowania Mary, a równocześnie w mniejszym stopniu mogło sprowokować Scarlattiego do użycia szatańskiego wirusa. Tylko z wielkim trudem udało mi się ich przekonać.

Po pięciu minutach moich zabiegów pilot poruszył się i ocknął. Rzeczywiście okazał się tak silny, na jakiego wyglądał bo odzyskawszy przytomność, natychmiast wściekle się na mnie rzucił, a zorientował się, że zaatakował nie tego człowieka dopiero wówczas, gdy na karku poczuł brutalne uderzenie lufy pistoletu. Odwrócił głowę, poznał Scarlattiego i powiedział kilka słów, które nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że pilot urodził się po drugiej stronie Morza Irlandzkiego. Słowa te okazały się bardzo interesujące, lecz nie nadają się do druku. Pilot przerwał swą wiązaną, kiedy Scarlatti wcisnął mu lufę pistoletu w policzek. Scarlatti miał nieprzyjemny zwyczaj wciskania ludziom lufy w policzek, ale już był za stary, żeby go tego oduczyć.

- Przygotuj się do startu - rozkazał pilotowi Scarlatti.- Natychmiast.

- Do startu - zaprotestowałem. - Przecież on nie. Może nawet chodzić, a co dopiero prowadzić helikopter.

Scarlatti znów trącił pilota lufą.

- Słyszałeś, co powiedziałem. Pośpiesz się.

- Nie mogę. - Pilot był równocześnie potulny i wściekły. Śmigłowiec trzeba wyholować z hangaru. Tutaj nie mogę włączyć silników Gazy spalinowe i przepisy...

- Wypchaj się swoimi przepisami - przerwał mu Scarlatti.- Ten helikopter ma własny napęd i sam może stąd wyjechać.

Myślisz, baranie, że nie sprawdziłem? Bierz się do roboty.

Pilot nie miał wyboru i dobrze o tym wiedział. Włączył silniki. Aż się skurczyłem od ich ogłuszającego ryku, który odbijał się echem od metalowych ścian niewielkiego hangaru. Pilot chyba też nie mógł znieść tego hałasu albo wiedział, że dłuższe przebywanie w nim jest szkodliwe. W każdym razie nie tracił czasu. Włączył oba wielkie wirniki, przestawił skok łopat i zwolnił hamulce. Śmigłowiec zaczął kołować.

_ Pół minuty później byliśmy w powietrzu. Scarlatti, teraz już spokojniejszy, sięgnął do półki na bagaż i podał mi metalowe pudełko. Sięgnął tam ponownie i tym razem wyjął zwykłą siatkę o drobnych oczkach.

- Otwórz pudełko i przełóż zawartość do siatki - powiedział bez żadnych wyjaśnień. - Radzę ci uważać. Sam zobaczysz dlaczego.

Zobaczyłem i byłem bardzo ostrożny. W otwartym pudełku leżało pięć opakowanych w słomę pojemników z chromowanej stali. Tak jak mi kazał Scarlatti, kolejno zdjąłem z nich nakrętki i niezwykle delikatnie przełożyłem do siatki pięć fiolek dwie z szatańskim wirusem i trzy z botuliną, co łatwo rozróżniłem po kolorze korków. Scarlatti wyjął z kieszeni i podał mi jeszcze jedną z niebieskim korkiem.

Tak więc było ich razem sześć. Dołączyłem ostatnią fiolkę do pozostałych i nadzwyczaj ostrożnie oddałem siatkę Scarlattiemu. W kabinie panował chłód, lecz ja się spociłem jak w łaźni parowej. Wiele wysiłku kosztowało mnie opanowanie drżenia rąk. Zauważyłem, że pilot zerkał na siatkę z tak samo nietęgą miną jak ja. Na pewno wiedział, co zawierała.

- Doskonale - powiedział Scarlatti, odbierając ode mnie siatkę. Położył ją na najbliższym fotelu w przedziale pasażerskim. - To pozwoli ci przekonać naszych dobrych znajomych, że nie tylko chcę spełnić swoją groźbę, ale również jestem do tego przygotowany.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Zaraz się dowiesz. Skontaktujesz się przez radio ze swoim teściem i przekażesz mu pewną wiadomość - rzekł, a potem zwrócił się do pilota - Będziesz krążył nad lądowiskiem. Niedługo tam wrócimy.

- Nie umiem obchodzić się z tym cholernym radiem- bąknąłem.

- Po prostu zapomniałeś - pocieszającym tonem odpowiedział Scarlatti. Według mnie był zbyt pewny siebie.- Przypomnisz sobie. Czyżby człowiek, który całe życie pracował w wywiadzie, nie umiał obsługiwać nadajnika? Jak ci się zdaje, przypomnisz sobie, jeżeli przespaceruję się do przedziału pasażerskiego i usłyszysz wrzask swojej żony?

- No więc, co mam zrobić? - spytałem ze złością.

- Odszukaj pasmo używane przez policję. Nie wiem, które to pasmo, ale ty musisz wiedzieć. Przekażesz glinom, że jeśli natychmiast nie zwolnią wszystkich moich ludzi razem z tym, co mieli ze sobą, to będę zmuszony zrzucić botulinę i szatańskiego wirusa na Londyn. Nie mam pojęcia, gdzie spadną, ale mało mnie to obchodzi. Poza tym, jeżeli ktoś będzie próbował lecieć za nami albo śledzić

czy zatrzymywać mnie lub moich ludzi, to też użyję tych zarzązków bez względu na skutki. Czy to jasne, Cavell?

Początkowo milczałem. Zapatrzyłem się w deszcz i ciemność przez szybę, po której błyskawicznie przesuwały się wycieraczki.

- Jasne - odpowiedziałem wreszcie.

- Widzisz, Cavell, nie mam nic do stracenia - spokojnie odezwał się Scarlatti. - Kiedy deportowali mnie z Ameryki, to myśleli, że jestem całkowicie skończony... że zupełnie się nie liczę. Wypędzając mnie drwili. Rozumiesz więc, że byłem i jestem zdecydowany pokazać im, jak bardzo się mylili. Kiedy wczoraj wieczorem zatrzymaliście nasz samochód tym moim radiowozem, opowiadałem różne rzeczy. Wiele z nich nieprawda, ale jedno powiedziałem szczerze albo osiągnę swój cel bez względu na koszty, albo zginę. Teraz nie udaję. Nic mnie nie powstrzyma, żadna siła na ziemi nie pokrzyżuje i planów w ostatniej chwili. W tym momencie jestem absolutnie szczerzy. Wierzysz mi, Cavell?

- Wierzę.

- Bez wahania zrobię to, co powiedziałem. Musisz ich o tym przekonać.

- Mnie przekonałeś, ale trudno mi mówić za innych. Spróbuję.

- Lepiej, żeby ci się udało - rzekł spokojnie.

Udało mi się. Po kilku minutach kręcenia gałkami zdołałem odnaleźć pasmo używane przez policję. Jeszcze jakiś czas zajęło połączenie telefoniczne i wreszcie odezwał się komisarz Hardanger.

- Tu Cavell z pokładu helikoptera - powiedziałem. - Są tu ze mną...

- Helikoptera!? - wykrzyknął i zaklął. - Słyszę jego cholerny warkot prawie nad samą głową. Na Boga, co.

- Posłuchaj! Jestem tu z Mary i pilotem linii międzynarodowych, porucznikiem. . . - przerwałem i popatrzyłem na siedzącego obok mnie mężczyznę.

- Buckley - przedstawił się obojętnie.

..porucznikiem Buckleyem. Scarlatti ma nas w ręku. Chce coś przekazać tobie i Generałowi.

- A więc wszystko spieprzyłeś, Cavell! - wściekał się Hardanger. - Bóg mi świadkiem, ostrzegałem cię...

- Zamknij się - rzekłem zmęczonym głosem. - Lepiej byś posłuchał tej wiadomości.

Powiedziałem mu to, co miałem do przekazania. Po chwili w słuchawkach odezwał się Generał, który nie robił mi wymówek i nie tracił czasu.

- Czy on przypadkiem nie blefuje? - spytał.

- Nie ma mowy. To najszczerza prawda. Wytruje pół miasta, żeby dopiąć celu, A cóż znaczą te wszystkie pieniądze i sztabki złota w porównaniu z życiem miliona ludzi?

- Mówisz, jakbyś się bał - cicho powiedział Generał.

- Bo się boję. Nie tylko o siebie.

- Rozumiem. Zgłoszę się za kilka minut

Zdjąłem słuchawki.

- Jeszcze parę minut. On musi to skonsultować.

- Ma się rozumieć - rzekł Scarlatti. Niedbale oparł się ramieniem o ścianę przy drzwiach, lecz mierzył do nas z pistoletów pewniej niż dotychczas. On już nie wątpił, jaki będzie wynik. - Trzymam w ręku wszystkie atuty, Cavell.

Wcale nie przesadził. Rzeczywiście miał w ręku wszystkie atuty, a z takimi atutami nie mógł przegrać. Ale gdzieś głęboko w zakamarkach mózgu błysnęła mi maleńka iskierka nadziei, że nie weźmie ostatniej lewy. Szansa jedna na milion, ale przecież sytuacja była tak rozpaczliwa, że musiałem zaryzykować. Moje powodzenie zależało jednak od wielu trudnych do przewidzenia czynników. Od stanu umysłu Scarlattiego, którego pewność siebie i przeświadczenie, że wreszcie ma swój dzień, mogą, lecz nie muszą osłabić jego czujności od spostrzegawczości, inteligencji i pomocy porucznika Buckleya, a na koniec od tego, czy potrafię szybko działać. To ostatnie było najbardziej wątpliwe, Scarlatti bowiem z łatwością poradziłby sobie z chorym starcem, a ja właśnie tak się czułem.

W słuchawkach coś zatrzeszczało. Natychmiast je włożyłem i usłyszałem głos Generała.

- Powiedz mu, że się zgadzamy - rzekł bez żadnych wstępów.

- Rozkaz. Strasznie przepraszam za to wszystko.

- Zrobiłeś, co mogłeś. Stało się. Teraz musimy głównie myśleć o ratowaniu niewinnych, a nie o

karaniu winnego.

Poczułem, że ktoś niezbyt delikatnie zrywa mi jedną słuchawkę.

- No i co? No i co? - dopytywał się Scarlatti.

- Zgadzą się - odparłem znużonym głosem.

- Znakomicie. Przyznam, że nie spodziewałem się innej odpowiedzi. Dowiedz się, jak długo potrwa zwalnianie moich ludzi i kiedy policja opuści teren.

Zapytałem o to Generała, a potem przekazałem odpowiedź Scaclattiemu.

- Za pół godziny.

- Doskonale. Wyłącz radio. Będziemy sobie krążyć przez ten czas, a później wylądujemy. - Wygodniej oparł się plecami o framugę i po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech.

- To tylko niewielka zwłoka w realizacji moich planów, Cavell, ale w ostatecznym rozrachunku wyjdzie na to samo. Nie masz pojęcia, z jaką niecierpliwością czekam na jutrzejsze nagłówki w amerykańskich gazetach, które pisały o mnie tak pogardliwie, że jestem zerem, że już się skończyłem, że moja sława minęła, kiedy zostałem deportowany dwa lata temu. Ciekawe, w jaki sposób będą to odszczekiwać?

Bez entuzjazmu rzuciłem mu jakieś przekleństwo a on znów się uśmiechnął. Miałem nadzieję, że im więcej będzie się uśmiechał, tym lepiej dla mnie. Oklapłem w fotelu, zrobiłem przygnębioną minę i potulnie spytałem

- Czy mógłbym zapalić?

- Ależ proszę bardzo. - Wsadził jeden pistolet do kieszeni, potem podał mi papierosy i zapalki. - Służę uprzejmie.

- Nie noszę przy sobie wybuchających cygar - mruknął

- Tak też mi się wydaje. - Ponownie się uśmiechnął. Najwyraźniej był w świetnym humorze. - Wiesz, Cavell, to, że

mi się udało, sprawia mi ogromną satysfakcję. Ale niewiele mniej cieszy mnie świadomość, że przechrzyłem takiego

przeciwnika jak ty. Z tobą miałem najwięcej kłopotów, jak jeszcze z nikim. I jak nikt byłeś tak blisko wygranej.

- Poza amerykańskimi inspektorami podatkowymi - rzekłem. - Niech cię diabli, Scarlatti!

Odpowiedział śmiechem. Zaciągnąłem się papierosem i w tym momencie śmigłowiec lekko zadrżał, wznosząc się na słupie cieplejszego powietrza. To była odpowiednia chwila. Zacząłem niespokojnie kręcić się w fotelu i trochę zrzędlawie, trochę nerwowo odezwałem się do Scarlattiego.

- Na miłość boską, usiądź albo złap się czegoś. Jeśli trafimy na jakąś dziurę powietrzną, to możesz polecieć w tył i upaść na te cholerne zarazki.

- Spokojnie, przyjaciela - rzekł powoli. Znów oparł się plecami o framugę i skrzyżował nogi. - W taką pogodę nie ma dziur powietrznych

Ale ja nie słuchałem, co mówi Scarlatti, a przynajmniej na niego na nie patrzyłem. Spoglądałem na Buckleya i spostrzegłem, że zerka w moją stronę. Nawet nie poruszył głową, a jedynie oczy skierował na mnie, czego stojący za nim Scarlatti nie mógł widzieć. Porucznik na dłuższą chwilę przymknął jedno oko - ten ogromny Irlandczyk niewątpliwie chwycił wszystko w lot. Niedbałym ruchem zdjął rękę z drążka i położył na nodze. Przeciągnął dłonią po udzie, a gdy jego palce wysunęły się poza kolano, machnął nimi w dół.

Dwa razy nieznacznie skinąłem głową, gapiąc się w przednią szybę, żeby moje zachowanie wyglądało normalnie. Nawet najbardziej podejrzliwej osobie nie przyszłoby do głowy, że to może być jakiś znak, a Scarlatti był za bardzo pewny siebie i zbyt zadowolony, aby zwracać uwagę na takie drobiazgi, bo przecież wszystko szło mu tak gładko. Zresztą nie byłby to pierwszy wypadek, że ktoś za bardzo się rozluźnia przed metą i pewne zwycięstwo wymyka mu się z rąk. Zerknąłem na Buckleya i z ruchów jego warg odczytałem słowo teraz. Znów nieznacznie skinąłem głową i zebrałem się w sobie.

Kiedy pilot minimalnie poderwał śmigłowiec, kątem oka zobaczyłem, że Scarlatti lekko się zachwiał, lecz wciąż stał na skrzyżowanych nogach. Nagle Buckley odsunął drążek od siebie w lewo. Śmigłowiec gwałtownie uniósł ogon w głębokim skręcie. Scarlatti natychmiast stracił równowagę i runął głową do przodu, niemal wprost na mnie.

Zdążyłem się tylko z lekka unieść i odwrócić na zgiętych nogach. Mój prawy sierpowy trafił go trochę za wysoko, w mostek. Oba pistolety, które spadły na deskę rozdzielczą, teraz klekotały na szybie.

Scarlatti wpadł w szal. Zaczął mnie z furią bić, kopać i gryźć, atakował głową, kolanem, łokciami, wciskając z powrotem w fotel. Moje liczne ciosy nie robiły żadnego wrażenia na przeciwniku, który na przemian warczał i ryczał jak zraniony zwierz, okładając mnie gdzie popadło, z przerażającą w

siłą i szybkością. Choć byłem od niego młodszy o dwadzieścia lat i o dziesięć kilogramów cięższy, to jednak nie mogłem go powstrzymać. Poczułem szum w uszach i nieznośny ból w klatce piersiowej, jakby ją miażdżyło jakieś ogromne imadło.

Już mdlałem, gdy nagle ten wariacki atak się skończył i Scarlatti mnie zostawił.

Oszołomiony, ociekający krwią i na pół oszalały z bólu, zerwałem się z fotela i ruszyłem za przeciwnikiem. Śmigłowiec wciąż leciał z uniesionym ogonem. Scarlatti musiał więc wdrapywać się przejściem między fotelami, rozpaczliwie chwytając się ręką za oparcia, żeby pokonać siłę ciężkości. W tej chwili chyba był obłąkany - prawie na pewno – ale musiał zdawać sobie sprawę, że nie może użyć wirusów na pokładzie, bo sam znalazłby się w pułapce parę sekund po rozbiciu fiolek śmigłowiec z martwym pilotem przy sterach roztrzaskałby się na ulicach Londynu.

Byłem dopiero w połowie drogi, gdy Scarlatti dotarł już do drzwi. Chwycił klamkę i chciał je odsunąć, lecz nie pozwalał mu na to wciąż nurkujący śmigłowiec. Scarlatti zaparł się więc nogami o siedzenie fotela obok Mary i ciągnął z całych sił, aż jego śniada twarz poczerwieniała od wysiłku.

Drzwi powoli zaczęły ustępować, a ja miałem do nich jeszcze dwa metry. Wtem gwałtownie się otworzyły, gdy Buckley nagle wyrównał lot. Scarlatti zatoczył się i przewrócił. Natychmiast podskoczyłem do niego.

Ale to nie on był moim celem. Myślałem tylko o tym, co trzyma w ręku. Zajadle wyszarpując siatkę usłyszałem

trzask łamanego palca, który mojemu przeciwnikowi zaplątał się w jej oczka. Scarlatti zerwał się na równe nogi i znów

musiałem walczyć o życie, w dodatku jedną ręką.

Teraz atakował w milczeniu, a z jego obłąkanej miny widziałem, że chce mnie zabić. Chwycił mnie za gardło

i gwałtownie pchnął do tyłu. Lewą nogą próbowałem odbić się od ściany kabiny, gdy nagle usłyszałem krzyk Mary.

Moja stopa trafiła w próżnię - za mną były otwarte drzwi. Natychmiast wyrzuciłem rękę w bok, napinając mięśnie karku i ramion. Okrutna siła przygniotła mnie do metalowych krawędzi otworu, których górna część wbiła mi się w szyję jak gilotyna. W jednej chwili świat przysłoniła mi czerwona mgielka, pełna oślepiających błysków, ale wkrótce znikła. Mary, która ze śmiertelnie bladą twarzą siedziała tuż obok, na wprost drzwi wejściowych, z przerażeniem wpatrywała się we mnie ogromnymi zielonymi oczami. Scarlatti w dalszym ciągu trzymał mnie za gardło. Widziałem jego

twarz tuż przed sobą.

- Ostrzegałem cię, Cavell! - wykrzyknął chrapliwie.-

Ostrzegałem. Uprzedzałem cię, Cavell, że jutro będzie milion trupów. Zginie milion ludzi. Przez ciebie. To ty ich zabijesz,

nie ja.

Głośno dysząc. mocniej ścisnął mi gardło i zaczął wypychać mnie w ciemność. Nie mogłem nic zrobić ani go odepchnąć, ani wyrwać się z jego uchwytu. Wiedziałem, że zaraz wypadnę. Przed oczami miałem twarz Scarlattiego- w tej chwili na pewno był obłąkany. Rozciągnięte ramiona zaczęły mi omdlewać, kark piekł od wściekłego bólu, a Scarlatti wypychał mnie coraz dalej i dalej w mrok. Na plecach czułem pęd powietrza i uderzenia deszczu jak w ciężkim sztormie. Chyba tak giną marynarze. Próbowałem otworzyć lewą dłoń, żeby przynajmniej nie zabrać ze sobą szatańskiego wirusa, lecz moje palce zaplątały się w siatkę i były mocno przyciśnięte do metalu. Nawet nie mogłem nimi poruszać.

Właśnie wtedy Mary wyrwała się z odrętwienia. Ręce miała przywiązane do oparcia fotela, ale nogi wolne. Nagle zebrała się w sobie i z całej siły wyrzuciła obie stopy na przód, a nosi włoskie pantofle. Po raz pierwszy w życiu dziękowałem Bogu za te potworne szpilki. Scarlatti krzyknął z bólu, kiedy trafiły go z tyłu pod kolano prawej nogi, która natychmiast się pod nim ugięła. Na moment - dla mnie w ostatniej chwili - napastnik rozluźnił chwyt na moim gardle. Gwałtownie rzuciłem się do przodu, kopiąc Scarlattiego wysoko uniesioną lewą nogą, aż się zatoczył. Odskoczyłem od drzwi, błyskawicznie ominąłem zgiętego w pół przeciwnika i zacząłem biec w stronę kabiny pilota.

Nie odbiegłem daleko. W wejściu do kabiny pojawił się Buckley z pistoletami w dłoniach. W duchu zadałem sobie pytanie na miłość boską, dlaczego tak zwlekał? Przecież włączenie automatycznego pilota i sięgnięcie ręką po pistolety nie powinno trwać dłużej niż dziesięć sekund. I wtedy dotarło do mojej świadomości, że od chwili, gdy wyrównał lot śmigłowca, nie mogło upłynąć więcej czasu. Tylko mnie wydawało się to wiecznością - i tyle.

Kiedy Buckley zobaczył, że się zbliżam, rzucił mi pistolet. Chwyciłem go w powietrzu tak, żeby przypadkowo nie rozbił fiolek z wirusami. Odwróciłem się na pięcie z bronią w rękę, ale Scarlatti już mnie nie atakował.

Wciąż jeszcze zgięty w pół, spokojnie stał nie opodal otwartych drzwi. W jego oczach nie dostrzegłem już obłądu.

- Nie warto strzelać, Cavell - rzekł prostując się powoli.- Nie musisz tego robić.

- Dobrze, nie będę - odparłem.

- Skończył się sen - powiedział normalnym głosem. Stał blisko wyjścia w strugach deszczu, szarpany pędem powietrza, ale zdawał się tego nie zauważać. - Być może marzenia takich ludzi jak ja zawsze kończą się w ten sposób. - Przerwał, a potem rzucił mi nieco kpiące spojrzenie. – Naprawdę to chyba nigdy nie spodziewałeś się zobaczyć mnie w Old Bailey?

- Nie - odpowiedziałem. - Tak naprawdę to nigdy.

- Czy uważasz, że taki człowiek jak ja pozwoliłby skazać się na śmierć? - dopytywał się uporczywie.

- Nie sądzę.

Pokiwał głową jakby z satysfakcją. Zrobił krok w stronę wyjścia i znowu się zatrzymał.

- A tak przyjemnie byłoby zobaczyć co by napisał New York Times - powiedział z lekkim smutkiem.

Potem odwrócił się i wyszedł w ciemność. Uwolniłem Mary z więzów i rozcierałem jej ręce. Buckley tymczasem łączył się z policją, żeby odwołać radiowozy Lotnej Brygady. Kiedy kilka minut później oboje wchodziliśmy do kabiny pilota, śmigłowiec zbliżał się do lądowiska. Podniosłem słuchawki.

- Więc jest bezpieczna - rzekł Generał.

- Zgadza się, panie generale. Mary nic nie grozi.

- A Scarlattiego nie ma?

Otóż to, panie generale. Scarlattiego nie ma. Po prostu wyszedł z helikoptera.

W tym momencie włączył się Hardanger, jak zwykle ochrypłym głosem.

- Wyszedł czy został wypchnięty?

- Wyszedł.

Zdjąłem słuchawki. Wiedziałem, że oni mi nigdy nie uwierzą.

